

CO ZROBISZ, GDY Z KRANÓW PRZESTANIE PŁYNAĆ WODA?

SUSZA



PORYWAJĄCA DYSTOPIA AUTORA BESTSELLEROWEJ *GŁĘBI CHALLENGERA!*

NEAL SHUSTERMAN
JARROD SHUSTERMAN



Neal Shusterman, Jarrod Shusterman

SUSZA

Co zrobisz, gdy z kranów przestanie płynąć woda?

przełożył Jacek Konieczny



Tytuł oryginału: *Dry*

Tłumaczenie: Jacek Konieczny

Redaktorka inicjująca: Ewelina Węgrzyn

Redaktorka prowadząca: Agnieszka Nowak

Redakcja: Milena Schefs

Korekta: Karol Jagodek, Olga Gorczyca-Popławska

Skład i adaptacja okładki: Ewa Sosnowska

© Copyright for text by Neal Shusterman and Jarrod Shusterman, 2018

© Copyright for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o., 2019

All rights reserved

Warszawa 2021

Wydanie I

Published by arrangement with Simon & Schuster Books For Young Readers,

An imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-280-9218-1

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. + 48 22 826 08 82, fax + 48 22 380 18 01

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

Spis treści

Dedykacja

Podziękowania

Część pierwsza. Suche krany

Dzień pierwszy. Sobota, 4 czerwca

Dzień drugi. Niedziela, 5 czerwca

Dzień trzeci. Poniedziałek, 6 czerwca

Część druga. Trzy dni do zezwierżenia

Dzień czwarty. Wtorek, 7 czerwca

Część trzecia. Otchłań pomiędzy

Dzień piąty. Środa, 8 czerwca

Część czwarta. Schron

Dzień szósty. Czwartek, 9 czerwca

Część piąta. Chrzest ogniowy

Część szósta. Nowa normalność

Przypisy

*Książkę dedykujemy wszystkim, którzy próbują przeciwdziałać koszmarnym
skutkom zmian klimatycznych*

Podziękowania

Susza otworzyła przed nami możliwości ogromnie ciekawej współpracy z wieloma osobami, którym jesteśmy bardzo wdzięczni.

Z całego serca dziękujemy redaktorowi prowadzącemu Davidowi Gale'owi, redaktorce Amandzie Ramirez i wydawcy Justinowi Chandzie, którzy uwierzyli, że zdołamy napisać tę powieść razem, i przeprowadzili nas przez wszystkie etapy pracy nad książką. Mogliśmy liczyć na wsparcie wszystkich pracowników wydawnictwa Simon & Schuster. Na szczególną wzmiankę zasługują: Carolyn Reidy, Jon Anderson, Anne Zafian, Michelle Leo, Anthony Parisi, Sarah Woodruff, Lauren Hoffman, Lisa Moraleda, Chrissy Noh, Keri Horan, Katrina Groover, Deane Norton, Stephanie Voros i Chloë Foglia.

Oraz oczywiście Jay Shaw – za fantastyczną, efektowną okładkę.

Dziękujemy agentce Andrei Brown, agentce od kontaktów z wydawnictwami zagranicznymi Taryn Fagerness, naszym przedstawicielom w branży rozrywkowej Steve'owi Fisherowi, Debbie Deuble-Hill i Ryanowi Saulowi z APA oraz menedżerowi Trevorowi Engelsonowi za wysiłek, który włożyli w przygotowania do filmowej adaptacji *Suszy*. Dziękujemy także mecenasom Shepowi Rosenmanowi, Jennifer Justman i Caitlin DiMotta za przeprowadzenie nas przez niekończące się meandry prawne.

Dziękujemy zespołowi odpowiedzialnemu za film – Marty'emu Bowenowi, Isaacowi Klausnerowi i Pete'owi Harrisowi z Temple Hill, a także Wyckowi Godfreyowi i Jonowi Gondzie z Paramount.

Chcielibyśmy również wyrazić wdzięczność naszemu przyjacielowi i koledze Eliasowi Gertlerowi za to, że od samego początku wierzył

w naszą opowieść, Barb Sobel za nadludzkie zdolności organizacyjne i Mattowi Luriemu, naszemu guru od mediów społecznościowych.

Dzięki Wam naprawdę nam się przelewało.

Część pierwsza. Suche krany

Dzień pierwszy. Sobota, 4 czerwca

1) Alyssa

Kuchens dźwięki.

Prycha i kaszle, jakby dostał astmy. Gulgocze, jakby tonął. Wypluwa trochę wody, po czym cichnie. Kingston, nasz pies, nadstawia uszu, ale trzyma się w bezpiecznej odległości od zlewu, niepewny, czy przypadkiem bateria znów nie ożyje. Niestety, nic takiego się jednak nie dzieje.

Mama stoi zaskoczona, trzymając miskę Kingstona pod kranem, po czym zakręca go i mówi:

– Alyssa, idź po ojca.

Kiedy tata samodzielnie odnowił kuchnię, uroił sobie, że jest znakomitym hydraulikiem. I elektrykiem. „Po co wzywać fachowców i przepłacać, skoro można coś zrobić samemu?”, powtarza i zamienia te słowa w czyn. Od tej pory mamy same problemy – i z wodą, i z prądem.

Tata siedzi w garażu i dłubie w samochodzie z wujkiem Basilem, który pomieszkuje z nami, odkąd padła jego plantacja migdałów w Modesto. Wujek Basil naprawdę ma na imię Herb, czyli Zioło, ale w którymś momencie mój brat i ja zaczęliśmy go przezywać nazwami różnych roślinek z ogrodu. Wujek Koperek, wujek Tymianek, wujek Szczypior, a w okresie, na który rodzice woleliby spuścić zasłonę zapomnienia, wujek Trawka. Ostatecznie przyłgnęło do niego miano Bazylka.

– Tato – krzyczę w głąb garażu – kłopoty w kuchni!

Nogi ojca wystają spod toyoty camry jak stopy złej czarownicy. Wujka Basila spowija komórka burzowa oparów z e-papierosa.

– Nie może poczekać? – pyta ojciec spod samochodu.

Ale ja już przeczuwam, że nie może.

– To chyba jakaś grubsza sprawa – mówię.

Tata wyczołguje się spod auta i z ciężkim westchnieniem zmierza do kuchni.

Mamy już nie ma przy zlewie. Stoi w drzwiach między kuchnią a salonem – po prostu stoi, wciąż z pustą psią miską w lewej ręce. Przechodzi mnie dreszcz, choć nie wiem czemu.

– Co jest niby takiego ważnego, że musisz mnie wyciągać...

– Cicho! – mówi mama.

Rzadko odzywa się tak do taty. Mnie i Garretta ucisza co chwilę, ale rodzice nigdy się w ten sposób do siebie nie odzywają. To niepisana reguła.

Mama w milczeniu patrzy w telewizor. Prezenterka gędzi o „kryzysie wodnym”. Tak media nazywają suszę, odkąd ludzie zmęczeni tym słowem. Na tej samej zasadzie „globalne ocieplenie” stało się „zmianą klimatu”, a „wojna” – „konfliktem”. Od niedawna w mediach króluje nowy slogan. Nowy etap biadolenia nad stanem zasobów wodnych. Teraz mówi się o Suchych Kranach.

Wujek Basil wyłania się na chwilę ze swego obłoku i pyta:

– Co się dzieje?

– Arizona i Nevada wycofały się właśnie z umowy o gospodarowaniu zbiornikami retencyjnymi – odpowiada mu mama. – Zamknęły wszystkie zapory, tłumacząc, że same potrzebują wody.

Co oznacza, że wody rzeki Kolorado nie dopłyną do Kalifornii.

Wujek Basil próbuje ogarnąć to umysłem.

– Przecież nie mogą ot tak zamknąć całej rzeki, jakby zakręcili kurek!

Ojciec unosi brew.

– Właśnie to zrobili.

Telewizja zaczyna niespodziewanie transmitować na żywo konferencję prasową. Gubernator przemawia do tłumu podenerwowanych reporterów. „To sytuacja niefortunna, ale nie do końca nieoczekiwana –

mówi. – Nasi ludzie pracują non stop, żeby wynegocjować nowe umowy z różnymi agencjami”.

– A co to w ogóle znaczy? – pyta wujek Basil.

Mama i ja go uciszamy.

„W związku z tą nagłą zmianą sieci wodociągowe wszystkich hrabstw i miast południowej Kalifornii tymczasowo przeznaczą całość zasobów na potrzeby niezbędnych usług. Wzywam jednak z całą mocą do zachowania spokoju. Osobiście zapewniam wszystkich, że jest to sytuacja tymczasowa i nie ma powodów do niepokoju”.

Przedstawiciele mediów zasypują gubernatora pytaniami, ale on daje nogę, nie odpowiadawszy na żadne.

– Wygląda na to, że wyschła nie tylko miska Kingstona – stwierdza wujek Basil. – Pewnie niedługo będziemy musieli pić z toalety.

Mój młodszy brat, Garrett, siedzący na kanapie w oczekiwaniu na powrót normalnej telewizji, robi stosowną minę, która przyprawia wujka Basila o wybuch śmiechu.

– Dobrze chociaż – mówi bez przekonania tata do mamy – że tym razem to nie moja wina.

Idę do kuchni sprawdzić kran. Zupełnie jakbym miała ręce, które leczą. Odkręcam kurek, ale nic nie płynie. Ani kropli. Kran zapadł w śpiączkę i żadna resuscytacja go nie obudzi. Odnotowuję czas jak pielęgniarzka na OIOM-ie: 13.32, 4 czerwca.

„Wszyscy będą pamiętać, co robili, kiedy w kranach zabrakło wody”, myślę. Jak wtedy, gdy zastrzelono prezydenta.

W kuchni za moim plecami Garrett otwiera lodówkę i chwytając butelkę Gatorade o smaku Glacier Freeze. Pije duszkiem, ale powstrzymuję go po trzecim łyku.

– Odstaw to – mówię. – Zostaw coś na później.

– Ale teraz chce mi się pić – protestuje jękliwie.

Ma dziesięć lat, o sześć mniej niż ja. Dziesięciolatki mają problem z odraczeniem gratyfikacji.

Napoju i tak już prawie nie ma, więc pozwalam mu dopić. Sprawdzam, co jest w lodówce. Parę piw. Jeszcze trzy butelki Gatorade, mleko na wykończeniu i różne resztki.

Też wam się zdarza, że nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo byliście spragnieni, dopóki nie zaczniecie pić? Teraz wystarczy mi samo patrzenie na lodówkę, żeby to sobie uświadomić.

Nigdy wcześniej nie ogarnął mnie tak silny niepokój.

Z ulicy dobiegają głosy sąsiadów. Znamy ich – od czasu do czasu na siebie wpadamy. W większej masie wylegają jednak na ulicę tylko w Dzień Niepodległości albo podczas trzęsienia ziemi.

Rodzice, Garrett i ja też wychodzimy kolejno na zewnątrz. Dziwnie jest stać tam całą gromadą, zupełnie jakbyśmy chcieli zasięgnąć porady albo przynajmniej szukali potwierdzenia, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jeannette i Stu Leesonowie z naprzeciwka, państwo Malecki z noworodkiem i pan Burnside, który, odkąd pamiętam, wygląda na siedemdziesiątkę. Zgodnie z oczekiwaniami brakuje tylko naszych najbliższych sąsiadów, McCrackenów, którzy zawsze trzymają się z dala od innych i prawdopodobnie po wysłuchaniu wiadomości zabarykadowali się w swojej podmiejskiej twierdzy.

Sterczymy tak z rękoma w kieszeniach, unikając kontaktu wzrokowego, jak moi koledzy na szkolnym balu.

– No dobra – rzuca w końcu tata – kto z was wkurzył Arizonę i Nevadę?

Wszyscy chichoczą. Nie powiedział nic szczególnie śmiesznego, ale przynajmniej trochę rozładował napięcie.

Pan Burnside marszczy czoło.

– Nie chcę mówić: „A nie mówiłem?”, ale pamiętacie chyba, jak przepowiedziałem, że zagarną sobie to, co zostało z Kolorado?

Dopuszciliśmy do tego, żeby ta rzeka stała się naszą jedyną opcją. Nie powinniśmy byli nigdy tak się uzależniać.

Kiedyś nie wiedzieliśmy, skąd bierze się nasza woda – zresztą nikogo to szczególnie nie obchodziło. Płynęła z kranu i już. Ludzie zainteresowali się tym tematem dopiero wtedy, kiedy Dolina Kalifornijska zaczęła wysychać i ceny produktów rolnych wystrzeliły w górę. Zaczęli się interesować przynajmniej na tyle, że uchwalali kolejne przepisy i głosowali nad propozycjami. Niektóre inicjatywy były z góry skazane na porażkę – jak uchwała „przeciwko lekkomyślnemu zużyciu”, zabraniająca na przykład rzucania balonami napełnionymi wodą – ale ludzie przynajmniej mieli poczucie, że coś robią.

– Las Vegas nadal ma wodę – zauważa ktoś.

Stu, nasz sąsiad, kręci głową.

– Taaa... ale właśnie próbowałem tam coś zarezerwować. Milion pokoi hotelowych i ani jednego wolnego miejsca.

Pan Burnside śmieje się posepnie, jakby niefart Stu sprawił mu satysfakcję.

– Dokładnie sto dwadzieścia cztery tysiące pokoi hotelowych. Wygląda na to, że całkiem sporo ludzi wpadło na ten sam pomysł.

– Ha! Jeśli wszyscy będą próbowali tam dojechać, wyobraźcie sobie ten korek na międzystanówce – mówi mama z lekkim *Schadenfreude*. – Nie chciałabym w nim utknąć.

Dokładam swoje trzy grosze:

– Skoro przeznaczają wszystkie dostępne zasoby „na potrzeby niezbędnych usług”, to znaczy, że jeszcze coś zostało. Powinno się ich zmusić, żeby część racjonowali dla ludności, jak przy rotacyjnych wyłączeniach prądu. Żeby każda dzielnica codziennie przez chwilę miała trochę wody.

Rodzice są pod wrażeniem. Inni patrzą na mnie z rozczuleniem, jakby chcieli powiedzieć: „Czyż ona nie jest cudna?”, co doprowadza mnie do

szалу. Rodzice twierdzą, że zostanę prawniczką. Kto wie, ale pewnie będzie to jedynie sposób na osiągnięcie innego celu – jakiego, jeszcze nie wiem.

Teraz nam to nie pomoże i choć swój pomysł uważam za dobry, podejrzewam, że ci na górze za bardzo pilnują własnych interesów, żeby wprowadzić coś takiego. Zresztą może wcale nie ma tyle wody do podziału.

Rozlega się sygnał esemesa. Jeannette spogląda na smartfon.

– Bosko. Moi krewni w Ohio właśnie się dowiedzieli. Jakbym miała za mało własnego stresu...

– Odpisz: „Przyślijcie trochę wody” – żartuje tata.

– Damy sobie radę – mówi mama krzepiąco. Jest psycholożką kliniczną, więc pokrzepianie ludzi to jej druga natura.

Garrett, stojący w milczeniu, podnosi do ust swoją butelkę Gatorade... i na chwilę wszyscy przestają rozmawiać. Mimowolnie. Jakby się mentalnie zapowietrzyli na widok mojego brata przełykającego orzeźwiający, błękitny płyn. Wreszcie ciszę przerywa pan Burnside.

– Jeszcze pogadamy – mówi i odwraca się, by odejść. Zawsze kończy konwersację w ten sposób. To sygnał, że nasze małe luźne zgromadzenie może się rozejść. Wszyscy się żegnają i wracają do domów... ale niejedno spojrzenie omiata trzymaną przez Garretta pustą butelkę po napoju.

– Jadę do Cso piątej po południu. – Ktoś się ze mną zabierze?

– A dostanę hot doga? – pyta Garrett, choć i tak wie, że nawet jeśli wujek Basil powie „nie”, hot dog na pewno będzie. Wujka łatwo złamać.

– Mamy teraz ważniejsze problemy – zauważam, a on nie protestuje. Wie, po co jedziemy, głupi nie jest. Choć na pewno wie też, że hot dog go nie ominie.

Wsiadamy do wujkowego pickupa z napędem na cztery koła i zawieszeniem wyższym, niż powinno to być dozwolone dla ludzi w jego

wieku.

– Mama twierdzi, że mamy parę butelek wody w garażu – informuje Garrett.

– Będziemy potrzebować znacznie więcej niż parę butelek – szybko go uświadamiam. Też widziałam ten zapas. Próbuję szybko policzyć w głowie. Dziewięć półlitrowych butelek. Na całą naszą piątkę. Nie wystarczy nam nawet na jeden dzień.

Kiedy wyjeżdżamy na główną drogę, wujek Basil mówi:

– Pewnie hrabstwo jakoś zadziała i woda wróci za dzień czy dwa. Kilka zgrzewek powinno wystarczyć.

– I Gatorade! – włącza się Garrett. – Nie zapominajcie o Gatorade! Ma pełno elektrolitów.

Powtarza to, co usłyszał w reklamach, choć nie ma pojęcia, co to jest elektrolit.

– Trzeba widzieć i dobre strony – ciągnie wujek. – Pewnie przez parę dni nie będziecie chodzić do szkoły.

No tak, w innych stanach zamykają szkoły z powodu śnieżyc, a u nas podczas suszy.

Odliczam dni do końca roku szkolnego – zostały mi tylko dwa tygodnie w przedostatniej klasie. Ale jak znam moje liceum, przypuszczalnie znajdą sposób, żeby odrobić stracone lekcje kosztem wakacji.

Podjeżdżamy na parking marketu i widzę tłum. Wygląda to tak, jakby cała okolica została tknięta tym samym impulsem. Krążymy w poszukiwaniu wolnego miejsca, wreszcie wujek Basil wręcza mi kartę Costco.

– Idźcie we dwoje. Spotkamy się w środku, kiedy uda mi się zaparkować.

Zastanawiam się, jak dostanie się tam bez karty, ale wujek Basil zawsze znajduje jakieś wyjście. Wyskakujemy z auta i dołączamy do rzeki

ludzi wlewającej się do sklepu. Wewnątrz widok jak u szczytu obłędu w Czarny Piątek – tyle że dzisiaj ludzie nie przyjechali po telewizory i gry wideo. Wózki w kolejce do kas są wyładowane puszkami, artykułami toaletowymi, no i przede wszystkim wodą. Rzeczy pierwszej potrzeby.

Coś nieprzyjemnego wisi w powietrzu – nie wiem co, ale wyczuwam to niemal jak woń. Z niecierpliwości ludzi w kolejce, z ich nerwowości w manewrowaniu wózkami – prawie taranują się nawzajem, by przebrnąć przez ścisk – emanuje pierwotna wrogość, ukryta pod warstewką podmiejskiej uprzejmości. Ale dziś nawet ta warstewka zaczyna się kruszyć.

– Wybraliśmy dziadowski wózek – stwierdza Garrett. Ma rację. Jedno kółko jest skrzywione i żeby pojechał do przodu, trzeba naprzeć mocniej na pozostałe trzy. Oglądam się w stronę wejścia. Kiedy wchodziliśmy, stało tam jeszcze kilka wózków. Teraz zdążyły już zniknąć.

– Da radę – mówię.

Torujemy sobie drogę przez tłum na tył marketu, gdzie po lewej stronie stoją zawsze palety z wodą. Wyłapujemy strzępki rozmów.

– FEMA¹ i tak ledwo zipie przez huragan – mówi jedna kobieta do drugiej. – Jak mają pomóc jeszcze nam?

– To nie nasza wina! Osiemdziesiąt procent wody zużywa rolnictwo!

– Bylibyśmy w innym położeniu – gdera ktoś – gdyby stan poświęcił więcej czasu na szukanie nowych źródeł wody, zamiast wlepić nam kary za napełnianie basenów.

Garrett posyła mi spojrzenie.

– Jason ma wielkie akwarium w salonie, a nie dostał kary.

– To co innego – wyjaśniam. – Rybki zaliczają się do zwierząt domowych.

– Ale to woda.

– No to idź do niego się napić – ucinam rozmowę. Nie mam czasu na myślenie o problemach innych ludzi. Mamy własne zmartwienia.

Wygląda jednak na to, że tylko ja się przejmuję, bo Garrett zdążył się już zmyć w poszukiwaniu darmowych próbek.

Pcham wózek, który cały czas skręca w lewo; muszę mocno naciskać na prawą stronę, żeby skrzywione kółko nie działało jak ster.

Gdy zbliżam się do tylnej sekcji marketu, widzę, że tłum wyraźnie gęstnieje. Docieram do ostatniej alejki, do palet z wodą, i wtedy okazuje się, że przyjechaliśmy za późno. Palety są puste.

Teraz rozumiem, że trzeba było jechać do sklepu zaraz po tym, jak zakręcili kurki, ale kiedy dzieje się coś tak dramatycznego, wszyscy reagują z opóźnieniem. To efekt nie tyle szoku czy wyparcia, ile czegoś w rodzaju psychicznej zapaści. Człowiek tak długo roztrząsa problem, że wymyśla rozwiązanie dopiero wtedy, kiedy jest już za późno. Myślę o zachowaniu tych wszystkich ludzi w Savannah, kiedy huragan Noah niespodziewanie zmienił kierunek i zamiast – jak oczekiwano – zawrócić nad ocean, potoczył się prosto na nich. Jak długo gapili się w odrętwieniu na wiadomości, zanim zabrali się do pakowania rzeczy i ewakuacji? Całe trzy i pół godziny.

Ludzie idący za mną nie widzą, że palety są puste, więc dalej prą naprzód. W końcu ktoś z personelu pójdzie po rozum do głowy i wywiesi kartki „WODY BRAK”, ale zanim tak się stanie, klienci nadal będą galopować na tył sklepu i tworzyć duszące kłębowisko, jak kocioł pod sceną na koncercie rockowym.

Zgarbiona nad wózkiem manewruję ku bocznej alejce, w stronę regałów z napojami gazowanymi, które także zaczynają znikać. Nie po nie jednak przyszedłem. Patrzę na stosy puszek i wyławiam wzrokiem pojedynczą zgrzewkę wody, którą ktoś tu porzucił, może jeszcze wczoraj, kiedy nie była tak cennym towarem. Sięgam po nią, ale w ostatniej sekundzie porywa ją chuda kobieta z haczykowatym nosem. Wkłada zgrzewkę do wózka na stos produktów spożywczych w puszkach.

– Przepraszam, byliśmy tu pierwsze – mówi. Dobiega do niej córka i rozpoznaje Hali Hartling, z którą chodzę na piłkę nożną. Jest irytująco popularna i ma przesadnie wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach. Połowa dziewczyn w szkole chciałaby być jak ona, a druga połowa jej nienawidzi, bo wie, że nawet się nie zbliży do tego ideału. Ja ją po prostu toleruję. Szkoda mi energii na coś więcej niż obojętność.

Choć zazwyczaj Hali wręcz ocieka pewnością siebie, teraz nawet nie patrzy mi w oczy – bo dobrze wie, podobnie jak jej matka, że to ja byłam pierwsza przy wodzie. Kiedy kobieta oddała się z wózkiem, jej córka zbliżyła się do mnie.

– Przepraszam za tę akcję, Morrow – mówi poważnie, zwracając się do mnie po nazwisku, jak to robimy w drużynie.

– W zeszłym tygodniu na treningu dałam ci się napić – przypominam jej. – Może powinnaś się zrewanżować i odpalić mi parę butelek?

Hali ogląda się na matkę, która już pędzi alejką, po czym wzrusza ramionami.

– Sorry, woda jest na zgrzewki. Nie sprzedają pojedynczo.

Czerwienieje na twarzy i odwraca się, zanim do końca obleje ją rumieniec.

Rozglądam się dookoła. Tłok jest coraz większy i towary znikają z półek w zastraszającym tempie. Nie ma już nawet puszek z napojami gazowanymi. Idiotka! Powinnam była wziąć chociaż trochę. Wracam pospiesznie do pustego wózka, zanim ktoś go przechwyci. Nie widzę nigdzie wujka Basila, a Garrett prawdopodobnie napycha się czymś tłustym. Gatorade, której sobie zażyczył, też już wyparowała.

W końcu dostrzegam brata. Stoi w alejce z zamrażarkami, z buzią umazaną sosem do pizzy. Wyciera usta rękawem, wiedząc, że nie oszczędzę mu komentarza. Ale tym razem sobie odpuszczam, bo właśnie coś zobaczyłam. Zaraz za mrożonymi warzywami i lodami stoi olbrzymia chłodziarka pełna lodu. Wielkich toreb lodu. Nie mogę uwierzyć, że ludzie

są tak tępi, że o tym nie pomyśleli! A może pomyśleli, tylko nie chcieli wyjść na desperatów. Otwieram ją i sięgam po jedną z toreb.

– Co robisz? Potrzebujemy wody, nie lodu.

– Lód to woda, Einsteinie – odpowiadam. Chwytam torbę i zdaję sobie sprawę, że jest dużo cięższa, niż się spodziewałam. – Pomóż mi!

Razem wypełniamy wózek po brzegi workami lodu. Tymczasem ludzie już się połapali i kłębą się przy zamrażarce, sukcesywnie ją opróżniając.

Wózek zrobił się upiornie ciężki i jest prawie nie do ruszenia, zwłaszcza z zablokowanym kółkiem, szorującym o betonową podłogę. Kiedy się z nim mocujemy, podchodzi do nas mężczyzna w garniturze. Uśmiecha się.

– Spory ładunek – zauważa. – Wygląda na to, że przydałaby się wam pomocna ręka.

Nie czekając na odpowiedź, łapie uchwyt wózka i zaczyna go pchać ze znacznie lepszym skutkiem niż my.

– Ależ tu dzisiaj szaleństwo – stwierdza wesoło. – Pewnie zresztą jak wszędzie.

– Dziękuję za pomoc – mówię.

– Żaden problem. Musimy się nawzajem wspierać.

Znów szczyrzy zęby, a ja odwzajemniam uśmiech. Dobrze wiedzieć, że w trudnych czasach z ludzi wychodzą najlepsze cechy.

Posuwamy się do przodu w szarpanym rytmie, ale w końcu docieramy do jednej z tasiemcowych kolejek do kas.

– Chyba nie muszę już iść dzisiaj na siłownię – chichocze mężczyzna.

Spoglądam na wózek i decyduję, że dobry uczynek zasługuje na nagrodę.

– Chce pan wziąć sobie jedną torbę? – proponuję.

– Mam lepszy pomysł – odpowiada z niezmiennym uśmiechem. – Wy weźmiecie jedną, a ja zatrzymam resztę.

Przez moment myślę, że żartuje, ale uświadamiam sobie, że mówi absolutnie poważnie.

– Słucham?

Wydaje z siebie sztuczne westchnienie.

– Masz rację, to rzeczywiście byłoby trochę nie fair. Spotkajmy się pośrodku. Weźmiemy po połowie, co wy na to?

Mówi to tak, jakby okazywał nie wiadomo jaką hojność. Jakby to był jego łód. Wciąż się uśmiecha, ale jego wzrok mnie przeraża.

– Uważam, że to zdecydowanie uczciwa oferta – dodaje.

Zaczynam się zastanawiać, w jakiej branży pracuje i czy nie polega ona na oszukiwaniu ludzi w taki sposób, by nie przyszło im do głowy, że są oszukiwani. Ze mną to nie przejdzie – ale facet mocno trzyma uchwyt wózka, a my nie udowodnimy przecież, że to nasz towar.

– Jakiś problem?

To wujek Basil. W samą porę. Przez chwilę mierzy gościa zimnym spojrzeniem, aż ten zdejmuje dłonie z uchwytu.

– Żaden – odpowiada.

– To świetnie – mówi wujek. – Bo już myślałem, że napastuje pan moją siostrzenicę i mojego siostrzeńca. Za coś takiego można trafić do więzienia.

Mężczyzna przez chwilę wytrzymuje spojrzenie wujka, po czym spogląda na łód i wyraźnie zły zmywa się z pustymi rękami.

Pickup wujka stoi zaparkowany nielegalnie częściowo na wysepce; koła zniszczyły rząd fikusów.

– Musiałem przełączyć drania na napęd czterokołowy – oświadcza z dumą, pewnie dlatego, że pierwszy raz miał okazję skorzystać z tej funkcji. Prezent, który sprawił sobie pod wpływem kryzysu wieku średniego, nagle wydaje się bardziej błogosławieństwem niż żenadą.

Ładujemy worki z lodem na pakę.

– Co powiecie na hot doga? – proponuje wujek Basil, próbując rozluźnić atmosferę.

– Najadłem się – odpowiada Garrett, mimo że w jego przypadku jest to właściwie niemożliwe. Po prostu nie chce wracać do środka. Żadne z nas nie ma na to ochoty. Do tego w okolicy zebrał się niewielki tłumek ludzi, którzy obserwują, jak ładujemy lód na pickupa. Choć staram się nie zwracać na nich uwagi, cały czas mam świadomość, że przygląda nam się z dziesięć par oczu.

– Może pojedę na pace? – proponuję.

– Nie trzeba – odpowiada spokojnie wujek. – Wsiadaj do szoferki. Będziemy jechać po mocno dziurawej drodze. Strasznie by cię tam wytrzęsło.

– Jasne – przytakuję i wskakuję do szoferki. Żadne z nas nie mówi tego głośno, ale to wcale nie wybojów wujek się obawia.

Skrećamy w naszą uliczkę, ale z jakiegoś powodu nie wydaje się ona częścią okolicy, w której się wychowałam. Czuję się tu obco, jakbym przez przypadek skręciła we wcześniejszą przecznicę. W takich miejscach wszystkie domy, zbudowane według jednego wzorca, wyglądają identycznie, więc człowiek czuje się wówczas tak, jakby trafił do równoległego wszechświata. Próbuję otrząsnąć się z tego uczucia, obserwując domy przesuwające się za oknem samochodu.

Nasi sąsiedzi z naprzeciwka, Kiblerowie, zwykle przesiadują na leżakach i „doglądają” swoich dzieci w czasie zabawy, co w praktyce wygląda tak, że plotkują z kieliszkami wina w dłoni i pilnują, żeby żadna z pociech nie wpadła pod auto. Dziś dzieci Kiblerów bawią się w berka na ulicy, niepilnowane przez dorosłych. Mimo ich dziecięcych śmiechów w okolicy panuje posepna cisza. Może zresztą zawsze tak tu było, a ja dopiero teraz zwróciłam na to uwagę.

Wujek Basil wjeżdża tyłem na podjazd i natychmiast zabieramy się do rozładowywania zakupów. Mimo że słońce powoli chyli się ku zachodowi, nadal jest ponad trzydzieści stopni. Lód zaczął się topić. Jeżeli chcemy go wnieść w całości do środka, musimy się pośpieszyć.

– Idźcie opróżnić zamrażarkę, włożymy do niej trochę lodu – mówi wujek Basil, dźwigając pierwszy worek z paki samochodu. – Resztę stopimy, żeby mieć co pić dzisiaj.

– Mam lepszy pomysł – zwracam się do Garretta. – Wyczyść wannę na parterze. Wrzucimy tam lód, żeby się stopił.

– Dobrze kombinujesz – mówi Basil. Widzę, że Garrett nie jest zachwycony perspektywą mycia wanny.

Z garażu wyłania się tata. W ręce trzyma klucz francuski pokryty smarem. Najwyraźniej cały czas próbuje wycisnąć z rur trochę wody.

– Lód, co?

– Wszystko inne się skończyło – informuję go w możliwie krótkich słowach.

Tata drapie się po głowie.

– Trzeba było jechać do Sam's Club – mówi. – Na zapleczu mają zawsze spore zapasy. – Cały czas się uśmiecha, ale widzę, że nie chce pokazać po sobie zaniepokojenia. Pewnie dobrze wie, że z Sam's Club, jak ze wszystkich sklepów, najprawdopodobniej zniknęły już wszystkie napoje.

Wujek Basil szybko zmienia temat.

– Myślałem, że idziesz dziś do biura – mówi.

Tata wzrusza ramionami i podnosi worek z lodem.

– Największą zaletą prowadzenia własnego biznesu jest to, że człowiek nie musi pracować w sobotę.

Rzecz w tym, że tata pracuje w soboty. Oraz w niektóre niedziele. Wielu ludzi wyrabia ostatnio nadgodziny w związku z rosnącymi cenami produktów rolnych. Zresztą tata w kółko powtarza, że kierowanie własną firmą wymaga zaangażowania dwadzieścia cztery godziny na dobę,

siedem dni w tygodniu. Dziś najwyraźniej woli taszczyć lód niż sprzedawać ubezpieczenia.

Wyciągam kolejne worki z samochodu. Choć są zrobione z grubego plastiku, coraz trudniej jest je chwycić, ponieważ lód częściowo się roztopił.

– Pomóc wam? – odzywa się głos za moimi plecami i jeszcze zanim się odwrócę, wiem dokładnie, do kogo należy. Kelton McCracken. Nie do końca typowy rudowłosy geek z sąsiedztwa. Większość dziwaków jego pokroju zadowala się rozwalaniem zombiaków za pomocą kontrolera Xbox – ale nie Kelton. On woli poświęcać wolny czas na powietrzne rozpoznawanie okolicy za pomocą drona, strzelanie do zwierząt z karabinka do paintballu albo przesiadywanie w domku na drzewie z noktowizorem i udawanie, że jest Jasonem Bourne'em. To trochę tak, jakby zatrzymał się w rozwoju w wieku dwunastu lat i po prostu dostawał od rodziców coraz większe zabawki. Dziś jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Kelton jest jakiś inny. Jasne, przez ostatni rok sporo urósł i wygląda znacznie doroślej, ale nie o to mi chodzi. Coś się zmieniło w jego postawie. Kroczy teraz pewniej, jakby kryzys wodny kręcił go w jakiś chorobliwy sposób. Kiedy się uśmiecha, zauważam, że zniknął jego aparat na zęby, które sterczą teraz nienaturalnie prosto.

– Jasne, Kelton, nie odmówimy – mówi tata. – Pomożesz Alyssie?

Zamierzam podać mu lód, ale kiedy wyciągam rękę z workiem, z jakiegoś powodu nie potrafię się zdobyć na to, żeby mu go oddać.

Tata zauważa moje wahanie i wygląda na zdziwionego.

– Oddaj mu lód, Alyso – mówi.

Spoglądam na worek, a potem przenoszę wzrok z powrotem na Keltona. Uświadamiam sobie, że nie opuściła mnie obawa przed ludźmi, którzy chcą „tylko pomóc”.

– O co chodzi? – dopytuje tata tym natarczywym ojcowskim tonem, który domaga się odpowiedzi. Nie udzielam jej.

Zmuszam się, żeby podać lód Keltonowi.

– Tylko nie oczekuj, że dostaniesz worek za to, że nam pomagasz – zastrzegam. Ojciec posyła mi srogie spojrzenie i zastanawia się pewnie, co we mnie wstąpiło. Może później opowiem mu o gościu z Costco. Chyba że spróbuję zapomnieć o tamtym zdarzeniu.

Czekam na przemądrzałą ripostę Keltona, ale on tylko stoi nieruchomo, prawdziwie skonsternowany moją reakcją. Odzyskuję panowanie nad sobą i zmuszam się do uśmiechu. Mam nadzieję, że nie wypadnie to bardzo sztucznie.

– Przepraszam – mówię. – Dzięki, że nam pomagasz.

Wchodzimy do domu, żeby włożyć lód do wanny, ale Kelton chwytamnie za ramię i powstrzymuje.

– Uszczelniliście odpływ? – pyta. – Lepiej nie wrzucać lodu do środka, jeżeli tego nie zrobiliście. Wystarczy najmniejsza nieszczelność, a cała woda ucieknie w ciągu kilku godzin.

– Myślałam, że wujek się tym zajął – odpowiadam, mimo że żadne z nas o tym nie pomyślało. Wściekam się na myśl, że pomysł Keltona to prawdopodobnie najmądrzejsze, co słyszałam od rana.

– Przyniosę jakieś szczeliwo – rzuca, po czym biegnie do garażu, ucieszony, że może wcielić w życie swoje harcerskie umiejętności.

Kelton i jego trzymająca się z boku rodzina zawsze wydają się przygotowani na każdą, nawet najgorszą sytuację. Tata żartuje czasem, że pan McCracken wie dwie podwójne życie: za dnia pracuje jako dentysta, a w nocy przygotowuje się na koniec świata. W ostatnim czasie te żarty wydają się coraz bardziej odzwierciedlać rzeczywistość. Pan McCracken do późnych godzin nocnych zajmuje się spawaniem różnych konstrukcji, zupełnie jakby próbował dowiercić się do czeluści swojego garażu.

W ostatnich miesiącach rodzina Keltona zamontowała ultranowoczesny system monitoringu, zbudowała niewielką szklarnię w ogródku i wyłożyła cały dach niezarejestrowanymi, niepodłączonymi do sieci elektrycznej

panelami słonecznymi. Ostatnio Kelton – z którym w tym roku miałam irytująco dużo wspólnych lekcji – wciąż chwali się, że jego ojciec wstawił jednostronnie kuloodporne szyby: można je przestrzelić od środka, ale nie z zewnątrz. Reszta klasy uważa, że gada głupoty, ale ja podejrzewam, że to może być prawda. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby jego ojciec wymyślił coś takiego.

Jeśli pominąć nasze narzekania na rozlegające się nawet późnym wieczorem odgłosy spawania, nasze rodziny raczej żyją w zgodzie, niemniej w kontaktach moich rodziców z McCrackenami zawsze daje się wyczuć pewne napięcie. W przeszłości nasze domy rozdzielał wspólny trawnik, ale jakiś czas temu pan McCracken postawił parkan przebiegający przez środek grządki storczyków mojej mamy. Płot był szkaradnie wysoki jak na standardy pobielonych parkanów z przedmieść, ale na tyle niski, żeby nie naruszać przepisów Stowarzyszenia Mieszkańców, z którym McCrackenowie wciąż toczą jakieś wojny. Kiedyś próbowali nawet zagarnąć odcinek uliczki przed swoim domem, żeby móc tam parkować; przekonywali, że granica ich posesji przebiega wzdłuż jezdni, kilka cali za krawężnikiem. Stowarzyszenie wygrało to starcie. Od tego czasu wujek Basil przy każdej okazji ostentacyjnie parkuje samochód przed ich domem tylko po to, żeby zrobić im na złość.

Kelton wraca kilka minut później ze szczeliwem i zabiera się do zalepiania odpływu.

– Stwardnieje pewnie dopiero za dwie godziny, więc uważaj przy wsypywaniu lodu – stwierdza ze znacznie większym entuzjazmem, niż powinien na to zasługiwać temat silikonowego szczeliwa. Zapada niezręczne milczenie, podczas którego uświadamiam sobie, że nigdy tak naprawdę nie spędziłam z Keltonem czasu na osobności.

Zaraz potem przychodzi mi do głowy myśl, która nie ma nic wspólnego z wymianą konwencjonalnych uprzejmości. Chodzi o coś naprawdę ważnego.

– Zaraz, chwila. Czy wy przypadkiem nie macie za domem dużego zbiornika na wodę?

– Sto trzydzieści litrów – chwali się Kelton i rozprowadza szczeliwo z precyzją godną jubilera. – Tyle że znajduje się w domu. Na zewnątrz mamy zbiornik na odchody, wypełniony czwartorzędowymi związkami amoniowymi. No wiesz, czymś podobnym do tej śmierdzącej niebieskiej zupy w toi toiach.

– Dobra, dobra, przecież rozumiem, Kelton – mówię ze stosownym obrzydzeniem. – Nie sposób wam odmówić zdolności przewidywania.

Oględnie mówiąc.

– Tata zawsze powtarza: „Lepiej się rąbnąć niż kipnąć” – mówi Kelton, po czym dodaje: – Gdyby twój tata potrafił myśleć przewidująco, pewnie bylibyście w lepszej sytuacji.

Kelton wyraźnie nie zdaje sobie sprawy, jaki jest nieuprzejmy. Ciekawe, czy zdobył kiedyś odznakę dla Najbardziej Irytującego Harcerza.

Kończy uszczelnianie wanny. Dziękuję mu, a on wraca do domu, żeby pobawić się swoją wyrzutnią ziemniaków, rozkrawać robaki czy co tam lubią robić w wolnym czasie takie dzieciaki jak on.

W kuchni mama szoruje wszystkie powierzchnie cifem. Odreagowuje stres. Kiedy człowiek traci nad czymś kontrolę, stara się ją przywrócić wszędzie, gdzie się da. To akurat rozumiem. Rzecz w tym, że matka nie należy do osób, które zostawiają włączony telewizor, tymczasem odbiornik ryczy teraz na cały regulator. Nie jestem pewna, gdzie się podziali tata i wujek. Może wrócili do naprawiania samochodu. Chciałabym wiedzieć, co robią, i to budzi we mnie niepokój.

CNN zajmuje się dalej głównie ofiarami huraganu Noah. Nie zazdroszczę biedakom, niemniej wołałabym, żeby telewizja i nam poświęciła część uwagi.

– Wspomnieli coś o Suchych Kranach? – pytam.

– Jedna z lokalnych stacji podaje regularnie aktualne informacje – odpowiada mama – ale prowadzący jest przygłupem. Nie cierpię go. Zresztą nie mówią nic nowego.

Mimo to przełączam telewizor na przygłupa, który zdaniem taty zaczynał karierę w pornografii (wolę nie pytać, skąd to wie).

Mama ma rację: pokazują tylko poranne oświadczenie gubernatora i próbują nieskutecznie sprzedawać to jako newsa.

Przełączam z powrotem na stacje ogólnokrajowe. CNN, potem MSNBC, Fox News, w końcu z powrotem CNN. Wszystkie informują o huraganie Noah i tylko o nim. W końcu dociera do mnie dlaczego.

Kryzysu w dostawach wody nie da się sprzedać za pomocą efektownych map radarowych.

Nie przechodzą burze, nie można pokazać zniszczeń – Suche Krany są niedostrzegalne niczym nowotwór. A ponieważ takiego kryzysu nie da się pokazać, kanały informacyjne ograniczają się do informowania o nim na pasku.

Dzielę się tą obserwacją z mamą. Ona przestaje na chwilę czyścić i wpatruje się w pochód drugorzędnych wiadomości w dolnej części ekranu. W końcu się pojawiają: „Kryzys wodny w Kalifornii się pogłębia. Apel do mieszkańców o oszczędzanie wody”.

I tyle. To wszystko, co na ten temat mają do powiedzenia ogólnokrajowe serwisy informacyjne.

– Oszczędzanie? Żarty sobie robią?

Mama bierze głęboki wdech i ponownie spryskuje blat stołu kuchennego.

– Jeżeli FEMA robi to, co do niej należy, dlaczego mielibyśmy się przejmować tym, co mówią w wiadomościach ogólnokrajowych?

– Ja się przejmuję – mówię, bo wiem jedno: wiadomości decydują o tym, co większość ludzi, w tym rząd, uważa za istotne. Problem w tym, że duże kanały informacyjne nie zamierzają poświęcić Suchym Kranom

czasu antenowego, którego potrzebujemy – przynajmniej dopóki nie dostarczymy im obrazków równie efektownych jak dachy zrywane przez wichurę.

A jeśli Suche Krany dopiero wtedy zostaną potraktowane z należytą powagą, dla nas będzie już za późno.

Migawka: John Wayne

Dalton uwielbia oglądać samoloty startujące z lotniska im. Johna Wayne'a. Robią to w naprawdę odlotowy sposób, za pomocą techniki zwanej startem ze zmodyfikowanym wyciszeniem hałasu, którą opracowano po to, żeby milionerom z Newport Beach nie szumiało zanadto nad głowami. Pomysł polega na tym, że samolot rozpędza silniki na pasie startowym z zaciągniętymi hamulcami, po czym rusza z maksymalnym przyspieszeniem i niezwykle szybko wznosi się w górę. Dziesięć sekund później wyrównuje lot i zmniejsza obroty, co dla niewtajemniczonych brzmi jak awaria silników. Na pokładzie każdego samolotu co najmniej jedna osoba wydaje z siebie stłumiony okrzyk albo nawet krzyczy z przerażenia. Samolot przelatuje spokojnie nad zatoką, wyspą Balboa i półwyspem Newport. Dopiero wtedy pilot rozpędza ponownie silniki i kontynuuje wznoszenie.

– Powinni nazwać je imieniem tego astronauty Johna Glenna, a nie Johna Wayne'a – powiedział kiedyś Dalton, ponieważ start z tego lotniska jest największym przybliżeniem podróży w kosmos, na jakie może liczyć zwykły człowiek.

Dalton i jego młodsza siostra latają stamtąd kilka razy do roku do ojca, który mieszka w Portland – na Boże Narodzenie, Wielkanoc, większą część lata i co drugi rok na Święto Dziękczynienia. Dziś jednak nie lecą na północ sami. Towarzyszy im mama.

– Jeżeli wasz tata mnie nie przenocuje, mogę spokojnie zatrzymać się w hotelu – mówi.

– Na pewno cię przyjmie – zapewnia ją Dalton, ale ona nie jest wcale taka pewna.

Kilka lat wcześniej mama Daltona zostawiła jego tatę dla frajera z pięknie wyrzeźbioną klatką piersiową i elegancko przystrzyżoną bródką, który rok później ją rzucił. Człowiek uczy się przez całe życie. Tak czy inaczej, kiedy mąż dostał od niej krzyżyk na drogę, postanowił naprawdę wyruszyć w podróż.

– Rozumiecie, że wasz ojciec i ja się nie zejdziemy – mówi mama Daltonowi i jego siostrze, ale u dzieci rozwodników nadzieja nie umiera nigdy.

Kilka minut po ogłoszeniu Suchych Kranów mama Daltona weszła do internetu i kupiła trzy koszmarnie drogie bilety w Alaska Air, jednej z niewielu linii lotniczych zapewniających regularne loty do Portland maszynami, których pasażerowie nie muszą samodzielnie popychać na płycie startowej.

– Ostatnie trzy bilety – obwieściła im z dumą. – Macie godzinę, żeby się spakować. Zabieramy tylko bagaż podręczny.

Sytuacja na parkingu lotniska im. Johna Wayne'a jest pierwszym sygnałem, że czekają ich turbulencje. Nad wszystkimi parkingami poza jednym świecą się napisy ZAJĘTE. Znajdują jedno z ostatnich wolnych miejsc na dalekim końcu ostatniego parkingu. W drodze do terminala Dalton zwraca uwagę na krążące samochody; przypomina to grę w gorące krzesła, tyle że nie zostało już nawet jedno.

W punkcie kontroli bezpieczeństwa na lotnisku dzieją się dantejskie sceny, co normalnie się tu nie zdarza.

– Dużo ludzi jedzie na wakacje – mówi Sara, siedmioletnia siostra Daltona.

– Tak, kochanie – odpowiada w zamyśleniu mama.

– Dokąd oni wszyscy jadą?

Mama wzdycha, zbyt zestresowana, żeby odpowiadać, więc Dalton spogląda na tablicę odlotów i bierze rozmowę na siebie.

– Cabo San Lucas – czyta. – Denver, Dallas, Chicago...

– Moja przyjaciółka Gigi jest z Chicago.

Pracownik ochrony wpatruje się uważnie w paszport Daltona, ponieważ na zdjęciu chłopak ma brązowe włosy, a przed nim stoi farbowany blondyn.

– To na pewno ty?

– Tak mi się zawsze wydawało – odpowiada Dalton.

Śmiertelnie poważny ochroniarz wpuszcza ich do przesuwającej się powoli kolejki do wykrywacza metalu, który protestuje w związku z kolczykami, które Dalton ma na twarzy. W końcu przechodzą na drugą stronę. Ledwie pięć minut później zaczyna się boarding. Mama wygląda, jakby jej ulżyło.

– No dobrze – mówi. – Dotarliśmy na miejsce. Nikt się nie zgubił. Nikomu nie brakuje palców.

– Chce mi się pić – mówi Sarah, ale Dalton już wcześniej zauważył, że wszystkie sklepiki wywiesiły napisy: WODY BRAK.

– Dostaniemy coś do picia na pokładzie samolotu – mówi mama.

Dalton dochodzi do wniosku, że brzmi to nawet realnie. Ostatecznie wszystkie te samoloty przyleciały z innych miejsc. Sam zaczyna odczuwać lekkie pragnienie.

Tuż przed rozpoczęciem boardingu pracownica lotniska podaje przez głośniki następujący komunikat:

– Przykro nam, ale na ten samolot mamy overbooking. Prosimy o zgłoszenie się ochotników, którzy mogliby zrezygnować z tego lotu i skorzystać z późniejszego.

Sarah ciągnie mamę za rękę.

– Mamusiu, zgłoś się na ochotnika!

– Nie tym razem, maleńka.

Dalton się uśmiecha. Tata zawsze powtarza, żeby się zgłaszali w takich sytuacjach, ponieważ dostaną vouchery na kilkaset dolarów, a dla takiej kwoty warto zadać sobie trochę trudu. Ale nie dziś. Dziś chodzi o to, żeby się stąd wydostać. Właśnie dlatego nikt nie zgłasza się na ochotnika. Oferta

w voucherach zostaje podniesiona z dwustu dolarów do trzystu, potem do pięciuset, a mimo to nikt nie zamierza rezygnować z biletu.

W końcu pracownica lotniska daje za wygraną. Włącza głośnik i wywołuje nazwiska osób, które jako ostatnie kupiły bilety. Dalton, Sarah i ich matka. Dalton czuje, jak go skręca w żołądku.

– Przykro mi – mówi kobieta, choć w jej głosie nie słychać w ogóle empatii – ale ponieważ kupiliście bilety jako ostatni, muszę was przenieść na późniejszy lot.

Mama Daltona wpada w furię, co wydaje mu się całkowicie zrozumiałe. Jeżeli kiedykolwiek miałyby przyjść pora, żeby się postawić siłom wyższym, to właśnie teraz.

– Nie – mówi. – Nie interesuje mnie, co pani powiedziała! Moje dzieci i ja wsiadamy na pokład tego samolotu!

– Każde z was otrzyma voucher na pięćset dolarów. W sumie to daje tysiąc pięćset dolarów – mówi pracownica lotniska. Próbuje ich ugłaskać, ale mama nie daje się przekupić.

– Moje dzieci lecą na zarządzoną przez sąd wizytę u ojca – krzyczy. – Jeżeli nie pozwolicie im wejść na pokład tego samolotu, złamiecie prawo, a ja was pozwę! – Oczywiście nie lecą na żadne zasądzone spotkanie z ojcem, ale przecież kobieta tego nie wie.

Kobieta jeszcze raz ich przeprosza i szuka miejsc w późniejszych lotach.

– Siedemnasta trzydzieści dziś... Zaraz, nie, też jest pełny... Zobaczmy... – Przeszukuje system. – Dwudziesta dwadzieścia... nie...

Dalton odwraca się do siostry i szepcze do niej:

– Poślij jej swoje firmowe spojrzenie.

Ich mama powtarza ciągle Daltonowi i Sarze, że swoimi niebieskimi oczami mogliby rozbroić każdego. W przypadku Daltona sztuczka przestała już działać. Na widok pokracznego siedemnastolatka z okoliczkowaną twarzą, symbolem „Biohazard” wytatuowanym na karku i – jak mówi ojciec – „czupryną naćpanego zielarza” ludzie nie czują się rozbrojeni. No, może poza

siedemnastoletnimi dziewczynami. Ale Sarah nadal potrafi w magiczny sposób topić serca zatwardziałych dorosłych. Dalton unosi siostrę prosto pod nos pracownicy lotniska.

– Ale z ciebie urocza dziewczynka – stwierdza kobieta, po czym oddziera trzy nowe bilety z drukarki. – Proszę bardzo, jutro szósta trzydzieści rano. Nic lepszego nie mogę wam zaproponować.

Muszą więc czekać. Nie wychodzą z lotniska, ponieważ tłum narasta; nigdy nie przeszliby z powrotem przez kontrolę. Noc przesypiają na niewygodnych fotelach w poczekalni, upijając po łyku wody od każdego, kto jest na tyle miły, żeby się z nimi podzielić. Takich osób nie ma jednak zbyt wiele.

Rano okazuje się, że nie dostaną się na lot o szóstej trzydzieści. Ani na następny. Ani na kolejny.

Nie udaje im się też kupić biletów do innych miejscowości.

W związku z gęstniejącym tłumem sprowadzona zostaje policja, która ma pilnować porządku.

Ponieważ cała okolica jest zakorkowana, na lotnisko nie mogą dojechać cysterny z paliwem lotniczym.

Dalton, jego matka i siostra uświadamiają sobie, że nigdzie nie polecą.

Dzień drugi. Niedziela, 5 czerwca

2) Kelton

Tata zawsze mi mówił, że na świecie istnieją trzy typy ludzi. Pierwszy to Owce. Zwykli ludzie żyjący w nieświadomości – faszerowani propagandą przez poranne wiadomości, żyłowani przez kolejny monotony dzień pracy, a potem wypluwani z powrotem na ulice miast niczym kęs śmierdzącego klopa, który leżał za długo w głębi lodówki. Krótko mówiąc, Owce to bezbronna większość, która nie potrafi samodzielnie zrozumieć, że prędzej czy później znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie, więc musi liczyć na opiekę systemu.

Drugi typ to Wilki. Żli ludzie, którzy nie stosują się do reguł społecznych, ale w razie potrzeby potrafią to dobrze symulować. Zaliczamy do nich złodziei, morderców, gwałcicieli i polityków, którzy wyzyskują Owce tak długo, aż zostaną wsadzeni za kratki albo, jeszcze lepiej, wylądują na wysypisku śmieci między stertami drapiących skarpet, które nasza babcia robi zawsze na Boże Narodzenie. To ci, który co roku rytualnie wysadzają się w powietrze za pomocą sztucznych ogni.

Do ostatniej kategorii należą ludzie tacy jak my, McCrackenowie. Pasterze tego świata. Owszem, przypominamy Wilki – przez duże kły, ostre pazury i zdolność posługiwania się przemocą – ale odróżnia nas od nich to, że stanowimy kompromis między pozostałymi typami. Potrafimy wmieszać się w stado, chronimy je lub porzucamy w zależności od tego, co jest dla nas korzystne. Tata twierdzi, że należymy do wybrańców, którzy dysponują możliwością wyboru, a w sytuacji prawdziwego zagrożenia to my zdołamy przetrwać – nie tylko dzięki temu, że mamy w domu magnum kaliber .357, trzy glocki G19 i strzelbę Mossberga, ale

ponieważ na wiele zarząbiście przemyślanych sposobów przygotowujemy się, odkąd pamiętam, na nieuchronny rozpad społeczeństwa.

Jest niedziela, drugi dzień Suchych Kranów. Skwar, jakbyśmy znajdowali się w puszcze po coli zostawionej na słońcu w najdłuższy dzień roku. Wspinam się do mojego osobistego „schronu”, czyli nadziemnego stanowiska taktycznego, które zbudowałem na dębie w ogrodzie. Niektórzy nazwaliby je domkiem na drzewie, ale byłaby to obelga dla jego ufortyfikowanego i funkcjonalnego charakteru. W głupim domku na drzewie nie trzyma się narzędzi zwiadowczych na podczerwień ani cywilnego arsenału. Niemniej moja twierdza nie jest nawet w przybliżeniu tak fajna jak nasz prawdziwy schron – ukryty azyl, które przygotowaliśmy głęboko w lesie na wypadek wybuchu bomby atomowej i rozejścia się związanego z nią impulsu elektromagnetycznego czy innego postapokaliptycznego scenariusza. Tamten schron zbudowaliśmy wspólnie całą rodziną kilka lat temu, zanim jeszcze mój starszy brat, Brady, opuścił dom. Gdyby sytuacja zrobiła się naprawdę niebezpieczna, z pewnością się tam udamy. Na razie muszę się zadowolić moim schronem.

Przygotowałem własne zapasy, niezależnie od tych, które tata trzyma w safe roomie, bezpiecznym pokoju. Jeżeli chodzi o broń, mam karabin do paintballu, taktyczną procę do polowania i strzelbę marki Wildcat Whisper. Zgromadziłem też zapas kofeinowych napojów gazowanych, które w razie potrzeby będą trzymać mnie na nogach przez kilka tygodni, nie wspominając o zupkach błyskawicznych o smaku kurczaka, moim ulubionym *comfort food*. Czerpię pocieszenie z faktu, że moje jedzenie zawiera dostatecznie dużo glutaminianu sodu i konserwantów, żeby w razie zimy nuklearnej przetrwać dłużej niż ludzkość.

Wyglądam przez okno w forcie i zauważam, że do naszego domu ktoś się zbliża. Wyciągam lornetkę, żeby dokonać identyfikacji. Brązowawy garnitur i krawat bolo natychmiast zdradzają tożsamość: to pan Burnside,

emerytowany dyrektor, który nigdy nie pogodził się z zakończeniem kariery. Dwa lata temu z braku ciekawszych zajęć dokonał po cichu zamachu stanu i przejął władzę w Stowarzyszeniu Mieszkańców. Od tej pory rządzi nim żelazną ręką. Mamy w zasadzie pewność, że jest faszystą. Pewnie przyszedł poinformować nas, że nasze okna są zbyt kuloodporne, brama od garażu zawiera zbyt duży procent tytanu albo że zamontowane przez nas na dachu lądowisko dla drona zwiadowczego wygląda zbyt futurystycznie. Dokładniejsze oględziny podpowiadają mi jednak, że pan Burnside nie trzyma w rękach zwyczajowego segregatora z petycjami oraz nakazami zaprzestania określonych działań, tylko prezent – do tego w ładnym opakowaniu z kokardką. Zaintrygowany schodzę na dół i przesuwam się wzdłuż domu, kucając za żywopłotem, do miejsca, z którego widzę, jak pan Burnside zatrzymuje się przed drzwiami.

Mierzwi swoje siwe zaczesane włosy i puka cztery razy, a po krótkiej przerwie jeszcze piąty raz, ponieważ należy do gatunku ordynarnych ludzi.

Drzwi otwiera tata, ale uchyla je tylko częściowo.

– Dzień dobry, Bill. Czemu zawdzięczam zaszczyt goszczenia cię w naszych progach? – pyta, choć tak naprawdę ma na myśli: „Czego, do diabła, znów od nas chcesz?”.

Burnside układa usta w uśmiechu, odsłaniając dwa rzędy zębów, tak białych, że muszą być sztuczne.

– Po prostu sprawdzam, jak się mają rodziny w okolicy. – Rozgląda się po naszej działce z udawanym entuzjazmem. – Muszę powiedzieć, że zaczynam rozumieć i doceniać sens niektórych z zainstalowanych przez was udogodnień.

– Na przykład szklarni, której legalność jest wciąż podważana przez stowarzyszenie? – zauważa ostrym tonem tata.

– To była tylko burza w szklance wody – stwierdza Burnside i wykonuje tandetny gest dłonią, na której pobrzękują złoty zegarek (prezent z okazji

przejścia na emeryturę), oraz medyczna bransoletka identyfikacyjna. Nie znam jego stanu zdrowia, ale idę o zakład, że nie zgromadził zapasu potrzebnych lekarstw.

– Nie słyszałeś? – mówi tata. – W szklance nie ma już wody.

Burnside śmieje się, ale zamiast rozładować w ten sposób napięcie, tylko je pogłębia. Z braku innych pomysłów podaje tacie prezent.

– Ode mnie i od żony – wyjaśnia. – Drobnny upominek, żebyśmy mogli zapomnieć o dawnych urazach.

– To niezwykle miłe z twojej strony, Bill. Zakładam w związku z tym, że ani ty, ani rada nie będziecie się sprzeciwiać temu, żebym zamontował ulepszone ogrodzenie. Myślałem o trzymetrowym.

Burnside'em lekko trzęsie, ale odpowiada:

– Musiałbym porozmawiać z radą, ale nie powinno być z tym problemu.

– Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? – pyta tata, wyraźnie czerpiący przyjemność ze swojej uprzywilejowanej pozycji w tej rozmowie.

– Jak wspomniałem, obchodzę okolicę z informacją, że Stowarzyszenie Mieszkańców podjęło działania w celu skumulowania naszych zasobów. No wiesz, chodzi o to, żebyśmy wspierali się w tej kryzysowej sytuacji...

Tata nie odpowiada, tylko czeka na ciąg dalszy, co wprawia pana Burnside'a w zakłopotanie.

– ...Jestem pewien, że ty i twoja rodzina dobrze sobie radzicie... – sonduje Burnside i ponownie odsłania w uśmiechu porcelanowe zęby. – Choć oczywiście mamy i takich, których sytuacja z brakiem wody kompletnie zaskoczyła.

– Czego dokładnie ode mnie oczekujesz, Bill? – mówi tata mniej jowialnym tonem niż wcześniej.

– Zwracamy się do wszystkich z prośbą o zinwentaryzowanie zapasów – odpowiada gość, po czym dodaje: – Jestem pewien, że przydałyby wam

się pewne rzeczy, które mają inni, i na odwrót.

– Czyli przechodzimy od „każdemu według zasług” do „każdemu według potrzeb”. Czy to przypadkiem nie jest podstawowa zasada socjalizmu, Bill? – mówi tata. – Nie spodziewałem się, że usłyszę podobne słowa z ust takiego zatwardziałego kapitalisty jak ty!

O rany, tata naprawdę świetnie się bawi! Uśmiech Burnside’a zaczyna przeobrażać się w grymas.

– Nie musimy uciekać się do obelg, Richard, wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Powinniśmy starać się zachowywać możliwie odpowiedzialnie.

– Jeżeli wszyscy mają robić inwentaryzację, dlaczego to my dostajemy prezent? – pyta tata.

Szef Stowarzyszenia bierze głęboki oddech i wypuszcza powoli powietrze z płuc.

– Wiem, że w przeszłości się ścieraliśmy... ale odrobina dobrej woli z obu stron byłaby niezwykle wskazana.

Burnside odwraca się i odchodzi. Zanim zdąży dojść do końca naszego podjazdu, tata rozpakowuje prezent. To butelka szkockiej. Z gatunku tych droższych.

– Jeszcze raz wielkie dzięki, Bill – woła i uśmiecha się przebiegle. – Na pewno świetnie się nada na koktajl Mołotowa.

– Najlepiej smakuje z lodem – woła Burnside, nie łapiąc zupełnie dowcipu. – Będziemy w kontakcie.

3) Alyssa

W niedzielę wstaję późno. Przez większą część nocy wymieniałam wiadomości z przyjaciółmi. Musiałam omówić wydarzenia minionego dnia. Mora pomaszerowała pod miejski ratusz w towarzystwie rodziny i kilkudziesięciu innych osób – z żądaniem odszkodowania. Franz i jego

tata przez cały dzień próbowali uruchomić urządzenie do uzdatniania wody metodą odwróconej osmozy, które zamieniałoby mocz w wodę pitną. Uprzedzę pytania: bez skutku. No i Cassie, która spędziła dzień w synagodze, napełniając butelki z wodą dla starszych ludzi. „Taka jest micwa – wyjaśniła. – Poza tym syn rabina jest okropnie przystojny”.

Ledwo przebudzona idę do łazienki i z przyzwyczajenia odkręcam prysznic, po czym przypominam sobie, że zapomniałam ręcznika. Idę po niego, wracam do łazienki i dopiero wtedy zauważam, że z prysznicza nie leci woda. No tak. Czuję się jak idiotka. Myślałam przecież o Suchych Kranach, gdy odkręcałam prysznic, ale mój przerośnięty małpi mózg z jakiegoś powodu nie skojarzył, że pod prysznicem również znajduje się kran. Pamiętałam przecież, że nie polecą z niego woda – oczywiście, że pamiętałam – ale kiedy człowiek porusza się na porannym autopilocie, rutyna i pamięć mięśniowa dominują nad rozumem. Kręcę kurkami, bo nie pamiętam, w którą stronę się je zamyka, a w którą otwiera. Do czasu ponownego włączenia wody nie będzie to miało znaczenia.

Na razie koniec z prysznicami. To dopiero będzie zabawa. Opryskuję się większą ilością dezodorantu niż zwykle i schodzę na dół.

– Dzień dobry, kochanie – mówi mama, po czym informuje mnie, że na śniadanie zjemy ćwiartkę arbuza, który od tygodnia zalega w kącie lodówki. Objedzona skórka z plastra Garretta nadal leży na jego talerzu niczym szeroki zielony uśmiech. To nietypowa propozycja jak na śniadanie, ale mama zwraca uwagę na wysoką zawartość wody w arбуzie, co sprawia, że pieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Poza tym zbliża się już pora lunchu.

Przed wyłączeniem wody planowałam, że w niedzielę zajmę się wypracowaniem na temat *Władcy much*. Zamierzam postawić hipotezę, że gdyby na wyspie wylądowała grupa dziewcząt, a nie chłopców, sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Kiedy przedstawiłam ją nauczycielce, chłopcy z mojej klasy przyznali mi rację – ich zdaniem

wszyscy znacznie szybciej by poumierali. Ja oczywiście zamierzałam udowodnić przeciwną hipotezę. Zwlekałam ponad tydzień z pracą nad tekstem, tymczasem termin upływa w poniedziałek. Nagle wypracowanie nie wydaje się takie ważne. Ogłoszono już, że wszystkie szkoły w naszym okręgu zostaną jutro zamknięte – poza tym nie potrafiłabym się zmusić do rozważań, kto będzie dzierzył muszlę, a kto znęcał się nad Prosiaczkiem (czy też w mojej teoretycznej wersji – nad Prosiaczką).

Mimo to dochodzę do wniosku, że lepiej się czymś zająć i nie rozmyślać niepotrzebnie nad obecną sytuacją. Chcę zachowywać się możliwie normalnie, dlatego postanawiam odwiedzić przyjaciółkę, Sofię Rodriguez, która poprzedniego wieczora nie odpisała na żaden z moich esemesów. Po kilku kolejnych nieudanych próbach nawiązania kontaktu postanawiam zajrzeć do niej do domu, jak to często robiłam, kiedy byłyśmy młodsze.

Wychodzę i ruszam w stronę jej domu, który znajduje się jedną przecznicę od mojego. Po drodze obserwuję, jak przedstawia się sytuacja w okolicy. Szyby niemal wszystkich samochodów są pokryte pyłem i owadami. Prawie każdy trawnik wygląda na zaniedbany; gdzieś tam w jego miejsce posadzono sukulentę. Niektórzy pomalowali na zielono wyschniętą trawę przed domem, co przypomina trochę nakładanie makijażu zmarłym przez pracowników domów pogrzebowych. Uchwała przeciwko lekkomyślnemu zużyciu wody nie zakazywała wyłącznie obrzucania się napełnionymi nią balonikami. Nielegalne stało się również napełnianie przydomowych basenów. Wtedy wydawało się to rozsądnym pomysłem – ostatecznie w czasie suszy basen należy uznać za zbędny luksus. Ludzie wykorzystali zatem wodę, którą już mieli w basenach, do mycia samochodów, nawadniania trawników i innych podobnych czynności. W związku z tym oraz z parowaniem większość basenów stoi teraz zupełnie pusta. W rezultacie te minizbiorniki retencyjne są wyschnięte tak samo jak nasze krany.

Podchodzę pod dom Sofii i widzę, że jej tata przymocowuje walizki do dachu hyundaia. W pierwszej chwili tłumaczę sobie, że pewnie wyrusza w jedną ze swoich podróży biznesowych, ale kiedy dostrzegam ulubioną różową torbę Sofii, nie mogę się dłużej łudzić. Cała rodzina zbiera się do wyjazdu.

– Sofia jest w domu – informuje mnie jej ojciec, nie przerywając ani na chwilę pracy.

Wchodzę do domu przez garaż. Środek wygląda normalnie. Te same korytarze. Te same pastelowoniebieskie ściany. Ta sama sofa w kwiatowy wzór. Niemniej z jakiegoś powodu wszystko wydaje się inne, jakby to wcale nie był ten dom, w którym się właściwie wychowywałam... W pewnej chwili dostrzegam dlaczego. Telewizor jest wyłączony, a w powietrzu nie unoszą się słodkie zapachy potraw gotowanych przez panią Rodriguez. Zniknęły zdjęcia rodzinne; na pociemniałych od słońca ścianach zostały po nich jasne prostokąty, cienie wspomnień, które tam niegdyś przechowywano. Wydaje się, jakby budynek został odarty z tych wszystkich drobnych elementów, które czyniły go prawdziwym domem.

Zaczynam myśleć o naszym domu. O tym, że trzymamy wszystkie idiotyczne zdjęcia rodzinne na parterze, żeby inni mogli je oglądać – i o tym, że choć nienawidzę, jak na każdym z nich wyglądają moje włosy, uśmiech i ubranie, nie potrafię sobie wyobrazić, że tak po prostu ściągamy je ze ścian.

Sofia wyłania się ze swojego pokoju, zauważa mnie, ściska na powitanie, przytrzymuje w uścisku odrobinę dłużej niż zwykle, po czym cofa się z niewyraźnym uśmiechem.

– Zajrzałam do ciebie przed wyjazdem...

– Dokąd się wybieracie? – pytam.

– Na południe – odpowiada. Ta lapidarność wydaje się zastanawiająca, ponieważ normalnie Sofii nie zamyka się buzia. Przypominam sobie, że ma dziadków w Kalifornii Dolnej, na półwyspie na zachodzie Meksyku,

i wszystko nabiera nagle sensu... choć jakoś mi się nie wydaje, żeby sytuacja w Meksyku mogła być teraz choć odrobinę lepsza niż w południowej Kalifornii. Większość tego kraju to przecież pustynia.

– Nie oglądałaś wiadomości w telewizji? – dziwi się. – Mówią, że wysechł nawet akwedukt w Los Angeles. Ukrywano przed nami, że woda nie płynie nim już od kilku tygodni. Ludzie sami odchodzą z pracy albo są zwalniani. Dyrektor wodociągów w Los Angeles zostanie podobno pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

– Dlaczego nie wymyślą jakiegoś rozwiązania, zamiast tracić czas na szukanie winnych?

– Prawda? Tak czy inaczej, tata uważa, że sytuacja jeszcze się pogorszy. – Sofía chichocze nerwowo. – No wiesz, jaki on jest... zawsze przesadza.

Śmieje się, ale bardziej z poczucia obowiązku niż z rzeczywistej potrzeby. Do pokoju wchodzi pani Rodriguez. Prowadzi za rękę pięcioletniego brata Sofii, a w drugiej ręce niesie stos rysunków córki.

– Które zabierasz?

– Wszystkie – odpowiada bez wahania Sofía.

Matka kładzie rysunki na stercie innych, które znajdują się już na stole.

– Wybierz trzy.

Całuje córkę w czoło i uśmiecha się ciepło do nas obu. Mama Sofii należała do kobiet tak pięknych, że ludzie uważali ją i jej córkę za siostry. Pod każdym względem prezentowała się młodzieńczo. Zawsze w niej to uwielbiałam. Dziś wygląda po prostu na zmęczoną.

Sofía przegląda rysunki.

– Ten jest twój – mówi, odwracając się w moją stronę. – Namalowałaś go dla mnie na plastyce w siódmej klasie, pamiętasz?

– Tak – odpowiadam. – Jako prezent urodzinowy.

– Myślę, że powinnaś go zatrzymać.

– Umówmy się, że zabieram go na przechowanie. Na tydzień albo coś w tym stylu – precyzuję.

– Dobra. – Sofia posyła mi ciepły uśmiech, ale jej oczy mówią co innego. Zawsze należała do osób pozytywnie nastawionych do życia, ale po jej spojrzeniu widzę, że pokłady optymizmu wyczerpały się u niej równie doszczętnie jak woda w basenie.

Mój tata za wszelką cenę unika wizyt u lekarza. Nie dlatego, że nigdy nie choruje albo śmiertelnie boi się igieł. Takie podejście wynika u niego, jak sądzę, z przekonania, że zajmowanie się problemem tylko go pogłębia. Coś, co wcześniej było tylko teoretyczne, nabiera nagle realnych kształtów. Poza tym uważa, że znaczna większość dolegliwości prędzej czy później sama zanika – i rzeczywiście, zazwyczaj tak się u niego dzieje. W ten sam sposób tata podchodzi do wszystkich problemów: od kłótni z mamą do okresów, kiedy jego firma cienko przędzie. Dlatego właśnie zapowiedział rodzinną kolację, swoje ulubione grupowe remedium na problemy. Napchanie się lasagne może nie zawsze jest właściwym rozwiązaniem, niemniej żywię głębokie przekonanie, że kiedy mama i tata coś razem gotują, sytuacja potrafi zmienić się na lepsze. Pilnuję zatem, żeby wrócić do domu punktualnie na siódmą trzydzieści.

Ledwie przekraczam drzwi domu, mama zgodnie z oczekiwaniami zaprzęga mnie do roboty. Podaje mi pusty dzbanek.

– Przynieś trochę wody na stół.

Mimo prostoty tej prośby mam poczucie, jakby powierzono mi wykonanie jakiejś świętej czynności.

– Jasne – odpowiadam. Idę do łazienki i zanurzam dzbanek w wannie. Mimo że upłynął cały dzień, nadal pływa tam trochę lodu. Wracam do stołu i nalewam każdemu szklanekę wody.

– Tylko nie za dużo – zwraca uwagę tata. – Uważam, że każdy z nas powinien pić sześć szklanek dziennie. Policzyłem, że przy takim spożyciu

mamy wody na tydzień.

– Myślałem, że powinno się pić osiem szklanek wody dziennie – zauważa Garrett.

– Potraktuj te dwie szklanki jako inwestycję długoterminową – odpowiada ojciec. Garrett mógłby już chyba kierować własną firmą po nasłuchaniu się tych wszystkich analogii biznesowych taty.

– Kingston też potrzebuje wody, pamiętasz? Jemu wystarczy szklanka dwa razy dziennie – dodaje mama.

Zupełnie zapomniałam o naszym psie i robi mi się z tego powodu głupio. Nie potrafię sobie wyobrazić racjonowania zapasów dla istoty równie bezbronnej jak zwierzę. Jego miska jest pusta, więc kiedy nikt nie patrzy, nalewam do niej trochę wody z dzbanka.

Wujek Basil dołącza do nas przy stole jako ostatni i z miejsca wychyla całą szklankę, nabawiając się od tego ostrego bólu głowy.

– Teraz będziesz miał za swoje, Herb – mówi mama takim tonem, jakby zwracała się do dziecka. – Więcej już dziś nie dostaniesz.

– Powinno się pić dziesięć minut przed posiłkiem – ripostuje wujek. – Dzięki temu organizm przetwarza wodę oddzielnie od pokarmu i potem wchłania więcej substancji odżywczych.

Nie wiem, czy to prawda, ale postanawiam uznać to za kolejny przykład kumpłowiedzy. Podejrzewam, że wujek Basil czerpie wszystkie informacje od kumpli, z którymi chodzi na piwo. A ponieważ piątki w szkole dostawał tylko z biologii, ma skłonność do siania dezinformacji.

Wbrew uwadze wujka Basila wszyscy piją swoją wodę powoli. Może dlatego, że nikt nie lubi widoku pustej szklanki, co jest prawdą nie tylko w czasie niedoboru wody.

Lasagne jest dziś wyjątkowo twarda, ponieważ mama ugotowała makaron w sosie pomidorowym taty, żeby nie zużywać niepotrzebnie wody. Tata czeka na naszą reakcję – sam wstrzymuje się ze spróbowaniem dania.

– Przepyszna. Smaczna i chrupiąca – mówi Garrett. Oczywiście, że jest zachwycony. Mój brat z jakiegoś powodu nie potrafi zrezygnować z różnych dziecinnych nawyków, na przykład potajemnego wyjadania pomadki do ust o smaku wiśniowym oraz surowego makaronu. Niekoniecznie razem.

– Jest dobra – mówię, uśmiechając się do taty. On niestety zawsze potrafi rozpoznać, kiedy kłamię, choć z pewnością docenia ten gest...

Po kilku minutach krępującego chrzęstu Basil postanawia przerwać milczenie.

– Przynajmniej woda jest zimna – stwierdza, rozbawiając wszystkich. Chwilę potem chichoczemy w niekontrolowany sposób. To ten rodzaj śmiechu, który przypomina atak czkawki. Czuję się po nim trochę lepiej, a choć wcześniej głównie rozgrzebywałam jedzenie na talerzu, teraz z każdym kęsem coraz bardziej zaczynam odczuwać przyjemność z posiłku.

Właśnie wtedy niespodziewanie migoczą światła.

Po chwili znowu.

Ciemno zrobiło się tylko na sekundę. Może nawet na krócej, ale i tak wszyscy przerwali jedzenie i zamarli. Jak to się mówi? Czekają, aż klamka zapadnie? Nic takiego się nie dzieje. Światło nadal się pali. Nie zmienia to jednak faktu, że lampy zamigotały. Teraz wszystkie zegary gniewnie komunikują, że jest 12:00! 12:00! 12:00!

W końcu spoglądam na tatę i po raz pierwszy dostrzegam u niego prawdziwe zaniepokojenie. Ma spojrzenie z gatunku „może powinienem jednak pójść do lekarza” – słowa te wypowiedział przy mnie tylko raz, pięć minut przed tym, jak karetka odwiozła go do szpitala z zapaleniem wyrostka robaczkowego.

Siedzimy wszyscy z widelcami w dłoniach, uwięzieni przy stole. Z jakiegoś powodu nie potrafię się zdobyć na to, żeby spojrzeć komukolwiek w oczy, więc spuszczam głowę i wracam do jedzenia. Po

chwili uświadamiam sobie, że inni robią to samo. Napychają gęby jedzeniem niczym wystraszone zwierzęta. Robimy to, dopóki talerze nie są puste. Nie byliśmy aż tak głodni, po prostu nikt nie chciał ponownie zobaczyć prawdziwego niepokoju malującego się na twarzy taty.

Kilka godzin później przygotowuję się do spania. Nagle słyszę jakieś poruszenie na zewnątrz. Wujek Basil. Okno mojego pokoju wychodzi na ulicę, dzięki czemu doskonale wiem, kiedy wychodzi z domu i wraca. Zerkam na zegarek. Północ to dziwna pora na eskapadę. Schodzę na dół i zastaję go przy samochodzie. Wujek ładuje rzeczy na pakę.

– Nie chciałem cię obudzić – mówi takim tonem, jakby odczuwał z jakiegoś powodu wyrzuty sumienia.

– Wyjeżdżasz? – pytam.

Spogląda na mnie ciepło.

– Tylko na kilka nocy – mówi, choć wielka walizka z ubraniami świadczy o czym innym. Zupełnie jak u Sofii. – Poza tym i tak objadłem was już do cna. Nie chciałbym też wypić całej wody.

Wujek Basil zawsze miał wyrzuty sumienia w związku z koniecznością mieszkania u nas o tej porze roku. A Suche Krany tylko pogłębiają w nim poczucie, że jest od nas uzależniony. Podejrzewam jednak, że kroplą, która przepełniła czarę, była wizja wyłączenia prądu.

– Dokąd pojedziesz? – pytam.

– Do Daphne. Nadal mieszka w wielkim domu w Dove Canyon. Twierdzi, że mają wodę. Trudno określić, jak długo to potrwa, ale lepsze to niż nic – tłumaczy ze spuszczonego wzrokiem.

Uśmiecham się znacząco.

– Mówisz o wodzie czy o tobie i Daphne?

Chichocze.

– Trudno powiedzieć – przyznaje.

Daphne bywa jego dziewczyną. Spotykali się jeszcze przed plajtą jego farmy. Do Dove Canyon przeprowadzili się na samym początku Wielkiego

Pryskania, jak nazwali masowy exodus ze społeczności farmerskich Doliny Kalifornijskiej. Daphne nigdy nie pozwalała nam zwracać się do niego w jej obecności per „wujek Basil”. Przy niej zawsze mówiło się o nim „Herb”. Podejrzewam, że w głębi serca naprawdę go kocha, mimo że co chwilę ze sobą zrywają.

– No nic – mówię. – Mam nadzieję, że Suche Krany z powrotem was do siebie zbliżą.

– Ona nie robi tego dla mnie – przyznaje wujek – ale dla was.

– Dla nas?

– Tak, dla was wszystkich. Żebym nie był ciężarem dla twoich rodziców.

– Nie jesteś przecież ciężarem...

Uśmiecha się.

– Dziękuję, że tak mówisz, Alysso.

Przytulam się do niego mocno i macham mu na pożegnanie. Wchodzę do domu zasmucona jego odjazdem, ale odrobinę mniej zaniepokojona przyszłością. To, że w innych miejscach nadal z kranów płynie woda, daje mi nadzieję, że sytuacja niekoniecznie jest aż tak zła.

Migawka: KZLA News

„Rośnie napięcie w południowej Kalifornii, gdzie rozpoczyna się trzeci dzień Suchych Kranów. Władze zapewniają, że mieszkańcy niedługo otrzymają pomoc”.

Lyla Singh, prowadząca lokalny serwis informacyjny *Na własne oczy*, kończy wygłaszać swoją część wiadomości, po czym przekazuje pałeczkę współgospodarzowi programu Chase’owi Buxtonowi, który odczytuje kolejny fragment z telepromptera.

„Tymczasem skutki braku dostępu do wody dla ponad dwudziestu trzech milionów osób nadal się pogłębiają. Więcej na ten temat Donovan Lee, który

przebywa w Silverlake”.

Kiedy transmisja przenosi się ze studia do pustego betonowego zbiornika zwanego Silverlake, Lyla wspomina wszystkie udręki tego dnia. Koszmarem był sam dojazd do studia z Hollywood Hills. O mały włos spóźniłaby się na poranne zebranie. Teraz wygląda na to, że będą co chwilę wchodzić na antenę, więc nie wróci szybko do domu.

– Słyszałaś, że FEMA nie odpowiada na telefony od gubernatora? – zagadnął ją wcześniej kamerzysta. – Serio, huragan Noah zajmuje w tej chwili całą ich uwagę.

Przechodzący akurat producent zrugął ich oboje, choć przecież Lyla tylko słuchała.

– Moi państwo, zajmujemy się informacjami, a nie pogłoskami.

Po zakończeniu relacji z Silverlake obraz zostaje przełączony z powrotem do studia, a Lyla szybko wraca myślami do tu i teraz.

– Dziękuję, Donovane. Oto słowa, które wygłosił dziś gubernator.

Puszczają nagranie, które i tak odtwarzano na antenie przez cały dzień. Lyla słucha go po raz enty i próbuje doszukać się w głosie polityka czegokolwiek, co wskazywałoby na istnienie drugiego dna, którym nie dzieli się z mediami.

„Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji – mówi gubernator. – Otrzymaliśmy informację, że cysterny z wodą pitną zmierzają w naszą stronę nawet z tak odległych miejsc jak Wyoming, żeby zaspokoić pilne zapotrzebowanie w południowej Kalifornii”.

„Wyoming?”, myśli Lyla. „Ile zajmie cysternom dojechanie z Wyoming?”

„Chciałbym zapewnić mieszkańców południowej Kalifornii – ciągnie gubernator – że pomoc jest w drodze. Przenośne urządzenia do odsalania wody zostaną rozmieszczone wzdłuż wybrzeża i będą zamieniać wodę morską w wodę pitną. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zmniejszyć negatywne skutki obecnej sytuacji. Dziękuję”.

Burmistrz jak zwykle natychmiast opuszcza podium, by uchylić się od odpowiedzi na potok pytań.

Zapala się czerwona lampka kamery, co trochę zaskakuje Lylę. Ale jako profesjonalistka nie zaczyna się jąkać, tylko milczy przez chwilę, jakby pauza była zamierzona.

– Tymczasem – zaczyna czytać – wszystkim mieszkańcom zaleca się pozostanie w domach w celu uniknięcia udarów oraz śledzenie komunikatów.

– Zgadza się, Lylo – dodaje Chase. – Poza tym należy powstrzymać się od wszelkich aktywności wiążących się z wysiłkiem.

– No właśnie. Najlepszym sposobem na oszczędzanie wody jest zachowanie tej, która już znajduje się w naszych ciałach.

Kiedy Lyla przybyła tego dnia do studia, w jej garderobie stały dwa pełne dzbanki schłodzonej wody. Teraz na samą myśl o wodzie ogarnia ją pragnienie, żeby wypić duszkiem całą szklanekę.

– Wracamy po reklamach.

Lyla odpręża się i spogląda na streszczenie kolejnych wiadomości: jak z Suchymi Kranami radzi sobie zoo; że mężczyzna postrzelony podczas nabierania wody z cysterny został odwieziony do szpitala, i najnowsza: w San Bernardino mamy pierwszy potwierdzony przypadek zgonu z odwodnienia.

Chase odwraca się w jej stronę z uniesioną brwią.

– Kiepsko to wygląda – stwierdza, modulując głos w taki sam sposób, jakby czytał kwestię: „To jest pyszne” w czasach, kiedy podkładał głos w reklamach fast foodów (choć krążą pogłoski, że parat się też innymi rzeczami). Ale, jak powiedział producent, zajmują się informacjami, a nie pogłoskami.

– Tymczasem my nie robimy nic poza apelowaniem do ludzi, żeby zachowali spokój i oglądali wiadomości – odpowiada Lyla.

– A co niby mielibyśmy im powiedzieć? Wybiegnijcie nago na ulice i wołajcie o grom z jasnego nieba?

– Gdyby miało im to pomóc przetrwać tę sytuację, to pewnie.

– Wiesz co – stwierdza Chase z irytującym uśmiechem – to byłby dopiero kawał newsa.

Kiedy kończy się popołudniowy serwis informacyjny, Lyla wraca do garderoby, gdzie okazuje się, że z obu dzbanków zniknęła woda. Ktoś – może nawet więcej niż jedna osoba – ją ukradł.

– Zaraz przyniosę więcej – obiecuje zdenerwowany stażysta. – Wrócę za góra dziesięć minut.

Ale dziesięć minut później po wodzie i stażystce nie ma ani śladu.

Na korytarzu Chase rozmawia ze swoim agentem. O jego osobistych sprawach słyszą więc wszyscy, którzy przechodzą obok. Agent zapewnia go, że jeśli odpowiednio rozegra sytuację, może dostać szansę przeniesienia się do jakiejś stacji ogólnokrajowej. Może nawet do CNN.

– To oburzające, że wykorzystujesz tę sytuację jako trampolinę dla własnej kariery – mówi do niego Lyla.

Chase tylko wzrusza ramionami i wraca do rozmowy.

Lyla również ma ambicje zawodowe, ale nie zamierza wzorem Chase'a budować swojej przyszłości na ruinach teraźniejszości.

Prezenterka wygląda przez okno. Czy da się zobaczyć prawdziwy obraz kryzysu z poziomu czterdziestego drugiego piętra? W dole widzi tłum przemierzający się ulicą. Czy to są demonstranci? Zaczęto rozdzielać wodę? Z tej wysokości trudno powiedzieć. Niespodziewanie ogarnia ją poczucie, że siedzi zamknięta w klaustrofobicznej wieży. Odcięta od świata.

Po południu napływają kolejne depesze o zgonach z odwodnienia. Dostownie ich zasypują, a Lyla wie, że trzeba będzie o nich poinformować widzów. Próbuje sobie wyobrazić, co czują, kiedy o tym usłyszą – uwięzieni w swoich domach zaczną się zastanawiać, kto na ich ulicy może stać się kolejną ofiarą.

Przez cały ten czas do jej garderoby nie dociera obiecana woda. Chase'owi też chce się pić. Wygląda na to, że woda skończyła się dla wszystkich. Nikt już nawet niczego nie obiecuje.

Wtedy właśnie przychodzi jej do głowy pewien pomysł. Ryzykowny, ale innego nie ma.

– Daj mi helikopter – mówi do producenta.

– Co? – Mężczyzna spogląda na nią, jakby postradała zmysły. – Lyla, jesteś prezenterką... nie nadawałaś reportaży z powietrza od czasu, kiedy zajmowałaś się ruchem ulicznym.

– Zamieszki, pożary, korki. Prawdziwe historie dzieją się nie tutaj, tylko w terenie. Ludzie będą chcieli tego słuchać – mówi. Udaje przy tym, że podobnie jak Buxtonem kieruje nią wyłącznie ambicja. – Prezenter nadający z powietrza przykuje uwagę widzów. Będą z niecierpliwością czekać na ciąg dalszy, a nie skakać po kanałach.

– Nie – kręci głową producent. – Potrzebuję cię w studio.

Ale kiedy znika, Lyla i tak idzie na dach.

Helikopter stoi na lądowisku; trwa zmiana ekip reporterów od ruchu ulicznego. Lyli przypominają się ujęcia z Wietnamu, gdzie powstały jedne z najlepszych reportaży telewizyjnych. Oczywiście działo się to na długo przed jej urodzeniem, ale teraz, patrząc na helikopter przed sobą, prezenterka nie potrafi przestać myśleć o desperacji tamtych dziennikarzy, kiedy czekali na transport po upadku Sajgonu.

Kurt, ten sam pilot, który zabierał ją w powietrze w początkach jej kariery, opiera się o nadbudówkę klatki schodowej i pali papierosa. Nie powinien tego robić w tak niewielkiej odległości od helikoptera, ale wyraźnie ma to gdzieś. Lyla ma nadzieję, że nie jest to jedyna zasada, którą będzie gotów złamać.

– Kurt, jaki jest zasięg tego helikoptera?

– Czteryście na pełnym baku – mówi. – W tej chwili pewnie bliżej trzystu.

A co?

Lyla bierze głęboki oddech.

– Potrzebuję przystugi.

Pięć minut później oddalają się od centrum Los Angeles w kierunku wschodnim. Kiedy Lyla uznaje, że znaleźli się wystarczająco daleko od newsroomu, pisze esemes do producenta.

„Lecę helikopterem nad Arrowhead. Będę nadawać relację o sytuacji uchodźców”.

Wysyła. Zastanawia się przez chwilę, po czym pisze kolejny: „Kryj mnie albo wylej”.

Poszło, stało się. Cokolwiek się zdarzy, Lyla dotrze do jednego z niewielu miejsc, gdzie wciąż jest woda. Nawet jeśli poziom luster w jeziorach spadł poniżej normalnego, są to przecież wciąż jeziora. Kobieta oddycha głęboko i z ulgą. Ogarnia ją poczucie pewnej wspólnoty z dziennikarzami sprzed lat, którzy wsiadali do helikopterów na drugim końcu świata, żeby uciec przed Wietkongiem.

Dzień trzeci. Poniedziałek, 6 czerwca

4) Kelton

Dziś nie ma szkoły. W wiadomościach nie podają, kiedy z powrotem zaczną się lekcje. Zastanawiam się, czy w ogóle to nastąpi, skoro do końca roku szkolnego zostały tylko dwa tygodnie.

Próbuję zająć czymś myśli, czytając komiksy, ale jakoś mnie dziś nie wciągają. Szukam w sieci sprzętu myśliwskiego, który mógłbym dodać do listy życzeń obejmującej prezenty pod choinkę, ale i to mnie nie kręci. Przerzucam się zatem na filmiki na YouTubie z szachowym boksem – hybrydowym sportem, w którym zawodnicy na zmianę grają w szachy i toczą pojedynki pięściarski. Jest to jedyna dyscyplina sportu niewymagająca posługiwania się bronią, w której sobie znakomicie radzę. Tak się też składa, że za jej sprawą po raz pierwszy musiałem zostać za karę po lekcjach. W zeszłym roku po wygłoszeniu na angielskim referatu ustnego na temat szachowego boksu zostałem osaczony przez trzech sceptycznie nastawionych osobników i zmuszony do zademonstrowania bokserskiego aspektu tej dyscypliny na ich nosach. Rozwaliłbym ich też w szachy, ale zostałem zaciągnięty do gabinetu dyrektora.

Oglądam dwa filmiki, ale dziś nawet szachowy boks nie potrafi przełamać we mnie apatii. Nie chodzi zresztą tylko o złe samopoczucie. Niepokoję się stanem świata zewnętrznego – i to nawet pomimo naszego znakomitego przygotowania na taką ewentualność.

Wszystko zaczęło się od chwili, kiedy Burnside pojawił się pod naszym domem z prezentem. Oczywiście rozkoszuję się myślą o tym, że najwięksi wrogowie naszej rodziny zamienili się w pochlebców i lizusów, ale kiedy naprawdę zdarza się coś tak niewyobraźalnego, człowiek czuje się, jakby dostał obuchem. To trochę tak jak wtedy, kiedy patrzy się w ciemne oczy

pierwszego położonego przez siebie jelenia albo trafia się lecącą kaczkę, ale chwila triumfu zostaje przerwana, kiedy ptak spada za krawędź urwiska. Im dłużej się nad tym zastanawiam... tym głębszego nabieram przekonania, że wszystko można jakoś porównać do polowania. Mówi się przecież, że każde nasze działanie albo zaniechanie działania ma jakiś związek z wdrukowanym w nas pierwotnym mechanizmem reakcji walki albo ucieczki.

Na przykład zdobywanie względów dziewczyny przypomina w dużym stopniu polowanie na jelenia. Zwierzę to trzeba podchodzić powoli i ostrożnie – najlepiej od tyłu, bo wtedy właściwie nie ma szans nas zauważyć. Kobiety, jak jelenie, można łatwo spłoszyć silnym zapachem, dlatego należy zawsze stosować dezodorant. Pomaga też kamuflaż, ponieważ – jak wynika z moich doświadczeń – naprawdę kręci on dziewczyny. Ale i tak najważniejszym aspektem zdobywania osobnika płci przeciwnej jest umiejętność naciśnięcia spustu w odpowiedniej chwili. Oczywiście metaforycznie rzecz biorąc. Do dziewczyny można się przystawić tylko wtedy, kiedy chwila wydaje się ku temu odpowiednia, w przeciwnym razie człowiek wychodzi na zboka. O tym akurat przekonałem się kiedyś na własnej skórze.

Jeżeli jednak chodzi o moją sąsiadkę, Alysę Morrow, zawsze miałem poczucie, że mam do czynienia ze zwierzyną, której nigdy nie uda mi się ustrzelić. Tyle razy byłem bliski przejścia od słów do czynów albo przynajmniej wyznania jej moich uczuć, ale z jakiegoś powodu chwila nigdy nie wydawała się odpowiednia. Wcześniej sądziłem, że jeśli znajdę się odpowiednio blisko niej, okazja prędzej czy później się nadarzy, dlatego też w tym roku włamałem się do szkolnego komputera i ustawiłem w ten sposób moich pięć przedmiotów, żeby chodzić na lekcje z nią... Wybrałbym wszystkie sześć, ale bym się tym zdradził.

Dzisiejszego ranka Alyssa kończy właśnie prace w ogrodzie. Wygląda, jakby próbowała wyciągnąć wodę z systemu nawadniania, ale od razu

widzę, że jej się to nie uda. Poziom zbrązowienia ich trawy wskazuje, że zraszacze wyschły wiele miesięcy temu, tak samo jak u większości innych ludzi. „Jak nie teraz, to kiedy?”, myślę. Zakładam taktyczną kamizelkę z pustynnym kamuflażem i wkraczam na posesję sąsiadów.

Po wyjściu z domu widzę, że Alyssa zmierza w stronę swojego garażu. Taszczy jakieś narzędzia. Teren mi sprzyja, więc zachodzę ją z lewej strony. Zbliżając się, przełykam ślinę; z nerwów wyszło mi w gardle.

– Pomóc ci? – Tylko tyle potrafię z siebie wydusić. Uświadamiam sobie, że identyczne pytanie zadałem dwa dni wcześniej, kiedy wyładowywali z samochodu lód. Pozostaje mieć nadzieję, że Alyssa docenia konsekwencję u ludzi.

– Nie trzeba, chyba sobie poradzę.

Widać wyraźnie, że jest inaczej. Być może nie chce przy mnie okazać słabości. Nie daję zatem za wygraną.

– Zaczekaj, pozwól, że poniosę przynajmniej to – mówię, biorąc kilka kluczy i wsuwając je do kieszeni. Szorty cargo to podstawa. Dziewczyny uwielbiają facetów z wieloma kieszeniami.

– Dzięki – mówi ona, kiedy odkładamy narzędzia na miejsce w garażu. Właśnie wtedy wyczuwam jakiś paskudny zapach, który wypływa z domu. Chyba marszczę nos, a ona to zauważa i odwraca wzrok, jakbym pomyślał, że to sama jest źródłem nieprzyjemnej woni.

– Problem z toaletą? – pytam.

– Podejrzewamy, że gazy z kanału cofają się do domu z powodu braku wody – wyjaśnia. – Tata pracuje nad jakimiś modyfikacjami, które mają to powstrzymać.

Było to coś nieuchronnego. Prawdopodobnie wszystkie domy w okolicy poza naszym tak teraz śmierdzą, choć nie wszyscy próbują równie gorliwie temu zaradzić. Oczywiście Morrowowie nie mają pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Potrzebny wam zapobiegający parowaniu środek uszczelniający do kanałów. Wystarczy wlać szklanke do każdego odpływu, a żaden gaz ze ścieku nie przedostanie się na zewnątrz – mówię, po czym dodaję: – Właśnie tego środka używają w pisuarach bezwodnych.

Alyssa krzywi się z obrzydzeniem, a ja uświadamiam sobie, że przesadziłem z ilością informacji.

– W każdym razie – ciągnę, trochę się jękając i odruchowo odwracając wzrok – mogę wam dać butelkę tego środka. Mamy spory zapas. – To prawda, choć jeśli tata dowie się, że go rozdaję, będę miał przerąbane.

Ale ryzyko się opłaca, ponieważ Alyssa się rozpromienia.

– Dzięki, Kelton. To naprawdę miłe z twojej strony.

Kiedy widzę ten skierowany do mnie uśmiech, coś popycha mnie, żeby pójść na całość. Wyciągam w jej stronę manierkę.

– Napij się – mówię. – Wyglądasz na spragnioną.

Z wahaniem bierze ją do ręki.

– Jesteś pewien? – pyta.

Wzruszam ramionami, jakby to była błahostka.

– Od czego ma się przyjaciół?

Wypija kilka łyków i oddaje mi manierkę. Ja też z niej pociągam. Alyssa i ja napiliśmy się właśnie z tej samej manierki. Jeśli wziąć pod uwagę, ile w związku z tym wymieniliśmy między sobą śliny, to prawie jak pocałunek. Zapanowuję nad lekkim drzeniem, które ogarnia mnie na tę myśl.

– Dziękuję, Kelton – powtarza Alyssa. Stoimy tak w milczeniu, ale po raz pierwszy zalegająca między nami cisza wydaje się nieco bardziej naturalna. Wydaje się fajna.

Niespodziewanie pojawia się koło nas Garrett, zupełnie jakby zmaterializował się z powietrza. Wrywa mi manierkę.

– Dziękuję, Kelton! – przedrzeźnia siostrę.

– Jak ty się zachowujesz – zwraca mu uwagę Alyssa. – To nie jest twoje!

Akurat w tym momencie do garażu wchodzi ich ojciec z pudłem pełnym brudnych szmat, a chwilę potem matka. Uśmiecha się, wyraźnie nie mogąc opanować radości.

– W wiadomościach podali, że na wybrzeżu postawią maszyny do odsalania wody. Dziś po południu uruchomią kilka pod Laguna Beach.

– Co to jest maszyna do odsalania? – pyta Garrett.

– To urządzenie, które zamienia wodę morską w pitną – mówię. – W San Diego jest duży zakład, który się tym zajmuje, ale to nam akurat nie pomoże. – Prawdę mówiąc, w obecnej sytuacji nie pomoże też zbytnio samemu San Diego. Budowa tego zakładu kilka lat temu była przejawem dalekowzroczności, więc choć raz nie mamy do czynienia z przypadkiem „za mało i za późno”. Tym razem „za mało” pojawiło się dokładnie na czas. A to dlatego, że przy maksymalnym obciążeniu zakład zapewni wodę ledwie dla ośmiu procent populacji San Diego. Czyli mniej niż dla jednej osoby na dziesięć. Nie jest to rozwiązanie, na jakie liczone.

Ojciec Alyssy ociera pot z brwi.

– Płacimy wysokie podatki, żeby finansować takie agencje jak FEMA. Najwyższy czas, żeby wkroczyła do akcji i coś zrobiła.

– Nie pozwolą nam przecież umrzeć z pragnienia – dodaje matka takim tonem, jakby było to zupełnie niedorzeczne, ale wyraźnie czeka, aż ktoś jej przytaknie.

Ojciec Alyssy kiwa potwierdzająco głową.

– To kwestia matematyki – mówi. – Kalifornia to jeden z największych rynków pracy na świecie. Potrzebują nas, więc nie sędzę, żeby popełnili tak wielki błąd, by o nas zapomnieć.

Te słowa dźwięczą mi w głowie... a choć brzmią rozsądnie, jednocześnie słyszę głos mojego ojca, który narzeka na tysiące nawarstwiających się błędów, które doprowadziły nas do tego miejsca –

nieskutecznych rabatów dla konsumentów, bezowocnych spotkań aktywistów działających na rzecz ochrony przyrody czy nie dość radykalnych prób ratowania zasobów wody. Na przykład w Los Angeles wrzucono do zbiorników retencyjnych miliony czarnych „kul zaciemniających”, które miały zapobiegać parowaniu, ale okazały się zupełnie nieskuteczne. Nie potrafię rozstrzygnąć, czy zbliżamy się do faktycznego rozwiązania problemu, czy też desperacko próbujemy ugasić pożar przez polewanie go wodą z butelek...

Otwieram usta, żeby poruszyć ten wątek, ale natychmiast się powstrzymuję, przypomniawszy sobie, co ojciec zawsze mówi o owcach. O ich zachowaniach. Że instynktownie podążają za członkami stada znajdującymi się bezpośrednio przed nimi i że nawet minimalne zboczenie z kursu wzbudza w nich pierwotne uczucie paniki, które może się okazać śmiertelnie niebezpieczne. Przygotowałem kiedyś do szkoły referat o stadzie pięciuset owiec z Turcji, które zabiły się, ponieważ wpadły do wąwozu. A wpadły tam dlatego, że wszystkie podążały ślepo za tymi idącymi z przodu i nie zwracały uwagi na otoczenie. „Co jest gorsze – myślę – przyglądać się, jak wszyscy znajomi wpadają do wąwozu, czy też wywrócić ich świat do góry nogami z taką siłą, że mogą się załamać?”

5) Alyssa

Toaleta bierze dziś na nas odwet za wszystkie lata katorżniczej i niehigienicznej pracy. Tajemniczo bulgocze i wydmuchuje zapach sześciomiesięcznych zgniłych jaj. Naszym zadaniem jest możliwie dokładne wyczyszczenie trzewi muszli klozetowej, a następnie wlanie do nich dwóch szklanek płynu Keltona, dzięki czemu dom zacznie znów pachnieć sobą, a nie mściwym szambem. A niepodzielny władca naszego domu powierzył to zadanie mnie i Garrettowi.

Tego ranka tata zdecydował się rozdzielić obowiązki za pomocą pasywno-agresywnych karteczek, które poukrywał w całym domu, jakby chował jajka na Wielkanoc. Karteczka na lodówce informuje: „Sześć szklanek wody na dzień!”. Na prysznicu znajdujemy kolejną: „Mycie tylko na sucho!”, czyli żel i ręczniki papierowe. Ale najgorsze są moim zdaniem karteczki z napisem „Wyczyść mnie!” naklejone nad toaletami. Tata zmyślnie umieścił pod każdą klapą torebki, które mamy wyrzucać po użyciu – wszystko to przerodziło się w jeden wielki koszmar campingowy. Z torebkami można sobie jakoś poradzić, ale rozkaz umycia muszli w ich obecnym stanie to okrutna i niecodzienna kara.

Zaczynamy od toalety na dole, jako że wodę do picia przechowujemy w wannie obok sedesu. Zaglądam do wanny i widzę, że poziom wody znacząco obniżył się od soboty. Dziś rano mama dyskretnie wydała dwa litry przyjaciółom zza rogu. Doszła do wniosku, że w związku z instalowaniem urządzeń do odsalania na wybrzeżu niedługo wody będzie pod dostatkiem dla wszystkich. Dlaczego więc nie zachować się szlachetnie? Sama pewnie postąpiłabym tak samo.

– Jak niby mamy wyczyścić toaletę, skoro nie wolno używać wody? – pyta Garrett, wpychając dłonie w żółte rękawiczki, które skrzypią przy pocieraniu palcami.

– Tata powiedział, że środki do czyszczenia znajdziemy pod umywalką. Jestem pewna, że coś wymyślisz.

Zaciskam palcami nos, zbieram się w sobie i zaglądam do muszli klozetowej. Na powierzchnię czarnego płynu wypływają z dołu bąbelki powietrza.

– Dlaczego ja mam to robić? – zrzędzi brat.

– Potem się zmienimy – przypominam mu, po czym odwołuję się do męskiego ego. – Poza tym jesteś facetem, więc z natury lepiej ode mnie radzisz sobie z instalacją wodno-kanalizacyjną.

Przytakuje wyraźnie zadowolony, że uważam, że jest w czymś ode mnie lepszy, po czym zagląda pod umywalkę w poszukiwaniu środków czystości.

– Wybielacz nada się w sam raz – podpowiadam mu.

Ostatecznie wybiera zieloną puszkę z Cometem, uniwersalnym proszkiem czyszczącym. Stawia ją na krawędzi wanny. Kiedy dno puszeki dotyka krawędzi, przed oczami staje mi najczarniejszy scenariusz, który zaraz potem zamienia się w rzeczywistość. Ledwie Garrett wypuszcza puszkę z ręki, a postawiony na nierównej powierzchni pojemnik zaczyna się ześlizgiwać...

Serce zaczyna mi galopować.

– Garrett! – wrzeszczę. Więcej nie potrafię z siebie wydusić.

On odwraca się szybko, ale zanim ma szansę zorientować się w sytuacji, pojemnik z proszkiem czyszczącym wpada z pluskiem do wody.

Garrett odwraca się do mnie blady jak płótno. Zapada koszmarna cisza.

Garrett szybko próbuje wyciągnąć puszkę, ale ta wyslizguje mu się z dłoni i odpływa dalej. W wodzie rozchodzi się wirująca chmura trującego środka czyszczącego. Dociera do mnie, co się właśnie wydarzyło.

Garrett zatruł jedyny zapas wody, jakim dysponujemy.

– Może uda się część uratować – mówi, chwyciwszy wreszcie puszkę. Wyciąga ją z wody odwróconą do góry nogami, przez co do wanny wsypuje się kolejna porcja zamokniętego proszku.

– Cała już jest skażona, idioto! – warczę.

– To twoja wina – odburkuje. – Kazałaś mi użyć wybielacza!

– Zawsze byłeś fajtłapą! Masz pojęcie, co właśnie zrobiłeś?

Nie pada kolejna wymówka. Widzę, że jego twarz zapada się w sobie, oczy zwięzają się i wilgotnieją. Zaraz potem zaczynają z nich płynąć łzy

i całe ciało ulega poczuciu beznadziei.

Włącza mi się siostrzane sumienie. Żałuję, że nie mogę cofnąć wypowiedzianych słów.

– Przepraszam – mówi, pochlipując i ukrywając twarz w dłoniach.

– Już dobrze – odpowiadam i przytulam go. Przy okazji uświadamiam sobie, że nie robiłam tego od bardzo dawna. – Na plaży montują maszyny odsalające. Mama i tata przywiozła zapas, słyszałeś przecież.

Garrett kiwa głową i się opanowuje.

– Zresztą woda z wanny i tak była całkowicie paskudna – mówię, czym rozbawiam go na tyle, żeby przełamać rozpacz.

Zgadzam się powiedzieć mamie i tacie o tym, co się stało z wodą. Garrett przekonuje, że zrobię to lepiej od niego. Oczywiście prawdziwy powód jest taki, że sam boi się przyznać. Z jakiegoś powodu uważa rodziców za znacznie groźniejszych, niż są w rzeczywistości... choć oczywiście tym razem nie chodzi o jakąś typową sprawkę w rodzaju kapryszenia przy obiedzie, podłożenia komuś poduszki śmierdziuszki czy wybicia okna. Czy mogłabym się nazwać porządną siostrą, gdybym nie uczyła go odpowiedzialności za własne czyny?

– Powiem im, ale nie wezmę na siebie winy – mówię Garrettowi. – Wiem, że zrobiłeś to przez przypadek, musisz jednak wziąć za to odpowiedzialność.

Schodzę na dół gotowa na najgorsze, ale mama i tata przyjmują wiadomość z całkowitym spokojem. Wolałabym chyba, żeby się pogniewali.

– Cała woda? – pyta tata, zupełnie jakby istniał jakiś sposób na rozdzielenie wody z Cometem i wody pitnej.

– To nie była wina Garretta – zapewniam ich, mimo że przecież była. – Po prostu zabrał się do czyszczenia toalety, tak jak kazaliście.

Spodziewam się, że mama powie coś w rodzaju: „Tylko mi tu nie próbuj przerzucać winy na nas!”, ale ona nawet nie reaguje na ten cios poniżej

pasa. Uświadamiam sobie, że nie chodzi o zwykłą zawałankę, tylko o wstrząs. A kiedy dochodzi do wstrząsu, człowiek pomija etap z gniewem i przechodzi od razu do ratowania sytuacji.

– Został nam dzbanek wody w lodówce – informuje mama, spoglądając na tatę.

On kiwa głową.

– Urządzenia odsalające powinny ruszyć jeszcze dziś. Pojedziemy na wybrzeże najszybciej, jak tylko się da.

– Moglibyśmy wygotować wodę z wanny w garnkach i zbierać parę – proponuję. – Zbudowalibyśmy destylator, jak ten z pracowni chemicznej w szkole. O ile pamiętam, w siódmej klasie udało nam się uzyskać ledwie jedną próbkę wody, ale założę się, że Kelton potrafiłby zbudować coś wydajniejszego.

Czy ja naprawdę rozważam poproszenie Keltona o pomoc?

– Może kiedy indziej – stwierdza tata, wyraźnie przytłoczony wieściami, które przekazałam chwilę wcześniej.

– Przepraszam – mówię do rodziców. – Beznadziejnie to wyszło, przepraszam.

– Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, kochanie – mówi mama.

– Ani nad zatrutą wodą – dodaje tata, a ja zaciskam mocno usta, żeby rodzice nie widzieli, że się uśmiecham.

Wracam na górę powiedzieć Garrettowi, że nie zostanie oddany do adopcji, zesłany do obozu pracy ani ugotowany w kotle, ale nigdzie go nie widzę. Sprawdzam łazienkę, ogródek za domem, nawet garaż... I wtedy zauważam, że zniknął jego rower. Wyjechał po kryjomu, wystraszony na myśl o reakcji mamy i taty.

Mama i tata rzucają wszystko, żeby znaleźć Garretta. Chcą, żebyśmy się rozdzielili i systematycznie przejrzeni wszystkie miejsca, do których mógł się udać. Według mnie niepokoją się trochę bardziej, niż powinni. W przypadku Garretta zawsze reagują przesadnie. Urodził się miesiąc

przed terminem, co uruchomiło u nich niesłabnący tryb nadopiekuńczości. Można odnieść wrażenie, że nawet po tylu latach przy byle zadrażnieniu najchętniej wysłaliby go do szpitala na przeszczep skóry. Dziś przekonuję się w myślach, że jak zwykle przesadzają, ale w związku z obecną sytuacją sama się lekko niepokoję.

Zgadzam się sprawdzić parki, w których Garrett lubi spędzać czas z kumplami, oraz ścieżkę rowerową biegnącą wzdłuż autostrady. Idę po swój rower, ale obie opony są sflaczałe, ponieważ nie używałam go od lat. Dętki nie trzymają już powietrza, mimo że próbuję je długo pompować. Zostają mi zatem hulajnoga Garretta, na której zupełnie nie umiem jeździć, oraz kij na sprężynie, który został bez wątpienia zaprojektowany przez szatana tuż po tym, jak ukończył pracę nad monocyklem. Po wyczerpaniu wszystkich możliwości uświadamiam sobie, że będę musiała poprosić Keltona o sąsiedzką pomoc. Może pożyczy mi rower – albo załata mój za pomocą gumy balonowej i pszczelego wosku.

Dzwonię do drzwi jego domu, a on je otwiera – trochę jakby za szybko.

Nie mam czasu na uprzejmości, więc przechodzę od razu do rzeczy.

– Mam prośbę. Garrett zaginał i potrzebuję roweru.

Ku mojemu zdumieniu odpowiada jak normalny człowiek, a nie jak dziwadło.

– Możesz pożyczyć rower mojego taty. Przyprawdę go.

Wchodzi do domu i chwilę potem spotykamy się przy bocznej bramce. Jego tata ma ładny rower. Zaraz potem zauważam, że Kelton przyprowadził też swój.

– Co dwie głowy to nie jedna – mówi. – Poza tym nie powinnaś teraz nigdzie chodzić sama. Może się wydawać, że w okolicy panują spokój i cisza, ale zawsze tak jest przed burzą.

Wycofuję to, co mówiłam o normalnym człowieku.

– Poradzę sobie, Kelton. Nie musisz ze mną jechać.

– Cena za pożyczenie roweru mojego taty to zgoda na to, żebym ci towarzyszył.

On też nie owija w bawełnę, wyraźnie nie zamierza też negocjować.

– Zgoda.

W sumie nie mam nic przeciwko temu, żeby ze mną pojechał, jeśli wziąć pod uwagę, że został oficjalnie przeniesiony z poziomu pomarańczowego na żółty na skali zagrożeń dla mojej poczytalności.

Zaczynamy od drózek za domami, z których wyjeżdżamy po jakimś czasie na główną drogę obok szkoły Garretta. Szkoła średnia, do której chodzę ja, znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Przychodzi mi do głowy, że Garrett mógł się ukryć w miejscu, w którym nikt nie próbowałby go szukać; w miejscu, którego nienawidzi bardziej niż kalafiorów i lekcji fortepianu razem wziętych – w szkole podstawowej Meadow Creek.

Przechyliam się w lewo, żeby zmienić kierunek jazdy, ale zanim rower zacznie skręcać, tuż przede mną przelatuje ciężarówka i niemal nas przejeżdża. W pierwszej chwili ogarnia mnie wściekłość, że ktoś może prowadzić w tak nieodpowiedzialny sposób, ale kiedy dociera do mnie, co to był za pojazd, cała sztywnieję i odruchowo przestaję pedałować.

Była to ciemnozielona, otwarta wojskowa ciężarówka, wyładowana żołnierzami. Jako pierwsza przychodzi mi do głowy głupia myśl z gatunku tych, które pojawiają się, kiedy człowiek nie ma czasu uruchomić mózgu.

– Do diabła, rodzice wezwali cholerną gwardię narodową?

– Cisza przed burzą – mówi tylko Kelton.

Mój mózg wskakuje na wyższe obroty i uświadamia sobie, że chodzi o coś znacznie poważniejszego niż mój zagubiony braciszek. Widok pojazdów wojskowych rozjeżdżających okolicę, w której człowiek mieszka od dziecka, jest dość niepokojący. Co gorsza, ciężarówka skręca w lewo, prosto na parking przy szkole.

– Jak myślisz, co się dzieje? – pytam Keltona. Liczę na to, że jego gruntowna znajomość bezużytecznych informacji wojskowych na coś się wreszcie przyda.

– Nie wiem – odpowiada. – Jest za wcześnie, żeby wprowadzili stan wyjątkowy...

– Mów, proszę, po ludzku.

– Chodzi o przejęcie kontroli przez wojsko. Dzieje się tak wtedy, gdy politycy dochodzą do wniosku, że policja nie opanuje samodzielnie sytuacji.

– To byłoby chyba coś pozytywnego, prawda? – pytam, by przekonać samą siebie. Opieram się o siodełko roweru. – Bylibyśmy bezpieczniejsi...

Kelton próbuje się uśmiechnąć.

– Być może – odpowiada, choć mam wrażenie, że wcale tak nie uważa. – Być może.

Być może. Mam już dość tych wszystkich „być może”!

Być może wprowadzili stan wyjątkowy. Być może FEMA sprowadzi cysterny z wodą. Być może wszystko do jutra się skończy. Życie w świecie całkowitej niepewności coraz bardziej mnie frustruje. Ruszam za ciężarówką. Nie tylko dlatego, że się zezłościłam. Po prostu chcę wiedzieć, co się dzieje. Muszę pozbyć się choć jednego „być może”. Kelton wyraźnie nadaje na tych samych falach, ponieważ pedałuje zawzięcie tuż obok mnie.

Przejeżdżamy obok niższych budynków szkoły, boiska piłkarskiego i kortów tenisowych, wypatrując ciężarówki. Odpowiedź poznajemy dopiero po minięciu basenu.

Widzimy nie tylko tę ciężarówkę, która nas minęła, ale szereg innych, podobnych pojazdów. Pływalnia została całkowicie otoczona... ponieważ baseny w szkołach średnich jako jedyne nie podlegały uchwale „przeciwko lekkomyślnemu zużyciu”. Jako jedyne wciąż zawierają wodę.

Pływalnia jest teraz strzeżona przez żołnierzy z karabinami maszynowymi. Do basenu wpuszczono z dziesięć grubych węży strażackich, które zasysają wodę do ustawionych rzędem cystern. W pewnej chwili zauważa nas jeden ze strażników i zatrzymuje na nas spojrzenie. Nie odwracam wzroku, ale nie zamierzam zbliżyć się do niego ani na krok. Zupełnie jakbym to ja była teraz wrogiem.

– Powinienem się był domyślić – mówi Kelton, zły na siebie, że nie posiada całej wiedzy świata.

– Ci idioci chcą pić wodę z basenu? – wybucham śmiechem. – Mam znajomych w drużynie piłki wodnej i nasłuchiłam się różnych opowieści. Musieliby mi zapłacić grube pieniądze, żebym się stamtąd napiła.

– Jeżeli mogą odfiltrować sól, rybie flaki i kupy wielorybów z wody morskiej, z pewnością poradzą sobie ze wszystkim, co mogły zostawić po sobie w tej wodzie te palanty od piłki wodnej – stwierdza Kelton.

Z jakiegoś powodu otwiera mi się w głowie klapka. Co takiego Garrett powiedział, kiedy pchaliśmy zepsuty wózek przez Costco...?

Wydaję stłumiony okrzyk, a Kelton spogląda na mnie z ciekawością.

– Jason, przyjaciel Garretta, ma wielkie akwarium! Założę się, że Garrett pojechał do jego domu poprosić o trochę wody!

Garrett lubi się o wszystko obwiniać, ale nigdy nie miał skłonności do strojenia fochów, więc wydaje się oczywiste, że raczej spróbuje naprawić sytuację, niż uciec przed konsekwencjami. Sięgam po telefon i orientuję się, że nie mam go przy sobie. Został na stoliku przy łóżku. Idiotka.

– Mogę skorzystać z twojego telefonu? Powinnam zadzwonić do rodziców. Oni szybciej do niego dotrą.

Podaje mi telefon, ale po dłuższej chwili bezmyślnego wpatrywania się w ekran uświadamiam sobie, że nie znam numeru żadnego z rodziców. Nie znam niczyjego telefonu, jeśli pominąć mojego głupiego chłopaka z ósmej klasy, a on jest ostatnią osobą na ziemi, do której miałabym ochotę zadzwonić.

Nie chcę, żeby Kelton zobaczył po raz kolejny, jak bardzo jestem teraz beużyteczna, więc mówię tylko:

– W sumie to nie jesteście tak daleko. Chodź, pojedziemy tam.

Dwukrotnie objeżdżamy kwartał, w którym mieszka Jason.

– Nie masz pojęcia, który dom jest jego, prawda?

– Mógłbyś się zamknąć? – warczę, ponieważ dom Jasona kojarzę tylko w przybliżeniu. – Na trawniku od frontu rośnie wielkie drzewo – mówię. – Takie koszmarnie wielkie.

Ale nigdzie nie widzimy drzew o takich rozmiarach.

– Jestem pewna, że ulica się zgadza – mruczę pod nosem, kiedy zaczynamy trzecią rundkę.

Kelton namyśla się przez chwilę.

– W takim razie pobawmy się w detektywów – mówi. – Tak wielkie drzewo musiało z pewnością stanowić poważne naruszenie reguł Stowarzyszenia Mieszkańców. Uwierz mi, znamy się na tym w mojej rodzinie, ponieważ niemal wszystko, co robimy, jest naruszeniem jakichś reguł.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że nie wszyscy są tak uparci...

W końcu do mnie dociera.

– Pniak! Powinniśmy szukać pniaka!

Pięć domów dalej dostrzegamy go.

Kelton się uśmiecha. Jest z siebie zadowolony. W innych okolicznościach jego zachowanie byłoby pewnie irytujące, ale w tym wypadku zasługuje na uznanie. Ktoś inny pomyślałby pewnie, że kłamię albo zawodzi mnie pamięć. Tymczasem on przyjął, że mówię prawdę, i przeprowadził rozumowanie oparte na tym założeniu.

– Całkiem mądrze to wymyśliłeś – przyznaję, kiedy podjeżdżamy pod dom.

Wzrusza ramionami z fałszywą skromnością.

– To prosta dedukcja.

Wtedy też potwierdza się moja prosta dedukcja – dostrzegam rower Garretta za uschniętym żywopłotem przy drzwiach wejściowych.

Zeskakujemy z rowerów i podchodzimy do domu. Drzwi są uchylone. Pukanie do częściowo otwartych drzwi wydaje się trochę dziwne, ale tak robię. Nikt nie odpowiada, więc otwieram je na oścież.

Wchodzę do środka, Kelton idzie za mną. Wyczuwam zapach. Paskudny. Zgnilizna.

– To mogą być zwłoki – szepcze Kelton. Ignoruję go.

Salon wygląda całkiem normalnie. No, może poza jarmarcznym rzymskim posągami z genitaliami zakrytymi listkiem figowym. Są gusta i guściki.

– Chyba nikogo nie ma w domu...

Mam dość. Przechodzę na drugą stronę salonu.

– Garrett...? – wołam. Cisza. – Jest ktoś w domu?

Kelton przystaje niezdecydowany.

– Zdajesz sobie sprawę, że można całkowicie legalnie zastrzelić kogoś, kto włamuje się na teren twojej posiadłości...

– W porządku. Jak zginę, będziesz mógł powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

Kelton rusza za mną, ale zaraz potem przepycha się przede mną. Pewnie przypomniał sobie, że prawdziwemu harcerzowi nie wypada chować się za plecami dziewczyny.

Idziemy korytarzem. Z każdym krokiem wykładzina zachowuje się coraz dziwniej pod butami – coraz bardziej ugina się pod ich naciskiem. Jest mokra – a smród staje się coraz silniejszy.

W końcu dostrzegam coś przed sobą...

Tropikalna ryba – nie, dziesiątki ryb. Wszystkie martwe, rozrzucone po podłodze. Podnoszę wzrok i dostrzegam przyczynę... Wielkie akwarium jest rozbite. Sięgało po sufit; skały i korale, które wchodziły w skład wodnego ekosystemu, stoją wciąż w nienaruszonej postaci. To musi być

akwarium, o którym wspominał Garrett. Podchodzę bliżej, żeby przyjrzeć mu się dokładniej. Spora część przedniej szyby została roztrzaskana, przez co woda chlusnęła na zewnątrz – poza cienką, najwyżej dwucentymetrową warstewką na dnie. Bezradnie leży tam mały błaznek, gwałtownie wciągający wodę przez otwór gębowy. Jego ciało częściowo wystaje ponad powierzchnię. Biorę go do ręki i przekładam do innej części akwarium, gdzie będzie miał większe szanse na przeżycie...

– Tak to już wyglądało, kiedy tu przyszedłem – mówi głos za naszymi plecami. Odwracam się i widzę Garretta stojącego w drzwiach do kuchni.
– Poza tym to jest słona woda.

Cieszę się, że go znalazłam... ale zaraz potem tysiące pytań przedzierają się przez wały ochronne, które do tej pory pozwalały mi zachować spokój.

– W takim razie co tu jeszcze robisz? – pytam ostrym tonem, wściekła, że zmusił całą rodzinę do poszukiwań.

– Tata powiedział, że potrzebuje więcej sosu do makaronu, więc uznałem, że pożyczę jedną butelkę albo dwie – wyjaśnia. Unika przy tym, jak to on, odpowiedzi na podstawowe pytanie. Spuszcza wzrok i udaje, że kopie butem leżący na podłodze kamyczek. – No wiesz, nie mogłem wrócić z pustymi rękami.

– Mama i tata zamartwiają się na śmierć. Wszyscy zamartwiamy się na śmierć – mówię, choć sam pewnie dobrze to wie. Oddycham głęboko, by strząsnąć z siebie irytację, po czym rozglądam się po pokoju. – Co tu się stało?

Garrett wzrusza ramionami.

– Myślę, że wyjechali z miasta, a ktoś się włamał.

– Hm... – odzywa się Kelton, omiatając wzrokiem wszystkie nieżywe ryby. – Z pewnością nie przyszli na sushi.

W innych okolicznościach ta uwaga mogłaby nawet od biedy być zabawna.

Kelton schyla się i podnosi kawałek szkła. Unosi go w górę, jakby chciał mu się przyjrzeć. Od szkła odbija się promień światła... wtedy dostrzegam to, co on musiał zauważyć już wcześniej. Na szkle widnieje krew...

– Chodźmy stąd – mówi Garrett.

Ani Keltona, ani mnie nie trzeba do tego szczególnie zachęcać. Nie zabieramy nawet słoików z sosem do makaronu.

Kiedy wracamy do domu, mama i tata nie dają Garrettowi kary, co samo w sobie wydaje mi się trochę niepokojące, tylko zabierają się do przetrząsania domu w poszukiwaniu litrowych pustych butelek, które mogliby wziąć na wyprawę do urzędzeń odsalających.

– Sądzicie, że pozwolą nam nabrać więcej niż dziesięć litrów? – dopytuje mama z głową w spiżarni.

– Zawsze możemy wrócić po więcej! – odkrzykuje tata, pewnie z jakiejś szafy.

Garrett pojawia się w drzwiach od garażu z dużym kanistrem, z którego korzystamy w zasadzie wyłącznie na kempingach.

– To się nada?

– Zdecydowanie – mówi mama. W związku z brakiem spodziewanej kary Garrett stara się teraz być synem idealnym. Na moje oko wytrzyma w tym postanowieniu góra pięć minut.

– Opiekuj się bratem – zwraca się do mnie mama. – I uważaj na McCrackenów. Nie zapominaj, że dla takich ludzi wynaleziono trzymetrowe pale.

Tata zagląda do kuchni, żeby zabrać kluczyki do samochodu, które leżą w misce na blacie.

– Słuchaj matki – mówi, choć nie ma pojęcia, o czym była mowa.

– Kelton nie jest znów taki okropny – zauważam i od razu uświadamiam sobie, jak dziwnie te słowa muszą brzmieć w moich ustach.

Mama i tata ruszają w stronę drzwi z pustymi kanistrami pod pachą.

– No cóż, jego starszy brat wyrwał się stamtąd przy pierwszej nadarzającej się okazji. Tak szybko przebierał nogami, że spod butów leciały mu iskry – mówi tata.

Garrett uprzejmie przytrzymuje im drzwi. Mama całuje go w czoło.

– Do zobaczenia niedługo – mówię uśmiechnięta. Biorą priusa mamy, ponieważ auto taty nadal przechodzi rekonwalescencję w garażu. Właśnie w takich chwilach, kiedy działają razem, doceniam rodzinę, w której się wychowuję. Nastolatki przez cały czas narzekają, jacy to ich rodzice są żałośni, tymczasem moi zawsze potrafią znaleźć sposób, żeby pokazać, że jest dokładnie na odwrót. Ledwie znikają, ogarnia mnie dziecinny żal, że nie przytuliłam się do nich na pożegnanie.

6) Kelton

Postanowiłem nie mówić ojcu o wojskowych ciężarówkach, które widzieliśmy przy szkole. Nie dlatego, żebym nie uważał tego za istotne wydarzenie. Jako że wciąż nie udało nam się skontaktować z moim starszym bratem, Bradym, nie chciałem wprowadzać dodatkowego zamętu w domu. Uznałem, że to ryzykowne, skoro i tak mamy czekać tu na niego, a nie jechać do naszego schronu w górach. Dobrze wiem, że zarzewia katastrofy naturalnej szybko przerodzą się w głowie taty w płomienie apokalipsy. Szalonym wzrokiem zaczął toczyć już na samą wieść o zamknięciu szkół w tak wielu okręgach. Mnie to akurat nie przeszkadza. Nie dlatego, że nienawidzę szkoły – po prostu w ostatecznym rozrachunku więcej uczę się sam, w domu. Gdyby którekolwiek z rodziców miało do tego cierpliwość, pewnie zorganizowałiby mi edukację domową.

Żeby zająć czymś myśli, ładuję karabin do paintballu i idę poćwiczyć do ogródka. Trafiam bez problemu w każdy cel i próbuję sobie wmówić,

że to dobry omen. Urządzenia odsalające na wybrzeżu spełnią swoje zadanie. Ludzie ugaszą pragnienie. Wszystko będzie dobrze.

Tata wychodzi na patio.

– Nie zapomnij robić wydechu w chwili oddania strzału – poucza. Zna się na tym; ostatecznie przez dwanaście lat służył w piechocie morskiej. Mama lubi sobie żartować z jego kariery wojskowej: mówi, że tata uczestniczył w „misjach ekstrakcyjnych”, ponieważ – formalnie rzecz biorąc – pracował jako wojskowy dentysta i nigdy nie opuścił bazy.

Po kilku kolejnych strzałach wyczerpuje się nabój z dwutlenkiem węgla. Wchodzę do domu, żeby go wymienić, a ledwie kończę ładować nowy, słyszę pukanie do drzwi frontowych. Tata otwiera – przyszedł Roger Malecki, kolejny z naszych sąsiadów. Maleckim dopiero co urodziło się dziecko, więc nigdy nie widzimy ich razem. W sumie to nigdy nie widzieliśmy ich jednocześnie, nawet przed urodzeniem dziecka. Nikogo z naszej rodziny nie można nazwać duszą towarzystwa.

– Co słyhać, Roger? – pyta miło tata.

– Ech, lepiej nie mówić – odpowiada Malecki. – Samochód się przegrzewa. Do tego mamy problem ze ściekami. Cały dom śmierdzi.

– Doskonale cię rozumiem – mówi tata. – Wiesz, że Morrowowie z sąsiedniego domu mieli ten sam problem? – Nie proponuje Maleckiemu specjalnego płynu.

Malecki nagle zaczyna unikać kontaktu wzrokowego. Ojciec nie ma cierpliwości do takich podchodów.

– W czym mogę ci pomóc, Roger?

Malecki ciężko wzdycha.

– Chodzi o dziecko. Hannah nadal ma pokarm, ale jest coraz bardziej odwodniona. Obawiam się, że niedługo przestanie móc karmić piersią. Mamy trochę mleka w proszku, ale bez wody i tak jest bezużyteczne...

– Przykro mi to słyszeć – mówi szczerze tata. – Jak mogę pomóc?

– No cóż... Wiemy, że macie zapasy na czarną godzinę. Do diaska, wszyscy wiedzą, że macie zachomikowane dostatecznie wiele, żeby przetrwać apokalipsę. – Malecki nerwowo się śmieje, gdy widzi, że tata marszczy czoło na dźwięk słowa „zachomikowane”. Zupełnie jakby bycie przygotowanym na najgorsze zasługiwało na szyderstwa. Wtedy zauważam, że dłonie Maleckiego drżą z podenerwowania, zupełnie jakby odbył wcześniej tę rozmowę wielokrotnie w głowie, a mimo to się pomylił.

Dostatecznie dobrze znam tatę, żeby wiedzieć, że nie daje „jałmużny”. Poza tym od jednej spełnionej prośby prowadzi prosta droga do fali kolejnych. A jeśli tata czegoś naprawdę nienawidzi, to prostych dróg.

Tata jakby od niechcienia kładzie rękę w strategicznym miejscu na drzwiach. Nie żeby je od razu zamknąć, ale żeby w razie potrzeby móc to szybko zrobić.

– Kluczowe słowo, Roger, to „przetrwać”. Mamy wystarczająco dużo, żeby przetrwać.

Malecki potrzebuje chwili, żeby zebrać myśli i podjąć kolejną próbę.

– Jasne, rozumiem – mówi. – Macie zasady i nie chcecie ich naruszać... ale, Richard, błagam cię... Coś na pewno mógłbyś zrobić... Bo przecież... dziecko...

Tata rozważa w myślach opcje.

– Niewątpliwie mógłbym udzielić ci kilku wskazówek – stwierdza.

– Wskazówek?

Tata wskazuje ręką na ogród Maleckich.

– Macie piękne sukulenty. Moglibyście je zmielić i wycisnąć z nich co najmniej cztery litry wody. Mogę ci nawet pokazać, jak zbudować skraplacz.

– Sukulenty? – Malecki wybucha pełnym niedowierzania śmiechem.

Tata uśmiecha się uprzejmie.

– Sukulenty – poprawia łagodnym tonem. – Jutro mielibyście wodę do picia.

Uśmiech znika z twarzy Maleckiego, kiedy orientuje się, że tata nie żartował.

– Muszę się opiekować rodziną. Nie mam teraz czasu na takie rzeczy!

– Jeżeli chcesz mieć wodę, powinieneś go wygospodarować.

Oczy Maleckiego zwężają się, a wargi wykrzywają się z wściekłości. Robi krok do przodu, przybliżając się do twarzy taty.

– Za kogo ty się, u diabła, uważasz?

Tata jest spokojny. Opanowany.

– Roger, proponuję ci coś znacznie cenniejszego od butelki wody: samodzielność.

Maleckiemu rzędzie mina, a w jego oczach pojawia się dziwne, szalone spojrzenie.

– I co, zamierzasz przyglądać się beczynnemu, jak mojej żonie skończy się pokarm w piersiach?

– Jak śmiesz złościć się na mnie? Czy to ja ponoszę winę za twoją krótkowzroczność?

– Skurwysyn z ciebie i tyle, wiesz?

Tata ma dość. Nie znosi głupców, a do tej właśnie kategorii zalicza wszystkich, którzy oczekują, że ktoś rozwiąże za nich ich problemy.

– Proponuję, żebyś tu wrócił, kiedy będziesz gotowy zachowywać się jak normalny członek wspólnoty.

Próbuje zatrzaskać drzwi, ale Malecki rzuca się do przodu i blokuje je nogą w taki sposób, żeby nie dało się ich zamknąć.

– Powinieneś ci przyłożyć, to przestałbyś się głupio uśmiechać – warczy, mimo że tata wcale się nie uśmiecha, tylko próbuje wypchnąć go ramieniem. Maleckiemu sił dodaje jednak wywołany desperacją wyrzut adrenaliny. Wpycha się jeszcze bardziej do środka. Tata traci równowagę i drzwi otwierają się na oścież.

Właśnie wtedy unoszę karabin, wypuszczam powietrze z płuc i naciskam spust. Trzykrotnie. Trafiam Maleckiego w środek klatki piersiowej. Dokładnie tam, gdzie celowałem. Siła uderzenia odrzuca go na ościeżnicę. Wyparowuje z niego cała brawura. Zawodzi w przekonaniu, że umiera. Sięga rękami do klatki piersiowej i dotyka niebieskiej fluorescencyjnej mazi na koszuli. Moje serce łomocze pewnie równie mocno jak jego. Podnosi na mnie rozzalone, oszołomione spojrzenie, zupełnie jakbym rzeczywiście przestrzelił mu pierś. Sięgam do plecaka wiszącego na wieszaku przy drzwiach do salonu. Wsuwam rękę do środka, grzebię przez chwilę i wyciągam butelkę z wodą, którą kupiłem w szkole, kiedy było to jeszcze coś zupełnie normalnego. Wpycham ją w jego niebieskie, ociekające mazią ręce.

– Zabieraj to i zjeżdżaj – rozkazuję.

Malecki spogląda na butelkę z wodą i czerwienieje na twarzy ze wstydu, zupełnie jakby resztki człowieczeństwa zdołały jednak przebić się na powierzchnię. Odwraca się i po prostu znika.

Tata błyskawicznie obraca się w moją stronę. Z ust cieknie mu krew, a jego twarz przybiera charakterystyczny, agresywny wygląd – nie potrafię określić, czy nakręciła go przepychanka z sąsiadem, czy naprawdę nie aprobuje tego, co zrobiłem. Nie chodzi o to, że ostrzelałem Maleckiego farbą, ale że dałem mu wodę.

– To nie była twoja sprawa – stwierdza surowym tonem. – Nie powinienesz być się do tego mieszać.

– Tak, ojciec – odpowiadam. – Wiem, ojciec. – Zawsze nazywam go w ten sposób, kiedy się na mnie wkurza.

Zamyka drzwi i odchodzi.

Tak czy inaczej, cieszę się z tego, jak postąpiłem. Nie dlatego, że od zawsze fantazjowałem o strzelaniu do sąsiadów z karabinu do paintballu, ale ponieważ wiedziałem, co się zaraz zdarzy. Co by się stało, gdybym nie pociągnął za spust? Czy tata sam to wiedział? W kulminacyjnym punkcie

konfrontacji jego dłoń instynktownie przesunęła się w dół w kierunku paska... gdzie w kaburze spoczywał jego pistolet.

Część druga. Trzy dni do zezwierżenia

Migawka 1/3: Aktywistka

Camille Cohen nigdy nie lubiła obojętności biurokracji i ludzi sprawujących władzę. Jeszcze w szkole średniej głośno wytykała przypadki hipokryzji w programie nauczania albo dyskryminacji w systemie dyscyplinarnym. Od tego czasu niewiele się zmieniło. Teraz studiuje ekologię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine. Jedyna różnica polega na tym, że wreszcie dostrzega szansę, żeby naprawdę zmienić świat.

Tak naprawdę każdy głupi powinien być się domyślić, że prędzej czy później skończy się woda. Wystarczyło – jak ona – czytać kwartalne raporty na temat zasobów wodnych. Wszystko jasno wynikało z danych. Ale żeby całkowicie ignorować te raporty i wzbudzać w ludziach błędne przekonanie, że problem jest pod kontrolą? To wymagało biegłego postępowania się bardzo szczególnym zestawem umiejętności. Właśnie takich superzłoczyńców Camille chciałyby kiedyś doprowadzić do upadku. Ma nadzieję, że uda jej się tego dokonać możliwie najszybciej.

Na kilka tygodni przed Suchymi Kranami Camille kierowała protestem przed budynkiem władz hrabstwa w Santa Ana, w którym wzięła udział rekordowa liczba demonstrantów – wszyscy studenci jej college'u. Wiedziała, że jedna pikietka to za mało. A jeśli wcześniejsze działania czegoś ją nauczyły, to tego, że do prawdziwych zmian dochodzi tylko za sprawą trwałej presji i nieszablonowych działań.

Jasných. Konkretných. Działání.

Inspiracją do dzisiejszego działania będzie to, co widzi na drodze przed sobą. Najpierw czuje szok, później wściekłość – przed nią jedzie ciężarówka z wodą należąca do jednego z licznych miast dotkniętych niedoborem wody. Czterdziestolitrowe butle wstawione na pakę są wyraźnie widoczne i muszą

potwornie kłuć w oczy coraz bardziej spragnioną populację. Ciężarówka wiezie wodę dla jakichś uprzywilejowanych ludzi. Symbolizuje wszystkie kłamstwa, które Camille próbuje od dawna obnażyć ze wszystkich sił.

Zamiast więc jechać dalej na zachód w stronę urzędzeń do odsalania wody, które ustawiono na plaży, przekręca kierownicę w prawo i podąża za ciężarówką.

Migawka 2/3: Transport wodociągów hrabstwa Orange

David Chen pracuje w wodociągach hrabstwa Orange od niemal roku, a w ostatnim czasie musi wykonywać coraz bardziej stresujące zadania. Dziś kieruje ciężarówką wyładowaną wodą pitną; obok niego – niczym w dylizansie na Dzikim Zachodzie – siedzi gość ze strzelbą. W kamizelce kuloodpornej. Zresztą David też dostał kamizelkę. „Tak na wszelki wypadek – powiedzieli mu. – Nie musisz się niczego obawiać”. Zupełnie jakby był idiotą.

Kamizelka jest ciężka, cały się pod nią gotuje i nawet klimatyzacja w szoferce nie jest w stanie go ochłodzić. Poci się dosłownie i w przenośni.

W związku z awaryjnym wyłączeniem całej sieci wodociągowej w hrabstwie i nieustannymi problemami z systemem komputerowym, który próbuje rozdysponowywać resztki zasobów, David rozwozi wodę ciężarówką do miejsc szczególnego znaczenia. Ledwie wczoraj kierował jedną z dziesięciu cystern, które przewiozły zawartość basenu pływakiego z pewnej szkoły średniej do bazy piechoty morskiej Camp Pendleton. Ale w czasie kryzysu trzeba podejmować desperackie działania, a ludzie odpowiedzialni za zasoby wodne próbują za wszelką cenę zapobiec całkowitej katastrofie.

Jest późne popołudnie, a David wykonuje dopiero trzeci kurs tego dnia. Na drogach robi się coraz większy ruch, a nawigacja satelitarna kieruje wszystkich na te same objazdy, co tylko pogłębia problem. Obecne zarządzenie mówi, że cała woda z miejskich wodociągów ma być przekazywana

w pierwszej kolejności szpitalom i placówkom rządowym. Pomoc zwykłym obywatelom zapewni Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego.

David zdążył już zwinąć niebieski kilkudziesięciolitrowy pojemnik dla siebie i rodziny. Nikt nie zauważył braku jednej butli. David traktuje ją jako nieoficjalne wynagrodzenie za pracę w warunkach bojowych.

Pojemnik zawiera odzyskaną wodę. Do czego to już doszło. Zaczęli pić wodę, która znajdowała się w sieci wodociągowej w chwili, kiedy ją wyłączono. Wodę, która opuściła domy tuż przed Suchymi Kranami i wracała do wodociągów hrabstwa Orange.

Nie wypuszczą jej przecież do oceanu. Należy ją tylko uzdatnić. Wystarczy zastosować mikrofiltrację, odwróconą osmozę, promieniowanie ultrafioletowe i – abrakadabra! – ścieki wyprodukowane ostatniego dnia zostały przekształcone na prawie dwieście tysięcy litrów wody pitnej. Oczywiście nikt nie powinien jej pić. Przepisy mówią, że powinna zostać wykorzystana do nawadniania terenów publicznych. Podanie takiej odzyskanej wody, niezależnie od jej czystości, mściwemu, wybrednemu społeczeństwu zakończyłoby się PR-owym koszmarem.

Ale teraz nikogo nie obchodzi, skąd wzięta się woda.

Tego popołudnia David wykonuje jeden z najważniejszych transportów. Woda ma trafić do pracowników uwięzionych za szczelnie zamkniętym ogrodzeniem elektrowni w miejscowości Huntington Beach. David słyszał, że elektrownia, w której na normalnej zmianie pracuje około czterdziestu osób, zapewnia teraz schronienie wszystkim pracownikom Applied Energy Services i Southern California Edison. Na terenie zakładu przebywa obecnie ponad trzysta osób. Powstał tam swego rodzaju obóz dla uchodźców, do którego trzeba dostarczyć wodę.

Kiedy zjeżdża z autostrady biegnącej wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, elektrownia połyskuje przed nim niczym paskudny industrialny miraż; gorące powietrze sprawia, że budynki migoczą mu przed oczami. Zatrzymuje się kawałek przed budką strażników, ponieważ ktoś stoi na drodze i uniemożliwia

mu dalszą jazdę. Nie jest to pracownik elektrowni, ale jakaś najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna. Z jej postawy i gniewnego, spragnionego spojrzenia wynika jasno, że nie pozwoli mu przejechać.

Tymczasem sfrustrowany tłum ludzi, którzy po drugiej stronie autostrady czekają na plaży na maszyny do odsalania wody, zaczyna zwracać uwagę na jego ciężarówkę.

Migawka 3/3: Kierownik elektrowni

Jako dziecko Pete Flores chciał zostać iluzjonistą. Po osiągnięciu dorosłości odnalazł magię w sterowaniu przepływem prądu elektrycznego. Było to zajęcie najbliższe jego dziecięcym marzeniom, ponieważ jako kierownik elektrowni dokonywał magicznej sztuki i powoływał do istnienia elektryczność z gazu ziemnego. Jego elektrownia w Huntington Beach wytwarza czterysta pięćdziesiąt megawatów energii, co pozwala zapewnić dostawy prądu do niemal pół miliona gospodarstw domowych. Problem w tym, że po raz pierwszy od czasu objęcia przez niego kierownictwa elektrownia stanęła w obliczu bezprecedensowego wyzwania.

Czy powinien odmówić pracownikom schronienia? Czy powinien odmówić, kiedy o to samo poprosiły inne zakłady energetyczne? Czy powinien odmówić, kiedy ludzie pytali, czy mogą przybyć rodzinami?

Departament spraw wewnętrznych na pewno by odmówił. Nie dlatego, że kierowali nim ludzie nieczuli, ale ponieważ nie mieli oni kontaktu z terenem. Nie dostrzegali ludzkiego wymiaru obecnego kryzysu. Może się okazać, że dostanie naganę za to, co zrobił, albo straci pracę, postanowił jednak, że nawet wtedy nie będzie żałował swojej decyzji. Pogodził się z tym, że najbliższe dni będą coraz trudniejsze, ale praca napawała go dumą.

„Nasze wyzwania to pestka”, myśli, wspominając elektrownię atomową w Fukushimie w Japonii, gdzie w wyniku trzęsienia ziemi i wywołanego przez nie tsunami doszło do katastrofy. Generatory zostały zalane i się wyłączyły,

reaktory się przegrzały, co doprowadziło do stopienia się rdzenia reaktora. Jak zachował się dyrektor tamtej elektrowni? Nie uciekł, ale mimo zagrożenia postanowił zostać z pracownikami i przystąpił do chłodzenia reaktora za pomocą wody morskiej. Ludzie ci przyjęli śmiertelną dawkę promieniowania, ale dzięki swoim działaniom zmniejszyli dziesięciokrotnie skażenie środowiska. Tak należy się zachować, kiedy w naszych rękach znajdzie się los milionów ludzi. Czasami kapitan musi pójść na dno razem ze statkiem.

Ponieważ elektrownia została uznana za obiekt priorytetowy w czasie kryzysu wodnego, spełniano zgłaszane przez Pete'a prośby o dostarczenie pożywienia i wody. Właśnie dlatego na teren zakładu przybyły rodziny pracowników. Teraz Pete jest nie tyle kierownikiem elektrowni, ile raczej burmistrzem. To jednocześnie przerażająca i ekscytująca perspektywa. Zastanawia się, czy w przyszłości, kiedy zostanie zwolniony za udzielenie pomocy tym wszystkim ludziom, nie miałby szans na sprawowanie jakiegoś stanowiska publicznego.

Dziś turbiny pracują na pełnych obrotach, ponieważ elektrownie w Redondo i Palomar zostały wyłączone. Nieoficjalnie mówi się, że doszło do tego z powodu wykuszenia się pracowników. Po prostu przestali się pojawiać w pracy. Postawieni przed wyborem między zajmowaniem się produkcją prądu a zajmowaniem się rodzinami w czasie Suchych Kranów wybrali rodziny. Utwierdza to tylko Pete'a w przekonaniu, że przyjęcie najbliższych osób pracowników było słuszną decyzją. Mimo to zamknięcie dwóch elektrowni go niepokoi. Gdyby doszło do kolejnych zamknięć, groziłoby to postępującą awarią sieci elektrycznej, a wobec nieobecności tylu kluczowych pracowników trudno powiedzieć, kiedy udałoby się rozwiązać taki problem.

Później tego popołudnia kierownik dyspozytorni informuje go, że ciężarówka z wodą, na którą czekali cały dzień, podjechała pod bramę.

– Mamy jednak pewien problem – dodaje.

Pete słucha ostrożnie. Choć jego praca ogólnie polega na rozwiązywaniu problemów, te, z którymi musi się mierzyć w ostatnim czasie, wykraczają

trochę poza jego kompetencje.

- Jakiego rodzaju problem?
- Powinien pan to chyba zobaczyć na własne oczy.

Większość kamer monitoringu pokazuje normalną aktywność na terenie elektrowni. Technicy i maszyny w strefach ograniczonego dostępu, a w pozostałych – liczni goście zakładu, zajmujący się swoimi sprawami.

Jednak kamery zamontowane przy głównej bramie pokazują zupełnie co innego. Pokazują obraz, który przeszywa Pete'a niczym tysiącwoltowy impuls.

Pod bramą stoi kilkadziesiąt osób. Pete myśli w pierwszej chwili, że to jakiś protest albo nietypowa demonstracja. Ostatecznie należy się ich spodziewać w czasie klęski suszy. Tylko dlaczego akurat tutaj? Po chwili zdaje sobie sprawę z obiektu zainteresowania ludzi.

To ciężarówka, która właśnie podjechała. Teraz jest całkowicie otoczona.

Ci ludzie nie protestują, ale robią coś znacznie groźniejszego – działają pod wpływem desperacji.

- Ilu strażników mamy na służbie? – pyta Pete kierownika dyspozytorni.
- Trzech – słyszy w odpowiedzi – w tym jednego przy tej bramie.
- Sprowadź ich tu wszystkich!
- Czy mam to zgłosić departamentowi spraw wewnętrznych?
- Żartujesz? Dzwoń od razu na policję!

W tej samej chwili tłum na ekranie przystępuje do działania. Wszyscy jednocześnie. Ściągają butle z ciężarówki, rozbijają przednią szybę szoferki. Wyciągają kierowcę. Mój Boże! Wszystko to wydarzyło się w mgnieniu oka!

Z siedzenia pasażera wyłania się ktoś o wyglądzie ochroniarza.

- Czy to jest strzelba?

Mężczyzna unosi ją w powietrze i bez słowa oddaje strzał ostrzegawczy; sekundę później Pete słyszy opóźniony głuchy odgłos wystrzału. Mężczyzna, który wypalił ze strzelby, nie ma szans na oddanie kolejnego strzału, ponieważ tłum wyrywa mu broń i ściąga go na ziemię w kłębowisko rozwścieczonych rąk.

Kierownik dyspozytorni wzywa pozostałych ochroniarzy i nerwowo wydzwania na numer alarmowy, ale jest za późno – kierowany słuszną wściekłością tłum otwiera bramę i wlewa się na teren elektrowni Pete'a. A to już nie jest kilkadziesiąt osób. Mogą ich być setki.

Bezradny dyrektor elektrowni Pete Flores wpatruje się w ekran monitoringu i uświadamia sobie, że podobnie jak sama elektryczność, tłum jest siłą równie niszczycielską jak japońskie tsunami... i że być może nadeszła chwila, kiedy on będzie musiał pójść na dno ze statkiem.

7) Kelton

Z każdą chwilą narasta we mnie wrażenie, że mama nie jest zbyt zadowolona z tego, w jaki sposób tata postąpił w konfrontacji z Maleckim, ponieważ podaje dziś kolację godzinę wcześniej niż zwykle – to reakcja stresowa, która pojawia się u niej, ilekroć w domu wytwarza się nerwowa atmosfera. Kolacja o tej porze oznacza, że mama może się położyć do łóżka wcześniej i zakończyć nieprzyjemny dzień. Mama jest też kompulsywną „zamrażaczką”, a ponieważ staramy się oszczędzać jedzenie, na kolację dostajemy rozmrożoną szynkę upieczoną w miodzie z Wielkanocy i połowę zapiekanki z zielonego groszku, która może pochodzić jeszcze z Bożego Narodzenia, choć głowy nie dam.

Mama napełnia szklanki wodą. Nalała więcej, niż powinniśmy dostać, zważywszy na wyznaczone racje, a przy tym wyraziła się dobitnie – napełniła je po krawędź, przez co nie da się ich unieść bez rozlewania zawartości szklanki. Kolejny znak, że jest zła na ojca.

Tata zasiada na swoim miejscu u szczytu stołu i początkowo nie zauważa podszytych irytacją gestów mamy, tylko zabiera się do krojenia swojej porcji szynki. Zgrzytanie sztućców. Tykanie zegara. Nikt nic nie mówi, atmosfera jest tak gęsta, że potrzebna byłaby maczeta, żeby

przedrzeć się do lodówki i z powrotem. W końcu tata zauważa szklanki. Spogląda na mamę, spogląda na mnie i wraca do krojenia.

Próbuję rozluźnić atmosferę czymś pozytywnym.

– Brady przyjedzie? – pytam, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

Odpowiada tata:

– Nadal nie udało nam się z nim skontaktować.

Świetnie mi poszło to rozluźnianie. Uświadamiam sobie, że brak odpowiedzi od Brady’ego to jeden z powodów, dla których rodzice są tak zestresowani. Brady nigdy nie przepadał za rozmowami telefonicznymi. Ani odpisywaniem na maile. W sumie nie przepada za żadną metodą komunikacji. Ostatnimi czasy odzywa się tylko wtedy, kiedy sam ma na to ochotę, a odpisuje albo oddzwania tylko wtedy, kiedy musi. Spodziewałem się, że Suche Krany to zmienią, ale najwyraźniej się myliłem.

– Czekamy na niego, prawda? – pytam. – Zanim wyjedziemy do schronu?

Tata z zapamiętaniem przeżuwa kęs szynki.

– Powinniśmy niedługo ruszać – stwierdza. – Widać już, że wszystko się zaraz posypie.

Mama uzupełnia moją opróżnioną do połowy szklanę; znów nalewa do krawędzi.

– Marybeth, woda ma starczyć na dłużej – mówi w końcu tata, wskazując widelcem na szklanę.

– Twój syn jest spragniony. – Tak się akurat składa, że nieszczególnie.

– I dobrze. Lekkie pragnienie będzie nam przypominać, że powinniśmy racjonować zapasy – ripostuje tata. Jeszcze chwila, a zaczną kipieć gniewem.

– Mamy pod dostatkiem wody – przypomina mu mama. – A jeśli nie zamierzamy się nią dzielić, równie dobrze możemy ją wypić całą sami, aż popękamy. – Już jako małe dziecko nauczyłem się rozpoznawać, kiedy

rodzice toczą przy mnie zawołowaną kłótnię, ponieważ zaczynają wtedy przesadnie akcentować niektóre słowa.

– Nieustannie się czymś dzielimy – mówi tata. – Pokazałem Clarkom, jak zbudować przenośną szklarnię, dałem im nawet część potrzebnych materiałów. A twoich przyjaciół, którzy mieszkają kawałek dalej, nauczyłem, jak postawić przybudówkę.

Mama wstaje i wyrzuca swój papierowy talerz, mimo że prawie nic nie zjadła.

– Nie rozumiem, jak mogłoby nam zaszkodzić podzielenie się niektórymi artykułami pierwszej potrzeby, na przykład wodą, jeżeli i tak zamierzamy je tu zostawić, kiedy wyjedziemy do schronu.

Tata bierze głęboki wdech, co wskazuje, że zamierza wygłosić kazanie.

– Dobrze wiesz, jak by to wyglądało, Marybeth. Jeżeli zaczniemy rozdawać wodę, ludzie będą się domagali, żebyśmy dali im więcej. A kiedy dojdzie do siłowego starcia, po prostu przywłaszczą sobie resztę. Jak widzisz – wyciąga rękę w kierunku domu Maleckich – na tym etapie niebezpieczne może być nawet dzielenie się informacjami.

– To są nasi sąsiedzi!

– Kiedy nasze przetrwanie wisi na włosku, nie mamy sąsiadów!

– Będziemy musieli żyć obok tych ludzi, kiedy to wszystko się skończy.

– Żyć to kluczowe słowo w tym zdaniu! Jeżeli sytuacja jest tak poważna, jak mi się wydaje, nie wszyscy przeżyją, a jeśli zamierzamy należeć do tej kategorii, musimy trzymać się naszego planu i nie szastać zapasami. Chcesz zacząć je rozdawać? Świetnie. Zostaw otwarte drzwi, kiedy wyjedziemy do schronu, a ci rabusie splądrują dom do gołych ścian.

Mama nie wytrzymuje. Tata powiedział dokładnie to, czego nie powinien. Zawsze mówi coś takiego w czasie kłótni, a wtedy mama całkowicie się wyłącza. Zamyka się w sobie i milknie. Bardzo możliwe, że pozostanie w tym stanie cały wieczór, może też jutro.

Staję w jej obronie, choć używam argumentu, który powinien przemówić do ojca.

– Jako Pasterze powinniśmy służyć radą innym, tymczasem nie robimy niczego, żeby pomóc Owcom – mówię.

– Zanim zaczniemy pomagać innym, musimy się upewnić, że sami jesteśmy bezpieczni.

– A kiedy to się stanie?

– Powiem ci. – Tata składa serwetkę, wypija całą wodę, przełykając głośno każdy haust, po czym wychodzi z kuchni, zostawiając mnie samego z załamana mamą i surrealistycznym obiadem świątecznym rodem z piekła.

Podobne kłótnie między rodzicami zdarzają się regularnie, odkąd pamiętam. To jeden z powodów, dla których Brady wyjechał z domu zaraz po ukończeniu szkoły średniej. Odmówił nawet pójścia na Stanford, mimo że dostał się na tę uczelnię. To wystarczyło, żeby uczynić go wrogiem ludu w oczach ojca. Przez kilka ostatnich miesięcy szkoły tata wciąż suszył mu o to głowę. „Zdajesz sobie sprawę, jaką szansę marnujesz?”, powtarzał. „Poświęcasz całe swoje życie dla jakiejś dziewczyny!” Brady w ten właśnie sposób uzasadnił wyjazd. Jego dziewczyna szła do Saddleback – lokalnego college’u – a on nie chciał się z nią rozstawać.

Nie był to jednak prawdziwy powód. Znam Brady’ego lepiej niż moi rodzice. Tak naprawdę nie chciał iść na Stanford, ponieważ się bał. Nie jestem tylko do końca pewien czego. Że będzie musiał sobie radzić sam? Że się nie sprawdzi? Że będzie żył wśród obcych? Może wszystkich tych rzeczy. Tak czy inaczej wyprowadził się z domu, dostał pracę w sklepie z grami komputerowymi GameStop i od tego czasu wracał tu tylko na święta. Przestał przyjeżdżać z dziewczyną, co oznacza, że albo ona nie znosi naszej rodziny, albo on z nią zerwał. Brady nie wyjaśnił, co się stało.

Mimo że tata nie zgadza się z wyborami życiowymi Brady'ego, nadal bardzo go kocha. Wiem, że tak jest, ponieważ choć regularnie wymieniamy zamki w drzwiach, tata zawsze zostawia w ogrodzie ukryty klucz dla Brady'ego na wypadek, gdyby jednak przyjechał do domu. Brady jest jedyną poza nami osobą w całym wszechświecie, która ma prawo ominąć wszystkie zabezpieczenia.

W dniu rozpoczęcia Suchych Kranów tata wysłał do niego esemes, a potem zadzwonił i nagrał wiadomość, że Brady musi pojechać z nami do schronu. Jak wspomniałem, Brady nie należy do osób, które od razu odpowiadają na wiadomości. Ja sam utrzymuję z nim kontakt głównie przez sieciowe gry RPG. Wciela się w nich w rycerza, kupca albo zabójcę, a ja zawsze jestem jego pomagierem. W ostatnich dniach logowałem się do różnych gier z nadzieją, że go tam zastanę, ale jak na razie bez skutku.

Po dzisiejszej kłótni mama zalega na kanapie z nieobecnym wyrazem twarzy, nafaszerowana środkami uspokajającymi. Wpatrzona w wiadomości telewizyjne, wyzywająco opróżnia czterolitrową butlę wody. Tata wycofuje się do garażu, gdzie z całych sił oddaje się spawaniu i piłowaniu. Wygląda zatem na to, że nie zdążyli się jeszcze pogodzić.

– Wszystko w porządku? – pytam mamę.

– Tak, Kelton – odpowiada. – Po prostu jestem zmęczona.

Znaczeniami używanego przez nią słowa „zmęczona” można by zapełnić kilka tomów słownika.

Domyślam się, że tata pracuje nad jedną z pułapek, które zaprojektowaliśmy dwa tygodnie temu w sobotę. Nie wątpię, że wyjdzie mu wspaniale. W złości tata zrobił swoje najlepsze narzędzia walki. Tak czy inaczej, nadszedł idealny moment, żebym ulotnił się z domu. Postanawiam zajrzeć do Alyssy.

Zastaję ją i jej brata na tylnej werandzie ich domu. Powoli się ściemnia, tymczasem oni mocują się z czarnym workiem na śmieci, wiaderkiem i grillem. Wygląda na to, że próbują zbudować skraplacz do

oczyszczania wody, a choć jestem pod ogromnym wrażeniem, że wiedzą w ogóle, co to jest skraplacz, od razu widzę, że źle się do tego zabrali.

– Hej – rzucam luźnym tonem.

– Hej – odpowiada Alyssa zza worka na śmieci.

– Nie sądzicie, że najlepiej byłoby zajmować się tym za dnia? Słońce już prawie zaszło. No wiecie, w związku z parowaniem...

Alyssa z frustracją odrzuca worek.

– Zaczęliśmy za dnia – odpowiada rozzłoszczona. – Zresztą nie ma znaczenia, czy jest dzień czy noc, bo urządzenie nie działa.

Opiera się o ścianę domu i upija łyk wody z butelki, w której niewiele już zostało.

– Zachowaj swoją na później i napij się ode mnie – mówię, wyciągając manierkę. Alyssa bierze ją bez wahania i pije.

– Ile mi policzysz za tego łyka? – pyta. – Dziesięć dolców? Dwadzieścia?

Uśmiecham się.

– Nie przejmuj się tym. Mamy stutrzydziestolitrowy zbiornik, zapomniałaś?

Oddaje mi manierkę.

– Przepraszam – mówi. – Puszczają mi nerwy. Rodzice pojechali na plażę i jeszcze nie wrócili.

– Minęło sześć i pół godziny – dodaje Garrett, który ze słów siostry odczytał, że powinien być zaniepokojony.

Uświadamiam sobie, że w tej rozmowie powinienem odgrywać rolę optymisty. Nie jestem do tego przyzwyczajony, ale w tak trudnych czasach człowiek musi być elastyczny.

– Jestem pewien, że nic im nie jest – zapewniam ją. – Kolejki muszą być strasznie długie, a droga powrotna może zająć więcej czasu.

– Nie odbierają telefonów – informuje Garrett.

– Mówiłam ci, że pewnie padły im telefony – tłumaczy Alyssa bratu. – Mamie zawsze szybko wyładowuje się bateria, a dobrze wiesz, że tata wciąż zapomina naładować telefon.

– Poza tym – podpowiadam – sieć może być przeciążona. Sieci komórkowe zapychają się w miejscach, gdzie występuje natłok ludzi.

– Jak na koncercie! – mówi Alyssa z nieskrywaną ulgą.

– Tak właśnie.

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak czekać i mieć nadzieję, że wszystko jest okej – pociesza samą siebie. Robi mi się miło, że mogłem przynajmniej tchnąć w nią trochę optymizmu.

Ich pies, Kingston, podchodzi niemrawo do Alyssy i trąca ją nosem, który jest znacznie bardziej suchy, niż powinien. Rozlewam mu trochę wody na podłogę werandy, a on ją chłepcze.

– Słuchajcie, zastanawiałem się trochę nad tym i wymyśliłem, skąd moglibyście wziąć wodę – mówię tajemniczo, niczym iluzjonista przedstawiający kolejną sztuczkę.

– Skąd? – pyta Garrett.

– Pokażę wam!

Prowadzę ich do wnętrza domu i zatrzymuję się w kuchni.

– Zamrażalnik. Zdrapaliście lód ze ścianek?

– Wpadliśmy na to już pierwszego dnia – odpowiada Alyssa, krzyżując ręce na piersiach. – Mamy system *no-frost*. Żaden lód się nie osadza.

Uchylam drzwiczki do zamrażalnika.

– Lód nie osadza się tylko wtedy, kiedy drzwiczki są zamknięte. Jeżeli zostawicie je uchylone, woda skropi się na ściankach i zamarznie. Wtedy będziecie mogli ją zdrapać i stopić.

– Hej, to całkiem sprytny pomysł – mówi ze szczerym podziwem Garrett.

Opieram się nonszalancko o lodówkę i niechcący zatrząskuję z powrotem zamrażalnik.

– W końcu jestem drugi w naszej klasie.

– To nie pierwszy? – droczy się Garrett.

Tym razem uśmiecha się Alyssa.

– Niech zgadnę – mówi. – Zeik Srinivasar-Smith.

Wzdycham na dźwięk tego nazwiska.

– Zeik Srinivasar-Smith.

Uczeń, który przyjechał do nas na wymianę, Bóg wie skąd. Prawdopodobnie ma jakąś mutację genetyczną.

Wygląda na to, że nadarza się okazja, żebyśmy się do siebie zbliżyli, ponieważ Alyssa zbiera się, żeby opowiedzieć o własnych doświadczeniach z Zeikiem – każdy w szkole ma jakąś osobistą historię na jego temat – ale jej uwagę przykuwa coś, co pojawiło się na ekranie telewizora w salonie. Wiadomości. Pożary lasów i policyjne oddziały prewencji w centrum Los Angeles. Prezenter – serwis prowadzi tylko mężczyzna, a nie jak zwykle mężczyzna i kobieta – mówi: „Mieszkańcy proszeni są o pozostanie na wszelki wypadek w domach i zachowanie spokoju”. Zaprzeczeniem uspokajających słów dziennikarza jest informacja na pasku, która przesuwana się na dole ekranu: „FEMA ogłasza oficjalnie stan klęski żywiołowej w południowej Kalifornii”.

Obraz nagle gaśnie. To Garrett wyłączył telewizor. Ucieka z pilotem, żebyśmy nie mogli znów włączyć wiadomości.

– Nie chcę tego oglądać... tylko próbują nas nastraszyć!

– Mówią, że powinniśmy zachować spokój – zauważa Alyssa.

– Taaa, to samo mówili pasażerom Titanica, kiedy ludzie i tak wiedzieli już, że statek idzie na dno.

Ma rację. Z punktu widzenia władz znacznie łatwiej jest zapanować nad ludźmi umierającymi w spokoju niż nad wściekłym tłumem walczącym o życie.

Na chwilę zapada niezręczne milczenie, w końcu Alyssa przykłada przed Garrettem.

– Wszystko będzie dobrze – mówi, choć nie z takim przekonaniem, jak by chciała. – Jest za ciemno, żebyśmy teraz cokolwiek zrobili. Jeżeli mama i tata nie wrócą do rana, pojedę ich znaleźć.

Kiedy słyszę te słowa i widzę jej wyraz twarzy, czuję, że niespodziewanie dzieje się ze mną coś dziwnego – wzbiera we mnie jakaś wewnętrzna siła. Podobna do tego, co poczułem, kiedy strzeliłem panu Maleckiemu w klatkę piersiową, żeby mu uratować życie – poczucie, że wiem, co należy zrobić, i że zrobię to, niezależnie od konsekwencji.

– Pojedziemy razem – odzywam się. – A dziś zostanę tu na noc, żebyście nie musieli denerwować się sami.

Alyssa kręci głową i uśmiecha się znacząco.

– Ehm... dzięki, ale nie. Nie wątpię, że dostałbyś za to jakąś harcerską odznakę, ale nie jestem damą w potrzebie.

Ogarnia mnie złość. Czy ona naprawdę myśli, że o to mi chodzi? Może tydzień temu – tak. Ale dziś w ogóle nie przyszłoby mi to do głowy.

– Słuchaj – mówię, wykładając wszystkie karty na stół. – Wiem, że w twoich oczach nie jestem idealnym kandydatem na przyjaciela, ale powinnaś wziąć pod uwagę, że bezpieczniej jest trzymać się razem. Ludzie są już mocno spragnieni i sytuacja może się szybko wymknąć spod kontroli. Jeżeli zostanę, możemy kolejno stać na warcie, a dzięki temu trochę się prześpisz.

– Naprawdę sądzisz, że pójdziemy dziś spać?

– Powinniście – mówię – jeśli planujesz pojechać jutro po rodziców.

Zastanawia się chwilę nad moimi słowami. Widzę wyraźnie, że się miota – jest poirytowana tym, że mam rację.

Dokładnie wtedy zaczynają migotać lampy.

Wszyscy zbieramy się w sobie – jak wtedy, kiedy człowiekowi wydaje się, że czuje zbliżające się trzęsienie ziemi. Zaraz potem światła gasną.

– O kurde – mówi Garrett. – O kurde, o kurde, o kurde!

– Wszystko jest okej – zapewnia go Alyssa. – To samo zdarzyło się wczoraj. Zaraz się zapalą. Zobaczysz.

Ale tak się nie dzieje, a od tego momentu cisza staje się prawdziwą ciszą. Szum lodówki, podmuch klimatyzacji zniknęły. Całkowitość tej ciszy jest upiorna, przerażająca. Czuję, że ktoś mocno ściska mnie za ramię. To Garrett. Miał bliżej do mnie niż do Alyssy. Jestem jego najbliższą przystanią.

Z zewnątrz dobiegają głosy. Sąsiedzi debatują, co takiego mogło się wydarzyć i co, do diabła, mają teraz począć.

Coś, co wydawało się całkowicie surrealistyczne, stało się całkowicie, dojmująco realne.

Nasz wzrok zaczyna się przyzwyczajać do poświaty zachodzącego słońca, która wpada wciąż przez okna po zachodniej stronie domu. Wiem, co powinienem zrobić.

– Muszę iść...

– Nie! – przerywa mi Garrett. – Obiecałeś, że zostaniesz.

Wiem, że Alyssa, choć nic nie mówi, jest równie przerażona przerwą w dostawie prądu jak on. I jak ja.

– Muszę iść – powtarzam – ale wrócę za chwilę. Muszę sprawdzić, co dzieje się w domu rodziców, ale zaraz przyjdę tu z powrotem. – Robię krok w stronę Alyssy. Nie widzę dokładnie jej twarzy w mroku pokoju i może dobrze, bo będzie mi łatwiej powiedzieć następnych kilka zdań: – Wiem, że potrafisz o siebie zadbać. Wiem, że mnie tu nie potrzebujesz. Mimo to moja obecność sprawi, że noc będzie trochę łatwiejsza.

– Dobrze – mówi Alyssa. – Chciałabym tylko mieć pewność... No wiesz, nie chcę, żebyś myślał...

Wiem, do czego zmierza, więc oszczędzam jej kłopotu.

– Alyso, moja propozycja spędzenia nocy w twoim domu nie oznacza, że czegokolwiek się spodziewam.

Wzdycha z ulgą.

– Dziękuję, Kelton – mówi, po czym dodaje: – Jeżeli to cokolwiek dla ciebie znaczy, zostałeś właśnie oficjalnie usunięty z kategorii „dziwadła z sąsiedztwa”.

– Uważałaś mnie za dziwadło?

Wzrusza ramionami.

– No, trochę.

Analizuję to przez chwilę.

– No dobra – przyznaję. – Pewnie słusznie.

Potem przypominam, by zamknęli drzwi od środka, i wychodzę.

Mój dom wygląda jak latarnię pośród ciemności. Jesteśmy całkowicie samowystarczalni, również energetycznie. Mama śpi na sofie, a tata nadal spawa w garażu. Nie mają pojęcia, że cała okolica straciła prąd. Nie nawiązuję z nimi kontaktu, ponieważ do niczego by to nie doprowadziło. Zostawiam w swoim pokoju list z informacją, że zamierzam spędzić noc w domu Alyssy, żeby wesprzeć ją do czasu powrotu jej rodziców. Mamie się to spodoba, ponieważ uzna, że w końcu robię z innymi coś, co nie polega na graniu w gry wideo albo kontaktach z chłopakami, którzy nie są przekonani do celowości używania dezodorantu. Tacie się to nie spodoba, ale nie będzie chciał postawić siebie i mnie w krępującej sytuacji, więc po mnie nie przyjdzie. Oberwie mi się rano, ale nie zamierzam się tym teraz przejmować.

Kładę liścik na kołdrze, klękam, wkładam rękę pod łóżko i szukam podłogę, dopóki nie natrafiam na metalową skrzynkę. Wyciągam ją i podnoszę wieko, odsłaniając mój wspaniały srebrny pistolet Ruger LCP kaliber .45. Wyciągam go i ładuję magazynek. Staram się, żeby nie przytłoczyły mnie piękno i potęga tej broni – odbijająca światło gładka srebrna lufa, kontrastująca z matową czernią uchwytu, który pochłania wszystkie promienie światła. Pistolet jest perfekcyjny w swojej dwoistej naturze. Jasność i ciemność. Dziś mam poczucie, jakbym sam znajdował się gdzieś między tymi skrajnościami. I to mi pasuje. Taki muszę być,

jeżeli mam stanowić pierwszą linię obrony dla Alyssy i Garretta. Wpycham pistolet za pasek, schodzę szybko po schodach i otwieram drzwi wejściowe, żeby udać się z powrotem do domu Alyssy... ale niemal kamienieję pod wpływem tego, co widzę na zewnątrz.

Choć wszystkie pozostałe domy w okolicy skryły się już w mroku nocy, dostrzegam na ulicy sylwetki ludzi podświetlone przez wiszący nisko księżyc. Niemal wszyscy wyszli z domów zafascynowani światłem – niczym ćmy oczarowane gorącymi płomieniami ogniska. Nasza rodzina, posiadająca własne zasoby energetyczne, stała się nieoczekiwanie obiektem zazdrości całej okolicy. Oraz celem. Stoję znieruchomią, w drzwiach, uwięziony na granicy dawnego i przyszłego życia, wpatrzony w ciemność, skąd sto par lśniących oczu wpatruje się we mnie.

Ogarnia mnie przerażenie, ponieważ nie potrafię określić, czy patrzę w oczy Owiec czy Wilków.

Dzień czwarty. Wtorek, 7 czerwca

8) Alyssa

Następnego ranka budzi mnie odrażająca cyfrowa symfonia dźwięków – budzik ustawiony w telefonie, który jakimś cudem nie wyczerpał się przez noc. Piąta czterdzieści pięć. Wschód słońca. Wieczorem nie mogłam zasnąć – każdy dźwięk wydawał się odgłosem wracających rodziców albo włamywacza. Nic z tego się jednak nie wydarzyło. Dwukrotnie schodziłam na dół, gdzie Kelton bawił się w harcerzyka – czytał książkę przy świetle latarki, wypatrując jednocześnie nieistniejących złoczyńców, którzy jego zdaniem lada chwila mieli wskoczyć przez okna, żeby wysać wilgoć z naszych żył. Teraz w świetle dnia wszystkie te obawy wydają się idiotyczne.

Tak czy inaczej rodziców wciąż nie ma w domu i nie zmieni tego żadna ilość radosnych porannych promieni słońca.

Garrett, który początkowo nalegał, abym pozwoliła mu spać w jego pokoju, w końcu przestał zgrywać twardziela i przyszedł do mnie. Teraz znajduje się w tym rozkosznym stanie, w którym jego jedynym problemem jest wybór odpowiedniego dania dla Spider-Mana i Pokémonów – czy o czym tam śnią dziesięciolatkowie. Nie budzę go, tylko wstaję po cichu z łóżka i schodzę na dół.

Mam nadzieję, że rodzice wrócili, kiedy spałam, i nie chcieli nas budzić. Niestety. W salonie natykam się na Keltona, który chrapie na sofie. Ładne mi trzymanie warty. Miał mnie obudzić kilka godzin temu, żebym go zmieniła, ale najwyraźniej próbował dzielnie wytrzymać całą noc.

Wtedy zauważam pistolet. Leży na stoliku obok Keltona, jakby to była część wystroju pomieszczenia. Lampa, zdjęcie rodzinne, pistolet. Musiał go wnieść po kryjomu. Wiedział, że nie spodoba mi się taki pomysł.

I rzeczywiście tak jest. Zastanawiam się, czy nie powinnam relegować go z powrotem do kategorii „dziwadła” albo – co gorsza – „dziwadła uzbrojonych w broń palną”.

Podnoszę pistolet ze stolika i w pierwszej chwili zaskakuje mnie jego ciężar. Jest znacznie cięższy, niż się spodziewałam. Zaraz potem ogarnia mnie lekkie podniecenie, kiedy uświadamiam sobie, że nigdy wcześniej nie trzymałam pistoletu w ręce. To coś może odebrać życie innemu człowiekowi. Odkładam broń, ale trochę dalej, żeby nie znajdowała się w bezpośrednim zasięgu Keltona. Potem go budzę.

Natychmiast podrywa się z sofy.

– Co? Co się stało? Wszystko w porządku? Zasnąłem?

– Tak, wszystko w porządku. I tak, zasnąłeś – informuję go. – A teraz wyciągniesz pociski z tego cholernego pistoletu.

Spogląda na mnie, po czym odwraca wzrok.

– W środku nie ma pocisków – mówi. – Magazynek schowałem do kieszeni. Nie jestem idiotą.

– To jeszcze wcale nie jest takie pewne – odpowiadam i wyciągam w jego stronę dłoń. – Dawaj.

Z ociąganiem podaje mi magazynek, a choć wcale nie chcę nosić go w kieszeni, wolę, żeby był w mojej niż w jego. Spoglądam na pistolet z jeszcze większą wściekłością.

– Byłam na proteście przeciwko takim rzeczom! – informuję go. – Jak mogłeś przynieść coś takiego do mojego domu?

– Byłaś na proteście przeciwko broni automatycznej – poprawia mnie. Podchodzi do tego znacznie spokojniej niż ja. – To akurat rozumiem. Ale ten pistolet nie jest bronią automatyczną. Służy do obrony. Możemy go potrzebować, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Nie sięga od razu po pistolet, żeby okazać lekceważenie wobec mojego sprzeciwu, tylko czeka na moją zgodę. Ten gest mnie uspokaja. Ale tylko

trochę. Wyciągam rękę i przesuwam pistolet o kilkanaście centymetrów w jego stronę.

– Jeżeli chcesz go trzymać na pokaz, proszę bardzo. Ale nie będziemy dziś do nikogo strzelać.

– W porządku. Ale broń jest bezużyteczna, jeżeli człowiek nie jest gotów jej użyć – mówi, cytując pewnie jakąś naukę, którą wtłoczył mu do głowy ojciec.

Wyglądam przez okno. Ulica jest całkowicie wyludniona, tak czy inaczej nie wybiła jeszcze szósta, więc nie spodziewałam się tam nikogo zobaczyć. Myślę tylko o rodzicach i przez głowę przechodzą mi wszystkie najczarniejsze scenariusze, które prawdopodobnie się nie wydarzyły. Mimo to nie dają mi spokoju. Ponownie próbuję dodzwonić się do rodziców. Telefon mamy od razu przełącza na pocztę głosową, a taty dzwoni kilka razy, więc przynajmniej wiem, że wciąż ma zasilanie.

Kelton idzie na chwilę do domu, żeby przynieść uszczelniacz do dętek. W ten sposób będziemy mogli wszyscy pojechać na rowerach. Wraca ubrany w coś, co przypomina strój do polowania na kaczki, do tego ma linę i milion kieszeni. Nie mam siły się z niego teraz nabijać, poza tym zaczęłam wierzyć, że wszystko, co robi, ma jakiś cel. Liny naprawdę możemy potrzebować, nie wspominając o innych rzeczach, które poupychał w kieszeniach.

Prawda jest taka, że go potrzebujemy, a jeżeli chodzi o wodę, to trudno o lepszego towarzysza. Bez niego nie wystarczyłoby nam chyba zapasów, żeby bezpiecznie dotrzeć do Laguna Beach i z powrotem.

Plecak spakowałam poprzedniego dnia wieczorem. Suszona wołowina. Reszta naszej wody. Nóż kuchenny, choć jestem pewna, że Kelton ukrył gdzieś na sobie znacznie groźniejsze ostrze. Wolę nie pytać. Zresztą może się okazać, że będę musiała się sama bronić. Nie muszę we wszystkim polegać na krav madze Keltona czy jakiejś tam innej sztuce walki, którą na pewno zna. Głaszczę na pożegnanie Kingstona i nalewam mu trochę

wody; wiem, że taka ilość nie wystarczy, ale więcej nie mogę mu dać. Tuż przed wyjściem z domu naciskam kontakt, żeby sprawdzić, czy nie wróciło zasilanie. Niestety, nie. Ciekawe, jak wielu ludzi zostało bez prądu.

Wyprowadzamy trzy w pełni sprawne rowery, zamykamy ręcznie bramę do garażu i wyjeżdżamy na ulicę. Rozglądam się po okolicy, niemal jakbym spodziewała się zobaczyć ruiny, ale wszystkie domy wyglądają mniej więcej tak jak zawsze, a ja uświadamiam sobie, że zniszczenia mają raczej charakter wewnętrzny.

Ruszamy ulicą, słońce wschodzi za naszymi plecami.

– Przez kanion Aliso Creek prowadzi ścieżka, którą można dojechać prosto na plażę – mówię do Keltona. – Choć nigdy nie przejechałam jej do końca, więc nie wiem, czy jest wygodna.

– To zły pomysł – odpowiada Kelton. – Jechalibyśmy przez całkowicie dzikie tereny, odizolowani od świata. Stanowilibyśmy łatwy cel dla każdego, kto chciałby nas obrabować z wody.

Chętnie powiedziałabym mu, że jest paranoikiem, ale pewnie ma rację. Co mnie wkurza.

– Im bliżej będziemy się trzymać cywilizacji, tym większa szansa, że spotkamy ludzi zachowujących się w sposób cywilizowany – mówi. I dodaje: – Przynajmniej na razie.

Kiedy opuszczamy naszą okolicę i skręcamy na ścieżkę rowerową biegnącą wzdłuż głównej drogi, odwracam głowę w stronę Garretta.

– Jak sobie radzisz? – pytam.

– Lepiej niż ty – przechwała się. – Ciągle jeżdżę na rowerze, więc to raczej ty będziesz musiała nadażać. – Z tego, jak mi odpyskował, wnioskuję, że jest w dobrym nastroju.

Niedługo potem dojeżdżamy do wiaduktu nad autostradą numer pięć. Spoglądam w dół. Tradycyjny sznur samochodów dziś wygląda inaczej. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Samochody jadą zderzak

w zderzak, co chwilę ktoś trąbi. Poranny ruch składa się zwykle z ludzi zmierzających na północ do Los Angeles, ale dziś autostrada jest zakorkowana w obu kierunkach po horyzont, czyli po grubą warstwę karmazynowej mgły rozpędzanej przez słońce, które wyłania się zza góry Saddleback.

„To nie jest nasz problem”, przekonuję się w myślach, lekko zatrwożona. Staram się patrzeć prosto przed siebie, kiedy przejeżdżamy przez wiadukt, ale nie potrafię całkowicie odciąć się od tego, co dzieje się wokół.

– Dokąd jadą ci wszyscy ludzie? – pyta Garrett.

– Wszędzie, byle daleko stąd – odpowiada Kelton.

– No tak – kiwa głową Garrett. – Wygląda na to, że daleko nie zajadą.

Wątpię, żeby rozumiał, jak poważne ma to konsekwencje – na wszystkich poziomach. Kelton rozumie.

– Kiedy przyjdzie czas, żeby stąd prysnąć, lepiej wybrać niekonwencjonalne drogi, o których nie wie większość ludzi. Nie będą tak zakorkowane jak autostrady.

Myśl, że powiedział „kiedy”, a nie „jeśli”, nie daje mi spokoju znacznie dłużej, niżbym tego chciała.

Jakieś pięć minut później Garrett odstawia swój ulubiony i najbardziej frustrujący numer w czasie podróży.

– Muszę się załatwić – informuje.

Mówię, żeby wysikał się w jakichś krzakach, ale on oczywiście ma na myśli innego rodzaju potrzebę. Garrett najwyraźniej się z nią wstrzymywał ze względu na koszmarny stan naszych toalet, nawet po usprawnieniu dostarczonym nam przez Keltona. W końcu jednak natura wzięła górę. Jak zwykle w najmniej stosownym momencie.

Zbliżamy się do dobrze nam znanej stacji benzynowej. Nie wątpię, że tamtejsza toaleta będzie wyglądała gorzej niż nasza, ale nie dzielę się tym z Garrettem. Pedalujemy w tamtym kierunku.

Podjeżdżamy pod stację, wchodzimy do środka i się rozglądamy. Podobnie jak reszta świata, sklep na stacji wygląda nieco inaczej niż zwykle. We wnętrzu panuje półmrok, w powietrzu unosi się pył, przez co jest ono tak gęste, że oblepia gardło. Klimatyzacja nie działa, ale nie jest to dla nas wcale zaskoczeniem. Lodówki, które dawniej zawierały napoje bąbelkowe, energetyczne i wodę, teraz zieją pustką. Nie spodziewałam się jednak, że wewnątrz będzie przedstawiało aż tak żałosny widok: nie chodzi tylko o to, że wykupiono niemal wszystko, ale nie widać nawet nadziei, żeby cokolwiek mogło się pojawić. Na półkach został co dziesiąty produkt – jeden rodzaj chipsów, jeden rodzaj gumy do żucia. Przypominają mi się zdjęcia, które pokazali nam kiedyś w szkole. Przedstawiały ubogie targowisko w jakimś wyniszczonym przez wojnę kraju, gdzie można było kupić tylko fasolę w puszkach albo chleb, a kto się za długo namyślał, tracił szansę, żeby dostać nawet to. Z ponurą atmosferą stacji benzynowej kontrastuje dobiegająca z jakiegoś starego radia na baterie muzyka doo-wop.

Za kasą w głębi sklepu siedzi sprzedawca. Nie kojarzę go. Rzecz w tym, że dobrze znam tę stację benzynową. Zatrzymywałyśmy się na niej zawsze z mamą podczas powrotu z treningu piłkarskiego, żeby kupić napój energetyczny i prażoną kukurydzę. Był to nasz rytuał. Wydawało mi się, że znam wszystkich pracowników – tego jednak nigdy nie widziałam. Wygląda jak chłopak, przed którym rodzice ostrzegają dzieci. Facet z gatunku tych, którzy przejeżdżają powoli wzdłuż parku w furgonetce bez okien. Przypomina Świętego Mikołaja po dwóch turach służby wojskowej w Wietnamie. Jego rozbiegane oczy zatrzymują się na nas; jedną rękę trzyma pod ladą.

Garrett rusza w stronę toalety, a wtedy sprzedawca woła:

– Żeby skorzystać ze sracza, trzeba coś kupić.

Garrett zamyka się w środku, a Kelton i ja przechodzimy wzdłuż półek, żeby coś wybrać i zniknąć z oczu podejrzanemu sprzedawcy.

Znajduję paczkę orzeszków ziemnych. Podchodzę do kasy i przyglądam się mężczyźnie dokładniej. Wygląda na wymęczonego; ma wory pod oczami.

– Nigdy tu pana wcześniej nie widziałam – mówię, kiedy podlicza zakupy.

Przygląda mi się ze spokojem.

– Jestem nowy.

– Od jak dawna jest taki korek na autostradzie? – pytam, by zmienić temat.

Mężczyzna drapie się po szyi.

– Chyba od północy. Napędziło nam to wielu klientów. Niektórzy zachowywali się w porządku, inni uważali, że mogą brać, co chcą.

– Dlaczego nie zadzwonił pan na policję? – pytam.

Mężczyzna śmieje się cicho pod nosem, choć przypomina to raczej syk.

– Nie słyszeliście? Nie idzie się dodzwonić. Od wczoraj wszystkie linie alarmowe są zapchane. – Wyszczерza zęby, jakby go to śmieszyło. – Razem będzie czterdzieści dolarów.

W pierwszej chwili myślę, że żartuje. Zaraz potem dociera do mnie, że mówi zupełnie serio.

– Wolny rynek – wyjaśnia. – Podaż i popyt. A tak się składa, że obecnie popyt jest znacznie wyższy niż podaż. – Nachyla się w moją stronę. – Jak więc mówiłem, razem będzie czterdzieści dolarów.

Kelton podchodzi i staje obok mnie z batonikiem. Nie słyszał mojej rozmowy ze sprzedawcą. Wtedy właśnie zauważam, że ktoś roztrzaskał kasę. Orientuję się też, że mężczyzna nie ma na sobie paskudnej niebiesko-żółtej koszuli, którą noszą tu zawsze kasjerzy. Im bardziej próbuję się domyślić, co się tu musiało wydarzyć, tym mniejszą mam ochotę naprawdę się tego dowiedzieć.

Garrett wychodzi z łazienki, a ja wrywam Keltonowi batonik z ręki i rzucam go na ladę. Chwytam Garretta za rękę, zanim zdąży

zaprotestować, bo wiem, że wzięty z zaskoczenia będzie posłuszny, i wyciągam ich szybko na zewnątrz.

– Macie, cholera, zapłacić za toaletę! – woła mężczyzna ze środka, ale nas już tam nie ma.

Wskakujemy na rowery i odjeżdżamy. Tym razem ja narzucam tempo – i to szybkie. Wreszcie kilka przecznic dalej zwalням na tyle, że Garrett i Kelton mogą mnie dogonić. Przystaję i oglądam się za siebie, żeby się upewnić, że gość ze stacji benzynowej nas nie ściga.

– Co takiego się stało? – pyta Kelton.

Nie mówię mu. Nie dlatego, że nie chcę, ale ze względu na to, że szczegóły nie mają teraz znaczenia.

– Jeżeli chodzi o ten twój pistolet... masz go w plecaku, prawda?

– Taaa...

– I potrafisz się nim posługiwać?

– No jasne.

Sięgam do kieszeni swojego plecaka i wyciągam amunicję. Magazynek, jak się wyraził Kelton. Spoglądam na przedmiot, który trzymam w ręce. „Dobrze się zastanów. To wcielenie wszystkiego, czego nienawidzisz na tym świecie”. Tyle że świat się od wczoraj zmienił. Po chwili podaję magazynek Keltonowi i zaczynam pedałowac, ponieważ nie chcę widzieć, jak wsuwa go do pistoletu.

Migawka: autostrada międzystanowa, kierunek północny, 6.30

Kiedy Charity uczyła się prowadzić samochód w latach sześćdziesiątych, nauczono ją, że należy zachowywać odstęp długości jednego pojazdu na każde piętnaście kilometrów na godzinę prędkości. W ten sposób będzie miała zawsze wystarczająco dużo czasu, żeby zahamować.

Kiedy jednak człowiek się nie porusza, równie dobrze może przykleić się do zderzaka innego samochodu.

Korek.

Albo nawet coś gorszego, jeżeli to w ogóle możliwe.

Najpierw polega na typowym dla godzin szczytu podjeżdżaniu po kawałku, ale szybko staje się jasne, że w ten wtorek dzieje się coś innego. Atmosfera na drodze się zagęszcza i wzbudza w Charity uczucie klaustrofobii; widać to po ustawieniu samochodów, które stoją ściśnięte gęściej niż zwykle. Nie mija dużo czasu, a zaczyna się zapętniać także szósty, awaryjny pas. Wszystko staje.

Charity wyszła z domu tuż przed piątą rano w nadziei, że zdąży przed korkami w drodze do Henderson w stanie Nevada, gdzie zamierzała przeczekać kryzys u córki i wnuków. Wygląda jednak na to, że nie tylko ona wpadła na taki pomysł.

Spogląda na drugą stronę autostrady i widzi, że kierowcy zmierzający w przeciwnym kierunku znaleźli się w takim samym położeniu. A może nawet gorszym, ponieważ kilka samochodów jest tam zwróconych w przeciwną stronę. Nigdy czegoś takiego nie widziała. Droga musiała się tak zakorkować, że niektórzy zawrócili w nadziei, że w ten sposób się stamtąd wydostaną. Zresztą pewnie taka właśnie pokręcona logika doprowadziła do zakorkowania autostrady.

Charity rozgląda się dookoła. Jakieś niecierpliwy mężczyzna na harleyu próbuje przejechać slalomem między samochodami. Rodzina w minivanie. Dźwig do naprawy linii elektrycznych. Charity umila sobie czas, rozmyślając, kim mogą być ci ludzie. Skąd przybywają i dokąd zmierzają. Jasne, kryzys wodny to poważna sprawa, ale z pewnością nie wszyscy wokół doszli do wniosku, że sprawy przybrały na tyle zły obrót, by warto było przenieść się w jakąś przyjaźniejszą część świata.

Charity spogląda na czarno-białe zdjęcie wetknięte w deskę rozdzielczą. Przedstawia ją i jej zmarłego męża. „Gdyby żył – myśli – na tym etapie pewnie wpadłby już w szal”. Przez kilka dekad razem prowadzili lombard. Charity zajmowała się klientami, bo z nich dwojga to ona była opanowana.

Rodzice nazwali ją Charity na cześć jednej z cnót głównych, hojności, a ona zawsze starała się zasłużyć na to imię, angażując się całym sercem w nawet najbardziej przelotne relacje z ludźmi. W świątku właścicieli lombardów jest to rzadko spotykane podejście, ale ona taka właśnie była. Potrafiła tchnąć promyk światła nawet w najżałośniejszą sytuację. Teraz jednak wpatruje się w nieskończony sznur samochodów i zaczyna żałować, że rodzice nie dali jej imienia na cześć cierpliwości.

Mija kolejne pół godziny i samochód dalej stoi w miejscu. Nie przesunął się ani o centymetr. Ludzie się niecierpliwią. Stoją na dachach niczym stadka surykatek i próbują odgadnąć, co dzieje się przed nimi. Mężczyzna z małym synkiem przechodzi między autami. Kiedy zrównuje się z nią, Charity opuszcza okno.

– Wyszliście rozruszać kości? – pyta.

Ojciec posyła jej niewyraźny uśmiech.

– Sprawdzimy, co dzieje się z przodu. Może ktoś będzie wiedział, dlaczego стоимy.

To optymistyczne, że ludzie podejmują jakieś działania, żeby rozwiązać problem. Tyle że sytuacja może się przecież pogorszyć. Dzieci bawią się teraz w berka między samochodami; przebiegają przez uziemione auta, podczas gdy ich rodzice grają w karty na maskach. Charity myśli o córce, która zawsze się niepokoi, kiedy matka odbywa długą podróż samochodem do Nevady. Jeżeli dalej będzie to tak wyglądało, może nie dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

Mija kolejne czterdzieści pięć minut. Słońce wisi wysoko na niebie. Niecierpliwe klaksony ucichły. W większości samochodów wyłączono silniki. Wygląda na to, że niektórzy ludzie w sąsiednich autach stracili jakąkolwiek nadzieję, ale trwają w nich uparcie. Inni zbili się w grupki na poboczu albo leżą w cieniu między samochodami, jakby liczyli na to, że jeśli zasną, to po przebudzeniu problem w magiczny sposób zniknie. Charity bębni dłońią o deskę rozdzielczą, coraz bardziej poirytowana. Mężczyzna i jego syn nie wrócili do swojego samochodu. Będzie trzeba go odholować, co dodatkowo

skomplikuje sytuację na drodze. Charity zamyka drzwi i odchyła fotel, żeby choć na moment dać wytchnienie oczom...

Trzydzieści minut później gwałtownie je otwiera, obudzona krzykami odbijającymi się echem między samochodami. Bóg jeden wie, skąd naprawdę dobiegają. Zaraz potem ktoś przebiega tuż za oknem. Potem kolejna osoba, a chwilę później wokół Charity panuje już całkowity chaos. Wszyscy porzucają samochody i pędzą co sił na południe, czyli w przeciwną stronę do kierunku ruchu. Co ich do tego skłoniło?

Charity wysiada z samochodu, żeby zorientować się, w czym rzecz. Idzie na północ pod prąd rzeki ludzi... W końcu dostrzega to, przed czym wszyscy uciekają.

Pożar.

Kłęby czarnego, gęstego dymu wzbijają się w poranne niebo, a pod nimi, jakieś pięćdziesiąt metrów od niej, stoi samochód, który zajął się ogniem. Ludzie słusznie uciekają, ponieważ jeśli auto eksploduje i wybuch okaże się dostatecznie potężny, może zapoczątkować reakcję łańcuchową, w wyniku której zaczną wybuchać kolejne samochody na autostradzie. Ale wszystkie lata pracy w lombardzie nauczyły Charity jednego: zawsze należy zachować spokój – zwłaszcza w obliczu całkowitego chaosu. Jest dzieckiem lat sześćdziesiątych i ślepe podążanie za tłumem nigdy nie leżało w jej naturze. Teraz postanawia zadać sobie pytanie odmienne niż reszta świata, ponieważ wyjątkowe pytania zawsze prowadzą do wyjątkowych odpowiedzi.

Rusza przed siebie, pod prąd strumienia ludzi, mimo że tłum z każdą chwilą gęstnieje, wzbiera w lawinie paniki, która porywa wszystkich znajdujących się na jej drodze – w tym osoby niemające pojęcia, przed czym uciekają. Charity idzie w stronę ognia, tymczasem histeria wokół narasta. Ludzie są tratowani. Zostają poturbowani. Biegną zakrwawieni.

Ale tam, gdzie wszyscy inni widzą katastrofę, ona dostrzega szansę. Kiedy prowadzili z mężem lombard, nauczyła się tego i owego o starych rupieciach. Zawsze należało im się przyjrzeć bliżej. Wypatrzeć skarb w śmieciach.

Zidentyfikować prawdziwe diamenty, warte więcej od pierścionka ze sztucznego złota, w którym były osadzone.

Charity omiata wzrokiem dziesiątki samochodów w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc ugasić ogień. „W jakiego rodzaju samochodzie powinnam znaleźć gaśnicę?”, zastanawia się. Podchodzi do dźwigu do naprawy linii elektrycznych i otwiera dwuskrzydłowe tylne drzwi – bez powodzenia. W środku widzi tylko skrzynki z kablami i jakimiś rupieciami. Zaraz potem sytuacja staje się jeszcze poważniejsza – rozlega się huk. Płonący samochód przed nią eksploduje, wyrzucając w powietrze maskę i przenosząc ogień na ławkę zamontowaną na pace stojącego obok pikapa.

Charity po raz ostatni omiata spojrzeniem kilka rzędów samochodów i dostrzega pojazd elektryka – którego już dawno w nim nie ma. Szybko otwiera tylne drzwi. Bingo! Wisi na nich gaśnica. Kobieta rusza w stronę płomieni z gaśnicą w dłoni i oczami, w których pali się płomień silniejszy od jakiegokolwiek ziemskiej pożogi.

9) Alyssa

Jedziemy szeroką Laguna Canyon Road, którą zawsze docieraliśmy na plażę. Próbuję przenieść się myślami do czasów, kiedy podróż w tę stronę sprawiała mi przyjemność. Dziś jest inaczej. Moją twarz smaga suchy wiatr. Ból w nogach mniej przypomina ćwiczenia fizyczne, a bardziej jakąś straszliwą karę.

Dzięki temu, że to główna droga, mogę oglądać domy mieszkalne z bezpiecznej odległości. Dostrzegam, że niektóre nadal mają prąd, co jest do pewnego stopnia pocieszające. Wzbiera we mnie nadzieja, że ktoś pracuje nad rozwiązaniem naszych problemów. Może stacje przekaźnikowe sieci komórkowych nie działają, ponieważ straciły zasilanie? Próbuję przekonać samą siebie, że to właśnie jest powodem milczenia rodziców, ilekroć próbuję się do nich dodzwonić.

– Nie powinnaś tego robić – zwraca mi uwagę Kelton. – Wyczerpujesz baterię, a możesz jej potrzebować później.

– Może po prostu tam jest naprawdę wielki tłum – zauważa Garrett, który próbuje na własną rękę racjonalizować sytuację. – Jak wtedy, kiedy ludzie koczowali przez kilka dni pod kinem przed ostatnimi *Gwiezdnymi wojnami*.

Po co jednak mama i tata mieliby koczować na plaży, skoro wiedzą, że czekamy na nich w domu? Choć bardzo bym chciała, żeby cała sytuacja miała jakieś proste wyjaśnienie, z którego moglibyśmy się później wszyscy pośmiać, im dłużej nie odbierają telefonów, tym trudniej jest mi sobie wyobrazić szczęśliwe zakończenie tej historii.

Wczesnym rankiem dojeżdżamy do Laguna Beach. Nad miejscowością nadal wisi mgiełka wody, zapewniając litościwy chłód. Czuję zapach oceanu, a nasączone solą powietrze sprawia, że ubranie przylepia mi się do skóry. W oddali huczą fale, a choć miarowość dźwięków oceanu zawsze działała na mnie kojąco, cisza zapadająca między kolejnymi falami rozbijającymi się o brzeg brzmi dzisiaj jakoś dziwnie. Mimo to jadę dalej. Pokonuję ostatni odcinek drogi, który prowadzi do autostrady i znajdującego się tuż za nią brzegu oceanu. Nie czuję już odcisków na dłoniach ani bólu nóg. Muszę zobaczyć plażę. Muszę zobaczyć, że są na niej moi rodzice i że nic im się nie stało.

Ledwie jednak przejeżdżam nad autostradą i staję na krawędzi promenady, naciskam mocno hamulce i zatrzymuję się w miejscu. Przedemną wcale nie rozciąga się plaża wypełniona rodzinami pobierającymi racje wody pitnej, ale szerokie piaszczyste pustkowia. Jest niemal całkowicie wyludnione; kręci się tam tylko kilka osób. Kawałek dalej, bliżej linii brzegowej, stoi może z dziesięć ciężarówek z maszynami, ale żadna z nich nie oczyszcza wody. W ogóle nie działają. Z jednej wydobywa się czarny dym, inna leży przewrócona.

Rzucam rower na ziemię i schodzę z promenady na piasek. Garrett i Kelton idą tuż za mną. Rozglądam się nerwowo na wszystkie strony, wypatrując rodziców, desperacko szukając najmniejszego śladu ich obecności.

– Alyssa, słyszysz to? – mówi nagle Garrett.

Słyszę – dźwięk ma niemal muzyczne, upiornie elektroniczne brzmienie i rozlega się tuż przy odgłosach fal. Idę przed siebie, a on staje się coraz głośniejszy. W końcu orientuję się, że tak naprawdę to wiele dźwięków zlewających się w jeden. Nagle rozumiem, co jest ich źródłem.

Komórki.

To są dzwonki telefonów komórkowych.

Dziesiątki aparatów leżą wokół nas na piasku i wygrywają upiorną ośmiobitową symfonię. Zagubione komórki zagubionych dusz.

Żadne z nas nie ma pojęcia, jak zareagować. Wpatrujemy się w wibrujące, dzwoniące telefony i próbujemy opanować szok. Nagle przychodzi mi do głowy, że jeszcze dziesięć minut temu to ja znajdowałam się na drugim końcu połączeń. Wydzwaniałam do rodziców, desperacko czekając, aż ktoreś z nich odbierze. Widzę, jak jeden telefon zaczyna wibrować. Zbieram się na odwagę i go podnoszę... Po kolejnym dzwonku odbieram połączenie i przykładam opiaszczonego iPhone'a do ucha.

– Halo? – rozlega się głos dziecka. – Mama?

Chłopiec nie może mieć więcej lat od Garretta. Staram się ważyć słowa.

– To nie mówi twoja matka.

– Gdzie jest mama? – pyta błagalnym tonem dziecko. – Kto mówi?

Dlaczego masz jej telefon?

Milczę przez chwilę, bo nie wiem, co odpowiedzieć.

– Jestem na plaży – mówię. – Twoja mama upuściła telefon na plaży.

– Pojechała tam po wodę...

– Wątpię, żeby można było tu dostać wodę – mówię. – Czy możesz powiedzieć to komuś dorosłemu? Przekaż, proszę, tę informację komuś dorosłemu.

– Gdzie jest mama? – Chłopiec zaczyna płakać.

Próbuję powiedzieć coś sensownego, ale chyba zupełnie straciłam zdolność logicznego myślenia. Nie mam dla niego żadnej odpowiedzi, ponieważ sama również nie rozumiem, co tu się wydarzyło.

– Przykro mi. – Rozłączam się i rzucam telefon na piasek, a kiedy dzwoni ponownie, zasypuję go. Zasypuję go na tyle głęboko, że przynajmniej ten jeden dzwonek nie dźwięczy mi w uszach.

– Co tu się wydarzyło? – pyta Kelton. Znajdujemy kolejne wskazówki. Leżą wszędzie na widoku wokół nas, na piasku. Wygląda to trochę tak, jakby przeszła tędy trąba powietrzna i zasypała całą okolicę przedmiotami. Teraz zalegają one tutaj niczym cień straszliwych wydarzeń, których wolę sobie nawet nie wyobrażać. Plastikowe stoliki i krzesła są powywracane, wszędzie leżą śmieci, z których wydziobują coś mewy. I z jakiegoś powodu najbardziej przeraża mnie widok pojedynczego porzuconego buta. Dociera do mnie fala obrzydliwego smrodu: środek czyszczący zmieszany ze smarkami. Piecze mnie w nozdrza; zatykam nos, ale na niewiele się to zdaje. Kelton schyla się i podnosi jedną z puszek, trzymając ją w bezpiecznej odległości od twarzy.

– To są pojemniki po gazie łzawiącym – mówi. – Musieli tu przysłać oddziały prewencji.

Oglądamy maszyny. Podchodzimy do najbliższej i od razu widzę, że została rozerwana na strzępy. Wszystkie spotkał taki sam los. W tej odgięto przednią część obudowy ze stali nierdzewnej, odsłaniając wnętrze, przez co urządzenie wygląda, jakbygniło od środka. Z otworu sterczą rury i przewody prowadzące do różnych tarcz i pokręteł

podłączonych do trzech rozłamanych kadzi, a dalej do nieruchomości tłoków.

Czy ludzie mogli zrobić coś takiego? Czy moglibyśmy walczyć ze sobą o te ratujące życie maszyny, zamieniając je w sterty bezużytecznego metalu? Czy moglibyśmy tak mocno pragnąć wody, że bylibyśmy gotowi zniszczyć urządzenia zdolne ją dla nas wytworzyć – tylko po to, żeby otrzymać pierwszy łyk?... A jeśli tak, to czy mama i tata należeli do tych ludzi?

Zauważam, że przy każdej zniszczonej maszynie stoi policjant w stroju szturmowym, uzbrojony w karabin maszynowy. Ostrzega ludzi, żeby się nie zbliżali – zupełnie jakby zostało jeszcze coś do zniszczenia.

– Co tu się wydarzyło? – pytam najbliższego policjanta. Trzymam się od niego w bezpiecznej odległości.

– Powinnaś opuścić plażę, panienko. Wracaj do domu i czekaj tam na dalsze instrukcje.

– Co się stało z ludźmi, którzy tu byli? – Nie ustępuję. – Czy zostali wysłani w jakieś inne miejsce? Na inną plażę?

– Tu nie jest bezpiecznie – powtarza. – Powinnaś wrócić do domu.

Cofam się i wpadam na Garretta, któremu zaczynają wilgotnieć oczy. I nie ma to nic wspólnego z gazem łzawiącym.

– Niech ci odpowie, dokąd poszli! – mówi Garrett, zupełnie jakby mógł mi rozkazać, żebym zazała czegoś od uzbrojonego policjanta.

– Ej... słuchajcie.

Spoglądam na Keltona, który stoi bliżej brzegu. Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem na szydzący z nas ocean i kieruję ku niemu całą swoją nienawiść. Nie mogę znieść drwiny, z jaką każda fala nienadającej się do picia wody rozbija się o brzeg.

– Co to jest? – pyta Kelton. Wskazuje na jakiś obiekt, który unosi się na wodzie. To coś zbliża się i oddala, poruszane falą przyboju – ciemny zarys

w rozkołysanej wodzie, widoczny tylko przez krótki moment między falami. – Czy to jest... – Kelton mruży oczy. – Czy to są zwłoki?

Teraz już wiem, że mam dość. Nie chodzi tylko o to, że nie chcę wiedzieć. Nie chcę wiedzieć nawet tego, jak poważne są rzeczy, których nie chcę wiedzieć. Chwytam Garretta i odciągam go od linii brzegowej, po czym wołam do Keltona.

– Kelton! Spadamy stąd! – Nawet jeśli nie mogę niczego zażądać od policjanta z oddziału prewencji, to z pewnością mogę rozkazywać Keltonowi. Zwłaszcza dla jego dobra.

Nie zamierzam teraz myśleć o rodzicach, bo jeśli nadal będę to robić, całkowicie się rozsypię. Podczas powrotu do domu będziemy mieli pod górkę nie tylko w dosłownym sensie, więc muszę na tym skupić całą swoją energię psychiczną. Na powrocie do domu.

Dochodzimy do rowerów, które zostawiliśmy na promenadzie.

– Musimy przecież coś ZROBIĆ! – przekonuje Garrett. – Nie możemy stąd tak po prostu odjechać!

Naskakuję na niego z wściekłością, której się po sobie nie spodziewałam.

– Garrett, jeśli nie zamkniesz natychmiast mordy, to zrobię to za ciebie!

Wywołuję tym u niego tylko potok łez. Sama nie mogę się rozpłakać. Muszę się trzymać i jest mi przykro, tak ogromnie przykro, że wyładowałam frustrację na bracie. Biorę go w ramiona i przytulam. Pozwalam mu się wypłakać. Nie odzywam się. Po prostu pozwalam mu się wypłakać, ponieważ wiem, że tego teraz potrzebuje. A on wie, że nie mówiłam serio. Wie, ponieważ czuje, jak mocno go przytulam. Nie wypuszczę go z objęć, dopóki nie będzie na to gotowy.

– Alyso, powinniśmy jechać – mówi Kelton. Wygląda na jeszcze mocniej wystraszonym niezidentyfikowanym obiektem pływającym niż ja.

Garrett delikatnie wyślizguje się z moich objęć.

– Jedźmy – mówi zmęczony, zrezygnowany.

Plan przewiduje, że wrócimy tą samą drogą, ale zanim jeszcze zdążymy ruszyć, moją uwagę przyciąga coś po drugiej stronie jezdni... Krzyki. Trójka dzieciaków w naszym wieku, może o rok czy dwa starszych. Stoją przed nieużywanym budynkiem kina, w kręgu, i w coś się bawią – zupełnie jakby nie wiedzieli, co się dzieje wokół. Ruszam w ich stronę z nadzieją, że udzielą nam jakichś informacji na temat wydarzeń, które rozegrały się na plaży, ale kiedy wychodzę zza zaparkowanego samochodu, dostrzegam, co naprawdę robią. Oni się nie bawią. Popychają starszego, może sześćdziesięcikilkuletniego mężczyznę. W układzie trzech na jednego mężczyzna nie ma szans się obronić. Bez zastanowienia zeskakuję z roweru, zaciskam pięści i ruszam w ich stronę.

– Alyssa, zaczekaj! – woła Kelton, ale nie zamierzam go słuchać.

– Hej! – krzyczę. – Co wy wyprawiacie?

Najwyższy z chłopaków odwraca się w moją stronę. Ma zmierzwione utlenione włosy i zimnoniebieskie oczy. Liczne kolczyki wskazują, że mimo kanciastej sylwetki sportowca wcale nim nie jest.

– Pilnuj swojego nosa! – mówi.

Mężczyzna, którego popychali, osuwa się na ziemię. Chłopak go kopie. Naprawdę go kopie!

– Zostaw go! – krzyczę. – Bo zawołam policjantów z plaży!

– Nie przyjdą – mówi drugi chłopak. – Nie wolno im opuścić pozycji.

– Jesteście potworami!

Niebieskooki wpada we wściekłość.

– Potworami? My jesteśmy potworami? Nic o mnie nie wiesz!

– A co tu więcej wiedzieć! Bijecie biednego, bezbronnego człowieka!

– Wiesz, co ten dupek zrobił? – pyta niebieskooki chłopak. – Widzieliśmy, jak chowa butelkę wody w samochodzie! Nie chciał się podzielić nawet kroplą!

– I co z tego? – odpowiadam. – To jego woda! Nie macie prawa!

– Oczywiście, że mamy prawo!

Dopiero teraz dostrzegam, jak wyschnięte są jego usta. Wyschnięte to mało powiedziane: spieczone, opuchnięte, niemal krwawiące. Żaden z chłopaków nie wygląda normalnie. Ich skóra jest cienka, prawie szara jak u trędowatych. Kąciki ust są białe od wyschniętej śliny. Gdybym miała sądzić po oczach, uznałabym, że wyglądają jak chorzy na wściekliznę.

Wysoki chłopak odwraca się i ponownie kopie mężczyznę.

– Oddawaj kluczyki!

– Błagam – jęczy tamten. – Potrzebuję tej wody! Potrzebuję jej dla mojej rodziny!

– Ja tak samo, bucu! Myślisz, że twoje życie znaczy więcej, ponieważ jeździsz jakimś cholernym bmw?

Zanim udaje mu się kopnąć mężczyznę ponownie, wskakuję pomiędzy nich. Jego stopa zatrzymuje się na mojej łydce. Będę miała siniaka, ale przynajmniej uratowałam gościa przed złamaniem żeber.

– Nie musi im pan niczego dawać – mówię do mężczyzny, ale on jest zbyt wystraszony, żeby się dłużej opierać. Wsadza drżącą dłoń do kieszeni i wyciąga kluczyki w stronę niebieskookiego chłopaka. Ja jednak porywam je szybciej i zaciskam mocno w dłoni.

– Nie dostaniecie ich – oświadczam.

Mężczyzna, którym napastnicy przestali się chwilowo interesować, odczołguje się. Nie dba o swoje bmw ani o wodę, po prostu chce ujść z życiem. Do mnie z kolei dociera, że teraz mnie może się to nie udać. Blondyn chwyta mnie rękami. Tatuaż na jego szyi wydaje się niemal pulsować z wściekłości. Jest to symbol „Biohazard”.

– Zrób z nią porządek, Dalton – zachęca go drugi chłopak.

– Słuchajcie... może ona też ma wodę! – woła trzeci.

Blondyn – Dalton – próbuje wyrwać mi kluczyki, ale ich nie puszczam. Nie pozwolę, żeby dostały się w ręce tej żałosnej kreatury. Jego irytujące

niebieskie spojrzenie skacze po mojej twarzy, a spękane usta rozklejają się w paskudnym uśmiechu. Pograżony w obłędzie i niebezpieczny.

– Pocisz się – mówi. – A to znaczy, że piłaś wodę... – Uśmiech znika z jego twarzy. – Gdzie ją masz?

– Zostaw moją siostrę! – słyszę krzyk Garretta. Biegnie w naszą stronę, ale zaraz chwyta go jeden z pozostałych chłopaków. Próbuję wyrwać się z uchwytu Daltona, ale choć szarpię z całych sił, nie udaje mi się to.

– Gdzie masz wodę? – ryczy.

Czuję, że coś przejmuje nade mną kontrolę. Moja zwierzęca natura.

– Tutaj! – mówię i pluję mu w twarz.

Zupełnie go to nie peszy, a mnie ogarnia nagle osobliwe doznanie, coś w rodzaju dzwonka alarmowego rozbrzmiewającego w głowie. Mój mózg nie potrafi ustalić jego źródła. Kiedy jednak chłopak wolną ręką ociera ślinę z policzka, zaczynam rozumieć, co się ze mną dzieje. To przerażenie, od którego skręca mnie w żołądku. Wiem, co chłopak zaraz zrobi.

Spogląda na swoje lśniące od śliny palce... i je oblizuje. Próbuję się wyswobodzić, ale Dalton przyciska mnie mocno do muru i wbija we mnie wzrok.

– Zrób to jeszcze raz! – żąda. A kiedy odmawiam, dociska swoje ciało do mojego. Nie mogę się ruszyć.

– Zrób to jeszcze raz albo – przysięgam – wysę z ciebie całą wodę!

Przysuwa koszmarnie wyschnięte usta do moich.

Wtedy właśnie w odległości kilku metrów od nas rozlega się głos wybawienia.

– Puść ją albo rozwalę ci mózg na kawałki!

10) Kelton

Nie chciałem wyciągać pistoletu, ale kiedy ta kreatura zbliżała się do Alyssy, włączył się we mnie instynkt obronny. Teraz mój ruger jest

wymierzony w jego głowę. Powiniennem celować w klatkę piersiową, ale stoją pod takim kątem, że strzeliłbym mu w plecy, a wtedy pocisk mógłby przelecieć na wylot i trafić Alyssę. Trafienie w głowę jej nie zrani, ponieważ gość jest wysoki.

Na widok pistoletu dwóch pozostałych oprychów puszcza Garretta i rzuca się do ucieczki. Ale wysoki blondyn nadal trzyma Alyssę.

– Kazałem ci ją puścić! – Moja dłoń drży. Wyciągam drugą i chwytam broń obiema, ale niewiele to pomaga.

On odwraca się i zauważa pistolet. Alyssa korzysta z okazji i wyślizguje się z jego uścisku. Natychmiast biegnie do Garretta, żeby go osłonić.

Zbir stoi nieruchomo i przygląda mi się takim wzrokiem, jakby miał gdzieś, czy pociągnę za spust. Jakby pogodził się już ze śmiercią.

Wpatruję się przez chwilę w jego niebieskie oczy, a potem skupiam uwagę na celowaniu. Na tym etapie moje ręce nie tyle drżą, ile się normalnie trzęsą. Gwałtownie. Próbuję je opanować, ale wygląda na to, że mój mózg stracił zdolność wysyłania sygnałów do kończyn – nie mam kontroli nad ciałem. W żaden sposób nie jestem w stanie powstrzymać fali paniki, która wypływa ze środka klatki piersiowej i niczym zabójcza siła grawitacji do tego stopnia zgniata mi płuca, że oddycham z trudem, ledwie dyszę.

– On się nie zawaha – woła Alyssa. Jej okrzyk odbija się echem. – Lepiej uciekaj za swoimi kumplami.

– Nie – stwierdza chłopak. Samo „nie”. Po czym robi krok w moją stronę. Ale czy na pewno? Nie mam pewności, ponieważ przed oczami zaczynają mi latać plamy, a mózg przestaje działać – wyłącza kolejne tłoki.

– Zrób to, Kelton! No dalej! – woła Garrett.

Nie potrafię. Mimo całego przeszkolenia, wszystkich lekcji samoobrony i strzelania, jakaś wewnętrzna siła powstrzymuje mnie przed

wykonaniem ostatecznego kroku. Nie potrafię się zmusić do pociągnięcia za spust.

A chłopak już to wie.

Rzuca się do przodu i przewraca mnie na plecy. Pistolet odlatuje na bok. Nie mogę pozwolić, żeby dostał się w jego ręce. Pozabija nas wszystkich! To szaleniec – nie mam co do tego żadnych wątpliwości!

Pistolet ląduje między śmieciami przy krawężniku. Obaj rzucamy się w tamtą stronę. Trudno powiedzieć, który z nas z większą desperacją próbuje go dosięgnąć. Kiedy dopadam do miejsca, w którym, jak mi się wydawało, wylądowała broń, widzę, że jej nie ma. Stoi tam za to dziewczyna, która pojawiła się dosłownie znikąd. Nie widziałem jej wcześniej, a teraz ona trzyma mój pistolet. Wycelowany prosto we mnie.

Odbezpiecza go z precyzją znawcy, ładując pocisk do komory, a do mnie dociera, że nawet gdybym wcześniej pociągnął za spust, nic by się nie stało, ponieważ zapomniałem o odbezpieczeniu. Dziewczyna się uśmiecha, niemal zalotnie – właśnie wtedy uświadamiam sobie, że pistolet wcale nie jest wycelowany we mnie. Skierowała lufę w stronę zimnookiego zboka, który znajduje się tuż za mną. Odpycha mnie z pewnością siebie obłąkanej i przykłada wylot lufy do czoła chłopaka.

Spoglądam na Alysę, która podobnie jak ja jest jednocześnie zszokowana niespodziewanym pojawieniem się tajemniczej dziewczyny i przerażona jej potencjalnymi intencjami. Robię wszystko, żeby stłumić atak paniki.

Chłopak wykrzywia twarz, kiedy dziewczyna wpycha lufę mocniej w jego czoło. Wygląda na znacznie bardziej przerażonego niż wtedy, kiedy ja w niego celowałem. Bełkocze coś na usprawiedliwienie, byle tylko zyskać na czasie.

– To oni, nie ja... to oni mają wodę... dlaczego ja?

– Dlaczego ty? – odpowiada dziewczyna dziwnie zamyślonym głosem. – Pewnie dlatego, że niezbyt podoba mi się twoja buźka. Założę się, że była

kiedyś ładna. Że byłeś przystojniaczkiem. Zbyt wielu takich mnie rzuciło.
– Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby ją rzucać. Nie tylko jest twardzielką, ale również wygląda olśniewająco pod każdym względem. Ciemnowłosa i tajemnicza. Choć może rzucali ją dlatego, że jest powalona.

Dziewczyna odgarnia z twarzy długi kosmyk czarnych włosów, odsłaniając nieprzeniknione ciemne oczy, które przeszywają w zupełnie inny sposób niż niebieskie oczy chłopaka.

Wyciąga wolną rękę w stronę Alyssy, nie odrywając lufy pistoletu od jego głowy.

– Podaj mi, proszę, kluczyki – mówi, a kiedy Alyssa nie wykonuje żadnego ruchu, dodaje: – Dawaj kluczyki albo go zabiję.

Zaczynam rozumieć, co się dzieje. Jeżeli dziewczyna wie o kluczykach, to nie przechodziła tędy akurat, kiedy wyciągnąłem broń. Musiała widzieć całe zajście. Obserwowała rozwój wypadków w oczekiwaniu na odpowiedni moment. Skoro jednak widziała wszystko, dlaczego sądzi, że Alyssa uratuje chłopaka?

Nagle dociera do mnie dlaczego.

Ponieważ Alyssa tak właśnie postąpi. Dziewczyna wyczytała to z jej twarzy w ciągu zaledwie kilku sekund.

– Błagam – woła on. Pewnie posikałby się ze strachu, gdyby w jego organizmie znajdowało się choć trochę wody. – Błagam... moja mama i siostra... obiecałem, że przyniosę im wodę. Jeżeli zabijesz mnie, zabijesz też je!

– Rany, co za pech – mówi dziewczyna i przyciska pistolet jeszcze mocniej do jego czoła. – Kluczyki! – zwraca się ponownie do Alyssy.

– Dobrze – mówi Alyssa, starając się udobruchać dziewczynę. – Nikt nie musi zginąć.

– Nie! – protestuje Garrett. – Pozwól jej go zastrzelić!

Ale Alyssa ignoruje brata i kładzie kluczyki na dłoni dziewczyny.

Ta natychmiast odsuwa lufę od czoła blondyna, opiera stopę na jego klatce piersiowej i odpycha go do tyłu. Kim, u diabła, ona jest? Jej zachowanie jest radośnie spontaniczne, ale w jej działaniach – to pewne – nie ma żadnej impulsywności. Wygląda na osobę wyrachowaną i inteligentną.

Niebieskokoki chłopak leży na ziemi, zwinięty w pozycji embrionalnej, zdruzgotany, zapłakany. Podejrzewam, że już się nie podniesie.

11) Alyssa

Zobaczyłam ją pierwsza. Wskoczyła z ukrytej bramy w chwili, kiedy Kelton wypuścił pistolet z dłoni. Uśmiechnęła się promiennie, kiedy złapała broń. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko, żebym zdążyła zareagować, zresztą myślałam tylko o tym, jak ochronić Garretta, który najwyraźniej jako jedyny z naszej trójki chciałby zobaczyć dziś mózg obcego człowieka rozbryzgany na chodniku. Nie zamierzam się nad tym dłużej zastanawiać. Pojawiło się nowe źródło zagrożenia – dziewczyna.

Jest ubrana na czarno i ma długie, ciemne włosy. Skóra jakby oliwkowa. Trudno określić jej pochodzenie etniczne – trochę podobnie jak w przypadku Garretta i mnie. Nas również nikt nie potrafi przypisać do żadnej kategorii, co ma swoje plusy i minusy. Dziewczyna jest wysportowana, umięśniona. Ma również kilka siniaków i rozcięte ramię. Bóg raczy wiedzieć, skąd to się wzięło. Jej policzki są dziwnie zaróżowione – jest rozpalona, choć nie z powodu pragnienia. Tego również nie potrafię wyjaśnić. Wiem tylko, że jest na tyle postrzelona, żeby przystawić chłopakowi pistolet do głowy, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Uratowała nas, ale dlaczego? Czy tylko po to, żeby zdobyć kluczyki? Poza tym broń Keltona nadal spoczywa w jej ręce. Do jakiego stopnia możemy się czuć bezpieczni?

– To było niesamowite – odzywa się Garrett z rozmarzonym wzrokiem, jakbyśmy zostali właśnie uratowani przez Wonder Woman.

Dziewczyna się oddała. Ruszam za nią, a Garrett i Kelton idą w moje ślady.

– Hej... pistolet jest nasz – mówię. Nie zwalnia nawet kroku.

– Nie sądzę. Uratowałam wam tyłki przed wodnym zombie, więc pistolet należy do mnie. To uczciwa wymiana.

– Wodny zombie... – mówi do siebie Kelton. – Rzeczywiście, dokładnie takim czymś był ten chłopak.

– Ludzkie ciało składa się mniej więcej w sześćdziesięciu procentach z wody – ciągnie dziewczyna. – Jeżeli miałabym zgadywać, u niego zostało tylko czterdzieści pięć. Nie jestem pewna, przy jakim procencie człowiek się zasusza, ale jemu niewiele już brakuje.

Rzucam okiem na chłopaka zwiniętego na chodniku przed budynkiem kina. Jak to możliwe, że jeszcze chwilę temu wydawał się tak przerażający, a teraz przedstawia tak żałosny widok? Ile podobnych wodnych zombie spotkamy jeszcze w drodze do domu? I to w sytuacji, kiedy straciliśmy zdolności obronne? Bezpieczny i racjonalny świat, który dotychczas znałam, wypełnił się przerażającymi niewiadomymi. Tylko co jest gorsze: te niewiadome czy dziwaczna dziewczyna, która nas właśnie uratowała?

– Hej, jeżeli zamierzasz zabrać samochód – mówię – przynajmniej mogłabyś nas podwieźć.

Odwraca się na pięcie i wrzeszczy na mnie:

– Ile ty masz lat? Szesnaście? Rozkapryszona cheerleaderka z idealnego domu? Uważasz, że każdy człowiek powinien ci nadskakiwać?

– A tobie co na mózg padło? – W końcu to ja zaczynam się wkurzać.

Robi kolejny krok w moją stronę. Podchodzi niebezpiecznie blisko. Kątem oka widzę, że jej dłoń zaciska się mocniej na pistolecie. Próbuje nie okazywać strachu.

– Powiedz nam po prostu, co tu się wydarzyło. Przyjechaliśmy odszukać moich rodziców i nie możemy ich nigdzie znaleźć.

Wydaje się, że te słowa lekko ją uspokajają. Może jednak ma duszę.

– Nie mogę wam pomóc – oświadcza. – Nie był to przyjemny widok. Tylko tyle wiem. Najlepiej wczłógnijcie się do swojej norki, przyczajcie się i po prostu przeczekajcie całą tę historię.

Do rozmowy włącza się Kelton, który od czasu utraty pistoletu sprawia wrażenie mocno przygaszonego:

– W ranę na ramieniu wdało się zakażenie, prawda?

Ona odwraca się w jego stronę.

– To zwykłe draśnięcie.

– Potrafię rozpoznać zakażoną ranę. Źle to wygląda.

Dziewczyna świdruje go spojrzeniem, które jakby straciło trochę na zuchwałości.

– No i co? – mówi.

– No i to, że kiedy zakażenie przedostanie się do krwi, to będziesz żałowała, że nie umierasz z pragnienia... Tymczasem ja mam w domu antybiotyki. Jak nas tam zawieszysz, to dostaniesz wszystko, co trzeba.

Dziewczyna nakręca na palec kosmyk włosów, rozważając propozycję. Próbuje odgadnąć jej wiek. Może mieć dziewiętnaście lat. Góra trzydzieści. Czy to rzeczywiście jest dobry pomysł? Nie. Tyle że obecnie mamy do dyspozycji same złe pomysły o różnym odcieniu kiepskości.

– Macie jakieś imiona? – odzywa się w końcu dziewczyna.

– Ja jestem Alyssa. To mój brat Garrett. A to Kelton.

– Kelton – prychna. – Kto daje dziecku na imię Kelton?

Kelton wzdycha.

– Wciąż sobie zadaję to pytanie.

Dziewczyna się uśmiecha. Teraz wygląda tylko na pół obłąkaną.

– Ja jestem Jacqui. Lepiej, żebyś nie kłamał w sprawie tych antybiotyków. A teraz zmiatajmy stąd.

Spoglądam na nasze rowery, które leżą na ulicy, i dochodzę do wniosku, że jeśli miałyby zostać jedynymi ofiarami dzisiejszego poranka, to nie mam nic przeciwko.

12) Jacqui

To niezwykle uczucie – rzucić wszechświatowi wyzwanie, żeby z nami skończył. Wszyscy je znamy. Pojawia się, kiedy na ułamek sekundy ogarnia nas pragnienie, żeby przekreślić kierownicę i wjechać pod nadjeżdżające samochody. Albo skoczyć z balkonu. Albo zagrać w rosyjską ruletkę rewolwerem ojca, który nie spodziewa się, że wiemy o istnieniu tej broni. Oczywiście w rzeczywistości wcale nie chcemy zrobić niczego takiego, ale doznanie pojawia się mimo to, niczym wiatr wiejący w plecy, kiedy stoimy na skraju urwiska, zachęcający nas delikatnie do skoku. *A gdyby tak... A gdyby tak...*

Właśnie takimi słowami mój psychiatra, zwany również doktorem Konowalem, określał Zew Pustki. To prawdziwe zjawisko – zostało opisane w czasopismach psychiatrycznych i w ogóle.

Sama znam je doskonale. Żyję z nim za pan brat. Jem, śpię i marzę o pustce, a ilekroć woła moje imię, zrywam się pierwsza, żeby odpowiedzieć na jej wezwanie.

Podejrzewam, że ten rozjaśniony głąb dostrzegł przebłysk tego uczucia, kiedy wepchnęłam mu lufę między oczy. Nie zamierzałam nacisnąć spustu, ale gdyby tak...

Nie planowałam zresztą w ogóle, żeby mu w ten sposób grozić. Nie planowałam żadnej z rzeczy, które się zdarzyły. Nie jestem typem męczennika, bohatera, który rzuca się na ratunek innym. Nie lubię tak mocno skupiać na sobie uwagi. Początkowo planowałam odczekać, aż trzech chłopaków bijących starucha odbierze mu kluczyki i doprowadzi mnie do jego samochodu, czyli zapasu wody. No, ale w pewnej chwili

pojawiła się dziewczyna ze swoją świtą i wszystko popsuła. Kiedy tylko zobaczyłam geeka z pistoletem, wiedziałam, że sytuacja nie skończy się dobrze. Teraz mam samochód, pistolet, a może i wodę. Nieźle jak na wtorkowy poranek.

Gdyby ta cała Alyssa i spółka mieli choć trochę oleju w głowie, daliby nogę w chwili, kiedy uwaga blondyna skupiła się na mnie – tak jak to zrobili jego „przyjaciele”. A przynajmniej tego się po niej spodziewałam. Tyle że przez te całe Suche Krany ludzie zachowują się w sposób koszmarnie nieprzewidywalny.

Świadomie nie zamierzam jej powiedzieć, co zdarzyło się wczoraj na plaży: w żaden sposób nie pomogłabym jej tym w zmierzeniu się z obecną sytuacją. Moje milczenie można więc potraktować jako przejaw litości.

A przecież wszystko wczoraj widziałam. Nie przyszłam na plażę na tyle wcześnie, żeby zdobyć wodę, ale zdążyłam przynajmniej zobaczyć, jak wszystko się posypało. Tak się składa, że od jakiegoś tygodnia mieszkałam w domu na klifie nad zatoczkami. Tym z wielką żelazną literą D na kominie. Wydaje mi się, że w przeszłości należał do Bette Davies. To moja ulubiona aktorka – nie dlatego, że była piękna, ale że była cholernie seksowna! Nie wiem, do kogo dom należy teraz, ale ci ludzie nie korzystali z niego przez całe lato. No właśnie, tacy obrzydliwi bogacze zachowują się w taki obrzydliwie bogacki sposób, że kupują nieruchomości tylko po to, żeby gdzieś ulokować pieniądze. A jeśli mają odpowiednio dużo kasy, nie muszą sobie nawet zawracać głowy ich wynajmowaniem. Właśnie dlatego mniej więcej jedna piąta domów na klifie nad Laguna Beach stoi pusta. Tabliczka z ostrzeżeniem przed alarmem antywłamaniowym tylko w połowie przypadków oznacza, że w środku rzeczywiście zamontowano coś takiego. Dzięki tym wszystkim okolicznościom, biegłości w otwieraniu zamków oraz zamiłowaniu do tego, aby się nie wychylać, mam możliwość regularnie pławić się w luksusie. Zwykle zatrzymuję się w jednym miejscu na tydzień, potem je

sprzątam, jakby to było Airbnb, i ulatniam się niezauważona przez właścicieli. No, może nie do końca, ponieważ zawsze zostawiam liścik na kartce Hello Kitty, z podziękowaniem za gościnę i informacją, że wstawiłam do lodówki zapas coli dla następnego nieproszonego gościa. Jaki sens miałyoby życie, gdyby nie można było podrażnić się trochę z innymi?

Moja rana powstała, gdy wchodziłam przez okno do łazienki na piętrze w moim obecnym lokum. Rozcięcie nie było zbyt dużym problemem – do czasu Suchych Kranów. Wyłączenie wody zaskoczyło mnie dokładnie tak samo jak wszystkich, o co mam do siebie pretensje, bo zwykle jestem bardziej kumata. Kiedy ogłosili, że będą produkować wodę pitną z tych zagłonionych pomyj, które chlupoczą przy plażach południowej Kalifornii – i że najbliższe miejsce będzie się znajdowało rzut kamieniem ode mnie – zebrałam dziesięć pustych butelek i wepchnęłam je do plecaka z Hello Kitty. No dobra, przyznaję, mam hopla na punkcie Hello Kitty. To taka moja sekretna przyjemność, jak kiedy umięśniony i włochaty harleyowiec skrycie nosi damską bieliznę.

Na miejsce przysłam z godzinę wcześniej, niż cała operacja miała ruszyć, ale kolejki ciągnęły się już przez całą plażę na promenadę, za budynek kina, i rozchodziły się na wszystkie boczne uliczki. Setki, może tysiące ludzi. Mam taką zasadę, że nie stoję w kolejkach. Wcinam się. Zwykle gdzieś na początku, z wprawą godną Davida Copperfielda dokonującego „zniknięcia” Statuy Wolności. Ustawiłam się więc na plaży i czekałam na odpowiedni moment.

Urządzenia odsalające były mniejsze, niż się spodziewałam. Obsługujący je ludzie wyglądali na pracowników FEMA, tyle że nie byli ubrani w oficjalne stroje w kolorze kobaltowego błękitu. Błękit ich strojów miał odcień nieba. Jak się okazało, na plażę przysłano ochotników. Co mnie mocno wkurzyło. Czy FEMA naprawdę do tego stopnia błędnie oceniła skalę naszego kryzysu, że jego zarządzanie

postanowiła oddać w ręce wolontariuszy? Wiem, że brakuje im rąk do pracy, ale nie można przecież zrzucić całej operacji ratunkowej na bandę ludzi, których podnieca myśl, że mogliby zostać agentami federalnymi. To przepis na katastrofę, w dodatku taki, w którym brakuje połowy składników.

Urządzenia początkowo działały, a ochotnicy wydawali się wiedzieć, co robią... do momentu, aż jedna z maszyn zaczęła dymić. Wtedy stało się jasne, że umiejętności obsługujących kończą się na odkręcaniu i zakręcaniu kurków.

– To wszystko przez wodorosty – zawołał jakiś gruby mądrała. – Ci kretyni nie wzięli pod uwagę wodorostów.

Jak się okazało, urządzenia zostały zaprojektowane do odsalania przefiltrowanej wody. Choć pracownicy próbowali sklecić jakieś filtry, urządzenia jedno po drugim się zatykały i przegrzewały.

– Prosimy o spokój – wołali bezradni wolontariusze do rozwścieczonego tłumu. – Jadą do nas technicy, którzy rozwiążą problem. Wody starczy dla wszystkich.

Ale oczywiście nikt nie przyjechał. Nie minęło wiele czasu, a działały tylko dwie maszyny z sześciu.

Niedługo potem gość kierujący operacją popełnił kolejny błąd: nakazał ludziom stojącym przed zepsutymi maszynami ustawić się na końcu kolejek do działających maszyn.

Gdyby przekleństwa miały siłę rażenia bomb atomowych, zrównalibyśmy z ziemią całą planetę.

– To jakieś, k..., żarty? Czekamy, k..., na tym pier... upale od pier... trzech godzin!

Jak napisano w Nowym Testamencie, powstał ogromny płacz i zgrzytanie zębów.

Ludzie próbowali sprzeciwić się rozkazom i wpychać do innych kolejek, tyle że bez finezji, z którą zabrałam się do tego wcześniej ja.

Osoby stojące w kolejkach do działających urzędzeń stawiały opór, więc wpychacze zdwoili wysiłki.

– Spadać stąd! Stoimy w tej kolejce od rana!

– Tak? My staliśmy w TAMTEJ kolejce od rana!

– No to wracajcie tam i czekajcie, aż naprawią waszą zasraną maszynę!

I tak w jednej chwili kolejki się rozsypały. Powstał wielki posuwający się do przodu tłum ściśniętych ludzi.

Nie widziałam pierwszej bójki, ale poczułam ją – ponieważ cała tłuszcza ruszyła gwałtownie do przodu, niemal mnie wywracając. Ludzie napierali z taką siłą, że jedna z dwóch działających wciąż maszyn została przewrócona. Nawet wtedy ludzie doskoczyli do niej i próbowali napełniać butelki, ale ze środka wypływał już tylko czarny szlam.

Na tym etapie wykazałam się dostatecznie dużą przytomnością umysłu, żeby wyrwać się z tłumu w stronę linii brzegowej. Uwięziona przy niej, oglądałam dalszy rozwój wypadków. Pierwsza bójka przerodziła się w kolejną, ta w następną, aż w pewnym momencie wyglądało to tak, jakby wszystkim odłączyło mózgi.

Tak właśnie zachowuje się motłoch. Zjawisko to nosi nazwę dezindywidualizacji. Z czymś podobnym mamy do czynienia, kiedy policjant zakłada mundur albo kiedy wsadzamy na nos okulary przeciwsłoneczne, żeby ludzie nie widzieli naszych oczu. Człowiek opuszcza wtedy niejako swoje normalne ja i czuje się kimś innym. Zachowuje się inaczej. Co zatem dzieje się, kiedy człowiek jest spragnionym wody biedakiem w tłumie wodnych zombie? Zamienia się w jednego z nich.

Widziałam, jak stratowano na śmierć starszego mężczyznę. Widziałam matkę kradnącą wodę cudzemu dziecku. Widziałam nawet mężczyznę, który wyciągnął nóż i z zimną krwią zamordował innego człowieka. Tłum ruszył na maszyny, zaatakował obsługujących je ludzi. Niektórzy z nich mieli broń palną i zaczęli z niej strzelać.

Niedługo potem na plażę wkroczyły oddziały porządkowe policji. Naparły na tłum tarczami, jakby zamierzały zepchnąć go do morza i utopić. Niektórych rzeczywiście spotkał taki los. Ludziom nie pozostało nic innego, jak rzucić się w fale. Ci słabsi albo niepotrafiący pływać szybko poszli na dno. Policjanci strzelali gumowymi kulami, pryskali gazem łzawiącym, okładali pałkami.

Udało mi się jakoś stamtąd wyrwać. Wspięłam się na skały w dalszej części plaży: ja i mój plecak Hello Kitty, pełen pustych butelek. Czułam już wtedy wzbierającą gorączkę; wiedziałam, że to przez tę parszywą zakażoną ranę. Wycofałam się z plaży i tylko obserwowałam ludzi ulegających Zewowi Pustki.

Po niemal godzinie całkowitego chaosu i aresztowaniu kilkuset osób tłum zaczął rzednąć. Dopiero wtedy na plażę mogli wejść ludzie z pogotowia ratunkowego, żeby pomóc rannym i zabrać nieżywych. Do zachodu słońca plaża niemal całkowicie opustoszała, a policjanci z oddziałów prewencji, którzy tam zostali, oddawali strzały ostrzegawcze w stronę każdego, kto próbował zbliżyć się do zniszczonych maszyn. Wydaje mi się, że ze dwa takie strzały nie były wcale ostrzegawcze.

Postanowiłam nie wracać do domu. Nie było tam nic, czego mogłabym teraz potrzebować. Ani wody. Ani zapasów. Zrozumiałam, że największe szanse na przetrwanie da mi nie ukrywanie się przed ludźmi, ale bycie wśród nich. W otoczeniu innych pojawiają się okazje. Ludzi można zwieść, poruszyć, poświęcić. Z tego punktu widzenia można by mnie pewnie nazwać duszą towarzystwa. Oto, jaki morał płynie z tej historii: złymi wieściami czasami lepiej się nie dzielić. A przynajmniej ja nie powinnam. Bo jeśli chodzi o rodziców Alyssy i Garretta, to w związku z całą przelaną krwią i rozlaną wodą mogą się teraz znajdować gdziekolwiek. Choćby w kostnicy.

Przeszukujemy pobliskie uliczki w poszukiwaniu bmw, tymczasem gorączka coraz bardziej daje mi się we znaki. Mijamy opustoszałe

wystawy sklepowe i małe parkingi. Wciskam guzik na kluczykach, ale bez rezultatu.

Alyssa i jej brat też się rozglądają. Wiem, że nie wypatrują wcale bmw.

– Jakim samochodem przyjechali wasi rodzice? – pytam.

– Niebieskim priusem – odpowiada Garrett.

Wybucham śmiechem.

– No to powodzenia. Połowa samochodów w okolicy to priusy.

Unoszę kluczyki w powietrze i wciskam ponownie guzik.

– Gdybyś trzymała je przy brodzie, miałyby większy zasięg – mówi Kelton. – Fala elektryczna przepływa wtedy przez płyn mózgowy, zamieniając głowę w antenę.

Pomysł się nie sprawdza, ale on i tak się uśmiecha, wyraźnie dumny, że mógł się podzielić użyteczną informacją. Inteligencja książkowa jest równie użyteczna jak butorolki: doprowadzi cię tylko do pewnego momentu, dalej jesteś zdany na swoje nogi. W sytuacjach, gdy wybierasz między walką a ucieczką, przeżycie zapewnia inteligencja uliczna. Ja mam to wyjątkowe szczęście, że dysponuję jednym i drugim. Od dwóch lat żyję na własną rękę i radzę sobie bez stałego miejsca zamieszkania oraz stałej pracy. Czy to mieszkałam przez miesiąc u chłopaka albo w zajęтым przez bank domu, czy to pławiłam się w luksusach obwieszzonego kulkami na mole domku na plaży – było mi dobrze. Życie na krawędzi pasuje do mojej osobowości. Tak było nawet w szkole. Nie odznaczałam się dostatecznie melodramatycznym egotyzmem, żeby zostać gothem, nie chciało mi się też przychodzić regularnie na lekcje i wcielać w rolę kujona. Nie byłam na tyle nieinteligentna, żeby znosić plebs... a zdecydowanie wolałabym zostać nabita na szkolny maszt z flagą, niż zostać hipsterem.

Moi rodzice – którzy mają tyle problemów ze sobą, że postanowili je znaleźć również i u mnie – chadzali ze mną do terapeutów i psychofarmakologów, którzy zgodnie informowali ich, że moje

problemy wynikają raczej z dysfunkcjonalności otoczenia, a nie z zaburzonej równowagi chemicznej mojego organizmu. Zawsze ich to wkurzało. Bo co mogło być dysfunkcjonalnego w matce tak złośliwej, że celowo dawała mężowi niedogotowanego kurczaka, oraz w ojcu o tak narcystycznej osobowości, że w wieku czterdziestu lat zrobił sobie operację plastyczną twarzy? Ostatecznie udało im się znaleźć gościa, który postawił u mnie taką diagnozę, jaką chcieli usłyszeć: zaburzenie dysocjacyjne ze skłonnościami nihilistycznymi. Co w praktyce oznacza, że nie jestem zadowolona z życia. Po czym zaczęli mnie z tego leczyć farmakologicznie. Wielkie dzięki, doktorze Konowale.

To było wspaniałe. Oczywiście dla nich. Mnie brakowało i motywacji, żeby mieć własne opinie, i energii, żeby się czymkolwiek przejmować. Prawda na temat leków jest taka, że naprawdę mogą uratować życie – jeśli się ich rzeczywiście potrzebuje. W przeciwnym razie zwyczajnie je zatruwają.

Z domu dałam nogę, kiedy mama w końcu zebrała się na odwagę i ogłosiła, że chce się rozwieść. Akurat tej szopki nie miałam ochoty oglądać, nawet z miejsc w pierwszym rzędzie. Dzwonię do nich od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy się nie zagryźli na śmierć albo czy im zupełnie nie odbiło. Poza tym trzymamy się swoich stron strefy zdemilitaryzowanej.

Przez dwa ostatnie lata samodzielności o mało co nie zostałam ofiarą handlu ludźmi i nie straciłam życia – i to wszystko jeszcze przed Suchymi Kranami. Wspaniały materiał na wspomnienia, których nie będę miała okazji nigdy napisać.

Teraz zostałam szoferem trójki irytujących dzieciaków. Co może być najbardziej niebezpieczną sytuacją, w jaką się wpakowałam.

W końcu udaje nam się znaleźć bmw. Stoi na opustoszałym parkingu. Jest srebrne, lśniące i wygląda na niesamowicie drogie, jest więc szansa, że – jak twierdził blondas – jest wyładowane wodą. Na myśl o tym skacze

mi adrenalina. Zaglądam do środka i widzę straszny bałagan. Sterty bezużytecznego badziewia. Pliki papieru, śmieci, DVD, których prawdopodobnie nikt już nie odtworzy... Nie wierzę własnym oczom. Co za kretyn gromadzi śmieci, a nie zapasy? Zaglądam pod siedzenia, między fotele – śmieci wysypują się nawet z bagażnika. Wybawienie znajduję dopiero w schowku na rękawiczki – a przynajmniej pół litra. Zaczynam żłopać wodę. Nie zamierzam się nią dzielić, ponieważ wiem, że te dzieciaki mają swoją. Muszę siłą oderwać butelkę od ust, żeby zaczerpnąć powietrza.

Biorę głęboki wdech i pobieżnie przeglądam graty w samochodzie. Dziesiątki zdjęć właściciela auta – lśniący portret rodzinny, wszyscy ubrani w identyczne nieciekawe golfy. Do diabła, takie fotki dołącza się do ramek sprzedawanych w sklepach. Tyle że im dłużej im się przyglądam, tym bardziej z jakiegoś powodu mnie poruszają. Co jest dziwne, bo przecież nie znam gościa. Bardziej niż on działają na mnie te wszystkie rzeczy. To, że właśnie je spakował. Akurat to postanowił zatrzymać, kiedy opuszczał dom – być może na zawsze. Taką desperację potrafię zrozumieć i się z nią identyfikować. Pod wpływem tych wszystkich emocji zaczyna mnie przytłaczać powaga sytuacji. Kręci mi się w głowie. To gorączka. Próbuję wziąć się w garść, zanim ruszymy. To nie czas na sentymentalizm czy chorobę; to czas na mobilizację.

Wypijam kolejny haust wody z butelki i zauważam, że Alyssa mi się przygląda.

– Powinnaś oszczędzać – mówi, jakby powtarzała jakiś tekst z komunikatu władz, który usłyszała w czasie oglądania kreskówek ze swoim głupawym braciszkiem.

Posyłam jej gniewne spojrzenie.

– Kelton jedzie koło mnie – oświadczam – bo kiedy on zachowuje się irytująco, przynajmniej ma to jakąś wartość informacyjną.

Prawdziwy powód jest oczywiście taki, że pasażer siedzący z przodu będzie dla mnie największym zagrożeniem, a na razie ten głupawy rudzielec, który nie potrafi nacisnąć spustu, sprawia wrażenie najmniej groźnego. Wręcz pali się do pomocy.

– Zajmę się nawigacją – stwierdza. – Może się okazać, że będziemy musieli zjechać z drogi.

Alyssa przygląda mi się sceptycznie, po czym ponownie otwiera tę swoją niewyparzoną gębę.

– A kto powiedział, że ty tu rządzisz?

– Ja – informuję ją i uruchamiam silnik. – Jak ci się nie podoba, wracaj na rower i pedaľuj do domu.

Alyssa w końcu wsiada do samochodu, ustępuje zgodnie z moimi oczekiwaniami. W ostatecznym rozrachunku potrzebuje mnie bardziej niż ja jej. A ja nie potrzebuję jej w ogóle. Jedynym powodem, dla którego ona i jej brat znajdują się w samochodzie, jest to, że Kelton prawdopodobnie nie zgodziłby się jechać bez nich – a on ma dostęp do antybiotyków. Oczywiście pod warunkiem, że nie kłamie. Nie sądzę jednak, żeby tak było. Jest przesadnie szczery. Taki poziom szczerości może się kiedyś dla niego skończyć tragicznie.

Jeśli chodzi o Alysę, to nie ufam jej tak samo, jak ona nie ufa mnie. Co mi nie przeszkadza, dopóki panuję nad sytuacją. Przetrwam ten, kto nie odda innym prawa do podjęcia choćby jednej decyzji. Teraz jednak, gdy mam okazję przyjrzeć się dokładniej tej dziewczynie we wstecznym lusterku, dostrzegam coś, co umknęło mi wcześniej. Moje pierwsze wrażenie było takie, że potrafi tylko głośno szczekać, ale nie ma pazurów, jednak wpadające do wnętrza pojazdu światło odbija się od jej twarzy i odsłania to, co wcześniej skrywało się przed moim wzrokiem. Uświadamiam sobie, że jej oczy nie są aż tak głupie i bezmyślne, jak sądziłam. Jest bystra. Co oznacza, że może stwarzać problemy.

Widzę, że Jacqui co chwilę zerka na mnie we wstecznym lusterku. Nie lubię jej ani jej nie ufam, a ona to wie. Przypominam sobie pewien fakt, którego nauczyłam się na lekcji biologii. W świecie zwierząt samotnicy zawsze są bardziej wygłodniali i zawzięci, ponieważ trudniej się poluje w pojedynkę niż w stadzie. Poza tym nigdy nie wiadomo, co takiego samotne zwierzę zrobiło, że usunięto je ze stada. Jacqui jest nieznaną substancją w nieoznakowanej butelce, a my w chwili obecnej znajdujemy się na jej łasce. Równie dobrze mogliśmy zostać właśnie porwani.

Siedzący z przodu Kelton włącza radio. Satelitarna stacja z muzyką country z jakiegoś powodu wydaje się w tej chwili nieprzyzwoita. Luke Bryan śpiewa o deszczu, whisky i o tym, że palce dziewczyny zostawiają mu odciski na skórze.

Jacqui spogląda na niego i mówi:

– Jeżeli nie zmienisz stacji, zastrzelę cię, a potem palnę sobie w łeb.

On szybko spełnia jej żądanie.

– Jaki idiota puszcza dziś piosenkę o deszczu – stwierdza, przełączając radio na lokalną stację informacyjną.

„...w miarę jak Suche Krany nadal prześladują południową Kalifornię, gubernator i przedstawiciele lokalnych władz zapewniają mieszkańców, że centra ewakuacyjne...”

Jacqui wyciąga rękę i wyłącza radio.

– Hej! Mogli mówić coś ważnego! – przypominam jej.

– Puszczają w kółko ten sam komunikat, słucham od rana – odpowiada.

– Nie ma żadnych „centrów ewakuacyjnych”. Przynajmniej na razie.

– Nie włączajcie – odzywa się Garrett. – Nie chcę już niczego słuchać.

Ja w sumie też nie, tyle że wolałabym nie zostawać sam na sam ze swoimi myślami. Choć trzeba przyznać, że jest coś gorszego od nich: myśli Keltona.

– Wszystko zacznie się teraz dość szybko rozsypywać – zaczyna opowiadać. – Podstawowe usługi przestaną działać, komunikacja stanie się zawodna... lada chwila zapanuje miejski darwinizm. Słyszeliście o takiej teorii, która nazywa się „trzy dni do zezwierżenia”? Przewiduje, że...

– Nie interesuje mnie, co ona przewiduje, Kelton – przerywam mu. – Więc lepiej się przymknij.

– W porządku – mówi, a jednak wcale się nie przymyka. – Chodzi o to, że jesteśmy w dniu czwartym... więc myślę, że teoria myli się o jeden dzień.

Najgorsze jest to, że prawdopodobnie ma rację. Katastrofa naturalna to jedno, zamieszki to drugie, ale całkowity rozpad społeczeństwa? Czy właśnie coś takiego dzieje się na naszych oczach? W mojej głowie rodzą się wizje postapokaliptycznej rzeczywistości. Nigdy bym nie przypuszczała, że możemy do niej przejść w czasie krótszym niż termin przydatności mleka.

– Przebawne z was dzieciaki – stwierdza Jacqui. – Tylko na siebie psioczycie i psioczycie. Jeszcze chwila i zaczniecie pytać: „Daleko jeszcze?”.

Na co Garrett pyta:

– A daleko jeszcze?

Uderzam go łokciem trochę mocniej, niż zamierzałam, ale on niezbyt na to reaguje. Osuwa się tylko w fotelu i odwraca głowę w stronę okna. Pewnie również próbuje odpędzić myśli.

– Nazywasz nas dzieciakami – zwracam się do Jacqui – ale sama nie wyglądasz na więcej niż osiemnaście lat.

– Dziewiętnaście.

Kiedy przejeżdżamy nad autostradą, na jezdni poniżej wciąż stoją samochody. Wyglądają teraz na porzucone. Zmuszam się, żeby o tym nie myśleć.

– To gdzie chodziłaś do szkoły? – pytam Jacqui. Chodzi mi wyłącznie o to, żeby odciągnąć uwagę od mroczniejszych myśli.

– W Mission – odpowiada, co mnie zaskakuje, ponieważ ja tam chodzę, a to oznacza, że musiałyśmy o siebie zahaczyć. Nie pamiętam jej, choć trzeba przyznać, że Mission Viejo High to dość duża szkoła.

– Chodzisz do szkoły Mission Viejo? – pyta równie zdziwiony Kelton.

– Chodziłam – odpowiada Jacqui – dopóki nie dałam nogi.

Zaraz potem Kelton wydaje stłumiony okrzyk.

– Czy ty przypadkiem nie nazywasz się Jacqui Costa?

Dziewczyna spogląda na niego zdumiona.

– Skąd, u diabła, wiesz, jak się nazywam?

– Żartujesz? Jesteś normalnie legendą. – Kelton odwraca się do mnie. – Jej nazwisko znajduje się na tabliczce w gabinecie... Ustanowiła rekord szkoły na egzaminie SAT... zdobyła niemal maksymalną liczbę punktów!

– Odwraca się do niej. – Nienawidzę cię od początku roku!

– No proszę, teraz już wiesz dokładnie, jak wygląda obiekt twojej nienawiści.

– Dlaczego rzuciłaś szkołę? – pytam, tym razem naprawdę zainteresowana.

Ale ona oczywiście zbywa pytanie.

– Miałam ciekawsze rzeczy do robienia.

– Hm... – mówię. – Wygląda na to, że twoje Suche Krany zaczęły się dawno temu.

Ponownie zauważam, jak popatruje na mnie we wstecznym lusterku. Szybkie, zimne spojrzenie. Napominam się w myślach, że nie powinnam jej do siebie zrażać. Ma pistolet i sumienie skurczone do rozmiarów rodzynki, jeżeli w ogóle cokolwiek z niego zostało. Wyobrażam sobie, że już wcześniej była zwierzęciem i nie potrzebowała trzech dni, żeby się w nie przemienić.

Kiedy skręcamy z głównej drogi w stronę naszego domu, czuję jednocześnie odprężenie i narastające napięcie. Powrót do domu powinien zapewnić nam pewną dozę bezpieczeństwa, ale oznacza również, że ponieśliśmy porażkę. Chyba że mama i tata wrócili podczas naszej nieobecności. Uczepiam się tej nadziei niczym postrzępionego końca liny ratunkowej, ponieważ nadal nie potrafię się zmierzyć z innym rozwiązaniem.

Rzędy domów pieką się w słońcu; po ich mieszkańcach nie ma ani śladu. Wszystko wygląda zatem mniej więcej tak samo, jak kiedy wyjeżdżaliśmy. Wyginam szyję, przyciskając głowę do przyciemnionej szyby, żeby szybciej zobaczyć nasz dom. W końcu dostrzegam podjazd. Nadal nie ma na nim samochodu mamy. Brama od garażu nadal jest opuszczona. Boczna – nadal zatrzaśnięta.

Za to główne drzwi są otwarte!

Zanim Jacqui zdążyła zaparkować, Garrett i ja wyskakujemy z auta i pędzimy w ich stronę.

– Wrócili do domu! – woła Garrett. – Wiedziałem, że trzeba było po prostu na nich czekać! Wiedziałem.

Ale gdyby rzeczywiście wrócili, czy zostawiliby otwarte na oścież drzwi?

Kiedy podbiegamy bliżej, widzę przyklejoną do nich kartkę. Przez moment łudzę się, że to list od rodziców, ale okazuje się, że jest to tylko wezwanie na jutrzejsze spotkanie Stowarzyszenia Mieszkańców. Wtedy też zauważam odłamki drewna leżące na progu i na płytkach holu. Ktoś otworzył te drzwi kopniakiem.

– Tato? – woła Garrett. – Mamo?

Tak bardzo pragnie wierzyć w powrót rodziców, że wypiera wszystkie zaprzeczające temu poszlaki. Spogląda na roztrzaskaną ościeżnicę.

– Może zgubili klucze. Albo wujek Basil wrócił i nie mógł się dostać do środka.

Chwyta się brzytwy. Ktoś się tu włamał. Zaraz potem przychodzi mi do głowy...

– Kingston!

Na myśl, że nasz pies musiał się zmierzyć z napastnikami, wbiegamy do środka.

Dom nie został może splądrowany, ale nie wygląda normalnie. Na podłodze leżą cienka stalowa obręcz i kawałki miedzianej rury. Na dywanie zostały odciski butów z resztkami trawy, a kiedy wychodzimy z za załomu, zauważamy bojler leżący niczym wrak statku na stole jadalnym. Został wyrwany ze ściany i rozłupany, a teraz spoczywa martwy na blacie, niczym pacjent, który nie przeżył operacji.

– Kingston! – woła Garrett. – Kingston! Gdzie jesteś?!

Czuję ulgę, kiedy widzę, jak nasz pies pojawia się w drzwiach łączących salon z kuchnią.

– Chodź, mały – mówię do niego. – Przepędziłeś ich?

Wyciągam rękę, żeby go pogłaskać, ale on nie podchodzi. Zaczyna skomleć niezdecydowany, choć raczej nie jest to wyraz sprzeciwu, ale czegoś innego...

– Kingston? – powtarzam, próbując zrozumieć jego reakcję. Dociera do mnie, że musi być głodny, ponieważ od rana niczego nie jadł. Sięgam do kieszeni i wyciągam suszoną wołowinę, którą spakowałam na podróż.

W tej samej chwili z kuchni wyłania się inny pies, zwabiony zapachem mięsa. To rottweiler należący do rodziny z naprzeciwka. Dziwne. Co on tu robi? Musiał wejść przez otwarte drzwi w poszukiwaniu wody. Zawsze wydawał się przyjaźnie nastawiony do ludzi, ale teraz zupełnie na takiego nie wygląda.

Wytrącona z równowagi wstaję, przedzieram wołowinę na pół i rzucam po kawałku każdemu z psów. Ale one tylko ją obwąchują. Jedzenie ich nie interesuje. Wiem, czego chcą, ale w tej chwili moja manierka jest pusta.

...Wtedy z kuchni wychodzi trzeci pies. Nie kojarzę go. To doberman. Spogląda na mnie, jakbym była znacznie bardziej łakomym kąskiem od suszonego mięsa.

Ze strachu niemal wyskakuję ze skóry.

– Garrett, nie podchodź – mówię.

Doberman zaczyna warczeć.

– Kingston! – wołam. Ale Kingston stoi z pozostałymi psami i nie podchodzi. Zupełnie jakby nie był już naszym psem. Zdradziliśmy go, nie daliśmy mu wystarczająco dużo wody. Dlatego znalazł sobie nowe stado.

Kiedy mięśnie dobermana się napinają, jakby szykował się do ataku, chwytam Garretta i pędzę w kierunku drzwi wejściowych.

– Nie! – woła Garrett. – Nie możemy go zostawić! Nie możemy zostawić Kingstona!

Psy zaczynają szczekać, a ja nie widzę, czy biegną za nami na ulicę, czy po prostu chcą nas przegonić ze swojego terytorium. Ciągnę za sobą Garretta, bo wiem, że nie mam teraz czasu, żeby mu wszystko wyjaśnić. Że Kingston, nasz pies, w innych okolicznościach pozostałby nam wierny do śmierci, ale teraz dokonał instynktownego wyboru, ponieważ kieruje się własnymi szansami na przeżycie.

14) Kelton

Alyssa i Garrett wybiegają ze swojego domu i wskakują z powrotem do auta, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Chwilę potem dociera do nas dźwięk. Za nimi pędzą groźnie wyglądający doberman, Kingston i inny duży pies. Podążają za dobermanem, kiedy ten obiega samochód. Alyssa wyjaśnia, co się stało, a Jacqui wyciąga mój pistolet.

– Nie! – powstrzymuję ją. – Zobaczmy, co zrobią.

Kingston opiera przednie łapy na tylnych drzwiach i spogląda tęsknym wzrokiem na Garretta, któremu do oczu nabiegają łzy. Zaraz potem pies

wbiega za swoimi towarzyszami z powrotem do domu. Alyssa oddycha z ulgą.

– Zamierzasz oddać swój dom sforcie psów? – pyta Jacqui.

Alyssa nie odpowiada. Nie podnosi na nas nawet wzroku. Zupełnie jakby to ostatnie wydarzenie przeważyło szalę i jej mózg całkowicie zamarł.

– To bez znaczenia – zwracam się do Jacqui. – Idziemy do mnie. Wszyscy będziemy tam bezpieczniejsi.

Oczywiście przekonanie ojca, żeby ich przyjął, będzie niezłą zabawą. Jeśli wziąć pod uwagę rozwój wypadków, prawdopodobnie przeszedł w pełny tryb komandosa – broń palna załadowana, samochód spakowany na pielgrzymkę do schronu, a on wkurzony na maksa, że zniknąłem rano bez słowa. Zamierzam jednak obstawać stanowczo przy tym, że towarzyszenie Alyssie było właściwą decyzją.

A Jacqui? Ona będzie niezbędnym gambitem. To termin szachowy, opisujący poświęcenie ważnej figury na początku partii w celu uzyskania przewagi na późniejszym etapie. Czasami trzeba uciekać się do takich rozwiązań, żeby wygrać. Trzeba ryzykować. Wiem, że sprowadzenie Jacqui było dużym ryzykiem, ale mimo oczywistej nieufności ze strony Alyssy to Jacqui zawdzięczamy życie. Niezależnie od tego, czy nam się to podoba czy nie. Cieszę się, że zauważyłem jej zakażenie – wiedziałem, że nie zrezygnuje z szansy na otrzymanie antybiotyków. Nie mogę się zresztą oprzeć wrażeniu, że jej decyzja o przyłączeniu się do nas również była gambitem, tyle że z jej strony. Teraz pozostaje tylko mieć nadzieję, że Jacqui nie zwróci się przeciwko nam, kiedy już dostanie to, na czym jej zależy.

Parkujemy na podjeździe, potem prowadzę ich w stronę domu. Od razu widzę, że ojciec nie próżnował. Jednoosobowe okopy w ogrodzie zostały przykryte kamuflującymi pokrywami i są gotowe do użycia. Pułapki są

zastawione, a żaluzje w oknach opuszczone. Tata zamontował nawet wokół domu dodatkowe kamery monitoringu.

Jacqui rozgląda się ze szczerym podziwem. Schodzi z betonowej ścieżki na trawę, a kiedy jej but dotyka ziemi, ta zaczyna się osuwać. Łapię ją za ramię, żeby nie wpadła do dziury, która ma co prawda tylko pół metra głębokości, ale jest wyłożona deskami z powbijanymi gwoździami. Takie coś można by zobaczyć w filmie z Indianą Jonesem.

– To pułapka – ostrzegam. – Uważaj, gdzie stawiasz nogi.

Jacqui kręci tylko głową. Luzackie podejście nie pozwala jej okazywać przerażenia.

– Od jak dawna przygotowujecie się na apokalipsę?

– Od dawna – mówię. – Koniec świata to nasze rodzinne hobby.

Zerka na boki, urzeczona ponurą wspaniałością naszego ogródka.

– Lepsze to niż szydełkowanie.

Czas na trudną część. Podchodzę do drzwi wejściowych, biorę głęboki oddech i szukam odpowiedniego klucza. Tuż przed wsunięciem go do zamka zamieram, przypomniawszy sobie, że Jacqui ma mój pistolet. Jeżeli ojciec to zobaczy, rozpęta się piekło nieporównanie większe od tego, które i tak nas czeka. Utrata pistoletu nie tylko zaświadczy o mojej skrajnej nieodpowiedzialności, ale również uczyni mnie w stu procentach odpowiedzialnym za wszystko, co Jacqui z nim zrobi.

Drzwi otwierają się, zanim zdążę przekręcić klucz. Staje w nich tata. Zupełnie jakby na nas czekał.

– Witaj w domu – stwierdza z beznamiętnym spokojem. – Dobrze się bawiłeś na wycieczce?

– Przeciwnie – mówię. – Jest dokładnie tak, jak przewidywałeś.

– Co z autostradami?

– Zakorkowane – raportuję.

Właśnie wtedy przez drzwi wybiega mama. Bierze mnie w ramiona i zamyka w koszmarnie zawstydzającym uścisku.

– Kelton! Nic ci się nie stało? Żebyś nigdy więcej nie napędził nam takiego stracha!

Nie muszę nawet spoglądać na Jacqui, żeby wiedzieć, że uśmiecha się właśnie z wyższością.

Tata daje mamie znak, żeby wróciła do domu i pozwoliła mu poprowadzić dalej rozmowę. Zaraz potem zwraca się do pozostałych.

– Widzę, że przyprowadziłeś przyjaciół. Cześć, Alyssa. Cześć, Garrett. Witają się zakłopotani.

Tata obrzuca szybkim spojrzeniem Jacqui.

– A to kto?

– Nazywam się Jacqui. To ja uratowałam tyłek państwa synowi – odpowiada ona, odważnie występując naprzód. – Przyszłam po antybiotyki, które mi obiecał.

Twarz taty czerwienieje od gniewu. Zamiast wrzasnąć, bierze głęboki oddech i tłumi wściekłość. Kiwa głową, odkładając gniew na później.

– Kelton, czy to prawda?

– Tak – odpowiadam. – Uratowała nam życie i dowiozła bezpiecznie do domu.

– Dziękuję ci za to, Jacqui – mówi ojciec. – Niestety syn nie miał prawa dysponować naszymi antybiotykami.

Jacqui piorunuje go wzrokiem, a z jej gardła wydobywa się coś przypominającego warczenie dobermana z domu Alyssy. W mojej głowie kłębią się już myśli, bo wiem, że to nie może się dobrze skończyć. Jacqui robi groźny krok w jego stronę.

– To mnie nie urządza – mówi.

Myślę o pistolecie, który schowała za paskiem. O tym, co zrobiłby tata, gdyby go zobaczył. O tym, że nie może się nigdy dowiedzieć. Zanim sytuacja ma okazję się zaostrzyć, wkraczam między nich.

– Tak jak słyszałeś, Jacqui uratowała mi życie! – przypominam ojcu. Udaję oburzenie, ale natychmiast orientuję się, że nie muszę tego robić,

bo naprawdę je odczuwam. – Czy uratowanie mi życia nie jest warte kilku marnych antybiotyków?

– Kelton, nie rozumiesz...

– Za chwilę pewnie powiesz, że nie możemy przyjąć do siebie Alyssy i Garretta!

– Oni mają swój dom!

– Do którego ktoś się włamał i nie jest tam bezpiecznie! Poza tym ich rodzice zaginęli!

Tata podchodzi do mnie i zaczyna mówić spokojnym głosem. Nie szeptem, ale na tyle cicho, że nikt poza mną go nie słyszy.

– Nie będziemy teraz odbywać tej rozmowy. Wiesz, jak wygląda sytuacja.

Wybucham. Krzyczę, więc mama wszystko słyszy. Zresztą nie tylko ona – pewnie też cała okolica.

– Tak, wiem dokładnie, jak wygląda sytuacja! I masz rację, nie będziemy odbywać tej rozmowy. Bo się stąd zabieram.

Odwracam się i ruszam szybko w stronę bmw.

– Kelton! – woła za mną ojciec takim tonem, że jestem zmuszony się zatrzymać. Obracam to jednak na swoją korzyść.

– Teraz już rozumiem, dlaczego Brady zwiął stąd, kiedy tylko mógł. Ja nie zamierzam czekać do osiemnastki. – Spoglądam na pozostałych. – Chodźcie. Jacqui, zdobędziemy antybiotyki od kogoś, kto nie ma wszystkiego w dupie.

Mam nadzieję, że Jacqui rozumie mój zamiar i posłucha – wiem, że w normalnych okolicznościach nigdy nie wykonałaby mojego rozkazu.

Na szczęście rozumie, ponieważ spogląda na tatę z uśmiechem, wzrusza ramionami i rzuca:

– Na razie, palancie.

Jesteśmy w połowie drogi do samochodu, kiedy z domu wypada matka.

– Kelton! – woła z jeszcze większą mocą w głosie niż wcześniej ojciec. – Nawet się nie waży wsiadać do tego auta!

Odwracam się i czekam, co się wydarzy.

– Alyssa, Garrett, oczywiście możecie u nas zostać – mówi. – Ty też, Jacqui. Wody i jedzenia wystarczy dla wszystkich. – Odwraca się do taty i dodaje niesamowicie wyzywającym tonem: – Oraz antybiotyków.

Popycha Alyssę i Garretta do środka, żeby jak najszybciej przeszli koło bezsilnego ojca.

– Marybeth, możemy o tym porozmawiać?

– Nie.

Mama przepycha się koło niego, anulując jego zwierzchnictwo.

Ogarnia mnie poczucie triumfu, a jednocześnie niepokój, ponieważ tata nie odpuszcza zniewag. Wiem, że prędzej czy później za to zapłacę. Ale nie dziś.

Jacqui przechodzi nonszalancko obok ojca i rzuca sarkastycznie:

– Dzięki za gościnność!

Na szczęście tym razem nie dodaje „palancie”, niemniej zdziera kartkę informującą o spotkaniu mieszkańców i podaje mu ją takim gestem, jakby robiła mu przysługę.

Ja zachowuję twarz pokerzysty i nie patrzę na niego. Wewnętrznie się uśmiecham – po raz pierwszy w życiu pozwoliłem, żeby strach mnie nie przytłoczył, tylko dodał mi skrzydeł.

Mój krąg znajomych ogranicza się zwykle do harcerzy, prepersów i przypadkowego potomstwa innych dentystów, dlatego obecność Alyssy, Garretta i Jacqui to dla mnie spore wydarzenie. Oprowadzam ich po domu, a zaczynam od mojego ulubionego pomieszczenia: bezpiecznego pokoju. Tam trzymamy wszystkie zapasy, z których na co dzień nie wolno nam korzystać. Zestawy pierwszej pomocy, kanistry z wodą, broń palną, amunicję, niepsujące się jedzenie w puszkach. Pokój jest ukryty za

regałem na zawiasach. Ciągnę za książkę, która odchyła się jak dźwignia, a wtedy cały regał otwiera się, jakby to były drzwi.

– Tata wzorował się na starym filmie z Jamesem Bondem – wyjaśniam z nadzieją, że zrehabilituję go w ich oczach. Zgodnie z oczekiwaniami, są pod wrażeniem. Właśnie tam tata przechowuje też antybiotyki – ogromne ilości fiolek i pojemników w torebkach strunowych.

– Jesteś uczulona na któryś antybiotyk? – pytam Jacqui.

– Nie.

Podaję jej dwie pomarańczowe buteleczki keflexu.

– Jedna dawka powinna wystarczyć, w razie czego druga na pewno rozwiąże problem.

Jacqui przygląda się wyciągniętym w jej stronę buteleczkom, jakby to był jakiś podstęp. Po chwili zabiera je szybkim ruchem, otwiera jedną i połyka na sucho dwie tabletki.

– Nareszcie – wzdycha i chowa butelki do kieszeni. Potem się do mnie uśmiecha i po raz pierwszy nie wygląda przy tym na osobę odklejoną od rzeczywistości. – Dziękuję, Kelton – mówi chyba szczerze.

Alyssa rozgląda się po bezpiecznym pokoju.

– Czy te drzwi da się zamknąć? – pyta.

– Tylko od środka. To przecież pokój antywłamaniowy. A dlaczego pytasz?

– Ponieważ podejrzewa, że splądruję go w środku nocy i ucieknę ze wszystkimi zapasami – wyjaśnia Jacqui.

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie – odpowiada Alyssa, ale wyraźnie unika groźnego spojrzenia Jacqui, więc domyślam się, że tym razem jednak o to chodziło. Być może nie bez powodu.

– Nie musisz się o nic obawiać – mówię, mrugając do Alyssy tak, że nikt nie widzi. – W środku jest zamontowany czujnik ruchu, więc jeśli ktoś wejdzie tu w nocy, wszyscy się o tym dowiemy.

Nie jest to do końca prawda, ponieważ wszystkie czujniki ruchu znajdują się na zewnątrz domu, ale Jacqui o tym przecież nie wie.

Wyprowadzam ich za dom i pokazuję miejsce, w którym ćwiczę strzelanie. A także przenośną toaletę.

– Nie marnujemy wody w toaletach w domu, więc załatwiamy się wyłącznie tutaj.

Mimo że nikt nie lubi przenośnych toalet, żadne z nich nie protestuje.

W kuchni prezentuję beczkę ze stali nierdzewnej, w której znajduje się podstawowy zapas wody. Odkręcam gumowe zabezpieczenie, odsłaniając kranik.

– Tata będzie nam potem racjonował wodę – mówię, upewniwszy się, że nie ma go w pobliżu. Wrócił do swoich zajęć w garażu. – Tymczasem napijcie się do woli.

Jacqui prawie się ślini, a oczy ma wielkie jak spodki. Widzę, że nasz dom coraz bardziej jej się podoba.

Alyssa i Garrett napełniają manierki, które im dałem. Jacqui podstawia swoją butelkę. Zauważam, że Alyssa nie pije, tylko wpatruje się w ciemny otwór manierki.

– Co się stało? – pytam ją, gdy tylko jej brat i Jacqui wychodzą z kuchni.

– Nic.

Próbuje się otrząsnąć, zbliża manierkę do ust, ale kiedy to robi, do oczy napływają jej łzy. Wyczuwam, że coś w niej wzbiera, i w końcu pęka. Zarzuca mi ręce na szyję i mocno mnie obejmuje. Również ją przytulam – może nie w taki sposób, jak przytula się sąsiadkę, w której człowiek się zadurzył, ale ze stanowczością, której nigdy wcześniej nie czułem. Jednocześnie mnie to zaskakuje i wydaje się całkowicie naturalne. Ona szybko się cofa, wyraźnie zawstydzona.

– Przepraszam, zachowuję się jak idiotka.

– Co? Nie... – jąkam się. Nie jestem pewien, jak powinienem się zachować w takiej sytuacji.

Alyssa ociera łzy.

– Co za marnotrawstwo wody.

Uśmiecha się.

– Każdy marnuje czasami trochę wody – mówię. – Lepsze to niż zsikać się do łóżka. – Co może być najgłupszym tekstem, jaki wygłosiłem w obecności innego człowieka, ale ona zaczyna śmiać się jeszcze bardziej. I to nie ze mnie, ale ze mną. A przynajmniej obok mnie.

– Tydzień temu powiedziałabym, że mieszkasz w dziwnym domu – przyznaje – ale dziś myślę, że jest naprawdę niezwykły. – Patrzy mi prosto w oczy. – Dziękuję. Za wszystko. Że naraziłeś samego siebie, żebyśmy mogli zostać.

Posyłam jej przekorny uśmiech.

– Jestem harcerzykiem, zapomniałaś? – Mam nadzieję, że ją znów rozbawię, co mi się udaje. – Poza tym musiałem jakoś zrekompensować to, że na plaży okazałem się zupełnie bezużyteczny.

– Nie byłeś bezużyteczny – odpowiada.

– Królowa Ciemności musiała nam uratować skórę – przypominam.

– Myślisz, że byłoby lepiej, gdybyś rzeczywiście pociągnął za spust i zastrzelił tego chłopca?

To mi daje do myślenia. Tata zawsze powtarza, że nie wolno wyciągać broni, jeżeli nie jest się gotowym, żeby jej użyć. Ja nie byłem gotowy. I może dobrze.

Dołączamy do Jacqui i Garretta, którzy wyszli już na górę i oglądają nasz pokój zabaw. Jacqui gra na starym automacie, wzorowanym na tym z serialu *Strefa mroku*.

– Całe moje życie zakłete we flipperze – stwierdza, odbijając kulkę.

Garrett ogląda konsolę z Pac-Manem i oświadcza, że jest badziewna.

– Wybacz, Panie, bo nie wie, co mówi – stwierdzam, kierując głowę w stronę sufitu. Alyssa proponuje, żeby sprawdzić, komu lepiej pójdzie. Już po pierwszej grze Garrett nie może się oderwać.

Zauważam, że Jacqui zrezygnowała z zabawy; kulka nadal spoczywa w wyrzutni. Jacqui leży rozwalona na pufie; wygląda na jeszcze bardziej rozpaloną niż wcześniej.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – mówi. – Zostaw mnie w spokoju.

Idę do łazienki i wracam z lekiem przeciwgorączkowym.

– Antybiotyk zacznie działać dopiero za jakąś dobę. To ci zbije gorączkę.

Bierze buteleczkę, połyka trzy tabletki i popija je wodą. Tym razem mi nie dziękuje. Być może racjonuje wdzięczność w taki sam sposób, jak wszyscy pozostali wodę?

Schodzę na dół i na chwilę siadam obok mamy, tkwiącej przed telewizorem. Nie ogląda serwisu informacyjnego, tylko *Powrót do przyszłości*, od którego nie sposób się oderwać, kiedy trafi się na niego przypadkiem, podczas skakania po kanałach. Doktor Brown mówi o 1,21 gigawata energii potrzebnej do podróży w czasie, ale błędnie wymawia to słowo jako „dzigawat”, co mnie zawsze irytowało.

Nie dziwi mnie, że mama nie ogląda wiadomości, ponieważ zawsze pokazują w nich same nieszczęścia. Wystarczającą porcję ponurych informacji dostajemy od ojca. Mama, ogólnie mówiąc, należy do osób nastawionych pozytywnie, z kolei dla taty ludzie wieszczący koniec świata przedstawiają przyszłość w zbyt różowych barwach. Można pewnie powiedzieć, że się uzupełniają.

Mama ścisza telewizor i odwraca się do mnie.

– Musisz pogodzić się z ojcem – mówi.

– Teraz?

– Później będzie trudniej.

Wiem, że ma rację.

Zastaję go w garażu, pochłoniętego spawaniem jakiegoś połączenia łopaty z ostrzem topora na drugim końcu. Nie jestem pewien, czy ma to być narzędzie czy broń. Tak czy inaczej, nie wygląda praktycznie. Wpatruję się przez chwilę w plecy taty i namyślam się, od czego powinienem zacząć.

– Tato... – wyduszam z siebie w końcu.

Wyłącza spawarkę, ale się nie odwraca.

– Tak, Kelton? – mówi chłodno.

– Muszę z tobą porozmawiać o tym, co zdarzyło się na plaży.

– Niech zgadnę: urządzenia odsalające przestały działać i wybuchły zamieszki.

– Mówili o tym w wiadomościach?

Unosi osłonę oczu i kręci głową.

– Dzieje się zbyt wiele, żeby serwisy informacyjne nadały z informowaniem o wszystkim. Jeżeli jednak zna się historię zarządzania kryzysowego, można się łatwo domyślić, co się tam wydarzyło.

– No tak, w sumie to nie widzieliśmy tego sami, ale kiepsko to musiało wyglądać. – Chrząkam i w końcu zbieram się na odwagę, żeby powiedzieć to, z czym naprawdę przyszedłem. – Przepraszam, że postawiłem cię w niezręcznej sytuacji. Ale nie dałeś mi specjalnego wyboru.

– Wyjeżdżamy jutro rano – mówi szybko, nie przyjmując ani nie odrzucając przeprosin.

– Do schronu? – pytam.

Przytakuje.

– Już czas.

– A co z Bradym?

– Nie możemy na niego czekać w nieskończoność, Kelton. – Widzę, że nie było mu łatwo podjąć taką decyzję. – Pozostaje mieć nadzieję, że wziął sobie do serca przynajmniej kilka ostatnich lekcji, których mu

udzieliłem, i że zgromadził własne zapasy na taką okoliczność. Może nawet zbudował własny schron.

– A co z Alyssą i Garrettem? – pytam, mniej przejmując się losem Jacqui. Ale przecież znam odpowiedź na to pytanie.

– Nie możemy ich ze sobą zabrać – stwierdza stanowczo ojciec. Tym razem wiem, że nie ma dyskusji.

– W takim razie pozwólmy im zostać tutaj – proponuję. – Będą mieli wodę i jedzenie, możemy ich też nauczyć obsługi zabezpieczeń.

Tata rozważa ten pomysł. Nie odrzuca go od razu, co daje pewną nadzieję. Dokładam kolejny argument.

– Nie możemy ich tak po prostu wyrzucić na ulicę...

Nasze spojrzenia nagle się spotykają, tyle że jego oczy nie emanują normalnym, mrozącym krew w żyłach chłodem, ale czymś innym. Są lśniące i szkliste. Bezradne. To pokaz prawdziwych emocji, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Mam poczucie, jakbym rozpakował katalog z jego osobistymi plikami, z którego wysypują się teraz kompresowane tam latami informacje, a ja uginam się pod ciężarem przytłaczającej prawdy. To właśnie kryje się za jego oburzeniem. Wszystkie wymyślne zabawki survivalowe, które uwielbiałem jako dziecko, gniew i manipulacje, które odstraszyły Brady'ego i mogą się skończyć odepchnięciem matki – wszystko to są nici zasłony utkanej po to, żeby ukryć jego przerażenie.

Jako dzieci wielbimy rodziców. Uważamy ich za doskonałych, ponieważ są miarą, którą przykładamy do reszty świata i siebie samych. Kiedy stajemy się nastolatkami, zaczynają nas wkurzać, bo uświadamiamy sobie nie tylko to, że nie są doskonali, ale że mogą być jeszcze bardziej powaleni od nas. Potem jednak przychodzi moment, kiedy zdajemy sobie sprawę, że nie są ani superbohaterami, ani czarnymi charakterami. Są niewybaczalnie, do bólu ludzcy. Pytanie brzmi, czy potrafimy im to wybaczyć.

Tata stoi nieruchomo, jakbym trafił go w czułe miejsce. Trzyma w rękach tę przedziwną hybrydę łopaty z siekierą, a ja rozumiem już, że ten przedmiot jest fizycznym ucieleśnieniem wszystkiego, czego ojciec się obawia. Nie wiem, co powiedzieć, poza:

– Pułapki działają.

Zaskakuję go tym.

– Naprawdę?

– Tak, Jacqui prawie w jedną wpadła. W ogóle jej nie zauważyła.

Wybudza się z wcześniejszego stanu zdekompresowania i uśmiecha.

– Super! – mówi, jakby był małym chłopcem. – To znaczy, dobrze wiedzieć, że się sprawdziły.

– Według niej to jest naprawdę fajny pomysł – mówię. – Mimo że prawie się w jednej okaleczyła.

Tata spogląda na swoje dziwaczne narzędzie.

– Pozwól, że skończę pracować nad tym – mówi. Napięcie między nami wyparowało. – Niedługo wrócę, a wtedy pokażę twoim przyjaciołom dom.

Uznaję, że lepiej nie mówić, że już to sam zrobiłem.

15) Alyssa

„Wszystkie linie są w tej chwili zajęte. Proszę spróbować później”.

Głos automatu brzmi jak skrzyżowanie Siri z Google Maps. Pogodny, pewny siebie i całkowicie bezduszny. Próbuję dodzwonić się do szpitali w okolicy Laguna Beach w nadziei, że znajdę tam rodziców, ale okazuje się, że trudno się połączyć z jakąkolwiek placówką medyczną. Rozłączam się i próbuję ponownie.

„Wszystkie linie są w tej chwili zajęte. Proszę spróbować później”.

Czy sieć telefoniczna padła jak większość telefonów komórkowych? Jak linie mogą być zajęte, skoro w większości telefonów w południowej

Kalifornii wyczerpały się baterie? Rozłączam się i wysyłam esemes do Garretta.

„Nie odpowiadaj, sprawdzam tylko, czy sieć działa”.

Wiadomość dochodzi.

Odpisuje „K”, ponieważ „OK” to zbyt rozwlekła wiadomość jak na dzisiejszy świat. Ustaliwszy, że działają przynajmniej niektóre stacje przekaźnikowe, próbuję zadzwonić w jeszcze jedno miejsce. Na telefon alarmowy.

„Wszystkie linie są w tej chwili zajęte. Proszę spróbować później”.

Powstrzymuję pragnienie, żeby roztrzaskać telefon. Chwila satysfakcji nie jest warta utraty aparatu. Udaje mi się za to znaleźć jeden pozytywny aspekt całej sytuacji: ponieważ ja próbuję się ciągle dodzwonić do rodziców, bardzo prawdopodobne, że oni równie usilnie próbują skontaktować się ze mną. Byłoby znacznie gorzej, gdyby sieć telefoniczna działała idealnie, a mimo to nie dostałabym od nich żadnej wiadomości.

Żeby nie myśleć o tym za dużo, sprawdzam, co robią inni. Jacqui nadal leży nieruchomo na pufie. Ojciec Keltona przebywa w garażu i produkuje tam męskie metaliczne odgłosy, a Kelton, jak się wydaje, próbuje być we wszystkich miejscach jednocześnie, niczym pies obronny sprawdzający obsesyjnie, czy wszyscy są bezpieczni.

– U ciebie okej? – pyta chyba po raz trzeci w ciągu ostatniej godziny, kiedy mijamy się na schodach.

– Tak – odpowiadam. – U mnie nadal okej.

To ujmujące, że się o mnie troszczy, ale ile można. Kelton McCracken ujmujący? Przeniosłam się do naprawdę przedziwnego wszechświata.

Widzę panią McCracken w szklarni, gdzie zajmuje się pomidorami czy co tam innego hodują. Moja mama w stresie sprząta, a mama Keltona najwyraźniej w stresie plewi grządki. Chwilę potem dostrzegam Garretta w jadalni, jak wpatruje się nieobecny wzrokiem w okno. W pewnej chwili bierze ze stołu ozdobną misę i rusza w stronę drzwi wejściowych.

Nie mam pojęcia, co zamierza. Otwiera drzwi i choć jako starsza siostra mam odruch, żeby go powstrzymać, porusza się z taką pewnością siebie, że postanawiam sprawdzić, co zamierza, i po cichu za nim idę.

Otwiera bramkę i wchodzi na podjazd przed naszym domem. Kładzie miskę, wyciąga manierkę, która wisi na jego ramieniu, po czym wylewa całą zawartość do miski. Teraz rozumiem.

Zaniósł wodę Kingstonowi.

Mój brat stoi w miejscu, nie zbliża się do drzwi. Te nadal są otwarte na oścież, a choć psów nie słyhać ani nie widać, mogą być gdziekolwiek. Na przykład na wyprawie po jedzenie. Ogarnia mnie smutek, że mogę już nigdy nie zobaczyć Kingstona.

Garrett odwraca się i w końcu mnie zauważa. Zawstydzony czerwienieje na twarzy.

– To zawsze było moje zadanie, żeby dawać Kingstonowi wodę – mówi. Nie potrafi spojrzeć mi w oczy. – Zawsze o tym zapomniałem, więc mama musiała to robić za mnie. Teraz nie może.

Rozumiem, że musiał tu przyjść, z różnych powodów. A choć nie miał prawa dysponować tą wodą, czasami trzeba złamać jakąś zasadę, żeby zrobić coś dobrego. Przychodzi mi do głowy, że ja również muszę coś zrobić. Coś, w czym dobro znacznie przeważa nad złem. Przychodzi mi jednak do głowy, że potrzebuję współnika.

– Garrett, mam dla ciebie zadanie.

– Zadanie? – pyta zaciekawiony.

– Chciałabym, żebyś zapytał Keltona, co to jest szachowy boks.

Garrett patrzy na mnie zdeorientowany.

– Ale ja nie chcę wiedzieć, co to jest szachowy boks.

– Nieważne. Poproś, żeby pokazał ci, o co w nim chodzi.

Jak znam Keltona, będę go miała z głowy na co najmniej godzinę. Ponieważ pani McCracken zajmuje się ogrodem, a jej mąż bawi się ostrymi przedmiotami w garażu, spokojnie zdążę zrobić to, co zamierzam.

Garrett zgadza się, choć nie rozumie, o co chodzi. Ufa, że ja to wiem.

Wracamy do domu, a ja natychmiast lokalizuję mały kosz na odpady stojący w holu. Przeglądam chusteczki, papierki i inne śmieci, aż wreszcie znajduję różową ulotkę – tę z informacjami o spotkaniu mieszkańców, która wisiała na drzwiach.

Zapoznaję się z jej treścią, tym razem dokładniej. Spotkanie ma się odbywać w domu Burnside'ów. Zaczęło się pół godziny temu.

Biorę plecak Keltona, wyrzucam przybory szkolne, a następnie, upewniwszy się, że nikt nie patrzy, zakradam się do regału przy schodach – wejścia do bezpiecznego pokoju.

Nie pamiętam, która książka otwierała drzwi, więc muszę spróbować wielu, zanim trafię na tę odpowiednią. W końcu zatrząsk się zwalnia, a ja uchylam drzwi do survivalowego skarbca. Broń, narzędzia, jedzenie w puszkach i – co najważniejsze – zgrzewki wody mineralnej.

Zaczynam wpychać półlitrowe butelki do plecaka. Mieści się tylko dziesięć. W pewnej chwili zamieram – czuję, że nie jestem sama.

W drzwiach stoi mama Keltona.

Zbita z tropu, jąkam się i próbuję przedstawić jakieś wiarygodne wyjaśnienie, ponieważ doskonale zdaję sobie sprawę, jak to musi wyglądać. Wtedy jednak twarz pani McCracken łagodnieje. Posyła mi delikatny, zachęcający uśmiech.

– Dwie dodatkowe zmieścisz w bocznych kieszeniach – mówi i podaje mi butelki. – Spotkanie już się zaczęło, więc się pośpiesz.

Zaskoczona nie wiem, co odpowiedzieć. Zaraz potem pani McCracken wycofuje się przez drzwi i cicho znika, zupełnie jakby nigdy mnie nie widziała.

Ponieważ wciąż mam w pamięci poranne wydarzenia na plaży, nie opuszcza mnie niepokój, kiedy idę naszą ulicą. Mam poczucie, że jeśli zostanę na zewnątrz zbyt długo, coś mnie pożre. Jednocześnie czuję, jakbym stała po pas w morzu i widziała zarys płetwy rekina. Wiem, że

wszystko to są tylko wytwory mojej wyobraźni, nie osłabia to jednak tych doznań. Jakoś muszę sobie z nimi radzić, w miarę jak zapuszczam się coraz dalej w głąb ulicy. Nie chciałam, żeby ktoś zobaczył, jak wychodzę z domu McCrackenów, ponieważ pomyślałby pewnie, że nie jestem równie spragniona jak on. Po chwili przychodzi mi jednak do głowy, że ludzie i tak mogą rozpoznać, że jestem nawodniona – po tym, w jaki sposób się poruszam.

Z drugiego końca ulicy zbliża się jakiś chłopak. W moim wieku. Znam go, ale tylko z widzenia. Nazywa się Jacob Jakiśtam. Drzę na myśl, że zaraz się miniemy. Nigdy nie czułam się tak całkowicie antyspołeczna.

Chłopak ciągnie coś za sobą. Jakiś patyk, który syczy, szorując o asfalt. Jacob nie nawiązuje kontaktu wzrokowego. Na mój widok poczuł się chyba równie nieswojo, jak ja na jego. Zauważam, że nie ciągnie za sobą patyka, ale kij golfowy. Drewnianego drivera.

– Hej – rzuca, kiedy się mijamy.

– Hej – odpowiadam.

Każde z nas idzie w swoją stronę. Nie odwracam się. Nie mam pojęcia, do czego zamierza wykorzystać kij, ale z pewnością nie do gry w golfa.

Dom Burnside'ów znajduje się tuż za rogiem. Pani Burnside zawsze dbała o swój piękny, wielokrotnie nagradzany ogródek. Róże, azalie i bugenwille oplatające pnie drzew palmowych. Zostały z tego same palmy – wszystko inne pousychało. Dawny trawnik zamienił się w trójkolorową mozaikę kamieni rzecznych, układających się w podobiznę Kokopelli, przygarbionej postaci grającej na flecie, pochodzącej z mitologii amerykańskich Indian. Panią Burnside zainspirowała z pewnością wizyta w Santa Fe, Toas czy innym tego rodzaju miejscu. Jestem pewna, że za mozaikę z kamieni również dostanie jakąś nagrodę.

Drzwi są zamknięte, ale nie na klucz. Wchodzę do środka i widzę duży salon wypełniony po brzegi ludźmi. Na spotkanie przybyli chyba

reprezentanci wszystkich rodzin, które nie zdążyły jeszcze wyjechać.

Zajmują się inwentaryzacją zasobów – materialnych i intelektualnych. Pani Jarvis twierdzi, że jej siostra jest dyplomowaną różdżkarką i za „minimalną stawkę” jest gotowa znaleźć wodę. Roger Malecki opowiada, jak przemielił wszystkie kaktusy ze swojego ogródka w blenderze i uzyskał w ten sposób prawie cztery litry wody.

Pani Burnside zauważa, że stoję w drzwiach, i podchodzi, żeby mnie uścisnąć.

– Allison, ogromnie się cieszę, że przyszłaś – mówi. Widzę, że cieszy się na mój widok, więc jej nie poprawiam. – Jak się mają rodzice? Miałam nadzieję, że się zjawią.

Biorę głęboki wdech i mówię: „Nie ma ich teraz w domu”, co jest prawdą, a nie prowokuje kolejnych pytań ani współczucia. Ani jednego, ani drugiego bym teraz nie udźwignęła.

– No nic, przekaż im, proszę, pozdrowienia i powiedz, żeby uważali na siebie. Sytuacja robi się coraz trudniejsza.

Zarzucam plecak na ramię i robię kilka kroków do przodu. Kiedy rozmowa na chwilę milknie, próbuję zwrócić na siebie uwagę pana Burnside’a.

– Przepraszam – mówię, ale za cicho, bo nikt nie reaguje. Ludzie gadają nieprzerwanie o upale, a ktoś wspomina o chłodzącym wpływie parującego alkoholu na skórę. Choć podejrzewam, że alkohol został w tym wypadku wykorzystany również w inny sposób.

– Przepraszam – odzywam się trochę głośniejsze. – Przyniosłam trochę wody.

Nie zdarzyło się jeszcze, żeby cały pokój ludzi odwrócił się jednocześnie w moją stronę. Nigdy uwaga nie skupiała się tak całkowicie na mnie.

– Przyniosłaś wodę? – pyta ktoś.

Zrzucam plecak na ziemię, uchylam klapę i wyciągam jedną z butelek.

– Pewnie nie starczy dla wszystkich, ale lepsze to niż nic.

Gapią się na mnie. Potem wymieniają spojrzenia.

– Ile przyniosłaś? – pyta Stu Leeson głosem wyrażającym jednocześnie podejrzliwość i nadzieję.

Pan Burnside przejmuję ponownie kontrolę nad sytuacją.

– No cóż, to wspaniała wiadomość – mówi, po czym cytuje, a przynajmniej parafrazuje, Biblię: – A małe dziewczę prowadzi ich będzie. – Zaraz potem liczy osoby zgromadzone w pokoju. – Mamy tu reprezentantów siedemnastu domów. Ile przyniosłaś wody, Alysso?

– Dwanaście butelek. Półlitrowych.

Na chwilę zapada milczenie.

W końcu ktoś mówi głośno to, co jest oczywiste dla wszystkich.

– Czyli pięć domów nie dostanie butelek.

– Zaraz, zaraz – wtrąca pan Burnside. – Przecież niekoniecznie.

Nagle każdy ma jakieś zdanie w tej sprawie.

– Z rachunku matematycznego wynika, że wypada siedemdziesiąt procent butelki na osobę.

– Niedorzeczność!

– Rodziny z dziećmi powinny dostać całą butelkę!

– To dyskryminacja!

– Moja żona jest w ciąży.

Burnside podnosi ręce w powietrze.

– Już dobrze, uspokójcie się!

Ale puszka Pandory została otwarta. Wszyscy gadają jeden przez drugiego. Widzę, jak tworzą się sojusze, jak ludzie okopują się na swoich pozycjach – wszystko w ciągu kilku sekund i z powodu przyniesionego przeze mnie skromnego zapasu wody, której wszyscy desperacko potrzebują.

– Wlejemy wszystko do garnka, a każda rodzina otrzyma odmierzoną porcję.

– I to ma być sprawiedliwe? Nas jest pięcioro.

– W takim razie policzymy wszystkich i podzielimy wodę według liczby osób.

– A zwierzęta?

– Zwierzęta? Zwariowałaś?

– Niech dziewczyna zdecyduje!

Wszyscy rozważają przez chwilę ten pomysł.

– Tak – zgadza się ktoś. – To jej woda, niech ona zdecyduje.

Po raz drugi w ciągu pięciu minut wszyscy odwracają się w moją stronę.

Nie należę do osób, które można łatwo onieśmielić. Potrafię stanąć przed całą klasą i bez zająknięcia wygłosić referat. Potrafię pokonać każdego w dyskusji na dowolny temat, którym się pasjonuję. Nigdy jednak w moich rękach nie znajdował się los innego człowieka. Niespodziewanie tracę cały rezon. A przecież ja nigdy nie tracę rezonu.

– No więc... myślę... może powinniśmy... to znaczy...

Wtedy rozlega się krzyk Stu Leeson:

– Naprawdę chcecie oddać to w ręce nastolatki?

Na co ja wypalam bez zastanowienia:

– Czy w takim razie mam podzielić wodę na szesnaście, a nie na siedemnaście domów?

Wcale tak nie myślę. A może jednak? Sama nie wiem. Teraz jednak muszę dać butelkę Leesonom, ponieważ powiedziałam to, co powiedziałam. Tyle że wtedy pozbawię wody kogoś innego. Czy to jest sprawiedliwe?

– Alyso, kochanie – mówi Vicky Morales, którą ledwo znam. – Ufamy, że zdecydujesz dobrze. Wiemy, że jesteś mądrą, uczciwą dziewczyną.

– Zwyczajnie się podlizujesz, Victoria – odzywa się panna Bouman. – Naprawdę sądzisz, że spojrzy na was przychylniejszym okiem tylko dlatego, że próbujesz jej się przypochlebić?

– Słuchajcie, wszyscy płyniemy na tej samej łodzi – zauważa ktoś inny. Ma rację, ale jak powiedział wczoraj Garrett, ta łódź nazywa się Titanic. Została jedna szalupa – czyli ja. Wcale mi się to nie podoba i w mojej głowie rodzi się okropna myśl: żałuję, że przyniosłam im w ogóle wodę.

Moi sąsiedzi przypominają chłopaka z plaży. Mają zbiegłe, spękane usta. Są wystraszeni, poirytowani, a swoją nerwowość kierują przeciwko mnie.

– To jak? – mówi jakiś mężczyzna, którego nie znam. Wyraźnie kończy mu się cierpliwość. – Nie mamy całego dnia!

Nie odpowiadam, ponieważ przez ułamek sekundy widzę w jego rozbieganych oczach to charakterystyczne opętanie – które zaczynam coraz lepiej rozpoznawać – i wiem, co się wydarzy za chwilę.

Właśnie wtedy pan Burnside wykonuje gest ręką i najwyraźniej przekazuje telepatycznie swoją intencję żonie, jak potrafią niektóre małżeństwa z długim stażem, ponieważ ona podchodzi do mnie od tyłu i delikatnie odbiera mi plecak.

– Może idź już, Alysso – mówi, tym razem używając prawidłowego imienia. – Coś sami wymyślimy. Dziękujemy za wodę. Przepraszam, że postawiliśmy cię w takiej sytuacji. To nasz problem, nie twój.

Nie protestuję. Nie proszę nawet o zwrot plecaka. Nie obchodzi mnie, co się z nim stanie. Po prostu chcę jak najszybciej stamtąd wyjść.

Dopiero na zewnątrz przypominam sobie, że plecak należy do Keltona i że jest na nim jego nazwisko. Jeżeli ludzie nie domyślali się jeszcze, że McCrackenowie mają wodę, teraz wiedzą to już na pewno.

Słońce zachodzi, a my zasiadamy do chyba najdziwaczniejszej kolacji na świecie. Nawet jedzenie jest surrealistyczne: peklowana wołowina z puszki z kapustą, a na deser ciasto dyniowe, które stoi na środku stołu – wciąż zmrożone.

– Nawet nie pytaj – szepcze Kelton, nachyliwszy się do mnie. Bardzo chętnie.

Mimo samodzielnego systemu zasilania, którym Kelton wciąż się przechwala, światła w domu są zgaszone, a pani McCracken zapaliła na stole świece.

U szczytu stołu siedzi pan McCracken i patrzy na wszystkich spode łba, niczym lord na spotkaniu ze zbuntowanymi wasalami. Domyślam się, że jest jednym z tych apodyktycznych rodziców, których trzeba prosić o zgodę na odejście od stołu, a da się ją otrzymać wyłącznie po zjedzeniu całego groszku i marchewki. W chwili obecnej jego srogie spojrzenie skupia się głównie na Jacqui, która zdążyła sobie już nałożyć trzy porcje wołowiny i wpycha jedzenie do buzi z pogodnym lekceważeniem. W końcu wykonuje gest widelcem:

– O co chodzi z tymi świeczkami?

– Dobre pytanie – mruczy do swojej peklowanej wołowiny pan McCracken, ale po jego głosie można poznać, że kieruje te słowa do żony.

– Sam się nad tym zastanawiałem.

– Nie chcemy przecież nadal niepotrzebnie obnosić się przed sąsiadami z tym, że mamy prąd – wyjaśnia przesadnie spokojnym tonem matka Keltona.

– Sześć miesięcy zajęło nam zamontowanie naszego systemu awaryjnego. Chciałbym go wreszcie użyć – mówi pan McCracken. – Poza tym kilka świec zapachowych nie wystarczy, żeby odpędzić sąsiadów.

– Nie musielibyśmy się niepokoić sąsiadami, gdybyśmy okazywali im odrobinę więcej współczucia – ripostuje jego żona.

– Może w takim razie powinniśmy zaprosić ich wszystkich na kolację – mówi on.

– Może powinniśmy – odpowiada ona. Nie daje się podpuścić.

Pan McCracken przesuwając spojrzeniem po nas wszystkich, niczym prokurator wygłaszający mowę końcową przed ławą przysięgłych.

– Albo człowiek dzieli się wszystkim, albo nie dzieli się niczym. Nie ma półśrodków.

– Tak jest, mistrzu Yodo – mówi Jacqui.

Podejrzewam, że rodzice Keltona nie pierwszy raz dyskutują na ten temat, ponieważ ich syn reaguje błyskawicznie.

– To się nazywa psychologia niedostatku i myślenie deprivacyjne – mówi. Czuje się w obowiązku stanąć po stronie ojca, choć wydaje się, że tak naprawdę próbuje go przed nami wytłumaczyć. – Jeżeli dodamy do tego dynamikę zachowań tłumu, powstaje motłoch, który będzie od nas brał tak długo, aż staniemy się równie ogołoceni z zasobów jak on.

– Ogołoceni – powtarza Jacqui. – Fajne słówko. Bez problemu dogonisz mnie w wynikach egzaminu SAT. – Nakłada sobie kolejną porcję peklowanej wołowiny.

– To amoralny, samolubny sposób myślenia – komentuje pani McCracken.

– Ale Kelton ma rację – odzywam się. Zaskakuję wszystkich, w tym samą siebie. Przypominam sobie, w jaki sposób nasi sąsiedzi przystąpili do dzielenia butelek z wodą i jak wielu z nich było gotowych zwrócić się przeciwko mnie, mimo że to ja je przyniosłam. Nie sprawia mi to najmniejszej satysfakcji, ale rozumiem stanowisko pana McCrackena. Rozumiem też już, że w chwili zagrożenia życia ludzie zrobią wszystko, żeby zdobyć to, czego potrzebują do przetrwania. I trudno ich za to winić. A jeżeli nie chcemy, żeby to się odbyło naszym kosztem, musimy wyeliminować się z tego równania.

– Albo otwiera się drzwi na oścież, albo trzeba je zamknąć – stwierdzam z żalem. – Ludzie są zbyt nieprzewidywalni, żeby można było im zaufać i dopuścić jakąś wersję pośrednią.

Pani McCracken obrzuca mnie uważnym spojrzeniem i chyba czuje się lekko zdradzona. Pan McCracken spogląda na mnie zaskoczony – niemal z dumą – co wzbudza we mnie mdlące, nieprzyjemne odczucie, jakbym przeszła właśnie ostatecznie na ciemną stronę Mocy.

Ojciec Keltona odchrząkuje.

– Tak czy inaczej to bez znaczenia – mówi. – Jutro o świcie wyjeżdżamy do naszego schronu.

– Co to jest schron? – pyta Garrett.

– To taki awaryjny dom – wyjaśnia Kelton. – Ukryte miejsce, dokąd można się udać w razie poważnej katastrofy.

– To kiedy wyjeżdżamy? – pyta Jacqui z pełnymi ustami.

Kelton nie odpowiada, a po jego milczeniu orientuję się, że nie jesteśmy częścią planów McCrackenów.

– Miejsca wystarczy tylko dla nas – mówi ojciec Keltona. – Przykro mi. – Odnoszę wrażenie, że jest mu naprawdę żal. Prawdę mówiąc, sama nie wybiegałam myślami poza kolację. Nie zdążyłam zastanowić się nad przyszłością – nawet w krótkiej perspektywie. Wtedy pan McCracken mówi coś zaskakującego.

– Tobie, Alysso, zostawię klucze do naszego domu.

– Co? – wypalam bez zastanowienia.

– Nauczę cię obsługiwać system alarmowy i pokażę ci lokalizację wszystkich pułapek. Możecie korzystać z naszego domu, dopóki to się nie skończy – mówi. Zerka na Jacqui i dodaje z ociąganiem: – Cała wasza trójka.

Zastanawiam się, czym się kieruje, chcąc przekazać mi klucze do zamku. Przypominam sobie, że mama zawsze zostawiała włączony telewizor, kiedy wyjeżdżaliśmy na wakacje, żeby potencjalni włamywacze sądzili, że ktoś jest w domu. Może to jest jakaś bardziej rozbudowana wersja tamtej strategii. Ciekawe, czy to Kelton go do tego przekonał – a może pan McCracken zdecydował się na to, ponieważ poparłam jego przygnębiającą wizję ludzkości?

Myślę o kolejnych dniach. To przecież nie może trwać w nieskończoność, prawda? „Dopóki to się nie skończy”, jak się wyraził pan McCracken. Od tego momentu dzielą nas najwyżej tydzień albo dwa – jeżeli w ogóle aż tyle. Akurat kiedy wybiegam myślami ku

szczęśliwszym dniom, sytuacja w jednej chwili staje się o wiele poważniejsza.

Nasze telefony wibrują i pikają jednocześnie w osobliwej, niepokojącej kakofonii. Wszyscy bierzemy je do ręki i odczytujemy identyczną wiadomość, która brzmi następująco:

ALERT: STAN WYJĄTKOWY WPROWADZONY W HRABSTWACH LOS ANGELES, ORANGE, VENTURA, RIVERSIDE, SAN BERNARDINO I SAN DIEGO.

PROSZĘ CZEKAĆ NA DALSZE INSTRUKCJE.

16) Kelton

Wszystko przebiega dokładnie tak, jak to opisują książki preperskie. Wcale mnie to nie cieszy. Ani trochę. Scenariusze końca świata są fajne tylko wtedy, kiedy ten koniec świata jest wyłącznie hipotetyczny. Teraz wolałbym, żeby autorzy książek się mylili.

Stan wyjątkowy to ostatni etap przed całkowitym rozpadem społeczeństwa.

Teraz sytuacja może się rozwinąć na dwa sposoby. 1) Stan wyjątkowy okaże się skuteczny: wojsko dysponuje odpowiednio dużą siłą, żeby powstrzymać chaos, zamieszki wybuchają tylko lokalnie i się nie rozprzestrzeniają; kryzys będzie miał łagodny przebieg, a powrót do normalności okaże się względnie łatwy. 2) Stan wyjątkowy nie przyniesie skutku: wojsko nie będzie nadążać albo nie zorganizuje się dostatecznie szybko, zamieszki przybiorą charakter systemowy i poważny, dojdzie do poważnego rozpadu społeczeństwa południowej Kalifornii, a powrót do normalności zajmie lata albo będzie w ogóle niemożliwy.

– Co się teraz stanie? – pyta Alyssa, kiedy wszyscy szykujemy się do snu.

Wolę nie wspominać o dwóch scenariuszach.

– Trudno powiedzieć – mówię.

Wiem, że Alyssa jest osobą kompetentną i ogarnie sytuację w naszym domu, kiedy wyjedziemy. Jeżeli ktoś mnie niepokoi, to Jacqui. Będzie chciała przejąć dowodzenie, co nie wydaje mi się korzystne.

Z takimi myślami kładę się spać. Spodziewam się, że nie dadzą mi zasnąć, ale czasem ciało człowieka wyświadcza mu przysługę. Jestem tak wykończony, że odpływam niedługo po przyłożeniu głowy do poduszki.

Podrywa mnie bzyczenie alarmu czujnika ruchu. Zamontowaliśmy czujniki ruchu drugiej generacji, które uruchamiają alarm tylko w razie wykrycia obiektu o rozmiarach człowieka. To oznacza, że ktoś przeskoczył przez płot. Sprawdzam godzinę. Dochodzi piąta. Idę do pokoju gier, gdzie Alyssa, Garrett i Jacqui zdążyli się już obudzić.

– Co to, u diabła, jest? – pyta Jacqui.

– Intruz na pokładzie – wyjaśniam i natychmiast zdaję sobie sprawę, że to niepotrzebnie zabrzmiało jak kwestia z filmu science fiction. – Widzieliście tatę?

Nikt nie odpowiada, ale słyszę, jak tata woła mnie z dołu. Właśnie wtedy Jacqui podchodzi do okna, a potem odwraca się do nas z oczami szeroko otwartymi z zaniepokojenia. Nie spodziewałem się, że dysponuje czymś takim w swoim repertuarze emocjonalnym.

– To nie wygląda dobrze... – mówi.

Wyglądam przez okno i widzę światła – dziesiątki światel ułożonych niczym konstelacje gwiazd w rzednącym mroku nocy. Przecieram oczy, żeby szybciej przyzwyczyły się do słabego oświetlenia... teraz rozpoznaję sylwetki. Ludzie z latarkami – wszyscy zmierzają w stronę naszego domu.

– Co się dzieje? – pyta Alyssa.

Rozlega się dudnienie.

Bum! Bum! Bum!

Ktoś łomocze do drzwi wejściowych.

– Trzymajcie się z dala od okien – mówię i zbiegam na dół po schodach.

Tata jest w jadalni. Wyprzedza nas o krok: na stole rozłożył już szeroki wachlarz broni. Pistolety, amunicja, noże i innego rodzaju wyposażenie taktyczne; niektórych urządzeń nie widziałem nigdy wcześniej na oczy.

Widzę, że mama jest w bezpiecznym pokoju i szybko przestawia zapasy, żeby zrobić miejsce dla nas wszystkich.

Bum! Bum! Bum!

Wilki w końcu przyszły. Czuję pieczenie w żołądku. Przypominam sobie, że drzwi wejściowe są dodatkowo wzmocnione, a wszystkie okna kuloodporne. Dom jest twierdzą i nikt nie dostanie się do środka. Ale jeśli to wszystko prawda, dlaczego, u licha, tak się boję?

– Kelton – woła tata. Alyssa, Garrett i Jacqui schodzą za mną po schodach. – Zaprowadź przyjaciół do bezpiecznego pokoju. Potem przynieś swój pistolet.

Nie rozumiem tego rozkazu.

On dostrzega niezdecydowanie na mojej twarzy.

– Gdzie jest twój pistolet?

– Tutaj – mówi Jacqui, odsłaniając rękojeść broni, która wystaje z jej paska.

Tata przenosi wzrok z pistoletu na Jacqui, potem na mnie. Zastanawia się, jak mogło dojść do czegoś tak niewyobrażalnego – być może ocenia też, jak duże zagrożenie stanowi ta dziewczyna. Najwyraźniej dochodzi do wniosku, że zagrożenie związane z napastnikami przeważa nad tym, które może stwarzać Jacqui, choć ona wyraźnie nie ma ochoty rozstawać się z pistoletem. Tata nie pyta, w jaki sposób znalazł się w jej posiadaniu. Nie wątpię, że później będę musiał się ze wszystkiego szczegółowo wypowiadać.

Tata otwiera panel elektryczny w holu i naciska główny przełącznik, by zgasić światła na zewnątrz, a także całe oświetlenie we wnętrzu domu,

z wyjątkiem jego latarki. Następnie przymocowuje teleskopy działające na podczerwień do wszystkich pistoletów, dzięki czemu on będzie wszystko widział, a napastnicy nie.

Walenie do drzwi, które ustało na kilka chwil, zmienia brzmienie i źródło. Dobiega teraz od strony tylnych drzwi i wydaje się jeszcze bardziej natarczywe. Tylnie drzwi są wyposażone w dwucylindrowy zamek z mosiądzu wysokoniklowego, ale tata od jakiegoś czasu narzekał, że futryna nie jest dostatecznie gruba. A zamki są tylko tak mocne jak futryna, która je trzyma.

Mama próbuje zaprowadzić pozostałych do bezpiecznego pokoju, ale Jacqui nie zamierza nigdzie iść. Podobnie Alyssa. Garrett mówi, że nie ruszy się bez siostry.

Tata ładuje pistolety i je odbezpiecza.

– Richard, co ty wyprawiasz? – pyta z przerażeniem mama. Zobaczyć przygotowaną broń to jedno, ale widzieć, że jest odbezpieczana, to drugie.

– Bronię mojej rodziny. – Łomotanie do tylnych drzwi staje się jeszcze bardziej natarczywe.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – stwierdza mama łamiącym się głosem.

Ale tata myśli tylko o jednym. Zakłada kamizelkę kevlarową.

– Zabierz wszystkich do bezpiecznego pokoju.

Mama wpada w szal.

– Chodź z nami! Nie musisz tego robić!

– No nie, w ogóle!

Tata nadal ładuje broń, a ja zauważam, że zaczęły mu drzeć dłonie. Tylko dzięki swojej kolekcji zabójczych zabawek jeszcze się nie załamał.

– Przynajmniej sprawdź, czego chcą! – woła w desperacji mama.

– Dobrze wiesz, czego chcą!

Ich spojrzenia w końcu się spotykają i mama po raz pierwszy od dłuższego czasu widzi go takim, jaki jest naprawdę. Widzi osobę, którą ja zobaczyłem wcześniej w garażu. Nie apodyktycznego, żadnego krwi potwora, ale istotę ludzką, prawdziwą i nagą – uwięzioną w tym domu razem z nami i na wskroś przerażoną.

Tata wybiera strzelbę i przechodzi do kuchni. Zajmuje pozycję naprzeciwko tylnych drzwi. Żadne z nas nie poszło do bezpiecznego pokoju. Wszyscy chcą być tutaj. Zobaczyć, co się wydarzy. Jak rozwinie się sytuacja – zupełnie jakby nasza obecność miała zapobiec rozwojowi wypadków.

Znów walenie w drzwi. Klamka gwałtownie podryguje, ale drzwi się nie otwierają.

Tymczasem głosy dobiegające z ulicy przybierają na sile. Słyszę roztrzaskiwaną bramkę. Ktoś krzyczy, gdy wpada do pułapki na trawniku, ale nie wystarczy pułapek, żeby zatrzymać wszystkich.

W pewnej chwili łomotanie ustaje.

Tata bierze głęboki oddech i zapiera się na swoim stanowisku. Unosi broń i przygotowuje się na to, co zdarzy się za chwilę. Nie mogę oderwać oczu od drzwi – zupełnie jak wtedy, kiedy jako dziecko byłem przekonany, że w mojej szafie czai się potwór. Wpatruję się w nie znieruchomiały, z szeroko otwartymi oczami, żeby na pewno zobaczyć to, co wpadnie przez nie do środka, zanim to coś zobaczy mnie. Drzwi są zamknięte, powtarzam sobie w myślach. Są zamknięte. Nikt nie wejdzie do środka.

Zaraz potem rozlega się znajomy dźwięk, który w tym kontekście jest absolutnie przerażający. Otwieranie zamka. Klamka się przekręca. Drzwi się uchylają. Intruzi wtargnęli do środka.

Od tego momentu wszystko dzieje się szybko, w oderwanych od siebie obrazach, zupełnie jakby rzeczywistość wokół mnie zaczęła migotać jak stroboskop.

Drzwi otwierają się gwałtownie na oścież.

Jakaś postać wchodzi do środka.

Tata krzyczy i pociąga za spust.

Świat eksploduje w wystrzale strzelby.

Intruz zostaje odrzucony na futrynę.

Krew rozbryzguje się we wszystkich kierunkach.

Na mnie też.

Szczypie mnie w oko.

Intruz odbija się od framugi.

Pada na podłogę w kuchni, twarzą do ziemi naprzeciwko drzwi.

A w drzwiach...

Z zamka wystaje klucz.

Pojedynczy klucz.

Tata bierze oddech, nadal pogrążony w szoku po pociągnięciu za spust.

Wtedy mama rusza do przodu jakby w transie...

Zaraz potem tata odrzuca broń...

Pada na kolana...

Wtedy wszystko nabiera sensu.

Uświadamiam sobie, że ciało leżące twarzą w dół na podłodze nie należy do opętanego przez pragnienie, żadnego krwi włamywacza.

To mój brat Brady.

Tata wyje z rozpacz i przewraca go na plecy, by potwierdzić to, co i tak już wiedział. To, co się stało, jest dla mnie ciosem, ale jakimś takim dziwnie głuchym. Tracę kontrolę nad zmysłami. Znajduję się teraz poza sobą i obserwuję wydarzenia niczym ktoś owinięty w cudzą skórę.

Mama rzuca się na zwiotczałe ciało Brady'ego. Biała koszula nocna przesiąka krwią. Tata klepie Brady'ego po twarzy, jakby chciał go wybudzić z koszmarne snu, jakby nie przyjmował do wiadomości tego, co się wydarzyło.

Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie...

Moja uwaga do tego stopnia skupiła się na nich, że początkowo nie widzę, co dzieje się w domu. Tymczasem przez tylne drzwi zaczyna się wlewać do środka strumień ludzi. Sąsiedzi. Rabusie. Przemykają niczym cienie, przeszukują dom. Spojrzenia mają szalone, jakby wściekłe. Przyszli uzbrojeni w łopaty, pogrzebacze i kije do baseballu.

Mama i tata zupełnie na nich nie zważają. Jakie to ma znaczenie, co robią ci ludzie? Czy cokolwiek ma jeszcze znaczenie? Mój starszy brat nie żyje.

Brady odebrał nasze wiadomości. Wiedział, że wyjeżdżamy rano do schronu, i pojawił się w ostatniej chwili. A kiedy zobaczył zbliżającą się tłuszcę, próbował nas ostrzec, łomocząc w drzwi, próbując dostać się do środka.

Powinniśmy się byli domyślić, że to on, kiedy zobaczyliśmy przekręcającą się klamkę. Powinniśmy byli – z powodu klucza, który ojciec zawsze zostawiał dla niego w tym samym sekretnym miejscu, odkąd Brady był małym chłopcem: w dziurze w poręczy ganka. Świadomie pozostawiony wyłom w naszych zabezpieczeniach.

Alyssa krzyczy za moimi plecami, ale dopiero po kilku sekundach zaczynam rozumieć jej słowa.

– Musimy uciekać! Kelton, musimy się stąd zabierać.

Ale ja nigdzie się nie zabieram. Nie opuszczę brata, zostanę przy nim z rodzicami. Uruchamiam nogi, wymijam ją i zmierzam w stronę środka pokoju. Wyciągam rękę i chwytam jakiś przedmiot. Strzelbę upuszczoną przez ojca.

Ładuję do komory kolejny pocisk.

Spoglądam w lśniące oczy wilków.

Nie przeżyją dzisiejszego dnia. Żaden z nich.

Celuję w głowę osoby niosącej zgrzewkę wody.

Kładę palec na spuście.

Potem wszystko nagle robi się czarne.

Nie widziałam nigdy nikogo ogłuszonego ramką na zdjęcia, na dodatek ramką ze zdjęciem samego siebie. No nic, człowiek uczy się przez całe życie. Metalowa ramka była dostatecznie ciężka, a Alyssa wyrzuciła ją w głowę Keltona z odpowiednią siłą. Do tego w ostatniej chwili, bo Kelton naprawdę zamierzał to zrobić. Zamierzał porozwalać tych ludzi.

Nie widzę nic poza feerią oślepiających latarek, których snopy poruszają się we wszystkich kierunkach. Ręce mam rozluźnione, palce oparte na pistolecie – niemniej nie zamierzam marnować amunicji, jeżeli nie będzie to absolutnie konieczne.

Alyssa odwraca się do mnie i wyciąga z kieszeni kluczyki. Są to kluczyki do naszego bmw. Mimo całego zamieszania zdołała je jakoś znaleźć. Podczas gdy nas sparaliżował szok, ona zaczęła już planować ucieczkę.

– Musimy natychmiast się stąd wynosić. – Wskazuje na nieruchome ciało Keltona. – Zabierz go.

Trzyma kluczyki w mocno zaciśniętej dłoni, a ja rozumiem, że używa ich jako karty przetargowej.

– Kto powiedział, że możesz mi rozkazywać? – rzucam wyzywająco, ale w związku z szabrowaniem odbywającym się wokoło nie mamy specjalnego wyboru – a skoro ten cały schron będzie dla nas dostępny, potrzebujemy Keltona, żeby pokazał nam drogę. W ostatecznym rozrachunku Alyssa ma rację, co mnie potwornie wkurza.

Ona wbiega do kuchni; próbuje zrobić, co w jej mocy, żeby rodzice Keltona z nami pojechali, ale oni nie zamierzają się nigdzie ruszać. Jedyne, o czym myślą – jedyne, co są w stanie teraz zrobić – to bezsensownie trwać nad zwłokami syna.

– Idź – mówią do Alyssy załamany głosami. – Zostaw nas samych...

Tymczasem wszędzie wokół trwa rozkradanie zawartości domu.

Taki rozwój sytuacji był nieuchronny. Czy naprawdę musieli obnosić się ze swoim generatorem prądu i zasobami? Czy ojciec Keltona musiał zgrywać bohatera? Zaślepiiony pragnieniem ochrony domu zapomniał, że jego podstawowym obowiązkiem była ochrona znajdujących się w nim ludzi.

Chwytam Keltona pod pachy i podnoszę. Przywołuję spojrzeniem Garretta, który siedział ukryty za sofą, i razem ciągniemy chłopaka przez hol w stronę drzwi wejściowych. Alyssa prowadzi. Po drodze próbuje dostrzec, co tak naprawdę dzieje się wokół nas, ale jest za ciemno – widać tylko sylwetki i zarysy. Wszystko za to doskonale słyszę: zrezygnowane zawodzenie rodziców Keltona, któremu towarzyszą tupnięcia, stukoty i szuranie dziesiątków stóp na deskach podłogowych. Ktoś otwiera kopniakiem jakieś drzwi – słyszę trzask pękającego drewna. Brzęki słoików, które rozbijają się z hukiem, strącane z półek albo wypadające z przeładowanych ramion. Dzbanek z wodą, który wcześniej zanieśliśmy na piętro, teraz stacza się ze schodów i roztrzaskuje na podłodze. Dom zostanie wybebeszony i splądrowany do gołych ścian.

Kiedy Alyssa otwiera drzwi, do środka wpadają kolejne osoby. Istny przeciąg z wodnych zombie.

Wychodzimy na zewnątrz i wtedy jakiś mężczyzna unosi kij baseballowy. Zamachuje się na Alysę. Gdy ją rozpoznaje, nieruchomieje i opuszcza broń.

– Nie zostawili nam wyboru! – mówi, jakby miało to usprawiedliwić jego działania.

Alyssa nie odpowiada, więcej, nie zaszczyca go nawet spojrzeniem. Przepycha się koło niego w stronę stojącego na podjeździe bmw.

Razem z Garrettem wpychamy zwiotczałe ciało Keltona do środka. Mam poczucie, jakbyśmy go porywali. Po chwili uświadamiam sobie, że – formalnie rzecz biorąc – to właśnie robimy. Alyssa wsiada przez te same

drzwi, żeby zająć się nim na tylnym fotelu, więc Garrett zajmuje miejsce z przodu, na siedzeniu pasażera.

Siadam za kierownicą, zatrzasnę drzwi i naciskam guzik centralnego zamka. Ze wszystkich stron dobiegają uspokajające głucho trzaski. Tak czy inaczej rabusie są zbyt oszalani, żeby nas zauważyć.

Wyciągam rękę do tyłu w stronę Alyssy.

– Jeżeli mam prowadzić, musisz mi dać kluczyki.

Ale ona nie zamierza tego robić. Zaciśka je mocno w dłoni.

– Żeby zapalić, wystarczy wcisnąć guzik.

Cholerne bmw. Jeżeli kluczyki znajdują się we wnętrzu samochodu, auto zapali niezależnie od tego, czyja wredna rączka je trzyma. I tym razem nie mam specjalnego wyboru. Uruchamiam samochód, wycofuję go między wodnymi zombie, którzy pałętają się wokół nas, po czym ruszam szybko w mrok, niemal zapominając o włączeniu świateł.

Skręt w lewo. Potem w prawo. Potem znowu w prawo. I w lewo.

Wiem, że jadę za szybko, ale z jakiegoś powodu nie potrafię zwolnić. Adrenalina zamieniła moją stopę w bryłę ołowiu. Rozjeżdżam jakiś przedmiot leżący na ulicy. Słyszę, jak szoruje o podwozie. Proszę w myślach Boga, żeby nie skończyło się to przedziurawieniem baku.

– Zaraz zwymiotuję – mówi Garrett. – Chyba zaraz zwymiotuję.

– Zaciśnij zęby i weź się w garść – rzucam.

– Nie odzywaj się w ten sposób do mojego brata!

Skręcam w prawo. Nie wiem dlaczego – dojechałam do innej drogi i muszę wybrać kierunek. Włączam długie światła, ponieważ chcę dokładnie widzieć, co znajduje się przede mną. Nie obchodzi mnie, że mogę oślepić kogoś nadjeżdżającego z naprzeciwka. Zresztą nikt nie nadjeżdża z naprzeciwka. Kto miał już wyjechać, to wyjechał, pozostali dali za wygraną.

Jak mogłam wplątać się w taką aferę? Powinnam była znaleźć sposób, żeby w nocy odebrać klucze ojcu Keltona, a zamiast tego połaściłam się na

wygody i poczucie bezpieczeństwa w dobrze zaopatrzonym domu. Fałszywe poczucie bezpieczeństwa. To miejsce nie było w żadnym razie bezpieczne w związku z tymi wszystkimi zapasami i tymi wszystkimi wkurzonymi, spragnionymi sąsiadami. Było jak piorunochron pośrodku burzy, a oni tego nie rozumieli. No, ale czego można się spodziewać po rodzinie gniewnych nerdów? Takimi właśnie ludźmi byli rodzice Keltona. Nerdami, którzy zamiast na Comic-Con, jeździli na pokazy broni palnej. Zamiast rozwodzić się nad *Star Trekiem*, potrafiliby pewnie podać każdy szczegół na temat każdej broni, a mimo to żadne z nich nie miało bladego pojęcia, jakie to uczucie rzeczywiście odebrać życie innemu człowiekowi. No cóż, przynajmniej ojciec Keltona teraz to rozumie. Nerdy z karabinami. Teraz to już naprawdę nic mnie nie zaskoczy.

– Dokąd jedziemy? – pyta Garrett, któremu jakoś udało się nie zrzygać.

– Byle dalej od tego przeklętego domu. – To jedyna odpowiedź, jaką potrafię podać. Przejeżdżamy kolejną identyczną ulicą na przedmieściach, mijając niekończące się rzędy upchanych ciasno domów. Dawniej tętniły życiem, teraz ich fasady przypominają martwe twarze z oczami zgaszonymi z rozpacz. Podobnie wyglądają te upiorne, opustoszałe przedmieścia otaczające elektrownie atomowe, w których doszło do wycieku. Znajdujemy się w ponurym miejscu, gdzie umarła wszelka nadzieja.

Skręcam w lewo. Kolejny ślepy zaułek. Cholera! Zawracam na końcu, niemal wykręcając bączka, po czym wracam na poprzednią drogę.

– Nie możemy kręcić się w kółko – mówi Alyssa z tylnego siedzenia.

– Proszę bardzo! – syczę. – To wskazuj drogę.

– Dokąd?

– Dokądkolwiek!

Alyssa wychyla się do przodu i rozgląda. Ledwo cokolwiek widać, ale ona chyba wie, gdzie się znajdujemy.

– W porządku. Skręć w prawo. Nie tu, na następnym skrzyżowaniu.

Dwa skręty dalej wyjeżdżamy wreszcie na główną drogę. Choć nie wiem, co nam to konkretnie daje.

Zerkam we wsteczne lusterko. Kelton siedzi oparty na drzwiach za Garrettem. Jego ciało nadal jest zwiotczone.

– Obudź go – mówię.

– Chcę, żeby to przespał – odpowiada Alyssa.

– Skąd wiesz, że nie umarł? Dość mocno go walnęłaś.

– Oddycha. – Alyssa jest poirytowana moją sugestią. – Martwi ludzie nie oddychają.

Garrett odwraca się i spogląda na Keltona.

– Może obie macie rację. Może doznał śmierci mózgowej.

Ten komentarz mocno wkurza Alysę.

– Najwyżej ma wstrząśnienie mózgu. Nie będziemy tego dokładnie wiedzieć, dopóki się nie obudzi.

– No to go obudź – powtarzam. Tym razem Alyssa wyciąga rękę i potrząsa Keltonem. Ten otwiera oczy, a ja czuję chyba równie wielką ulgę jak ona.

Kelton kaszle, pociera tył głowy i kilka razy mruga, nadal lekko zamroczone.

Ciekawe, czy wie, że został znokautowany i zaciągnięty do samochodu. Ciekawe, czy pamięta, co wydarzyło się w domu. Uraz głowy potrafi wymazać człowiekowi pamięć krótkoterminową. Traci się kilka ostatnich minut, jak w badziwnym pliku w Wordzie, który człowiek zapomniał zapisać.

Kelton dopiero po chwili odzyskuje przytomność, ale wtedy okazuje się, że wszystko pamięta, ponieważ wpada w szal.

– Nie!!! Co wy robicie? Musimy wracać!

Alyssa chwyta go obiema rękami, ale on jej się wyrzywa.

– Musimy ich powstrzymać!

– Na to jest już za późno, Kelton – mówi.

On pociąga za klamkę, gotów wyskoczyć z jadącego samochodu. Czystym zrządzeniem losu po jego stronie znajduje się blokada bezpieczeństwa dla dzieci i drzwi nie chcą się otworzyć.

Kelton wyje z wściekłości i kopie w klamkę, aż ta się urywa. Drzwi mimo to nie chcą się otworzyć.

Zmieniam ostro pas, przez co ciało Keltona leci w stronę środka auta. Manewr się udał. Kelton wpada w objęcia Alyssy, która przytrzymuje go z większą siłą, niżbym się po niej spodziewała.

– Ale moi rodzice!

– Próbowałam ich namówić, żeby z nami pojechali, ale nie chcieli.

– Ci ludzie mogą ich zabić!

Wtedy Garrett mówi coś w sumie mądrego:

– Raczej nie. Nie stawiali przecież oporu. Wodnym zombie chodzi tylko o jedno, zgadza się? Jeżeli nie wchodzisz im w drogę, pewnie zostawią cię w spokoju.

Kelton trochę się uspokaja. Przynajmniej na tyle, żeby Alyssa mogła go bezpiecznie wypuścić z uścisku. On opada na fotel i znów zaczyna kręcić głową.

– Nie, nie, nie, nie. Nie możemy... nie możemy... – Stracił zdolność składnego wypowiedania myśli. Przez chwilę milczy, w tym czasie opada z niego wściekłość, a pojawia się uczucie, które za nią stało.

– Mój brat nie żyje...

Nie odzywam się. Co takiego mogłabym powiedzieć? Co się stało, to się nie odstanie, więc albo sam możesz umrzeć, albo weźmiesz się w garść? W tej chwili Kelton wybrałby pewnie pierwsze rozwiązanie. Współczucie niech sobie okazuje Alyssa. Na pewno jest w tym znacznie lepsza ode mnie. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jak mroczne i pokręcone myśli muszą się teraz kłębić w głowie Keltona. Odtwarzam sobie wydarzenia ostatnich piętnastu minut, a im dłużej pozwalam im się przewijać przed oczami, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Garrett miał

rację. Mnie również chce się wymiotować. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam niczego tak dzikiego, tak niehumanicznego jak to, co się zdarzyło w tym domu.

– Przykro mi, Kelton – mówi Alyssa. – To beznadziejne, co się stało.

Kelton zupełnie odjeżdża.

– Beznadzieje? To beznadziejne? Nie, Alyssa. Oblanie testu w połowie semestru jest beznadziejne. Upuszczenie telefonu do wody jest beznadziejne. Mój ojciec właśnie strzelił mojemu bratu w klatkę piersiową, a ten umarł na moich oczach! Jak śmiesz używać w tym kontekście słowa „beznadziejne”!

Zaraz potem z taką siłą kopie w tył mojego fotela, że prawie tracę panowanie nad pojazdem.

– A tobie nigdy nie wybaczę, że mnie ogłuszyłaś!

– Mnie? – mówię. – Choć muszę przyznać, że znokautowanie cię sprawiłoby mi ogromną przyjemność, to nie ja cię uderzyłam.

– Ja to zrobiłam, Kelton – wyjaśnia Alyssa. – Musiałam... zamierzałam właśnie zabić Stu Leesona.

– No i co z tego? – woła Kelton. – Dobrze by się stało! Zasłużył na śmierć! Wszyscy zasłużyli!

– Kelton, zaufaj mi... później będziesz mi wdzięczny, że cię powstrzymałam.

Kelton zaciska zęby i odwraca się od niej. Jego oczy są przekrwione i łzawią. Zauważa, że przyglądam mu się w lusterku wstecznym.

– Nie patrz na mnie, suko!

W normalnych okolicznościach za taki tekst spotkałaby go poważna kara, ale Kelton nie jest teraz sobą. Ból po stracie kogoś bliskiego potrafi wykrzywić człowieka w sposób, w jaki nie powinien być wykrzywiony, więc mu odpuszczam.

Droga, którą jedziemy, zaczyna się wici. Zaciemnione fast foody straszą po obu jej stronach. Tuż za dużym skrzyżowaniem dostrzegam mrowie

samochodów i namiotów otaczających duży supermarket. Pewnie znajduje się tu jakiegoś rodzaju centrum humanitarne, do którego nie dotarła jeszcze żadna pomoc.

– Myślisz, że mają tam wodę? – pyta Alyssa.

Kręcę głową.

– Nie ma mowy. Ale wszyscy czekają na nią jak na powtórne przyjście Chrystusa. – Tłum jest naprawdę ogromny. Nie ma to jak pocieszać się nieszczęściem innych, myślę, choć w kupie jest też zwyczajnie raźniej. Gdyby tak nie było, nie siedziałabym w samochodzie z tymi idiotami.

Kiedy mijamy miasteczko namiotowe przed supermarketem, mam ochotę się uszczypnąć. To jest ta sama planeta co tydzień temu, prawda? Choć wydaje się to niemożliwe. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że „perfekcyjne” hrabstwo Orange do tego stopnia zeświruje. Zabawne, że z pogardy dla tego miejsca miałam kiedyś nadzieję, że Wszechmogący ześle na nie plagę szarańczy i przeciekających implantów piersi. Teraz, kiedy na całą południową Kalifornię rzeczywiście spadła plaga, odczuwam pewne rozczarowanie. Nie, żebym sama chciała znaleźć się w gorszym położeniu – rozczarowana jestem ludźmi, ich słabością, kruchością psychiki. Skoro niedobór wody wystarczył, żeby zamienić ich w ziejącą żądzą mordu tłuszcę... Jednego jestem pewna: nie chciałabym znaleźć się w tej samej lidze co oni. Do diabła, nie chciałabym znaleźć się nawet na tym samym stadionie.

Nie, żebym sama była taka znowu święta. Wybiłam niejedno okno. Wyżerałam jedzenie z niezliczonych lodówek i spiżarni. Z włamywania się do domów uczyniłam hobby, dzięki czemu mogłam żyć jak królowa, przenosząc się z miejsca na miejsce. Różnica polega na tym, że ja to zrobiłam z własnego wyboru i nie kosztem innych. No dobra, moje występki nie były tak całkiem niewinne, ale ofiary ledwo zauważały, że czegoś im zabrakło, a jeżeli już, to były dobrze ubezpieczone. Prawo łamałam z przymrużonym okiem i uśmiechem na ustach. Wątpię, żebym

mogła wejść w skład rozwścieczonego tłumu włamującego się do czyjegoś domu. Ja podjechałabym autem pod miejsce, w którym ten tłum zgromadził zrabowane zapasy, i zostawiłabym tam kartkę z Hello Kitty ze słowami: „Bujajcie się, frajerzy”. Cała akcja kojarzyłaby mi się z filmem z Bette Davis.

– Patrzcie! – mówi Garrett. Wskazuje do przodu, gdzie widać kościół rozświetlony setkami świec. Drzwi są szeroko otwarte, świątynia pęka w szwach od ludzi; ci, którzy się nie zmieścili, stoją na ulicy. Dziesiątki rodzin zbite w grupki modlą się o wybawienie od pragnienia. Moja babcia wierzyła w moc modlitwy. Wierzący niekiedy używają wyświechtanego powiedzenia: „Bóg wysłuchuje wszystkich modlitw. I czasami odpowiada: »Nie«”. Babcia go nie znosiła. „Bóg nigdy nie odpowiada: »Nie« – twierdziła. – Po prostu mówi: »Nie dziś«”. I dokładnie taka odpowiedź spływa właśnie na ludzi czuwających przy blasku świec.

Za moimi plecami Kelton całkowicie zamilkł. W jego mózgu doszło do zwarcia. Będziemy go musieli całkowicie zrestartować, jeżeli mamy wszyscy przeżyć.

Garrett na widok osłupienia, w jakim pogrążył się Kelton, podaje mu swoją manierkę.

– Napij się – mówi. – Poczujesz się lepiej.

Zabawne, że w całym tym zamieszaniu Garrett jako jedyny pamiętał, żeby zabrać najważniejszą rzecz.

Kelton nawet nie reaguje na propozycję, zupełnie jakby woda była wrogiem, przez którego zginął jego brat. W pewnym sensie jest to prawda.

Skoro Kelton nie bierze manierki, robię to ja. Nie zachowuję się jak wodny zombie. Upijam tylko mały łyk i oddaję manierkę Garrettowi. Alyssa piorunuje mnie wzrokiem i zaciska usta, jakby powstrzymywała się przed wygłoszeniem jakiegoś komentarza. Potem prosi Garretta o manierkę i sama wypija mały łyk.

Nadal nie wiemy, dokąd zmierzamy. Nie jeżdżę już w kółko, nie zmienia to jednak faktu, że nie mamy się dokąd udać.

– Kelton, gdzie jest ten wasz schron? – pytam.

– W twojej dupie – odpowiada.

– No proszę, i kto tu nagle ma niewyparzony język – stwierdzam kpiącym tonem. Odpowiada gestem, którego harcerzyk pokroju Keltona nie powinien znać.

– Zostaw go w spokoju – mówi Alyssa.

– Spróbuj mi jeszcze raz rozkazać – odpowiadam – a wyrzucę cię z auta z przyklejonym na plecach napisem: „Pijcie ze mnie”.

Tym komentarzem udaje mi się wzbudzić lekkie parsknięcie u Keltona. I dobrze. Wreszcie jakiś postęp.

Po naszej prawej stronie widać dziesiątki rodzin, które przemieszczają się w grupach. Wygląda to tak, jakby uczestniczyli w pielgrzymce. Przynajmniej ci ludzie podjęli jakieś działania, a nie siedzą i czekają, aż ktoś ich uratuje. Chyba wszyscy podzielili się na obozy, a każdy z nich ma własną teorię na temat optymalnego sposobu postępowania.

– Gdzie oni według ciebie idą? – pyta Garrett.

– Chyba sami tego nie wiedzą – odpowiadam.

– Tak jak my? – zauważa Alyssa.

Wtedy Kelton wyciąga rękę i wskazuje na punkt przed nami, gdzie świt zaczyna oblewać wierzchołek leżącej w oddali góry.

– Idą do Lake Arrowhead – mówi. – Ale tam nie dojdą. Musieliby pokonać dwa pasma górskie i teren dwóch hrabstw.

Wygląda na to, że widok pielgrzymki sprowadził go z powrotem na ziemię. Korzystam z okazji, żeby wydobyć z niego więcej informacji.

– Tam właśnie znajduje się schron?

Kręci głową.

– Nie... jest w Angeles National Forest. Znacznie bliżej. Na północ, a nie na wschód. – Przenosi wzrok w tamtą stronę. – Ale takim

samochodem tam nie dojedziemy. Potrzebujemy pojazdu z wysokim zawieszeniem. I napędem na cztery koła.

– Czyli na przykład pikapa? – pyta Garrett. – Takiego, jak ma wujek Basil?

– Dokładnie takiego, jak ma wujek Basil – potwierdza Kelton.

– On pojechał do swojej częściowo byłej dziewczyny – mówi Alyssa – która mieszka w Dove Canyon.

W ten sposób wreszcie wiemy, dokąd zmierzamy.

Część trzecia. Otchłań pomiędzy

18) Henry

Jeżeli człowiek pragnie osiągnąć prawdziwy sukces, musi myśleć w ściśle określony sposób. Nawet jeśli będzie kierował najlepszą firmą włókienniczą na świecie, zaprojektuje nowy rodzaj silnika dla NASA czy namaluje nową *Monę Lisę*, stanie się człowiekiem bogatym, niemniej nadal będzie mu brakowało czegoś niezwykle istotnego, żeby zostać człowiekiem prawdziwie zamożnym.

A to dlatego, że zamożność jest sposobem myślenia.

Albo, jak powiada mój mentor, wicedyrektor Metzger: „Bogaty to przymiotnik, zamożny to czasownik”. Tak naprawdę oba są przymiotnikami, ale nie w tym rzecz.

Prawdziwą zamożność można osiągnąć dopiero wtedy, kiedy wykazemy się odpowiednią dyscypliną, żeby inwestować pieniądze w środki, które przyniosą dochód wystarczający na pokrycie naszych wydatków. W chwili obecnej moje wydatki plasują się na minimalnym poziomie, tymczasem biznes związany z nawadnianiem rozkręcił się, nabrał przyspieszenia i wystrzelił w kosmos.

Moi rodzice i ja mieszkamy na ogrodzonym osiedlu o nazwie Dove Canyon. A jeśli ktoś żyje w zamieszkanym przez wyższą klasę średnią hrabstwie Orange – a zwłaszcza w kanionie – nic nie liczy się dla niego bardziej niż wysokość. Właśnie dlatego mama i tata kupili dom blisko szczytu wzgórza. Jest jednym z największych na naszym osiedlu i rozciąga się z niego panoramiczny widok na pole golfowe oraz niemal wszystkie pozostałe domy w okolicy. Odkąd rodzice wyjechali w zeszłym tygodniu na wakacje, sam zajmuję się gospodarstwem. Mimo że nastały trudne czasy.

Suche Krany nie tylko przyczyniły się do mojego rozwoju osobistego, ale również okazały się fantastycznym polem doświadczalnym w biznesie i handlu. Jakiś czas temu ojciec namówił matkę, żeby założyła własną firmę, ale ona dała się wkręcić jednej ze swoich przyjaciółek w zakup sześćdziesięciu skrzynek ÁguaVivy w ramach piramidy finansowej, w której uczestnik wydaje zawrotną sumę, żeby kupić siedemset dwadzieścia butelek alkalicznej wody mineralnej o smaku jagód goji, które następnie przez sześć miesięcy zalegają w pokoju gościnnym, ponieważ nikt nie chce od niego kupić alkalicznej wody mineralnej o smaku jagód goji. Niemniej teraz, kiedy wartość wody wzrasta w tempie wykładniczym, udaje mi się osiągać całkiem pokaźny zysk ze wspomnianej ÁguaVivy.

Jeżeli zgłębianie wiedzy czegokolwiek mnie nauczyło, to tego, że najwięksi inwestorzy zbijają kapitał w czasach kryzysu. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka może się to wydać bezduszne, obowiązkiem gigantów jest przetrwać i generować zyski, które umożliwią późniejsze wydatki i pobudzą gospodarkę dla dobra ogółu.

Zajadam się akurat czerwoną lukrecją i resztą ciastek z ostatniego przyjęcia biznesowego taty, kiedy rozlega się dzwonek. Kolejny klient! Otwieram drzwi i ku mojemu zdziwieniu widzę Spencera, chłopaka mieszkającego kilka domów od nas. Nigdy zbyt nie zwracałem sobie nim głowy. Jego dom znajduje się na samym szczycie wzgórza – jest większy od naszego i położony wyżej, niemniej, formalnie rzecz biorąc, nasz jest wyższy. W podstawówce sprzedawaliśmy w tym samym czasie lemoniadę, ustawiając stragany po przeciwnych stronach ulicy. Kiedy byliśmy trochę starsi, toczyliśmy cichą wojnę o to, kto zdobędzie więcej prenumerat czasopism na potrzeby zbiórki pieniędzy w szkole, a kiedy wyglądało na to, że Spencer nie wygra, jego rodzice kupowali „Reader’s Digest” dla wszystkich znajomych ze swojej listy adresowej. Moi rodzice nie zgadzali się na takie praktyki, dlatego zawsze zajmowałem drugie

miejsce. Wtedy mnie to dręczyło, dziś traktuję to jako jedną z pierwszych lekcji na temat wartości zdrowej konkurencji. Mimo to nadal nie lubię Spencera.

– Cześć, Henry.

– Co słysząc, Spencer? Wejdz.

Prowadzę go do salonu. Po drodze zauważam, że porusza się powoli, niezdecydowanie.

– Mogę ci coś podać? – mówię z grzeczności i w celu rozpoczęcia negocjacji.

Spencer siada na skórzanej sofie. Wygląda na osłabionego. Rozgorączkowanego. Wiele osób znajduje się ostatnio w podobnym stanie. Według mnie to coś więcej niż zwykłe odwodnienie.

– Dobrze się czujesz? – pytam, choć znam odpowiedź. Ciekawi mnie tylko, czy się do tego przyzna.

– To ta woda ze starego zbiornika na górze – mówi. – Chyba była zatruta albo coś podobnego.

Kiedy wszyscy pozostali mieszkańcy południowej Kalifornii zaczęli gorączkowo walczyć o wodę, ludzie z Dove Canyon uważali się za w czepku urodzonych. Choć woda w naszym głównym zbiorniku skończyła się jeszcze przed Suchymi Kranami, na szczycie wzgórza znajdował się stary, wyłączony z użycia zbiornik. Ktoś wpadł na genialny pomysł, żeby go ponownie podłączyć do sieci wodociągowej i wykorzystać znajdujący się w nim zapas wody. W ten sposób płynęła u nas z kranów dwa dni dłużej niż u innych. Problem w tym, że teraz wszyscy zaczynają od niej chorować. To znaczy wszyscy poza mną, ponieważ nigdy nie ufałem kranówce – nawet kiedy była rzekomo dobra. Poza tym sprzedawca powinien nie tylko wierzyć w swój produkt, ale również samemu go stosować.

Spencer bierze z wysiłkiem oddech, przekręca szyję i mówi:

– No więc, słyszałem, że masz wodę.

– Mam – odpowiadam, rozsiadając się na sąsiedniej kanapie. Świadomie nie ułatwiam mu zadania.

– Dam ci piłkę podpisaną przez Peytona Manninga – mówi. Sam wychodzi z pierwszą ofertą, co od razu stawia go w niekorzystnej sytuacji. Nawet jeśli z jego perspektywy jest to maksimum wszystkiego, co mógł zaproponować, teraz staje się to zaledwie punktem wyjścia do dalszych negocjacji.

– Z ledwością wystarczy na pół butelki wody – wyjaśniam. – Poza tym dobrze wiesz, że niezbyt interesuję się futbolem. Zresztą zdążyłem już sprawdzić, że taka piłka jest warta jakieś dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Spencer reaguje szybko.

– Piłka i dodatkowo butelka Johnny’ego Walkera. King George Edition – dodaje. – Dla twojego ojca.

Miły gest, ale muszę go odrzucić. Problem większości uczestników handlu wymiennego polega na tym, że myślą wyłącznie w kategoriach dóbr konsumpcyjnych. Jeżeli jednak chcemy stać się naprawdę zamożni, trzeba pozyskiwać środki, które będą zyskiwały na wartości. Ojciec zawsze podkreśla znaczenie dywersyfikacji, a ja dzięki swojemu hydrobiznesowi zgromadziłem, jak sądzę, zdywersyfikowane portfolio, które zamierzam sprzedać z zyskiem na eBayu. Na razie wszedłem w posiadanie kina domowego, kolekcji starych winyli, obrazu Thomasa Kinkaida, pierwszego wydania *Sokoła maltańskiego* z autografem autora i pytona królewskiego o złotych łuskach.

Co takiego zatem posiada Spencer, że pasowałoby do mojej kolekcji?

– Co powiesz na Xboxa? – pyta.

Kręcę głową.

– Wszyscy proponują mi Xboxy.

Dobrze wie, czego chcę, a te podchody tylko zbliżają nas do celu. W jego drugim pokoju wisi oprawiona w ramkę, podpisana koszulka z nazwiskiem Michaela Jordana – ta błękitna, z czasów, kiedy grał

w college'u. To bardzo rzadki przedmiot, wyceniany na niemal dwa tysiące dolarów.

Sam tego nie powie. Sam jej nie zaproponuje. Zmusi mnie, żebym o nią poprosił. Proszę bardzo.

– Koszulka Jordana – mówię. – Zgrzewka wody, to jest dwanaście litrowych butelek, za koszulkę Jordana.

– Nie mogę! Ojciec mnie zabije!

– To moja oferta – mówię, wzruszając ramionami.

Zaciska zęby i mruży oczy, jakby robił wielką kupę, po czym mówi:

– Za dwie zgrzewki.

A ja wiem, że już wygrałem.

Wstaję, udając, że negocjacje się dla mnie skończyły.

– Jeżeli nie zamierzasz do tego podejść na poważnie, będę musiał cię poprosić, żebyś wyszedł.

– Półtorej zgrzewki? – sonduje.

Wzdycham.

– No dobrze – mówię. – Ale tylko dlatego, że znamy się od dawna.

Zgodziłbym się w sumie na dwie, ale – jak wspomniałem – nie lubię Spencera.

Sięgam pod kanapę i wyciągam butelkę z wodą, z której normalnie nalewałem trochę do spróbowania. Została jedna trzecia, więc rzucam mu ją.

– Pierwsza jest za darmo – mówię. – Potraktuj to jako bonus.

Natychmiast zaczyna żłopać wodę.

– ÁguaViva pochodzi ze złoza artezyjskiego w Portugalii, położonego półtora kilometra pod powierzchnią ziemi – informuję go. – Została zjonizowana w celu uzyskania idealnego poziomu pH, które zwiększa natlenienie krwi i pozwala zachować energię przez cały dzień. Tuż przed zabutelkowaniem nasycono ją wyciągiem z bogatych w przeciwutleniacze

jagód goji, które nie tylko oczyszczą twoją wątrobę, ale również zwiększą odporność.

Spencer kończy butelkę i spogląda na mnie takim wzrokiem, jakby się zakochał. Może tak właśnie jest. Tak ludzie o nim mówią, choć teraz oceniłbym raczej, że mamy do czynienia z *agape* odczuwaną wobec wybawiciela.

– Wiesz co? – mówię. – Dam ci półtorej zgrzewki za koszulkę, piłkę i butelkę szkockiej.

Kiwa głową, potulny jak baranek.

– Tak. No pewnie. Dzięki, Henry!

Uśmiecham się serdecznie.

– Nie ma za co, Spencer.

Naprawdę tak uważam. Według mnie najważniejsze jest, żeby obie strony wyszły zadowolone z negocjacji.

19) Alyssa

Przed bramą do Dove Canyon znajduje się fontanna. Kiedy susza była tylko normalną suszą i nie wprowadzono jeszcze poważnych ograniczeń w dostępie do wody, fontanna przyciągała pumy. Schodziły z okolicznych wzgórz niczym koty do miski. Już to powinno być sygnałem ostrzegawczym dla każdego myślącego człowieka.

Później ludzie zaczęli porzucać farmy w Dolinie Kalifornijskiej, która zamieniła się w Pacyficzną Misę Pyłu. Byli farmerzy przeludniali i tak już przeludnione miasta, niczym wielkie koty porzucające wyschnięte wzgórza. Choć powinno to zostać odebrane jako poważne ostrzeżenie, nikt się tak naprawdę nad tym nie zastanowił, ponieważ reakcje władz były, dosłownie, kroplą w morzu potrzeb. Grzywny dla osób podlewających trawniki. Uchwała przeciwko lekkomyślnemu zużyciu wody. Obwieszczenia publiczne przypominające o potrzebie jej

oszczędzania. Nie przyniosło to żadnego skutku. Woda i tak się skończyła. Teraz fontanna przed Dove Canyon stoi pusta. Pumpy poumierały albo przemigrowały, a ludzi czeka taka sama przyszłość.

Do Dove Canyon prowadzi tylko jedna droga: brama ze strażnikami. Niektórzy są nastawieni przyjaźnie, inni zachowują się, jakby należeli do służb specjalnych strzegących Białego Domu. Dziś bramy nie strzeże nikt; została zresztą wyłamana z zawiasów.

– To się nazywa fałszywe poczucie bezpieczeństwa – stwierdza Jacqui.
– Ktoś pewnie staranował ją pierwszego dnia.

– Alyssa, patrz – mówi Garrett, pokazując coś palcem.

Zaraz za zniszczoną bramą wznosi się prowizoryczna barykada.

Zatrzymujemy samochód na poboczu, zostawiamy go i wchodzimy na teren osiedla, wpatrując się z ciekawością w zaporę, która musiała zostać zbudowana już po rozbiciu bramy.

– Wygląda na skleconą w pośpiechu – zauważa Kelton.

Barykada składa się z rzeczy przyciągniętych z pobliskich garaży: drabin i starych mebli, na przykład podniszczonych regałów z Ikei, leżaków i zardzewiałych rowerów. W praktyce z rupieci, które normalnie zostałyby sprzedane na wyprzedażach garażowych, gdyby tutejsza wspólnota pozwalała na ich organizowanie.

– Wujek twierdził, że w Dove Canyon woda była nawet po Suchych Kranach – informuję pozostałych.

– No, a mieszkańcy pewnie musieli odeprzeć najazd ludzi z zewnątrz – mówi Garrett.

Na myśl o mamuśkach w dresach i bywalcach klubów golfowych odpierających najazd niemal wybucham śmiechem... ale zaraz przypominam sobie, że nasi sąsiedzi zaatakowali dom McCrackenów.

Ponieważ barykada została pomyślana i wzniesiona tak, żeby zatrzymać pojazdy, a nie ludzi, możemy ją bez problemu obejść. Jak dotąd nie widzieliśmy tu żywej duszy. To dość niepokojące.

– Można by się spodziewać, że jeśli już zbudowali barykadę – mówi Jacqui – to przynajmniej ktoś jej będzie pilnował.

– Rzeczywiście – zgadza się Kelton. Żadne z nich nie ma ochoty prowadzić dalej tego rozumowania.

W pewnej chwili mój brat zaczyna się denerwować.

– Alyssa, nie podoba mi się to. Chodźmy stąd.

– Nie możemy – przypominam mu. – Potrzebujemy samochodu wujka Basila.

– Wcale nie – upiera się Garrett. – Po drodze minęliśmy wiele samochodów z napędem na cztery koła. Moglibyśmy odpalić któryś z nich. Założę się, że Jacqui potrafiłaby to zrobić.

Jacqui piorunuje go wzrokiem.

– Jak śmiesz zakładać, że znam sztuczki przestępców?

– A nie znasz? – pytam.

– Oczywiście, że znam, ale i tak jestem oburzona.

Spoglądam na trzypasmową drogę przed nami. Ciągące się wzdłuż niej pasy trawy są nadal zielone. Wujek Basil opowiadał kiedyś, że mieszkańcy kanionu używają wody do nawadniania trawników z własnej oczyszczalni. Podobnie jak światła w domu McCrackenów, palące się, kiedy u wszystkich innych wyłączono prąd, pasy zieleni w Dove Canyon musiały działać jak magnes na intruzów.

– Dom wujka znajduje się niedaleko bramy – mówię. – Zaraz za pierwszym znakiem stopu, niecałe pół kilometra stąd. – Po chwili dodaję: – Odpalenie samochodu przez zwarcie kabli uznajmy za plan B.

Jacqui unosi bluzkę i odsłania ukryty pod nią pistolet Keltona.

– To na wypadek jakichś kłopotów – mówi.

– Jeżeli znajdziemy się w opałach – stwierdzam poirytowana – zachowamy się jak cywilizowani ludzie.

– Jej nie chodzi o to, że trzeba będzie go użyć – mówi Kelton. – Wystarczy pokazać, że mamy broń, a większość ludzi się wycofa.

Biorę głęboki wdech i postanawiam nie wdawać się w dalszą dyskusję. Jestem zaskoczona, że Kelton nie stanął po mojej stronie – zwłaszcza w sporze z Jacqui i zwłaszcza w kwestii przemocy. Choć w sumie to za jego sprawą mamy pistolet. Może zatem nie tyle powinno mnie to zaskakiwać, ile raczej niepokoić. Odkąd zobaczyłam jego wzrok, kiedy chwycił strzelbę, nie potrafię określić, które z nich jest bardziej nieobliczalne: on czy Jacqui.

Daphne – okazjonalna dziewczyna wujka – ma duży dom, który odziedziczyła po matce. Wcześniej pracowała jako pośredniczka w handlu nieruchomościami w Modesto, czyli tam, gdzie wujek prowadził farmę migdałów. Problem w tym, że migdałowce zużywają więcej wody od niemal wszystkich innych roślin, więc kiedy wprowadzono racjonowanie, farmy migdałowców poupadały jako pierwsze. Wujek ogłosił bankructwo, bank przejął farmę, a on wprowadził się do Daphne, która przez pierwsze pięć minut sądziła, że ma cały świat u stóp, ponieważ nagle w jej rękach znalazło się mnóstwo ofert sprzedaży nieruchomości. Nikt przy zdrowych zmysłach nie kupował jednak domów w tamtej okolicy, przez co nie udało jej się zakończyć choćby jednej transakcji. Wartość nieruchomości poleciała na łeb na szyję. Dolina Kalifornijska zaczęła być nazywana Pacyficzną Misą Pyłu, co było gwoździem do trumny perspektyw regionu. Podejrzewam, że Modesto jest teraz niemal całkowicie wyludnionym miastem, podobnie jak Bakersfield, Fresno i Merced. Oboje – Daphne i wujek – mieli zresztą na tyle oleju w głowie, żeby wyjechać przed Wielkim Pryskaniem. Spakowali dobytek, zamówili firmę transportową i wprowadzili się do matki Daphne, która korzystnie dla nich akurat umierała i zostawiła córce dom w Dove Canyon.

Niedługo potem Daphne wyrzuciła wujka Basila – dwukrotnie – a on musiał wprowadzić się do nas.

W sumie to się nie dziwię. To znaczy rozumiem Daphne. Nie chodzi wyłącznie o to, że wujek Basil nie mógł znaleźć pracy, ale że niezbyt

intensywnie jej szukał. Podejrzewam, że utrata farmy go podłamała. Daphne lubiła go na tyle, że dała mu drugą szansę, ale przypuszczam, że niewiele się zmieniło, ponieważ po niedługim czasie wujek ponownie znalazł się w naszym domu – tym razem byliśmy w zasadzie pewni, że już na dobre.

– Dopóki nie stanę na nogi – powtarzał. Jak jednak można stanąć na nogi, kiedy życie podcięło człowiekowi skrzydła?

Dochodzimy do ulicy, przy której mieszka Daphne. Nadal nie widzimy ani jednej osoby.

Choć pozostające pod opieką wspólnoty pasy zieleni są wciąż żywe, trawniki przy domach przypominają te z naszej okolicy. Niektóre z nich całkowicie wyschły. Brązowa trawa i nagie drzewa. Gdzie indziej zieleń zastąpiono elementami typowo pustynnymi – kaktusami, sukulentami i kamieniami rzeczonymi. Przed co trzecim domem rozłożono idiotycznie wyglądającą sztuczną trawę. Ci ludzie udają, że wszystko jest po staremu. Dom Daphne należy do tej ostatniej kategorii. Łatwo go wypatrzeć z daleka, ponieważ stoi przed nim również sztuczny fikus – to już oficjalne przekroczenie granicy absurdu. Jest to jedyny liściasty obiekt na całej ulicy, przez co wygląda dość żenująco.

Samochodu wujka Basila nie ma na podjeździe. Uznaję, że stoi pewnie w garażu.

– A jeśli wyjechali? – pyta Garrett. – A jeśli się stąd zmyli, jak wcześniej z farmy na północy?

Powinłam była o tym pomyśleć. Nie odpowiadam, tylko podchodzę do drzwi wejściowych i naciskam dzwonek. Oczywiście nie dzwoni. Idiotka. Pukam. Głośno.

Na chwilę zalega cisza. Zaczynam się zastanawiać, czy Garrett nie miał przypadkiem racji, ale drzwi w końcu się uchylają, a w szparze pojawia się wujek Basil.

– Alyssa? Garrett? – Jest jednocześnie zaskoczony i uradowany na nasz widok, ale jego reakcja jest stonowana. – Co wy tu robicie? Gdzie są mama i tata?

To sprawa, o której wolałabym nie myśleć. Zamknęłam ją w specjalnej przegródce z tyłu głowy, żeby móc normalnie funkcjonować. Nie potrafię się nawet zdobyć na to, żeby powiedzieć na głos: „Nie wiemy”, ponieważ oczy natychmiast zaszyby mi łzami. Nie odpowiadam zatem na jego pytanie.

– Możemy wejść?

– Tak, oczywiście. – Cofa się, by nas wpuścić. W domu panuje upał. Nieprzyjemny. Dom Daphne jest skierowany na południe i ma masę okien wyposażonych w zbyt małą liczbę okiennic. Okna zostały obwieszane prześcieradłami, które mają zatrzymywać światło i upał, ale wyraźnie nie spełniają swojego zadania. W domu unosi się też zapach stęchlizny, przypominający niewietrzony pokój, w którym leży ktoś chory. Powinno to potraktować jako sygnał, że coś jest nie w porządku, ale w pierwszej chwili dopisuję to do listy niecodziennych rzeczy, nad którymi nie mam siły się zastanawiać.

Wujek wygląda na odwodnionego. Nawet gorzej niż na odwodnionego. Jest blady, a jego twarz wydaje się obwisła, jakby skóra nie miała siły trzymać się kości. Oczy mu pociemniały i lekko się zapadły. Wygląda jak narkoman, ale wiem, że nie o to chodzi. Poza okazjonalnym skrętem wujek Basil nie bawi się w takie rzeczy. Nie, dzieje się z nim coś innego.

– Chcecie wody? – pyta. – Mam dużo.

– Naprawdę? – mówi Garrett, równie zaskoczony jak ja.

– Jasne, chętnie się napiję – stwierdza bez wahania Jacqui.

Wujek prowadzi nas do kuchni, gdzie stoi zgrzewka wody. Zostało sześć butelek. Wyjmuje plastikowe kubki i nalewa wszystkim po małej porcji. Zaraz potem jakby zamiera, chwytając się blatu i zamyka oczy, lekko się krzywiąc. Wydaje się, jakby ledwo trzymał się na nogach.

– Wujku Herbie? – Używam jego prawdziwego imienia, a nie przydomka. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie będzie – odpowiada. Co oznacza, że w tej chwili nie czuje się dobrze.

– Nie wygląda pan dobrze – stwierdza z irytującą otwartością Jacqui. – Wygląda pan koszmarnie.

– To nic poważnego – zapewnia wujek. – Mam biegunkę, to wszystko.

Biegunka. Może zjadł coś, co się zepsuło w lodówce po wyłączeniu prądu. Wujek zawsze przetrząsał u nas lodówkę w poszukiwaniu resztek, które mama wyrzuciłaby do kosza, gdyby natrafiła na nie pierwsza.

– Gdzie jest Daphne? – pytam.

– Odpoczywa. Też nie czuje się najlepiej.

Kelton posyła mi zaniepokojone spojrzenie. Nie jestem pewna, o co mu chodzi, ale kiedy unoszę kubek do ust, powstrzymuje mnie. Ogląda własny, wącha jego zawartość, po czym wypija łyk.

– Jest okej – mówi.

– Dlaczego miałyby nie być okej? – Spoglądam na butelkę, z której nalał wujek. To ÁguaViva, czyli, o ile dobrze pamiętam, koszmarne droga woda mineralna. Za mniejsze pieniądze można kupić wino.

– Jesteście głodni? – pyta wujek. – Zostało jeszcze trochę jedzenia w puszkach. Dość monotony zestaw, ale co zrobić.

Zaglądam do spiżarni i widzę, że mają ogromne zapasy. Rzecz w tym, że składają się głównie z sosów w butelkach – na przykład salsy w dziesięciu smakach. Poza tym są ciasta w proszku i różnego rodzaju puszkowane produkty, które zwykle leżą latami, zanim człowiek znajdzie dla nich jakieś zastosowanie. Na przykład kawałki ananasa i oliwek w plasterkach. Wszystko w ogromnych ilościach, ale trudno byłoby z tego przyrządzić posiłek.

– Nie, dziękujemy – mówię. – Nie jesteśmy głodni.

Widząc zawartość spizarni, nikt nie protestuje. Wszyscy jesteśmy głodni, ale najedliśmy się poprzedniego dnia w domu Keltona. A jeśli to wszystko, co mają wujek i Daphne, nie chcę ich tego pozbawiać.

Zaraz potem Kelton robi coś dziwnego. Podchodzi do kranu i go odkręca. Oczywiście nic się z niego nie leje. Kelton obwąchuje końcówkę i odwraca się w stronę wujka.

– Słyszałem, że mieliście tu wodę nawet po Suchych Kranach.

– Zgadza się, przez chwilę – potwierdza wujek Basil. – Podłączyli stary zbiornik. Woda płynęła jeszcze przez dwa dni. Czy raczej ciurkała. Nie dało się wykąpać, ale można się było napić.

Kelton kiwa głową, po czym odwraca się do mnie.

– Alysso, możemy zamienić dwa słowa?

Bierze mnie za rękę i prowadzi do salonu.

Wyrywam mu się, kiedy tam docieramy. Nie lubię, kiedy ktoś mnie gdzieś ciągnie.

– Dlaczego nie mogliśmy porozmawiać tam?

– Alysso, musimy się stąd zabierać – mówi szeptem.

– Pracuję nad tym – odpowiadam. – Nie możemy się tak znienacka pojawić, zabrać jego samochodu i zniknąć.

– Nic nie rozumiesz! – mówi również szeptem, choć z intensywnością szaleńca. – Nie wydaje ci się dziwne, że te ulice są całkiem puste?

Kiedy teraz o tym myślę, rzeczywiście wydaje mi się to dziwne. W innych miejscach również panował spokój, ale sugerował toczące się nieopodal życie, a w tym miejscu nie ma po nim najmniejszego śladu.

Kelton przybliżyła się do mnie i mówi jeszcze ciszej, choć z równym przejęciem:

– Jestem prawie pewien, że ta woda z kranu była nieświeża. Gorzej niż nieświeża. Myślę, że twój wujek ma czerwonkę. Może nawet wszyscy w Dove Canyon na nią zapadli.

Nie wiem wiele o czerwonce – poza tym, że wiąże się z poważną biegunką i że zapadają na nią ludzie z Trzeciego Świata.

– Czyli... co powinniśmy zrobić?

Kelton kręci głową.

– Nic nie możemy zrobić. Potrzebowalibyśmy masy lekarstw, którymi nie dysponujemy. – Przez chwilę studiuje moją twarz, jakby upewniał się, że rozumiem powagę sytuacji. Rozumiem, ale nie oznacza to, że podoba mi się to, co proponuje.

– Nie powinniśmy niczego dotykać – mówi. – A już na pewno niczego jeść.

– Wszystko jest w puszkach! – protestuję, mimo że nie mam zamiaru niczego jeść.

– Tak, ale wszystko, czego on dotknął, może być skażone!

Trudno z tym polemizować. Choć brzmi to paranoidalnie, Kelton prawdopodobnie ma rację.

Kiedy wracamy do kuchni, wujek Basil nakłada Garrettowi kawałki ananasa do miski.

– Sam o to nie prosiłem – zapewnia Garrett. – Wujek Basil nalegał.

Wujek kładzie przed nim łyżkę.

– Musisz się wzmocnić. Wiem, że to niewiele, ale nie pozwolę, żebyście głodowali pod moim dachem!

Garrett daje za wygraną i sięga po łyżkę.

– Nie! – mówię ostro i niemal wytrącam mu ją z ręki. Odwracam się do chorego wujka. Moje zachowanie mówi samo za siebie, więc nie owijam w bawełnę.

– Wujku Herbie, zachorowałeś od wody z kranu – mówię od razu, żeby pozbawić go jakichkolwiek złudzeń, które mógł żywić. – To czerwotka... która może być zakaźna. Nie powinniśmy jeść niczego, czego dotykałeś. Przykro mi.

Wzdycha, ale rozumie, że mam rację. Może jest zły na siebie, że nie przyszło mu to wcześniej do głowy.

– W takim razie otwórzcie inną puszkę. Mam płyn odkażający do rąk. Ale Garrett odsuwa się od stołu, straciwszy zupełnie apetyt.

– Nie trzeba, i tak nie jestem głodny.

Dociera do mnie, że wujek nie zdaje sobie sprawy z powagi stanu swojego i Daphne.

– Ja chętnie skorzystam z płynu odkażającego – odzywa się niespodziewanie Jacqui. Spoglądam na nią i widzę, że wróciła jej gorączka. Wskazuje na ranę, która zaczęła ropieć i wyraźnie wymaga przeczyszczenia. – I gazy, jeśli macie jakąś.

– Jasne – mówi wujek. Bierze do ręki płyn odkażający, ale najpierw czyści swoje dłonie i butelkę. Dopiero potem ze zbolonym uśmiechem podaje ją Jacqui. – Pierwsze piętro, drugie drzwi po lewej. Pod umywalką powinnaś znaleźć apteczkę.

Patrzę, jak Jacqui wchodzi po schodach, po czym uświadamiam sobie, że przecież ona ma antybiotyki. Nie jestem tylko pewna, gdzie się teraz znajdują. U niej w kieszeni? W bmw? A może w całym tym zamieszaniu zostawiła je w domu Keltona? Czy zabrałabym jej antybiotyki, żeby dać je wujkowi? „Nie”, odpowiadam sobie w myślach. Nawet jeśli nie przepadam za Jacqui, nie zamierzam jej nic kraść. Nigdy nie naraziłabym jednej osoby, żeby pomóc innej – nawet jeśli tą inną osobą jest ktoś, na kim mi zależy. Gdybym tak postąpiła, nie różniłabym się niczym od rabusiów z domu Keltona.

– Powinniście stąd wyjechać – mówię do wujka. – Ty i Daphne. Powstają specjalne obozy. Nie ma tam jeszcze wody, ale na pewno mają lekarstwa. Jestem pewna, że mają.

Ale on odrzuca ten pomysł.

– Daphne chyba nie nadaje się do podróży. Poza tym najgorsze mamy już za sobą.

Nie wiem, czy ma na myśli najgorszą część choroby, czy najgorszą część kryzysu. Tak czy inaczej, mogę powiedzieć tylko jedno.

– Myślę, że najgorsze dopiero nadejdzie...

Widzę jednak, że żadne moje słowa nie mogą go przekonać.

– Poradzimy sobie.

Tak bardzo chciałabym w to uwierzyć. Osobiście mam dość siedzenia beczynnie i liczenia na to, że sprawa sama się rozwiąże. Obecnie nadzieja znajduje się w ciągłym ruchu – jak rekin.

20) Jacqui

Znajduję łazienkę, zamykam za sobą drzwi i sięgam do kieszeni po jedną z dwóch pomarańczowych fiolek z antybiotykami. Nie pamiętam, od której zaczęłam, ale jakie to ma znaczenie? Przyglądam się małym dwukolorowym kapsułkom. Trudno uwierzyć, że te drobne zielone pojemniczki przetaczające się na mojej dłoni decydują o życiu i śmierci. Nie mam wątpliwości, że są teraz warte w złocie stukrotność swojej wagi. No, ale życie ludzkie jest bezcenne – więc wrzucam je sobie do gardła. Na zdrowie!

Potem przychodzi kolej na bandaż. Znajduję apteczkę w miejscu wskazanym przez Basila, Herba, Ziółko czy jak on się tam naprawdę nazywa. Kiedy zdejmuję stary bandaż, okazuje się, że wrósł w ranę, która zaczęła się na nim zablizniać. Przynajmniej wiem, że się goi. Mimo że jest to bolesne, oczyszczam ją dokładnie wacikami nasączonymi alkoholem. Uważam przy tym, żeby nie dotknąć niczego, od czego mogłabym się zakazić. Zakładam nowy opatrunek. Gotowe.

Kręcę się chwilę dłużej po piętrze, zaglądam tu i tam. Niezły dom. W innych okolicznościach chętnie bym w takim pomieszkała, nawet jeśli wystrój jest trochę pretensjonalny jak na mój gust. Dziewczyna Basila

musi lubić koronki. Jak ona miała na imię? „Powinno brzmieć Melissa”, chichoczę w myślach.

W drodze na schody mijam dwuskrzydłowe drzwi do głównej sypialni i zauważam, że są uchylone. Przez szparę dostrzegam sylwetkę kobiety leżącej nieruchomo na białym łożu. Z pokoju wypływa gryzący zapach. Woń mroku i rozkładu. Wszyscy inni oddaliliby się stamtąd natychmiast, ale mnie ten widok pociąga z siłą, której nie potrafię się oprzeć. Zew Pustki. Otwieram szerzej drzwi i przestępuję przez próg. Zupełnie jakbym wychyliła się za krawędź urwiska, podtrzymywana przez wiejący z przodu wiatr.

Nad łóżkiem wisi jedna z tych dekoracyjnych moskitier, godnych komnaty królewskiej. Tu służy chyba raczej do odgradzenia choroby niż do zabezpieczania się przed nią. Daphne – tak brzmiało imię kobiety! Ta niedomagająca caryca musi mieć na imię Daphne.

Panuje tu przytłaczająca cisza. Po chwili zdaję sobie sprawę, skąd się ona bierze.

Kobieta nie oddycha.

Teraz przyciąga mnie nie tylko pustka, ale też wraki samochodów, które się ze sobą zderzyły, ruiny domu pozostawione przez trąbę powietrzną. Muszę podejść bliżej. Nie dotknę jej. Nie przekroczę bariery tworzonej przez siatkę, ale muszę ją zobaczyć. Muszę spojrzeć na jej klatkę piersiową i zobaczyć, czy się unosi i opada. Muszę to wiedzieć. Smród robi się koszmarny. To żółć i siarka, wszystkie organiczne fetory, którymi za życia staramy się nie dzielić z nikim innym.

W pewnej chwili, zanim jeszcze podejdem na tyle blisko, żeby jej się dokładnie przyjrzeć, kobieta się porusza, zmienia nieco pozycję pod kołdrą. Serce zaczyna mi łomotać w piersi, a ona musi to chyba słyszeć, ponieważ powoli przechyliła głowę w moim kierunku. Jej oczy są ciemne i szkliste. Nie ma siły, żeby cokolwiek powiedzieć ani nawet zastanowić się, co obca osoba robi w jej domu.

Nie umarła, ale jej ciało o tym nie wie, ponieważ zaczęło się już chyba rozkładać. Mimo że kobieta patrzy na mnie, naszym spojrzeniem nie udaje się spotkać. Wtedy uświadamiam sobie, że to nie mnie widzi.

Przed oczami ma Pustkę.

Chwilę później jestem już na dole, przy innych. Nie odzywam się ani słowem. Stoję zamyślona, ponieważ wciąż widzę Daphne – obraz jej sylwetki wypalił się na mojej siatkówce. Alyssa próbuje przekonać Basila, żeby pojechał z Daphne do centrum ewakuacyjnego, ale on oczywiście odmawia. Im usilniej go namawia, tym on bardziej stanowczo stawia opór. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę z powagi stanu Daphne. Na jakimś poziomie musi to rozumieć, ale choć trzyma fason przed siostrzenicą i siostrzeńcem, podejrzewam, że niewiele go dzieli od chwili, kiedy sam wczółga się do łóżka i zacznie czekać na koniec. Wtedy też na myśl, że scena, którą widziałam na piętrze, musi rozgrywać się w wielu okolicznych domach, przechodzi mnie dreszcz. Ogrodzone osiedle zamieniło się w luksusową kostnicę.

Alyssa nie poprosiła jeszcze wujka o kluczyki do samochodu. W końcu przyplaci życiem tę swoją uprzejmość, a my pójdziemy na dno razem z nią. Wygląda na to, że cierpliwość Keltona również się wyczerpała, ponieważ to on przechodzi do rzeczy.

– Skoro nie wyjeżdżacie, czy pożyczycy nam pan swój samochód? Potrzebujemy pojazdu z napędem na cztery koła, żeby dotrzeć do miejsca, do którego się udajemy.

– Pożyczyłbym, gdybym tylko mógł – odpowiada Basil ze wstydem, a na jego twarz do pewnego stopnia wracają kolory. – Ale go przehandlowałem.

– Co zrobiłeś? – wypalam.

– Na ÁguaVivę, którą piliście. Odzyskam go, kiedy tylko ta cała historia się skończy – mówi, spuszczaając wzrok. – Jestem pewien, że taka wymiana nie ma faktycznej mocy prawnej.

– Komu oddałeś samochód? – pyta Alyssa.

Wujek ponownie spuszcza ze wstydem wzrok.

– Jakiemuś chłopakowi, który mieszka tam na górze.

Dom jest obrzydliwie wielki, jak wszystkie pozostałe rezydencje w okolicy. Postawiono go tak blisko granicy posiadłości, jak tylko pozwalały przepisy. Został niedawno odmalowany na brązowawy kolor, przez co wygląda, jakby ktoś spryskał Brazylijczyka samoopalaczem. Takie domy potocznie nazywa się McRezydencjami. Pretensjonalny dom, skręcany na poczekaniu na linii montażowej.

Drzwi od garażu są uchylone przy ziemi na jakieś dziesięć centymetrów. Przez szparę wydobywają się spaliny. Słyszę pracujący w środku generator, co oznacza, że dom ma własne źródło prądu. Najwyraźniej wystawienie generatora na dwór, gdzie jego miejsce, może się skończyć tym, że zostanie ukradzony. Ten chłopak nie jest głupi. Przez warkot generatora słyszę dobiegający z wnętrza domu elektroniczny dance. No dobra, może jednak jest głupi.

Alyssa ignoruje wielką mosiężną kołatkę rodem z krainy Oz i wali pięścią bezpośrednio w drzwi. Bez rezultatu. Widzę, że jest coraz bardziej wkurzona, ponieważ zaczyna walić w drzwi nieprzerwanie, dopóki w końcu się nie otwierają. Staje w nich przystojny, zadbany dzieciak w ciemnoniebieskiej sportowej kurtce z logo katolickiej szkoły średniej Santa Margarita i koszulce polo. Sportowa kurtka w taki upał. Owszem, generator zasila klimatyzację, ale taki strój mimo wszystko wydaje się dziwnym pomysłem. Wrzucam tę kurtkę do katalogu z „pierdołami, które nie ciekawią mnie na tyle, żeby się nad nimi zastanawiać”. Basil wspomniał, że rodzice chłopaka wyjechali z miasta. W czepku urodzony chłoptaş z dobrego domu sam na gospodarstwie. Boże, miej nas wszystkich w opiece.

Chłoptaş uśmiecha się promiennie.

– W czym mogę wam pomóc? – mówi, jakby w McRezydencji można było zamówić cheeseburgera i frytki.

– Przyszłam odebrać samochód wujka – stwierdza z przekonaniem Alyssa.

Chłopak korzysta z przysługującego mu prawa do odmowy wyświadczenia przysługi.

– Przykro mi, nie mogę wam pomóc – stwierdza i szybko próbuje zamknąć drzwi. Wtedy ja wpycham do środka stopę. On zapiera się o drzwi. – Nawet jedna stopa na terenie mojego domu oznacza wtargnięcie na teren prywatny! – woła podniesionym tonem. Stara się sprawiać wrażenie groźniejszego, niż jest w rzeczywistości. Kołatka z krainy Oz nagle zaczyna pasować do reszty domu. – Jeżeli nie zabierzesz stopy z terenu mojego domu, grożą ci poważne konsekwencje prawne.

Napieram na drzwi ramieniem.

– Otwieraj, dupku.

Alyssa i Garrett dołączają do mnie, zwiększając nacisk.

– Mój ojciec jest prawnikiem... Przygotuje pozew i wepchnie go wam tak głęboko w...

Zanim ma okazję dokończyć groźbę, Kelton rzuca się na drzwi, a te otwierają się gwałtownie na oścież i wywracają wymuskanego chłoptasia. Podrywa się z podłogi i pędzi przez perski dywan.

Zaraz potem wykonuje skręt, wsadza rękę do szuflady kredensu stojącego w holu i wyciąga pistolet.

Cholera.

„Tylko spokojnie”, myślę i niezauważalnie przesuwam rękę w kierunku broni ukrytej pod moją koszulką.

– Dobra, nie ruszać się. Trzymajcie ręce tak, żebym je widział – woła chłopak, cytując słowa, które musiał usłyszeć w telewizji.

Wszyscy nieruchomiejemy – poza Keltonem, który bez namysłu rusza do przodu. Jemu naprawdę odbiło!

Wymuskany chłoptaş zaciska mocniej palce na pistolecie i wydziera się jak oszalały:

– Mam pełne prawo was zastrzelić! Przysięgam, że tak właśnie zrobię!

Ale Kelton nic sobie z tego nie robi. Skacze do przodu, chwytą go za nadgarstek i jednym ruchem wykręca mu rękę na plecy.

Chłopak piszczy z bólu, ale Kelton nie zamierza na tym poprzestać. Unosi rękę chłopaka za jego plecami i okręca jego całe ciało w taki sposób, że moment obrotowy wykręca rękę pod absurdalnym kątem. Słyszemy głośny trzask.

Chłoptaş pada na podłogę, wyjąc z bólu, a Kelton zostaje z pistoletem w dłoni. Przez chwilę sprawia wrażenie równie zaskoczonego jak my. Jakby mówił sobie w myślach: „Jasny gwint, udało się!”. Chłopak wije się na podłodze, tymczasem zwycięzca ogląda pistolet.

– Kelton, powaliło cię czy co? – mówi Alyssa. – Mógł cię zastrzelić!

– Nie mógł – odpowiada Kelton. – To jest WG Panther, pistolet na kulki. Zwyczajna zabawka. Widzicie? Pomarańczowa końcówka została pomalowana na czarno flamastrem.

Wściekła, że dałam się nabrać na cholerny pistolet na kulki, najchętniej kopnęłabym chłopaka w brzuch. Zaraz potem przypominam sobie, że ma wybity bark. I dobrze mu tak.

Kelton przyklęka, żeby pomóc chłoptasiowi, ale ten sam gramoli się na nogi. Podpiera się sprawną ręką.

– Nie! Zabierzcie ode mnie tego psychopatę! – woła. To miło, że dla odmiany ktoś inny jest przy mnie wyzywany od psychopatów. Paradoks polega na tym, że dzieciak powinien podziękować Keltonowi, ponieważ gdyby ten go nie rozbroił, zrobiłabym to ja. A prawdziwe pistolety nie strzelają plastikowymi kulkami.

– Pozwól, żeby ci pomógł – radzi Alyssa. – On wie, co robi.

Z jakiegoś powodu chłopak jej słucha. Ludzie z jakichś tajemniczych powodów ufają Alyssie. Ja ufam jej tak samo jak kurczakowi kung pao w lodówce chłopaka mieszkającego w akademiku. Czyli na tyle, żeby nie wymiotować.

Kelton kładzie chłopaka na plecach i przytrzymuje jego rękę.

– Weź głęboki wdech i się nie ruszaj – mówi, zwiększając uścisk. – Gotowy? Raz... dwa... – Na trzy wstawia ramię z powrotem do stawu. Dzieciak krzyczy, ale nie tak głośno jak wcześniej, kiedy Kelton wybijał mu bark.

Zaraz potem siada i opiera się plecami o ścianę. Z czoła spływa mu pot.

– Lód! Przynieście mi trochę lodu, okej? – żąda, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

W pierwszej chwili nie rozumiem, o co mu chodzi. Lód? Chłopak ma w domu lód? Choć jeśli się nad tym chwilę zastanowić, to ma wiele rzeczy, których inni nie mają.

– Jest w kuchni – wyjaśnia. Najwyraźniej myli nasz szok z głupotą.

– Jasna sprawa, Roycroft – odpowiadam. Uśmiecham się złośliwie i daję głową znak Garrettowi, który idzie po lód.

Chłopak posyła mi gniewne spojrzenie; jest równie zdezorientowany co rozwścieczony.

– Czemu się dziwisz? – pytam. – Masz nazwisko wyhaftowane na kurtce.

– Ach, no tak.

– A skoro już przeszliśmy na ty...

– Ja nie znam twojego imienia.

– Nie, nie znasz. Ciekawa sprawa, co nie?

Rozglądam się i próbuję ocenić sytuację. Coś mi tu nie gra. Wszystkiego jest za dużo. Stosy laptopów, kilka Xboxów. Kto trzyma w domu kilka

Xboxów? Widzę też wiele pamiątek sportowych z autografami, a w głębi korytarza znajduje się coś w rodzaju akwarium z wielkim...

Odwracam szybko wzrok, żeby na niego nie spojrzeć.

WAŻ!

Biorę głęboki, uspokajający wdech. Lęk przed węzami to jedna z dwóch rzeczy, które łączą mnie z Indianą Jonesem, poza biegłością w posługiwaniu się batem. Ale o tym drugim możemy porozmawiać kiedy indziej.

Odwracam się do chłopaka, który zdążył usiąść na skórzanej sofie. Nadal trzyma się za ramię.

– Co to za rzeczy? – pytam.

Jakimś cudem udaje mu się uśmiechnąć z dumą, mimo żalosnego stanu, w którym się znajduje.

– Dobra, które zgromadziłem w całkowicie uczciwy sposób.

Alyssa zbliża się do niego.

– Czy można nazwać uczciwością to, że zabrałeś mojemu wujkowi samochód?

– Oczywiście – odpowiada chłopak, zdeglustowany podejrzeniem o jakąkolwiek nieprzyzwoitość swojego postępowania. – Mam całą dokumentację.

– Wykorzystałeś go!

– Cena wody poszła w górę – broni się. – To chyba nie moja wina, co nie?

Alyssa szybko zaciska pięść, jakby miała ochotę uszkodzić mu jeszcze jakąś inną część ciała. Dużo bym dała, żeby to zobaczyć.

– Sam się do mnie zgłosił. – Chłoptaś nadal jest urażony, że kwestionujemy jego uczciwość.

Kelton traci cierpliwość.

– Wasza woda jest zatruta. Po co gromadzić te wszystkie rzeczy, jeśli i tak zachorujesz, jak wszyscy inni?

– Nie piję kranówki. Mam własne źródło.

– Ty wcale nie wychodziłeś z domu, prawda? – domyśla się Kelton. – Nie widziałeś, co się tam dzieje?

Te ostatnie słowa na chwilę zbijają chłopaka z tropu. Kelton musiał utrafić w punkt: od początku Suchych Kranów mały książę żyje na swojej planecie.

– A tak w ogóle, dlaczego siedzisz tu sam? – pytam.

– Rodzice są na rejsie wycieczkowym. Zostawili mi pod opieką dom. Jestem pewien, że wróciliby tu, gdyby nie znajdowali się na środku Oceanu Atlantyckiego.

– Szczęściarze – mówię.

Garrett podaje chłopakowi niewielką torebkę lodu, a on przykłada ją do ramienia.

– Oglądałeś w ogóle wiadomości? – pyta Alyssa.

Chłopak kręci głową.

– Telewizor pobiera za dużo prądu z generatora.

Prowadzi nas do salonu, który przypomina raczej salę kinową z sześćdziesięciocalowym, rzekomo strasznie energochłonnym telewizorem. Kiedy wchodzimy, światła same przygasają. Kelton bierze pilota i odszukuje kanał z lokalnymi wiadomościami. Problem w tym, że na ekranie widać tylko kolorowe paski.

Kelton przełącza na inną stację.

Pusto.

Łudzę się, że problem leży po stronie dostawcy, a nie samych telewizji. Kelton przełącza na ogólnokrajowy kanał – CNN – i dopiero wtedy możemy zobaczyć, co się dzieje. Choć w sumie wolałabym chyba nie wiedzieć. Mimo że telewizja pokazuje to, co i tak już wiemy, to kiedy widzi się te sceny na wielkim ekranie o wysokiej rozdzielczości, czyni je to z jakiegoś powodu trudniejszymi do zniesienia.

Właśnie widać mapę południowej Kalifornii otoczoną kółkiem przypominającym drogę huraganu. RELACJA Z SUCHYCH KRANÓW W POŁUDNIOWEJ KALIFORNII głosi napis u dołu ekranu, zupełnie jakby to była transmisja z jakiegoś radosnego wydarzenia. Wielokrotnie śledziłam takie relacje jako widz, ale po raz pierwszy sama znajduję się w epicentrum katastrofy naturalnej.

Spoglądam na pozostałych i widzę, że są równie wstrząśnięci jak ja – nawet chłoptaş z dobrego domu.

– Nareszcie – mówi Alyssa. – Reszta świata w końcu zauważyła, co się u nas dzieje, i zaczęła traktować Suche Krany poważnie.

– Reszta świata jest spóźniona – stwierdza Kelton. I ma rację. Jak w przypadku katastrofy o takiej skali można było czekać niemal tydzień z uruchomieniem poważniejszych zasobów? Relacje migają na ekranie i zlewają się ze sobą. Mój mózg ledwo nadąża z przyswajaniem informacji.

Dziennikarka w helikopterze przelatuje nad centrum Los Angeles. Pokazuje zamieszki, przy których te z lat dziewięćdziesiątych przypominają kulturalne spotkania towarzyskie. Dziennikarz nadaje relację z obrzeży pogrążonego w chaosie Riverside. Wyraźnie boi się zapuścić głębiej w miasto. Grupka dzieciaków ze szkoły podstawowej na Florydzie urządza zbiórkę butelkowanej wody, zupełnie jakby miała szansę dotrzeć tu na czas i cokolwiek zmienić. Pracownicy FEMA – prawdziwi pracownicy, a nie wolontariusze – rozdają wodę w centrum ewakuacyjnym, ale ujęcie wykonane z większej odległości pokazuje tak duży tłum, że z pewnością nie starczy dla wszystkich. Gwiazdy rocka planują zorganizować koncert, z którego dochód zostanie przeznaczony na pomoc ofiarom. Celebryci promują różne organizacje charytatywne. Typowe poklepywanie się po plecach. Różnica polega na tym, że tym razem to my jesteśmy ofiarami. Nie siedzimy w wygodnym zaciszu swoich

domów, nie wysyłamy pięciu dolców z telefonu i nie gratulujemy sobie w myślach, jacy to jesteśmy hojni.

„Do wszystkich słuchających naszej transmisji i przebywających obecnie w południowej Kalifornii: zarządzono obowiązkową ewakuację – mówi Anderson Cooper. Obok wyświetlane jest nagranie żołnierzy, którzy pomagają rodzinom wsiadać na wielkie ciężarówki i rozdają wodę ludziom ustawionym w długich kolejkach. – Centra ewakuacyjne powstają na terenie całej południowej Kalifornii w szkołach, kościołach i centrach handlowych, wygląda jednak na to, że ogromna liczba ludzi nie chce się podporządkować zarządzeniom władz”.

– Przynajmniej centra handlowe znów się do czegoś przydadzą – zauważam.

Następne ujęcie pokazuje rzekę ludzi spływającą krętą górską drogą i znikającą pod koronami drzew.

„To rodziny, które zmierzają w stronę jezior Arrowhead i Big Bear, niemniej z doniesień z terenu wynika, że ludzie wkraczający na te zalesione tereny nie pojawiają się po drugiej stronie...”

Wszyscy słuchają w milczeniu. W końcu odwracam się do Keltona:

– Hej, specjalisto od schronów, skoro oni nie zdołali przejść przez ten las, dlaczego nam miałyby się udać?

– Jak już mówiłem, my udajemy się gdzie indziej.

I dobrze, ponieważ jeżeli ci wszyscy ludzie nie dotarli nad jeziora, mogli trafić tylko w jedno z dwóch miejsc. A z żadnego z nich się nie wraca.

21) Henry

Postępowanie z ludźmi irracjonalnymi wymaga skupienia, inteligencji i niesamowitej dyscypliny – osiągnięcia nieprzemijającego stanu prawdziwej równowagi emocjonalnej – o czym można przeczytać

w jednej z moich ulubionych książek, *Przekształcającej sile* Pearce'a Tidwella. Trzeba się nauczyć panowania nad emocjami, co otwiera drogę dla zaradności, a ona pozwala doprowadzić do pożądanego rozwiązania sytuacji. Trzeba postępować aktywnie, a nie reaktywnie.

Właśnie dlatego nie ulegam koszmarnemu, pulsującemu bólowi w prawym ramieniu, ale zaprzęgam go do własnych celów – wykorzystuję jako narzędzie do wyostrenia zmysłów. (Choć tak naprawdę ból jest straszny. Rany boskie, jak strasznie boli). Nie pozwolę, żeby mną zawładnął. Katusze, które obecnie cierpię, nie będą decydowały o tym, kim jestem. Z obecnego koszmarnego położenia uczynię trampolinę do lepszej rzeczywistości.

Wcześniej raczej unikałem oglądania wiadomości; pełno w nich zawsze manipulacji. Teraz muszę przyznać, że Suche Krany to tragedia, a próby niesienia pomocy należy uznać za skandaliczne. Widać wyraźnie, że najtrudniejsza sytuacja jest w miastach – zubożałych obszarach wypełnionych po brzegi ludźmi nieprzygotowanymi na rozpad więzi społecznych.

Tyle że nieszczęście zawsze rodzi możliwości. Pytanie zatem brzmi: jak wykorzystam tę sytuację na własną korzyść? Bo przecież nie można działać na rzecz jakiegoś nadrzędnego celu, jeżeli nie poukłada się najpierw swoich spraw.

Biorę pod uwagę wszystkie okoliczności. W moim interesie prawdopodobnie będzie wylecenie z gniazda, a nie dalsze wysiadywanie jaj. Z drugiej strony, jeżeli sprawy rzeczywiście zaszły tak daleko, moja woda musi być warta jeszcze więcej niż wcześniej. Dotychczasowe nabytki będą niczym w porównaniu z zasobami, które pozyskam w wyniku kolejnych transakcji. Cóż za ekscytująca perspektywa! Muszę jednak zachować spokój... Nie wolno okazywać nadmiernej radości z łupów. Dochodzę do wniosku, że w pierwszej kolejności należy

zinwentaryzować „płynne aktywa”, więc wstaję i ruszam w stronę gabinetu taty, gdzie znajduje się reszta ÁguaVivy.

– A ty dokąd się wybierasz, Roycroft? – mówi niby twarda dziewczyna z przyklepionym nieustająco do ust kpiącym uśmiechem. Mówię „niby twarda”, bo na pewno nie jest aż taką twardą sztuką, za jaką się uważa. Choć niewątpliwie brakuje jej też piątej klepki.

– Przynieść więcej lodu – odpowiadam.

Najwidoczniej kupują to wyjaśnienie, ponieważ żadne z nich za mną nie idzie. Wszyscy nadal stoją wgapieni w ekran telewizora. Podejrzewam, że w związku z kontuzją ramienia nie uważają mnie za specjalne zagrożenie. Robią poważny błąd. Dopóki będą mnie lekceważyć, przewaga pozostanie po mojej stronie.

Zamykam drzwi do gabinetu, żeby zapewnić sobie prywatność, i wyciągam ostatni karton ÁguaVivy, który zawiera dwie zgrzewki butelek. Rozcinam wieko i moim oczom ukazuje się nowa rysa na mojej obecnej sytuacji.

W życiu człowieka nieszczęścia zdarzają się co chwilę, ale trzeba się nauczyć traktować je jak okazje. Nieszczęścia takie, jak – dajmy na to – otworzenie kartonu, który miał zawierać czterdzieści osiem butelek wody, a okazuje się wypełniony folderami przeznaczonymi dla niezależnych, hierarchicznie powiązanych dystrybutorów ÁguaVivy.

W takich sytuacjach nie można tracić głowy.

Ani. Na. Chwilę.

Myślę o pozytywnym aspekcie tego koszmaru: nie muszę się już przynajmniej zmagać z dylematem, czy zostać, czy wyjechać. Nie mam specjalnego wyboru, trzeba opuścić dom. Zresztą niedługo i tak skończy się paliwo do prądnicy. Zgromadzone dobra mogą ukryć na strychu za pudłami z ozdobami świątecznymi. Oczywiście poza pytonem, ale takie stworzenie może wytrzymać nawet cztery tygodnie bez pożywienia, zresztą zapewne dobrze sobie radzi w upalnym klimacie. Być może lepiej

przenieść się w miejsce o wyższym poziomie bezpieczeństwa, a jeśli Dove Canyon rzeczywiście zamienił się w wylęgarnię bakterii, jak twierdzą moi nieproszeni goście, wszędzie będzie bezpieczniej niż tu.

W związku z tym przybycie moich gości należy uznać za szczęśliwe zrzęczenie losu.

Choć oczywiście wolałbym, żeby obyło się bez wyłamania barku.

Zaklejam możliwie dokładnie karton taśmą pakową. Owijam go wielokrotnie, aż staje się praktycznie niemożliwy do otwarcia. Właśnie wtedy jedno z nich wchodzi do gabinetu. To ta rozsądniejsza, mniej zgryźliwa dziewczyna. Ta, która rości sobie prawo do dawnego samochodu swojego wujka.

– Mówiłeś, że idziesz po lód.

– Skończył się – mówię przekonującym tonem. – Dlatego postanowiłem sprawdzić zapas wody.

Klepię dłonią w karton i wskazuję na wielkie logo ÁguaVivy.

Rozmowa na chwilę zamiera. Wiem dokładnie, co interesuje dziewczynę. Samochód. Nie wyjdą stąd, dopóki nie dostaną tego, na czym im zależy. Ich jest czworo – ja jeden. Nie ulega wątpliwości, że nie pokonam ich w starciu siłowym, zwłaszcza tego psychotycznego rudego pitbulla. Muszę po prostu potraktować samochód jako krótkoterminową stratę, ponieważ chwilowo znalazłem się w wyjątkowo niekorzystnej pozycji negocjacyjnej. Ona jednak tego nie wie, a w tej chwili rozmawiamy w cztery oczy. Stosuję zatem zagrywkę wyprzedzającą.

– Nie mieliśmy okazji się sobie przedstawić – mówię, podkreślając urok osobisty. – Mam na imię Henry. – Wyciągam lewą rękę, jako że ledwo mogę poruszać prawą.

Ona waha się, wciąż lekko sceptyczna. Trudno się dziwić.

– A ja Alyssa.

– Miło cię poznać, Alyso – uśmiecham się i chrząkam. – Wiesz, podoba mi się zawziętość, z jaką walczysz o dobro swoich przyjaciół i krewnych.

Dlatego rozumiem, że czujesz się uprawniona do odzyskania samochodu.

Ona krzyżuje ręce na piersiach, ale nadal słucha.

– Jestem zatem gotów ci go oddać. – Przerywam dla lepszego efektu. – Ale pod jednym warunkiem.

Unosi brew.

– Zabierzecie mnie ze sobą.

Rozważa propozycję, ale ja już widzę, że sprawy zaczynają ponownie przybierać korzystny dla mnie obrót. Przeczytałem kiedyś w *Skutecznym kierowniku* R.J. Shermana, że najlepszym sposobem na utrzymanie pracy w dzisiejszych czasach jest uczynienie z siebie człowieka niezastąpionego. A przynajmniej wzbudzenie w innych przekonania, że jesteście niezastąpieni. Ona namyśla się dalej, a kiedy wyczuwam, że nadszedł moment, kiedy jej emocje i rozsądek docierają na rozdroże, popycham ją delikatnie we właściwą stronę.

– Zabiorę ze sobą ten karton z ÁguaVivą – mówię z przymilnym uśmiechem.

– Moglibyśmy ci po prostu zabrać całą ÁguaVivę – zauważa Alyssa.

– Rzeczywiście... ale nie jesteście takimi ludźmi. Inni pewnie by to zrobili, ale nie wy.

Po jej spojrzeniu widzę, że nieuchronnie skłania się ku właściwej decyzji. Jeżeli mnie zabiorą, dostaną to, na czym im zależy, a ja zapewnię sobie możliwość przetrwania. Kolejne rozwiązanie win-win.

Niby twarda dziewczyna, która okazuje się mieć na imię Jacqui, upiera się, że będzie prowadzić. Jak sobie chce. Przynajmniej na razie. Kiedy ruszamy w dół ulicą, zaczynam dochodzić do wniosku, że nie doceniłem wpływu niedoboru wody na okolicę.

Zobaczyć w telewizji rozruchy na zatłoczonych terenach miejskich, i tak bardziej narażonych na wybuch niepokojów społecznych, to jedno, ale domy z wybitymi oknami w tak ekskluzywnej wspólnocie jak Dove Canyon to co innego. Nie dlatego, że ludzie zamożni są lepsi – natura

ludzka jest przecież uniwersalna – ale tam, gdzie przestrzeń osobista jest na wagę złota, napięcie sięga zenitu znacznie szybciej niż w miejscu, w którym okrzyk wojenny ma szansę usłyszeć tylko dziesięcioro sąsiadów, a nie setka. W związku z tym na przedmieściach i obszarach rezydencyjnych trudniej jest wytworzyć masę krytyczną potrzebną do zainicjowania zachowań o naprawdę przestępczym charakterze.

Choć może nie mam racji.

Im niżej zjeżdżamy, tym więcej dostrzegam świadectw zachowań przestępczych, które nie ograniczają się do wybitych szyb. Widzę roztrzaskane skrzynki na listy, samochody zaparkowane częściowo na trawnikach i różnego rodzaju graty, których normalnie nie spotyka się w takich odpicowanych wspólnotach jak nasza. Nie dlatego, że mieszkający tu ludzie nie są flejtuchami – nie mam wątpliwości, że wielu z nich jest – ale tak bardzo przejmują się wartością swoich nieruchomości, że woleliby skonać, niż dopuścić do sytuacji, w której odpadki cywilizacji skalają nieskazitelność krawężnika przed ich domem.

– Wolałabym nie zostawiać tu wujka – mówi Alyssa, która siedzi obok mnie na tylnym fotelu. Stanowi bufor między mną a psychotycznym rudzielcem. Wolałabym siedzieć z przodu, ale brat Alyssy zaklepał sobie to miejsce, a przecież gdybyśmy mieli zrezygnować z obyczaju zaklepywania miejsc w samochodach, pograżylibyśmy się w całkowitym bezprawiu.

– Wujek Pietruszka da sobie radę – mówi Jacqui. – A nawet gdyby miało być inaczej, nic na to nie poradzisz. Poprosiłaś, żeby zabrał się z nami, a on odmówił. Tyle w temacie.

Alyssa przyjmuje te argumenty, ale wciąż wygląda na niepokojoną.

– No cóż, ma jeszcze mnóstwo ÁguaVivy – zauważam. – Nawet jeśli przez niego przelatuje, z pewnością skorzysta na zawartych w niej elektrolitach. Z badań wynika, że chroniony patentem skład tej wody poprawia jakość życia.

– Świetnie, właśnie tego nam było trzeba – stwierdza Jacqui. – Reklamy z ładnymi włosami.

To się nazywa dwuznaczny komplement. Postanawiam jednak dostrzec jego pozytywną stronę, ponieważ takie już mam podejście.

– Wbrew pozorom ta informacja może komuś uratować życie – zauważam ponownie. – Podobnie jak ładne włosy w odpowiedniej sytuacji.

W samochodzie nadal jest upał. Klimatyzacja działa na full, odkąd wsiedliśmy, ale wewnątrz się nie ochładza. Jacqui też to zauważa, ponieważ zaczyna ruszać pokrętłami.

– Co z nią jest? – mówi.

– Aha, zapomniałam powiedzieć, że klimatyzacja nie działa – informuje wszystkich Alyssa. – Wujek powtarzał, że ją naprawi, ale nigdy się do tego nie zabrał.

Jacqui posyła jej gniewne spojrzenie.

– Mogłaś uprzedzić nas wcześniej.

Wszyscy opuszczamy okna, ale na zewnątrz jest równie gorąco jak w środku. Cyfrowy termometr na desce rozdzielczej pokazuje trzydzieści siedem stopni. Temperatura ciała wydaje się znacznie wyższa, kiedy znajduje się na zewnątrz ciała. Wujek Alyssy powinien był wspomnieć o niedziałającej klimatyzacji, kiedy dobijaliśmy targu. Z prawnego punktu widzenia należy ujawniać takie informacje.

Brat Alyssy odwraca się w moją stronę i pyta:

– W jakim sporcie zdobyłeś odznaki?

Wskazuję na naszywki na kurtce, która wydaje się coraz mniej odpowiednia do pogody, ale której nie zamierzam zdejmować.

– Ta jest za piłkę nożną – mówię, co wzbudza zainteresowanie Alyssy, choć widzę wyraźnie, że stara się tego po sobie nie pokazać. – A ta za lacrosse’a.

– Lacrosse – mówi Jacqui. – Jakoś mnie nie dziwi, że potrafisz się obchodzić z pałą.

Zostawiam tę uwagę bez komentarza.

Alyssa zwraca uwagę na kolejną naszywkę.

– Kapitan drużyny dyskusyjnej?

Wzruszam ramionami, jakby to była błahostka.

– Potrafię nieźle argumentować.

– A tatuaże na nadgarstku? – pyta brat Alyssy, wskazując na litery wystające spod rękawa. – Co oznaczają?

– To nie są tatuaże – wyjaśniam. – Zwykły tusz.

– Co tam jest napisane?

Podciągam trochę rękawy kurtki i próbuję unieść rękę, żeby mu je pokazać, ale ramię zaczyna pulsować. Wybity bark to prawdziwy dar. Mimo to udaje mi się unieść rękę na tyle wysoko, żeby mógł przeczytać słowa. Sylabizuje na głos:

– Po-žo-ga. Ru-dy-men-ty.

– Moje słówka dnia.

Alyssa spogląda na mnie z lekkim rozbawieniem.

– Uczysz się słownictwa z ręki?

– Słownictwo człowieka wymaga nieustannego nawożenia, w przeciwnym razie obumiera – odpowiadam, cytując Evelyną Waugh. Nie, żebym wiedział, kim był Evelyn Waugh, ale liczy się to, że znam źródło cytatu. – Zanim się zmyją, zdążę je zapamiętać.

– Znam kilka słów, które chętnie wypisałabym ci na ręce – stwierdza Jacqui.

Kiedy dojeżdżamy do bramy prowadzącej do naszej wspólnoty, widzę, że wzniesiono tam swego rodzaju barykadę – kolejna oznaka, jak daleko posunęły się sprawy. Musieli ją projektować prawdziwi geniusze, ponieważ jako zaporę prezentuje się załośnie. Przypomina konstrukcję,

którą mogłyby wznieść bobry, gdyby dysponowały przeciwstawnymi kciukami i dużą siłą ramion.

– Zapomniałam o tym – mówi Jacqui.

– Może udałoby się przez nią po prostu przejechać? – sugeruje psychorudzielec. – To auto ma dość wysokie zawieszenie.

– Po co ryzykować, że uszkodzimy samochód jej wujka? – mówię. – Wsiądźmy i rozbierzmy barykadę.

To jedyne rozsądne rozwiązanie, a ponieważ zaproponowałem je jako pierwszy, przysuwam się odrobinę bliżej pozycji lidera.

Wysiadamy wszyscy i oczyszczamy drogę do bramy. Nie wykazuję się taką sprawnością, jakbym chciał. Jacqui zwraca na to uwagę.

– Co jest, Roycroft? Praca fizyczna jest poniżej twojej godności?

– Zostaw go w spokoju – mówi Garrett. – Ma zwichniętą rękę.

Wyszczierzam zęby do Jacqui i wzruszam sprawnym ramieniem.

Po oczyszczeniu drogi wracamy do samochodu. Siadam z powrotem koło Alyssy. Na tylnym fotelu panuje lekki ścisk, ale, prawdę mówiąc, nie przeszkadza mi to.

– Patrzcie tylko – mówię, kiedy wyjeżdżamy na zewnątrz. – Ktoś porzucił bmw na poboczu drogi.

– No, co za idioci – stwierdza Jacqui.

Po wyjeździe z Dove Canyon poświęcam dłuższą chwilę na dokonanie pogłębionej charakterystyki towarzyszy podróży.

Alyssa wydaje się kierować grupą, mimo że tę funkcję chciałaby pełnić Jacqui. Jeżeli chodzi o młodszego brata Alyssy, który wstawił się za mną przy bramie, to podejrzewam, że mam go już po swojej stronie. Zostaje szalenciec. Jego najchętniej bym się pozbył. Znam ten typ. Pełen gniewu. Skłonności sadystyczne. Pewnie rzucił szkołę i znajduje się na prostej drodze, żeby spędzić resztę życia jako kryminalista. Na przykład dilując narkotykami. Tak. To jeden z tych gości, którzy dla przyjemności są gotowi skopać harcerza.

Nie będę próbował zdobyć jego zaufania. Na razie skupię się na Jacqui i spróbuję ją rozszyfrować. Wiele osób uznałoby ją za Latynoskę z powodu koloru skóry, ale intonacja i język ciała wskazują na co innego. Oczy i kształt brwi sugerują pochodzenie europejskie.

Spogląda we wsteczne lustro i przyłapuje mnie na tym, że jej się przyglądam, więc postanawiam tego nie ukrywać.

– Jesteś z pochodzenia Włoszką? – pytam, strzelając w ciemno.

– Greczynką – odpowiada. – Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego miałoby cię to obchodzić.

– W takim razie jesteś pochodzenia greko-romańskiego – mówię. – Aż tak bardzo się nie pomyliłem. – Po czym dodaję: – Masz klasyczną urodę. Gdyby Wenus z Milo miała ręce, wyglądałaby tak jak ty.

– Gdyby Wenus z Milo miała ręce, dałaby ci w pysk – odpowiada.

– A my? – pyta brat Alyssy.

– Garrett, nawet nie próbuj – mówi jego siostra. – Nikomu nie udaje się zgadnąć.

Ale Garrett nadal chce mnie wypróbować. Wkraczam na grząski grunt, bo – zważywszy na charakter naszego społeczeństwa – jeżeli się pomylę, mogę ich łatwo obrazić.

– Powiedziałbym, że wasza rodzina ma korzenie na wielu kontynentach.

Alyssa jest pod wrażeniem.

– To... do pewnego stopnia prawda.

Garrett wtrąca się z pełnym wyjaśnieniem:

– Jesteśmy w jednej czwartej Holendrami, w jednej czwartej Frankokanadyjczykami, w jednej czwartej Jamajczykami i w jednej czwartej Ukraińcami.

– Cóż za piękna mieszanka! – mówię. – Mój tata powiedziałby, że mieszanka o wyrazistym smaku. – Tak naprawdę ojciec nazwałby ich „kundlami”, ale on czasami zachowuje się jak buc. Od tego drzewa

chciałbym paść możliwie najdalej. – Zresztą to znacznie bogatsza genealogia od waszego Wikinga.

– Nie jesteśmy Skandynawami – prycha Kelton. – Mamy pochodzenie szkocko-angielskie. Jeden z moich przodków przybył z pierwszymi kolonistami na statku Mayflower.

– Naprawdę? – mówię. – Jako szczur czy karaluch?

Mogę to powiedzieć bez obawy, ponieważ rozdziela nas Alyssa. Choć kto wie, czy nie zapłacę za to później. Ale teraz wzbudzam śmiech Garretta, a kiedy on się śmieje, śmieje się też Alyssa, więc warto było zaryzykować. Jeśli pominąć pana Mayflowera, zaczynam się czuć swobodnie wśród członków tej grupki. Mówi się, że wspólne intensywne doznania przeradzają się czasami w przyjaźnie. Myślę, że mamy na to duże szanse.

– A ty? – pyta Alyssa.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam. – Jestem adoptowany.

Im dłużej jedziemy, tym bardziej podupadam na duchu na widok całego spustoszenia. Sytuacja wydaje się wszędzie równie beznadziejna jak w mojej wspólnotce. „Ale tu przynajmniej ludzie nie zapadli na czerwonkę”, myślę. Choć jeśli „niezapadnięcie na czerwonkę” miałyby być wyznacznikiem sukcesu, to sprawy wyglądają naprawdę kiepsko.

W trudnych czasach morale jest najważniejsze – tylko ono może zapobiec przekształceniu się stresu w toksyczne uczucie – ale morale nie rodzi się samo z siebie. Początek dają mu liderzy; to z nich spływa ono na niższe poziomy. Za swój obowiązek uważam zatem ignorowanie pustki na ulicach, niedziałających świateł i sporadycznych grupek umarłaków. Takie widoki mogą wstrząsnąć człowiekiem do głębi. A gdyby moje decyzje miały odzwierciedlać tę rozpaczliwą sytuację, to jaką nadzieję moglibyśmy mieć na to, że kiedykolwiek zmieni się ona na lepsze? Uświadamiam sobie, że ta grupa potrzebuje kogoś więcej niż

kompetentnego lidera. Potrzebuje bohatera. Postanawiam zrobić, co w mojej mocy, żeby sprostać temu zadaniu.

Migawka 1/2: CH-47 Chinook

Alyce Marasco nie jest nowicjuską w powietrzu, ale nigdy wcześniej nie latała helikopterem jako osoba niosąca pierwszą pomoc. Kiedy jednak wprowadzono stan wyjątkowy i postawiono na nogi gwardię narodową, Alyce otrzymała zadanie dostarczania wody pitnej do centrów ewakuacyjnych.

Podobnie jak wszyscy inni, dość późno zdała sobie sprawę z tego, że obecny kryzys jest z ludzkiego punktu widzenia równie poważny jak największe katastrofy naturalne: ze względu na ogromną liczbę poszkodowanych oraz rozpaczliwą sytuację, w której się znaleźli. Owszem, ostrzegano, że może do tego dojść – tak naprawdę ostrzegano od lat – ale apele władz publicznych o oszczędzanie wody to zupełnie coś innego niż stan jej całkowitego braku. Nikogo nie ostrzeżono, że woda zwyczajnie... Przestanie. Płynąć.

Alyce często odwiedza cierpiącego na demencję wujka, który mieszka w domu opieki w Tustin – miasteczku położonym dokładnie pośrodku obszaru dotkniętego brakiem wody. A ponieważ nie udało jej się potwierdzić, że wujek został bezpiecznie ewakuowany, zbacza nieco z kursu i leci w kierunku domu opieki. Mimo że z tej wysokości i tak niewiele zobaczy, chce się choć trochę rozeznać w sytuacji; rzut oka z powietrza może ją przynajmniej częściowo uspokoić. Przebiega wzrokiem po przesuwających się pod nią ulicach. Nie wie nawet dokładnie, czego wypatrywać. Przypomina sobie informacje, że w czasie katastrof naturalnych domy spokojnej starości należą do najbardziej poszkodowanych instytucji. Nie dysponują takimi zasobami jak szpitale, nie są też traktowane w równie priorytetowy sposób. Często cierpią na niedobór pracowników, więc skoro słabo sobie radzą na co dzień, to co dopiero w sytuacji kryzysowej.

Na Facebooku powstały specjalne strony dla dziesiątek dzielnic. Ludzie zaczęli rejestrować się jako ewakuowani i mający dostęp do wody (te dwie rzeczy niekoniecznie idą ze sobą w parze). Strony te stały się najdokładniejszymi rejestrami uchodźców. Alyce szuka na nich znajomych, ale nie natknęła się jak dotąd na żadnego – a zwłaszcza na wujka, dla którego media społecznościowe to czytanie gazety w zatłoczonym pokoju.

Okolica, w której mieszka wujek, wygląda podobnie do innych. Życie zamarło, jeśli pominąć zatłoczone, przepiętne centra ewakuacyjne, rozmieszczone co dziesięć kilometrów. Z góry wyglądają jak mrowiska. Z kolei opustoszałe tereny wydają się sztuczne, przypominają makiety z plastikowymi drzewami albo filcowe modele architektoniczne.

Alyce nie ma czasu, żeby szukać konkretnych budynków, ale nawet gdyby to było możliwe, to co takiego mogłaby zrobić? Kiedy drugi pilot zwraca uwagę, że zboczyli nieco z kursu, koryguje współrzędne i daje za wygraną.

Przed nimi znajduje się jedna z tych tętniących życiem stref aktywności. Tysiące ludzi gromadzą się na parkingu centrum handlowego. Z tej wysokości wygląda to jak Coachella albo inny duży festiwal muzyczny, co jest o tyle przykrym skojarzeniem, że rozrywka to ostatnie, czego ci ludzie teraz potrzebują.

Na parkingu utworzono duże koliste lądowisko. Ludzie cofnęli się, żeby miała gdzie wylądować. Prowizoryczny heliport dla dostawy życiodajnej wody.

Ale Alyce nie może im w żaden sposób pomóc.

Leci w inne miejsce.

To nie jest nawet oficjalne centrum ewakuacyjne.

Wtedy właśnie czuje przyptyw silnych emocji, wewnętrzną turbulencję, która wstrząsa nią do głębi. Zaczyna liczyć w głowie. Powstało mniej więcej dwieście centrów ewakuacyjnych. Nawet gdyby zgromadziła się w nich tylko połowa populacji, daje to niemal dwanaście milionów ludzi czekających na wodę. W przeliczeniu sześćdziesiąt tysięcy osób na każde centrum. Tymczasem

helikoptery oddelegowane do rozwożenia wody mogą dostarczyć ją tylko dla około sześciu tysięcy osób dziennie na jedno centrum.

Co oznacza, że dziewięć na dziesięć osób nie dostanie dziś wody.

A mówimy tu przecież wyłącznie o oficjalnych centrach.

Łzy zaczynają jej przesłaniać pole widzenia, ale szybko je ociera. Nawet jeśli woda w jej helikopterze jest tylko kroplą w morzu potrzeb, dla kogoś będzie zbawieniem. A inni? Im Alyce nie może pomóc.

Przelatuje więc nad zatłoczonym parkingiem, odmawiając w myślach modlitwę za dusze ludzi poniżej.

Migawka 2/2: Cel

Sześć.

Tyle helikopterów przeleciało nad głową Hali, odkąd przyjechała wczoraj na parking pod supermarketem. Wszyscy mówią, że wojskowe helikoptery rozwożą wodę. Wylądują tu i uratują wszystkich. Dlatego „zarządcy” pilnują, żeby zostawiać na ziemi miejsce dla helikopterów. Dlatego każda rodzina oddelegowała kogoś do stania w długiej, wijącej się kolejce – na wypadek gdyby rzeczywiście pojawiło się coś, do czego można ustawić się w kolejce.

Na północy narasta warkot kolejnego helikoptera. Wszyscy zadzierają głowy z wyczekiwaniem. Dźwięk się wzmaga i cień maszyny przebiega przez parking. Ten przeleciał najbliżej ze wszystkich. Odgłos silnika cichnie, w miarę jak helikopter odlatuje na południe. To daje siedem.

– Nie mamy co liczyć na wojskowe transporty – powtarza od jakiegoś czasu stojąca obok niej kobieta. Trudno określić, czy mówi do kogoś czy do siebie. – Ale inne helikoptery lądują w nieoficjalnych punktach zrzutu. – Dla uspokojenia zapala papierosa. – Zresztą tych niewojskowych jest więcej.

„Niby gdzie? – zapytałaby ją chętnie Hali. – O jakich helikopterach pani mówi?” Z pewnością nie o tych dużych, zdolnych do transportowania wody. Większość małych maszyn jest w stanie zabrać kilku pasażerów, tymczasem

woda jest ciężka. Czy ta kobieta naprawdę sądzi, że firma oferująca normalnie przeloty dla turystów przyśle im teraz wodę?

Hali wraca do matki, która trzyma miejsce w kolejce. Znakomite, bo trzydzieste. Ma składane krzesetko. Tak dobre miejsce w kolejce zawdzięcza nie temu, że przyjechała wcześniej, ale ponieważ wypatrzyła znajomą i zaoferowała, że postoi za nią, żeby tamta mogła pójść do ubikacji. Znajoma później opuściła parking w nadziei na znalezienie ośrodka dającego większą szansę na zdobycie wody, a mama Hali odziedziczyła po niej miejsce. Cała mama. Zawsze znajduje sposób, żeby dostać to, czego chce.

– Dranie – mruczy teraz pod nosem, kiedy Hali siada obok niej na ziemi. Nie precyzuje, o kogo chodzi. To oczywiste. Chodzi o drani w helikopterach, które przelatują nad nimi, i o wszystkich innych, którzy ignorują ich parking. Bogów wody, którzy rzucają kośćmi, żeby sprawdzić, w które miejsce ją wystać.

– Następny wylądował u nas – mówi Hali.

Mama posyła jej słaby uśmiech. Obie wiedzą, że to myślenie życzeniowe, graniczące z karmieniem się złudzeniami, ale w tej chwili tylko to im pozostaje. Nie mają wyboru. Woda MUSI do nich dotrzeć, ponieważ one nigdzie się nie wybierają. Mama NIE zrezygnuje ze swojego miejsca w kolejce.

Wodę miały przez pierwsze dwa dni Suchych Kranów. Mama wyszarpała w Costco zgrzewkę z rąk jednej z koleżanek Hali z drużyny piłkarskiej. „Nie śpij, bo cię okradną – wyjaśniła, kiedy stanęły w kolejce do kasy. – Potraktuj to jako lekcję życiową”.

Ale mama najwyraźniej przegapiła kilka innych lekcji. Na przykład: „Nie myj włosów, kiedy została ci tylko woda w butelkach”. Albo: „Zrezygnuj z porannego joggingu, kiedy pot jest twoim wrogiem”. I najbardziej oczywistą ze wszystkich: „Trudno, kwiaty muszą uschnąć”.

Zgrzewka starczyła im tylko na dwa dni.

Na ulicy, tuż przy parkingu, zatrzymuje się mały czerwony bus marki Volkswagen. Z gatunku tych, jakie można zobaczyć na Woodstock. Minivan zbudowany w czasach, kiedy nie było jeszcze minivanów. Zajeżdżał tu też wczoraj. Dwukrotnie. Dziś wysiadają z niego trzy dziewczyny w jej wieku, może trochę starsze. Nie widzi kierowcy, ale wie, że to mężczyzna. Tak podpowiada jej instynkt.

– Hali, złociutka – mówi mama, osłaniając oczy przed słońcem – poszłabyś do cienia, gdzie jest chłodniej, tam pod ścianą budynku. Postuchałabyś, co mówią ludzie, może zdobędziesz jakieś informacje.

– Ludzie mówią bezsensowne rzeczy – zauważa Hali.

– Zazwyczaj, ale od czasu do czasu ktoś powie coś wartego posłuchania.

Hali nie cierpi zostawiać matki na skwarze, ale dostała zadanie, więc odchodzi, myśląc o wszystkim, co przeszły przez ostatnie dwa dni, żeby znaleźć się w tym miejscu.

Zanim jeszcze opuścili dom, mama poszła poflirtować z panem Weidnerem, sąsiadem, który rok temu się rozwiódł. Prawdę mówiąc, mama zawsze z nim flirtowała, ale kiedy zorientowała się, że pan Weidner ma zapas wody, zaczęła flirtować z nim trochę bardziej. On przyjął ją uprzejmie, a choć sam nie miał ochoty na zaloty, dał im butelkę wody.

– Misja wykonana – oświadczyła matka, kiedy wrócili do domu, choć gdy mówiła te słowa, nie potrafiła spojrzeć Hali w oczy.

Następnego ranka Hali postanowiła skorzystać z survivalowych rad mamy i poszła pouczyć gry w piłkę obleśnego chłopaczka z naprzeciwka. Nie zносиła go, ale mówiono, że jego rodzina ma trochę wody. Na koniec chłopak dał jej papierowy kubek wypełniony życiodajnym płynem. Hali zapewne wypociła więcej, grając z tym szczeniakiem, ale było to lepsze niż nic. Zaniosiła połowę kubka mamie, ale ta odmówiła i powiedziała, że Hali ma wypić wszystko.

Teraz, kiedy bezradnie czekają na pomoc, przypomina jej się głupawa mądrość:

„Trzeba zrobić coś, czego się nigdy nie robiło, żeby zdobyć coś, czego się nigdy nie miało”.

Ustyszała ją kiedyś od swojego trenera piłki nożnej. Mimo że ta myśl była tandetna, utkwiała jej w głowie. Hali dochodzi do wniosku, że odnosi się to nie tylko do rzeczy, których się nigdy nie miało, ale również do tych, które się utraciło. Do rzeczy, których się desperacko potrzebuje.

Po zaciemnionej stronie supermarketu Hali spotyka znajomą, Sydney, która słynie z tego, że dużo gada, ale nie ma absolutnie nic do powiedzenia.

– To jakieś wariactwo! – mówi Sydney. – Normalnie, co tu się wyprawia, co nie? Dajcie spokój! Ale pewnie nie może być inaczej.

– Święte słowa. – To najlepsza odpowiedź, jakiej można udzielić w rozmowie z kimś takim.

Sydney nachyla się i mówi:

– Zdradzić ci sekret?

Ukradkiem otwiera kieszeń plecaka i odstania znajdującą się tam małą butelkę. Na jej widok Hali zapiera dech w piersiach. Sydney staje się nagle jej najlepszą przyjaciółką.

– Spoko, dam ci łyka – szepcze.

Idą za jakiś krzak, gdzie Sydney wyciąga butelkę w taki sposób, żeby nikt inny nie mógł jej zobaczyć – jakby robiła coś nielegalnego – i daje łyka Hali. Łyk zamienia się w haust i Sydney musi wyrwać butelkę. Nie jest zła ani nic takiego. Musi wiedzieć, jak trudno przestać pić, kiedy już się zaczęło.

– Skąd ją wzięłaś? – pyta Hali. – Nie miałaś jej, kiedy cię wczoraj widziałam.

Sydney przechyla głowę na bok, a kiedy Hali się odwraca, widzi, że Sydney wskazuje na czerwony bus. Kierowca stoi oparty o pojazd i pali papierosa. Ma koło trzydziestki. Kucyk. Wydatne bokobrody. Poszarpane džinsy, choć raczej nie z wyboru.

– Rozdaje wodę za darmo – wyjaśnia Sydney. – Ale jest trochę wybredny. No bo przecież nie może dać czegoś tak cennego wszystkim, prawda?

Sydney zaczyna nerwowo chichotać, czym zdradza brutalny fakt, że nie ma czegoś takiego jak darmowa woda. Hali orientuje się, dlaczego nie widziała wcześniej Sydney. Jej koleżanka była jedną z trzech dziewczyn, które wysiadły z czerwonego minivana.

– Nie jest wredny ani nic takiego – tłumaczy Sydney. – Dał mi nawet drugą butelkę dla rodziny...

Hali widzi, jak jakaś nieznana jej ładna dziewczyna wsiada do busa. Chłopak z kucykiem przytrzymuje jej drzwi. Udaje, że jest dżentelmenem, a nie gnidą.

Hali odwraca się do Sydney.

– Dzięki, ale nie – mówi i próbuje oddalić się ze stosownym oburzeniem, ale Sydney chwyta ją za rękę.

– Nie bądź głupia, Hali. Nie dotarło jeszcze do ciebie, że nikt nie przyjedzie uratować tych ludzi? Pewnie wszyscy umrą z pragnienia. Nie chcesz chyba skończyć jak oni?

Ale Hali wciąż nie potrafi uwierzyć w to wszystko. Takie rzeczy zwyczajnie się nie zdarzają. Sydney nadal nie pozwala jej odejść. Wygląda teraz na zdesperowaną.

– Dlaczego miałoby cię obchodzić, co zrobię? – wypala Hali. – Masz swoją wodę, więc zostaw mnie w spokoju, dobra?

Sydney w końcu mówi, o co naprawdę jej chodzi:

– Powiedział mi, że dostanę kolejną butelkę, jeśli przyprowadzę mu kogoś. Kogoś takiego jak ty.

Hali wyrывa się i ucieka, nie oglądając się za siebie.

Zanim zdąży wrócić do matki, w górze rozlega się warkot. Helikopter! Ten jest głośniejszy – przelatuje znacznie bliżej niż którykolwiek z pozostałych! Wszyscy wstają i pełni nadziei spoglądają w niebo niczym tłum wyczekujący powtórnego przyjścia Chrystusa.

Helikopter pojawia się nad koronami drzew. Nie jest duży. To jedna z tych cywilnych maszyn, o który których gadała tamta kobieta. Okrąża parking.

Potem robi to drugi raz. Przy trzecim kółku Hali orientuje się, że jest to helikopter stacji telewizyjnej. Przyleciał pokazać światu tragedię i prawdziwe znaczenie desperacji. Hali zastanawia się, czy ekipa telewizyjna siedząca w helikopterze ma w ogóle świadomość, że samą swoją obecnością rozwiata nadzieję wszystkich ludzi tu na ziemi.

Po zakreśleniu kolejnego kółka helikopter odlatuje. Ludzie nadal stoją, jakby nie wierzyli, że zniknął. Dopóki stoją, może jeszcze wróci. Może wróci. Może wróci.

– Dranie! – mówi matka.

Hali spogląda na nią. Spogląda w stronę ulicy. Spogląda ponownie na matkę.

„Trzeba zrobić coś, czego się nigdy nie robiło, żeby zdobyć coś, czego się nigdy nie miało”, myśli. „Albo czego może się już nigdy więcej nie mieć”.

– Niedługo wrócę – mówi. – Obiecuję.

Potem idzie w kierunku małego czerwonego busa marki Volkswagen, gdzie mężczyzna z kucykiem otwiera przed nią drzwi. Jak dżentelmen.

22) Henry

Tajemnicą udanej współpracy w grupie jest dynamiczny, reagujący na bieżąco lider, a kluczem do bycia dobrym liderem jest wyostrzony zmysł obserwacji i umiejętność stosowania subtelnych działań manipulacyjnych – tak subtelnych, że nikt nie zdaje sobie sprawy, że jest manipulowany. Jak się nad tym zastanowić, jest to również klucz do skutecznego rządzenia.

W czasie jazdy milczę, co jest sprzeczne z moją naturą, ale w chwili obecnej konieczne. Obserwuję. Słucham. Gromadzę informacje.

– No więc mamy twojego czterokołowca – mówi Jacqui, po czym odwraca głowę w stronę psychorudzielca, który siedzi obok niej. – Dokąd mam jechać?

– Jak mówiłem, do Angeles National Forest – odpowiada Kelton.

– No. Więc. Jak. Tam. Do. Je. Dzie. My? – pyta Jacqui protekcjonalnym tonem, w którym pobrzmiwa nieokreślona, choć niesłabnąca groźba.

– Nie jestem pewien. W schronie byłem tylko dwa razy. Potrafiłbym wskazać dokładnie lokalizację na mapie.

Alyssa instynktownie sięga po telefon, ale kiedy próbuje otworzyć apkę, pojawia się informacja o błędzie.

– Cholera – mówi. – Mapy nie działają.

– To użyj Waze – podpowiada Garrett.

Choć chętnie bym się roześmiał, co zresztą robi Jacqui, wyjaśniam uprzejmie:

– Myślę, że twoja siostra miała na myśli to, że nie ma internetu. Może jednak w samochodzie znajduje się prawdziwa mapa. Trudno w to uwierzyć, ale niektórzy nadal ich używają.

– Racja – mówi Alyssa – a nasz wujek może być jedną z takich osób.

Uśmiecham się. Punkt dla mnie.

W schowku na rękawiczki znajdują się tylko dowód rejestracyjny, papierki po gumach do żucia i wałek do kłaczek. Z kieszeni na drzwiach wyciągamy pustą puszkę po Red Bullu, ciekący długopis i więcej papierków po gumie do żucia. Kelton zagląda do środkowego schowka między przednimi fotelami. Nie znajduje mapy, ale wydobywa stamtąd podejrzanie wyglądającą torebkę strunową wielkości dłoni.

– Co u... – Rzuca ją w stronę Alyssy, jakby się oparzył.

Ona ogląda jej zawartość. Nie ma wątpliwości: torebka zawiera marihuanę. Alyssa odwraca się do brata i oboje mówią chórem:

– Wujek Trawka.

– No proszę – odzywa się Jacqui – może i umieramy z pragnienia, ale teraz przynajmniej nie będziemy się tym nic a nic przejmować.

Na wzmiankę o pragnieniu Garrett otwiera menażkę. Okazuje się całkowicie pusta.

– Las znajduje się na północ od Pasadeny, prawda? – mówię. – Moglibyśmy dojechać dwieście czterdziestką jedyneką do dziewięćdziesiątki jedynki, a potem pięćdziesiątką siódemką do dwieście dziesiątki. Znaleźlibyśmy się blisko celu.

– Niewykonalne – mówi Jacqui. – Autostrady są zatkane. W obu kierunkach. Wszystkie.

– Istnieją inne sposoby dojechania na miejsce – mówi Kelton. – Nietradycyjne drogi... ale do tego potrzebowałbym mapy.

Nagle na niskiej wysokości przelatuje nad nami z rykiem helikopter. Mijamy wojskową ciężarówkę zmierzającą w przeciwnym kierunku, ale poza tym na drodze spotykamy bardzo niewiele samochodów. W pewnym momencie natykamy się jednak na blokadę – również wojskową. Żołnierze w strojach maskujących wskazują, żebyśmy skręcili w lewo, i krzyczą:

– To jest droga przeznaczona do celów oficjalnych! Skręcać w lewo! Znaki doprowadzą was do centrum ewakuacyjnego!

– Nie słuchaj ich – mówi Kelton. – Centrum ewakuacyjne to ostatnie miejsce, w którym chcielibyśmy się teraz znaleźć.

– To co, twoim zdaniem, mam zrobić? – pyta Jacqui. – Staranować zapórę? Widzisz, jakie wielkie trzymają karabiny?

– Skręć w lewo – mówię, ubiegając Alysę. – Róbnmy to, co każą, dopóki nie znajdziemy sposobu na objechanie blokady.

A choć Jacqui wyraźnie nie chce słuchać moich rozkazów, tym razem nie ma wyboru. Jedynym rozsądnym wyborem jest zastosowanie się do mojej sugestii, co tylko umacnia moje łagodne przywództwo.

– Zgadzam się – mówi Alyssa. Punkt dla mnie.

Skręcamy w lewo w El Toro Road. Widzimy więcej samochodów, mijamy też kolejne blokady. Wygląda na to, że wszyscy cywile są kierowani właśnie tu.

– Powinniśmy jechać w przeciwnym kierunku – zauważa Kelton.

– Nie ma powodów do obaw – zwracam się do niego tonem starszego brata. – Czasami trzeba wykonać jeden krok do tyłu, żeby później zrobić dwa do przodu.

– Gdzie wyczytałeś tę mądrość, Roycroft? Na plakacie w gabinecie psychologa szkolnego? – pyta Jacqui. – Co powiesz na taką: „Czasami w życiu masz zwyczajnie przerąbane”.

– Dobra, może byście trochę spuścili z tonu? – mówi Alyssa. – W niczym nam to nie pomaga.

To idealny wstęp do tego, co zamierzam powiedzieć w następnej kolejności.

– Nic się nie stało, Alysso – mówię, wykazując się niezmiernymi pokładami zrozumienia. – Jacqui jest po prostu zestresowana i wystraszona. I w ten sposób sobie z tym radzi.

– Jak śmiesz mnie analizować – warczy Jacqui, czym tylko potwierdza to, co powiedziałem.

Alyssa zerka w moją stronę, a ja uśmiecham się lekko i wzruszam ramionami. Ona odpowiada wyrazami współczucia w formie uniesienia brwi – to zaledwie jeden krok od przyjaznego uśmiechu. Sprawy przybierają doprawdy korzystny obrót! Przyznaję, że Alyssa nadal przewodzi grupie, ale zaczyna postrzegać naszą dwójkę jako zespół liderów. Co jest ogromnym krokiem prowadzącym do nowego trwałego układu. Kiedy zacznę polegać na moim zdaniu, będę wiedział, że wskoczyłem na wirtualny fotel kierowcy – niezależnie od tego, kto faktycznie siedzi za kierownicą.

Na drodze towarzyszy nam coraz więcej samochodów; wszyscy są kierowani w jedną stronę. Zaczynam sobie uświadamiać, że trafiliśmy do leja, który prowadzi prosto do szkoły średniej w El Toro, gdzie powstało oficjalne centrum ewakuacyjne. Chyba nigdy nie widziałem tylu ludzi w jednym miejscu. Tłum na parkingu, tłum na kortach do tenisa i boiskach do koszykówki – poza dwoma, które przeznaczono na

lądowisko dla helikopterów. Stoi tam wojskowa maszyna, którą widzieliśmy wcześniej; trwa wyładunek wody za kordonem uzbrojonych żołnierzy.

Stojący przed nami żołnierz wskazuje, żebyśmy zaparkowali z boku drogi przy innych samochodach.

– Nie możemy dopuścić do tego, żeby zagonili nas tam jak owce – mówi Kelton. – Od tego się wszystko zaczyna. To początek końca.

– Mroczna wizja – zauważa Jacqui, a w jej ustach ma to specjalny wydźwięk.

Kelton nie ustępuje.

– Musimy im powiedzieć, że się zgubiliśmy. Potem zawrócimy, zanim będzie za późno.

Żołnierz stuka w okno Jacqui, która nie ma wyboru i musi je otworzyć.

– Zostawcie tu samochód – mówi mężczyzna. – A potem idźcie za tamtymi ludźmi.

– Trafiliśmy tu przez przypadek – tłumaczy Jacqui zgodnie z zaleceniem Keltona.

– Tak – dodaje Kelton. – Mamy dostać się w inne miejsce.

Żołnierz nie wygląda na przekonanego.

– To dlaczego już was tam nie ma?

Wtedy właśnie odzywa się Garrett. Robi przy tym maślane oczęta:

– Moja babcia! Proszę, musimy dostać się do babci! Ona na nas czeka!

Dzieciak jest sprytny, bez dwóch zdań.

Zresztą zaraz dodaje: „Nie chciała zostawić swoich psów”, co jest idealnym dopełnieniem tej historyjki. Chłopak ma zadatki na polityka. Sam dałbym się omamić i bym na niego zagłosował.

– Podajcie mi jej adres – mówi żołnierz – to po nią kogoś wyślemy.

Garrett traci język w gębie, a zanim którekolwiek z nas ma okazję powiedzieć coś, co podtrzymałoby wymyśloną przez niego historyjkę, żołnierz nachyla się, spogląda na Garretta i mówi:

– Wyjaśnisz mi, co to jest?

Wszyscy spoglądamy na torebkę z trawką, która spoczywa na kolanach brata Alyssy.

– O cholera – mówi Garrett. Kończy w ten sposób obiecującą karierę publiczną.

Pozostali zaczynają gadać jedno przez drugie, ale tylko pogarszają sytuację.

– To nie jest tak, jak pan myśli! – mówi Alyssa.

– Znaleźliśmy to w samochodzie! – woła Kelton.

– To tylko oregano – przekonuje Jacqui.

Chyba nigdy nie widziałem, żeby ktoś wykopał pod sobą tak głęboki dołek.

– Dobra, wysiadać z samochodu! – mówi mężczyzna rozkazującym, wojskowym tonem. – POWIEDZIAŁEM, WYSIADAĆ! JUŻ!

Wyłazimy zatem z samochodu, bo trudno coś poradzić, gdy się zostanie przyłapanym na gorącym uczynku. Zresztą obowiązuje stan wyjątkowy, a mądrość życiowa Jacqui nagle wiernie zaczyna opisywać rzeczywistość. Mamy totalnie przerąbane, a ja nie wiem, jak moglibyśmy się z tego wykaraskać.

Żołnierz zabiera Jacqui kluczyki i w ten sposób tracimy cztery kółka.

– Odwrócić się! – rozkazuje, unosząc karabin. – Ręce w górę i na samochód.

Próbuję wykonać polecenie, ale krzywię się z bólu.

– POWIEDZIAŁEM, RĘCE W GÓRĘ!

– Nie mogę – tłumaczę. – Mam zwichnięte ramię.

– To prawda – mówi Kelton. – Ja to zrobiłem.

– Trzymaj ręce tak, żebym je widział – mówi żołnierz. Na szczęście rezygnuje z wyłamania mi ręki po raz kolejny. Jestem przerażony. Prawdziwie przerażony, ponieważ zauważam inne osoby, które siedzą skute kajdankami na krawężniku. Wichrzyciele i awanturnicy czy inne

nieprzyjemne typki, które trzeba było skrepować. Bóg raczy wiedzieć, dokąd trafiają takie osoby w czasie stanu wyjątkowego. Próbuję jednak panować nad strachem, ponieważ przywództwo wymaga przynajmniej pozornego zachowania godności w sytuacji podbramkowej.

Wtedy właśnie Alyssa otwiera usta, a słowa, które się z nich wydobywają, są wprost bajeczne:

– Czyli zamierza pan aresztować bandę dzieciaków za posiadanie trawki? Nie wie pan, że można ją już legalnie posiadać?

– Nie w poruszającym się pojeździe – mówi żołnierz i zaczyna nas obszukiwać. – Poza tym wszyscy jesteście niepełnoletni.

Ale Alyssa nie daje się zbić z tropu:

– Serio? To jest pana głównym priorytet w czasie takiego kryzysu?

– Cisza! – rozkazuje żołnierz.

Obszukuje Keltona i przesuwa się w stronę Alyssy.

– To jest przykład fizycznego i psychicznego zastraszania nieletnich. Nawet stan wyjątkowy nie uprawnia do takiego zachowania! – krzyczy Alyssa. – Jestem pewna, że moja kuzynka z „Los Angeles Times” będzie zachwycona, kiedy jej o tym opowiem!

Żołnierz, o dziwo, daje za wygraną. Wcześniej jednak chwyta torebkę z trawką.

– Konfiskuję ją! – mówi. – A teraz jazda stąd! Do szeregu razem z innymi!

W jednej chwili odzyskujemy wolność. Podejrzewam, że przy tak wielu ludziach przybywających do centrum ewakuacyjnego aresztowanie nas nie było warte zachodu. Oddaliśmy się pośpiesznie od żołnierza, mijając wszystkich skutych kajdankami ludzi, siedzących ze spuszczonej głowami na krawężniku, i dołączamy do tłumu zmierzającego w stronę szkoły. Wszyscy oddychamy z ulgą.

– To było mistrzowskie posunięcie – mówię Alyssie. Nie próbuję się jej nawet przypodobać, naprawdę tak uważam. – Własnoręcznie nas

uratowałaś... i nie musiałaś się nawet uciekać do kłamstwa!

– Tak naprawdę nie mam kuzynki, która pisałaby do „Los Angeles Times” – wyjaśnia Alyssa.

Chyba się zakochałem.

23) Alyssa

„Może jednak wszystko dobrze się skończy”, myślę. Suche Krany zaczęto wreszcie traktować poważnie – i uruchomiono te wszystkie siły i zasoby – więc kryzys zostanie zażegnany. Nie będziemy musieli stawiać czoła trudom podróży do tajemniczego schronu, co zresztą od początku uważałam za wątpliwy pomysł.

Tyle że Kelton zachowuje się jak dzikie zwierzę w klatce i jest gotów odgryźć sobie łapę, żeby z niej uciec. Zatrzymuje się na środku ścieżki i oświadcza, że dalej nie pójdzie. Nasza czwórka musi stawiać opór strumieniowi ludzi, żeby nas ze sobą nie porwał.

– Nie możemy tu być – powtarza.

– Ale jesteśmy – kontruje Jacqui. – Przyzwyczaj się.

Jeśli wziąć pod uwagę wszystko, co Kelton przeszedł, potrzebuje czegoś więcej niż szorstkiej miłości ze strony kogoś, kto tak naprawdę go nie kocha, próbuję więc łagodniejszego podejścia.

– Może to dobrze – mówię. – Nie jesteśmy tu przecież więźniami. Nie zmuszą nas do pozostania na miejscu, jeżeli nie będziemy tego chcieli. Poza tym, kto wie, może będziemy chcieli zostać.

Odkąd jednak stoimy pośrodku ścieżki, niczym głązy w niesłabnącym strumieniu ludzi ciągnących do centrum ewakuacyjnego, trudno mieć poczucie, że mamy jakikolwiek wybór.

– Może mama i tata są tutaj – woła Garrett, przekrzykując szum śmigieł helikoptera. Mówię sobie w myślach, że gdyby tu trafili, prędzej czy później opuściliby to miejsce, żeby nas znaleźć. Chyba że – jak

proponował żołnierz w sprawie naszej fikcyjnej babci – wojsko wysłało po nas kogoś, a ten dotarł do domu, kiedy już nas tam nie było.

– To możliwe – mówię Garrettowi, ponieważ nie chcę gasić jego nadziei.

Wtedy właśnie słyszę wołanie Jacqui:

– Gdzie, do diabła, podział się Roycroft?

Oglądam się za siebie, ale go nie widzę. Zniknął.

– Dajcie sobie z nim spokój – warczy Kelton. Ktoś na niego wpada, przez co niemal traci równowagę. – Jeżeli chce tu zostać, to jego sprawa, my nie możemy!

– Przestań! – woła Jacqui. – Jesteśmy dostatecznie zestresowani i bez twoich fochów.

Kelton zaciska usta, narasta w nim gniew.

– Nie macie o niczym pojęcia! – Wskazuje na boisko do futbolu, które znajduje się kawałek dalej na wzgórzu. – Myślicie, że ludzie nie są tu więźniami? Przyjrzyjcie się ogrodzeniu! Idź i zapytaj ludzi po drugiej stronie, od jak dawna tu czekają. No, dalej!

Żeby go uspokoić, ruszam w tamtą stronę.

– Zaraz wracam – rzucam na odchodne. – Trzymajcie się razem.

Przepycham się przez tłum i wdrapuję po porośniętej trawą skarpie. Kiedy docieram pod boisko do futbolu, z zaskoczeniem zauważam, jak bardzo jest zatłoczone. Trybuny, murawa, bieżnie. Nie widać nawet trawy – tylko samych ludzi. Na boisku porozstawiano parasole i markizy, żeby zapewnić cień, ale nie ma ich wystarczająco wiele.

Siatka jest dość wysoka. Wszystkie boiska w szkołach średnich są otoczone ogrodzeniem, które ma zapobiegać starciom kibiców przeciwnych drużyn i wchodzeniu na stadion bez biletu. Dziś przy każdym wejściu stoją uzbrojeni żołnierze. Z przykrością muszę stwierdzić, że Kelton ma rację. Teraz ogrodzenie z siatki ma uniemożliwiać ludziom

opuszczenie boiska. Są wodnymi zombie poddanymi kwarantannie. Tysiącami.

– Przepraszam – wołam przez siatkę z nadzieją, że ktoś odpowie.

Podchodzi do mnie koścista kobieta z długimi, potarganymi brązowymi włosami.

– Widziałaś? – pyta. – Widziałaś, dokąd ją zabrali?

Nie rozumiem, o co jej chodzi.

Kobieta się niecierpliwi.

– Wodę! Widziałaś, dokąd ją zabrali? Widzieliśmy helikopter, ale dokąd zabrali wodę?

Rzeczywiście byłam świadkiem, jak wyładowywali wodę z helikoptera, ale nie wiem, dokąd trafiła. Teren szkoły jest tak duży, że może się teraz znajdować gdziekolwiek.

– Nie – odpowiadam. – Przykro mi, ale nie wiem.

Kobieta uderza ręką w siatkę, która sprężynuje z cichym brzękiem. Przygryza wargę. Mruży oczy i zaczyna mrugać, a ja dopiero po chwili orientuję się, co się dzieje. To płacz. Kobieta płacze, ale nie zostały jej żadne łzy.

W końcu zadaję pytanie, z którym przyszłam:

– Od jak dawna tu jesteście?

– Od wczorajszego popołudnia. To dopiero trzeci helikopter, który przyleciał od tego czasu, a kolejka nie przesunęła się ani trochę! Nie dostaliśmy żadnej wody. Musimy ustalić, dokąd ją zanoszą!

Za mną rozlega się głos Jacqui:

– Do sali gimnastycznej – woła, przekrzykując tłum. – Widziałam, jak nieśli ją do sali gimnastycznej. Tam też jest dużo ludzi.

Kobieta tak mocno zaciska palce na siatce, że ich czubki bieleją.

– Musisz nam trochę przynieść! Zrobisz to, prawda? Pójdiesz na salę gimnastyczną i przyniesiesz nam trochę wody?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Błagam, obiecaj, że to zrobisz. Błagam!

– Alyssa, chodź.

– Przepraszam... – mówię. – Ja... ja...

Jacqui pojawia się tuż przede mną, odgradza mnie od kobiety i odciąga do tyłu, w dół zbiega.

– Nie wdawaj się w rozmowy – mówi. – Nikomu to nie pomoże, zwłaszcza tobie.

Przypominam sobie o kartonie ÁguaVivy, który spoczywa na pace samochodu, ukryty pod kocem. Czy nadal tam jest? Czy nie został zabrany? Może powinnam go otworzyć i zacząć przerzucać butelki przez ogrodzenie? Natychmiast przypominam sobie, co się wydarzyło, kiedy przyniosłam wodę do domu Burnside'ów. A ci ludzie są znacznie bardziej spragnieni od moich sąsiadów.

„Nie wdawaj się w rozmowy”.

Jak można tak po prostu odejść? Mimo to tak właśnie robię. Muszę to zrobić.

– I czego się dowiedziałaś? – pyta Kelton, kiedy do niego wracamy. Nie muszę nic mówić, bo odpowiedź mam wypisaną na twarzy.

24) Henry

Nie planowałem zostawiać pozostałych, po prostu tak mocno skupiłem się na obserwowaniu otoczenia, na chłonięciu informacji, że kiedy strumień ludzi się rozdzielił, poszedłem w inną stronę niż oni. Ale to nic. Wiem, gdzie ich znaleźć, a choć w innych okolicznościach miałbym większe szanse jako wolny strzelec, dochodzę do wniosku, że nasza dziwna kompania może mieć pewną wartość. A przynajmniej Alyssa. Zobaczymy.

Skupiam się na bieżącej sytuacji. Okazja czai się wszędzie – nawet w okolicznościach tak skomplikowanych i niepokojących jak te wokół mnie... ale po zapoznaniu się z sytuacją nie potrafię dostrzec choćby

jednego pozytywu. Tysiące spragnionych ludzi. Beczki z wodą przenoszone do sali gimnastycznej pod uzbrojoną obstawą, ludzie próbujący przedostać się w tamtą stronę, dręczeni katuszami rodem z barokowego obrazu.

Serce wciąż bije mi szybko po sytuacji z żołnierzem przy samochodzie, ale to, co widzę, tylko pogarsza mój stan. Strumień ludzi, do którego trafiłem, prowadzi mnie na boisko do baseballa, ale widzę, że zatrzymuje się przed wejściem. Poza tym boisko jest już pełne. Gdzie oni, do diabła, poupychają tych wszystkich ludzi?

Kiedy strumień zamienia się w wielki, kłębiący się tłum, wymykam się na bok. Wszędzie widzę żołnierzy, ale wiele miejsc jest niestrzeżonych, a ponieważ jak dotąd nie słyszałem żadnego wystrzału, zakładam, że nikt nie strzela do ludzi poruszających się poza szeregami. Przechodzę do mniej zatłoczonego miejsca. Nie spuszczam z oka wejścia do sali gimnastycznej i beczek z wodą. Ojciec zawsze powtarza, że kto chce się dostać do miejsca, w którym nie powinien przebywać, powinien iść pewnym krokiem, jakby był jego właścicielem, a w dziewięciu przypadkach na dziesięć mu się powiedzie. W tym wypadku jestem w zasadzie pewien, że mam do czynienia z tym dziesiątym razem. A nawet gdybym dostał się do środka, to co dalej? Jestem tylko jednym z tysięcy ludzi czekających na możliwość skosztowania wody. To nie szansa, ale ślepa uliczka.

Przechodzę za róg budynku i widzę kawałek basenu. Pusty. Wojsko wywiozło całą wodę ze szkolnych basenów, zanim wymyślono, że w tych szkołach powstaną centra ewakuacyjne. Krótkowzroczność w naszym świecie doprawdy nie zna granic. Ale to nie brak wody w basenie wzbudza we mnie teraz niepokój, ale to, co spoczywa obok niego.

Worki ze zwłokami.

Nie jeden czy dwa, ale co najmniej dziesięć. I coś mi mówi, że na tym się nie skończy.

No dobra. No dobra. To już przestało być śmieszne. No dobra. No dobra. Może w ogóle nie było śmieszne. No dobra. No dobra. Tam leżą martwi ludzie. W workach. A helikopter odlatuje. A ja nie mam pojęcia, kiedy wróci z wodą, żeby inni ludzie nie trafili do worków. Nigdy nie zsikałem się w spodnie i nigdy się nie zsikam, ale przysięgam, że teraz naprawdę mało brakowało.

– Hej, ty! Nie powinno cię tu być! – woła do mnie żołnierz.

Nie musi mi tego powtarzać dwa razy. Zawracam i zmiierzam w stronę jakiegoś miejsca, gdzie ludzie nadal chodzą i oddychają. Kelton miał rację. Nie możemy tu zostać. A ja wiem już teraz dokładnie, co powinienem zrobić. Sprawa nie będzie prosta, ale jeżeli komukolwiek miałyby się udać zrobić taki deal, to tylko mnie.

25) Alyssa

Kolejka nagle się zatrzymuje. Za nami gromadzą się kolejni ludzie i spychają nas na tych stojących z przodu. Jesteśmy ściśnięci jak sardynki. Trzymam dłoń na ramieniu Garretta, żebyśmy nie zostali rozdzieleni. Za ścisk odpowiadają żołnierze za nami – oczyścili jezdnię dla pustych autobusów szkolnych, które wjeżdżają na teren szkoły, jakby to był normalny dzień.

– Uwaga, uwaga! – rozlega się głos z charczącego megafonu. – To centrum ewakuacyjne jest wypełnione. – Co należy uznać za niedomówienie stulecia. Nie było przygotowane, żeby poradzić sobie nawet z ułamkiem tłumu, który się tu zgromadził. – Autobusy zabiorą was do rezerwowej placówki.

– Dokąd? – woła ktoś. – Dokąd, do diabła, chcecie nas zabrać?

Ale odpowiedź nie pada.

W miarę jak zajeżdżają kolejne autobusy, żołnierze przygotowują dla nich miejsce na parkingu. Panuje ścisk, czuję zapach wydobywający się

z ust innych osób, a nie jest on zbyt przyjemny. Kelton nie musi się nawet nachylać, żeby wyszeptać mi do ucha:

– Nie odpowiedzieli, ponieważ sami nie wiedzą. Pewnie nadal próbują wymyślić, dokąd należałoby wysłać autobusy, ale z pewnością nie będzie to centrum ewakuacyjne. Nie mieli wystarczająco dużo czasu i sił, żeby stworzyć kolejne. Mogą tylko przerzucać ludzi do „rezerwowych placówek”.

Jacqui stoi z wystawionymi łokciami, broniąc się przed naporem tłumu.

– A skąd ty niby to wszystko wiesz?

Kelton nawet nie próbuje odpowiadać, tylko tłumaczy dalej:

– Znacie ideę triażu? Nie? Ja znam. W przypadkach masowego zagrożenia udziela się pomocy tym, którym można pomóc, a pozostałych usuwa się na bok. – Spogląda na jeden z autobusów, do którego wsiadają już posłusznie pierwsi pasażerowie. – Gwarantuję wam, że połowa ludzi, którzy wsiadą do tych autobusów, umrze, ponieważ niezależnie od tego, dokąd ich wywiozą, będą mieli jeszcze mniejsze szanse na otrzymanie wody.

Wspinam się na palce i spoglądam nad głowami innych na żołnierzy zaganiających wielkie stada ludzi. Jeden z nich elegancko pomaga starszej kobiecie wsiąść do autobusu. Nie wygląda na to, żeby planowali kogokolwiek zabijać, ale po kilku dniach bez wody śmierć przychodzi sama.

– Ten parking nie jest ogrodzony – zauważam. – Nie znaleźliśmy się jeszcze w pułapce.

Zanim zdążę opracować jakiś plan, niespodziewanie pojawia się Henry. Jest zdyszany i ma szalony wzrok.

– Patrzcie tylko, co zdobyłem – mówi i unosi kluczyki do samochodu wujka Basila. Nasza sytuacja zmienia się w jednej chwili.

– Jak tego dokonałeś? – pytam, nie wierząc własnym oczom.

– Dobiłem targu – mówi. – Ale musimy się pośpieszyć. Chodźcie!

Biegniemy za nim, przedzierając się przez ludzi zmierzających w stronę autobusów.

– Chwila... dobiłeś targu z gościem, który odebrał nam kluczyki? – orientuje się Garrett, wyraźnie zafascynowany wyczynem Henry’ego. – Chciał nas przecież aresztować. Jak się z nim dogadałeś?

– To moja specjalność! – mówi Henry. – Szybko, nie mamy dużo czasu.

Docieramy do samochodu, a ja natychmiast zauważam, że koc leży w innym miejscu, a karton, który się pod nim znajdował, zniknął.

– Woda!

Na dźwięk tego słowa kilkanaście osób spogląda w moją stronę.

– Zapomnij o tym! – przekonuje Henry. – Właśnie w ten sposób zdobyłem kluczyki.

Jacqui spogląda na niego, nie wierząc własnym uszom.

– Przehandlowałeś resztę wody za kluczyki? Nie przyszło ci do głowy, że moglibyśmy odpalić samochód albo po prostu dać stąd nogę i znaleźć inne auto? Na przykład takie z działającą klimatyzacją?

Zanim on ma okazję odpowiedzieć, do rozmowy włącza się kolejny głos:

– Hej! Roycroft! Zaczekaj!

Henry zaczyna się poruszać jeszcze szybciej.

Przez tłum przepycha się jakiś mięśniak. Spękane usta, szkliste oczy, choć jeszcze nie w pełni wodny zombie. Chwyta Henry’ego za ramię i odwraca go – zaraz potem robi zdziwioną minę.

– Chwilunia... ty nie jesteś Trent Roycroft...

Henry go ignoruje i patrzy na nas.

– Wsiadajcie do auta!

Ale mięśniak wyraźnie nie lubi, kiedy się go ignoruje.

– Kim ty, u diabła, jesteś? Dlaczego masz na sobie kurtkę Roycrofta? Gdzie się podział Roycroft?

Henry w nerwach upuszcza na ziemię kluczyki, które odskakują pod auto.

Daje nura za nimi, choć nie w taki sposób, jakby chciał je podnieść, ale jakby próbował uciekać. W tym samym momencie uświadamiam sobie, że Jacqui zniknęła.

– Alyssa! – mówi Garrett. – Kazał nam wsiadać do auta.

Drzwi nie są zamknięte, więc Garrett wskakuje na tylny fotel, obok Keltona. Rozglądam się za Jacqui, ale nigdzie jej nie widzę. Cholera! Henry wyłazi spod samochodu po przeciwnej stronie, tuż obok drzwi kierowcy. Do tego ponownie z kluczykami w dłoni.

– Hej, zadałem ci pytanie – woła do niego mięśniak. Ponieważ rozdziela ich teraz samochód, Henry udziela w końcu odpowiedzi:

– Wal się.

Zaraz potem wsiada i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Mięśniak jest bardziej zaskoczony niż rozzłoszczony.

– Wiesz co, ty chyba nawet nie chodzisz do szkoły w Santa Margarita!

Henry zapala silnik, a ja wskakuję na fotel pasażera.

– Musimy poczekać na Jacqui! – nalegam.

– Nie mamy czasu!

Chłopak wygląda, jakby coś w nim pękło. Jakby nie miał nawet na imię Henry. Niczego nie jestem już pewna. Wrzuca wsteczny bieg i uderza w stojącą za nami toyotę, która nas przyblokowała. Wrzuca jedynekę i w podobny sposób taranuje audi przed nami. Potem cofa się ponownie na toyotę. Chce rozsunać auta, żebyśmy mogli wyjechać.

W końcu dostrzegam Jacqui. Biegnie w naszą stronę. Trzyma w rękach karton z ÁguaVivą!

– Neeeeeeeeee! – woła Henry na jej widok. W końcu udało mu się na tyle rozepchnąć inne samochody, że da się spomiędzy nich wyjechać. Rusza gwałtownie do przodu; ludzie zmierzający do autobusów odskakują

na boki. Żołnierze zdążyli już nas zauważyć – ten, z którym Henry dobił targu, biegnie za Jacqui, ale ona jest szybsza.

Henry gwałtownie zawraca, ścinając małe drzewko, które rośnie na wysepce między pasami. Samochód grzęźnie; koła kręcą się w miejscu, wyrzucając w powietrze liście i różowe kwiaty.

Jacqui ma czas, żeby do nas dobiec. Wrzuca karton na pakę, a kiedy orientuje się, że Henry nie zamierza czekać, aż wskoczy do kabiny, wspina się po zderzaku na pakę, gdzie znajdują się woda i inne rzeczy, które zostawił tam wujek Basil.

Henry, przeklinając, wdusza gaz, a ja, zamiast wyjaśniać mu, co powinien zrobić, wyciągam rękę i uruchamiam napęd na cztery koła.

Teraz po naciśnięciu gazu zrywamy się do przodu i przemieliamy podwoziem drzewko. Oddalamy się od szkoły, zostawiając za sobą ludzi z rozdziawionymi gębami oraz sfrustrowanych żołnierzy, którzy rezygnują z pościgu. Chyba po prostu cieszą się, że nie jesteśmy już ich problemem.

– Zwariowałaś! – krzyczę na Henry’ego. – O mało co przez ciebie nie zginęliśmy!

Spogląda na mnie swoimi szalonymi, rozbieganymi oczami:

– Zabiłem was? Zabiłem was? Ja wam właśnie uratowałem życie! Moglibyście przynajmniej okazać jakąś wdzięczność!

– Zwolnij – nakazuję. Jest tak rozdygotany, że jedzie środkiem drogi. Gdyby były tu jakieś inne samochody, już dawno skasowałyby auto.

Henry trzyma kurczowo kierownicę i patrzy prosto przed siebie.

– No dobra. No dobra – powtarza zdenerwowany, biorąc głęboki wdech. Zjeżdża na właściwy pas i zdejmuje nogę z gazu. – No dobra, no dobra. Wszystko jest pod kontrolą. Wszystko jest już dobrze. – Odwraca się do mnie. – Tam były worki na zwłoki, Alysso. Niektóre pełne, ale leżały również stosy pustych.

– Naprawdę? – mówi Garrett z szeroko otwartymi oczami, jakby ktoś przedstawił mu właśnie dowód na to, że koszmary senne istnieją.

– Rozumiesz już, Alysso, dlaczego musiałem nas stamtąd wydostać? Rozumiesz? Musiałem nas uratować, ponieważ nikt inny by tego nie zrobił. Rozumiesz już?

Kiwam głową.

– Patrz na drogę.

Odwraca głowę do przodu.

– W porządku, w porządku – powtarza, uspokajając nerwy. Udaje, że nie spanikował. Nie prowadzi najlepiej, ale kto byłby dobrym kierowcą w takich okolicznościach?

Po chwili odzywa się Kelton.

– Worki na zwłoki to nic straszego. Służą do transportowania i zapobiegania rozprzestrzenianiu się chorób. Mam jeden u siebie w pokoju, trzymam w nim brudne ubrania.

Słyszę stukanie w tylne okno kabiny. Włosy Jacqui rozwiewa wiatr, a ona sama nie wygląda na szczególnie zadowoloną ze swojego miejsca.

– Zatrzymaj się – mówię do Henry’ego. – Wpuść Jacqui do środka.

– Zatrzymam się, żeby ją wpuścić, kiedy oddalimy się wystarczająco od tamtego miejsca.

Najwyraźniej kolejne dwadzieścia metrów wystarcza, żeby osiągnąć ten cel, ponieważ Henry wciska delikatnie hamulec i zjeżdża na pobocze. Jacqui zeskakuje z paki i podbiega do okna Henry’ego.

– Wypad, ja prowadzę!

– Siadaj z tyłu albo zostajesz – mówi jej Henry.

– Wykluczone – stwierdza Jacqui.

– W porządku – odpowiada Henry i rusza gwałtownie do przodu, zostawiając ją w chmurze pyłu.

– CHOLERA! – krzyczy Jacqui i biegnie za nami.

– Nie możesz jej tak po prostu zostawić – wołam.

– Nie zamierzam – wyjaśnia, odzyskawszy dawny spokój. – To są negocjacje, a ja po prostu gram twardo. – Zatrzymuje samochód i czeka, aż Jacqui nas dogoni. – Jeżeli chcesz złamać narowistego rumaka, musisz w pewnym momencie skrócić lasso, rozumiesz?

Jacqui nas dogania. Miota finezyjnymi wiązkami przekleństw. Na Henrym nie robi to żadnego wrażenia.

– Siadaj z tyłu – mówi. – Albo odjadę i pożegnamy się na dobre.

Niezadowolona Jacqui wsiada na tylny fotel, spychając Garretta do środka. Zatrzaszkuje drzwi.

– Przypomnij mi, żebym cię zabiła we śnie, Roycroft.

Przypominam sobie, że nie było jej z nami, kiedy mięśniak spalił przykrywkę Henry’ego. Ten, odzyskawszy znów panowanie nad sytuacją, pozostaje niewzruszony.

– No więc, kim jest Roycroft? – pytam.

– To jakiś głąb, który przehandlował tę kurtkę za dwie butelki ÁguaVivy – odpowiada bez wahania.

– Zaraz, zaraz? – mówi Jacqui. – Czyli przez cały czas nas okłamywałeś?

– Nigdy nie powiedziałem, że nazywam się Roycroft. To ty tak założyłaś. A ja nie zaprzeczałem.

– To jak się naprawdę nazywasz? – pytam.

– Znacie moje imię.

– Ale nie nazwisko.

– Przeszliśmy na ty, więc jakie to ma znaczenie? – Odwraca się i spogląda na Keltona. – To jak się dostaniemy do tego całego schronu?

Migawka: Ridgcrest 13, Dove Canyon

Herb poczuł ulgę, kiedy tego ranka zobaczył siostrzenicę i siostrzeńca. Ucieszył się, że dobrze się czują – zaniepokoił się za to, że nie ma z nimi

jego siostry i szwagra. Nigdy nie wystaliby do niego dzieci samych. No i kim jest ta nowa dziewczyna? Nie należy do grona znajomych Alyssy. Obecność Keltona mógł jakoś przeżyć. Każdy ma jakiegoś dziwnego, ale ogólnie niegroźnego sąsiada. Z to na widok Jacqui zapaliła mu się w głowie ostrzegawcza lampka.

Herb zamyka oczy i opiera ciało o poręcz u podnóża schodów. Ból wywołany przez gorączkę oraz ciężar własnego ciała ostrzegają mózg, że schody równie dobrze mogłyby być Mount Everestem. Bierze głęboki wdech, przechodzi go dreszcz. Wzdycha. Wszystko po kolei. Nie może zadrećcać się teraz myślami o losach siostry albo o towarzyszach podróży, których dobrała sobie jej córka.

Zresztą Alyssa i pozostali nie wrócili, co jest dobrym znakiem. Słyszał charakterystyczny warkot swojego samochodu zjeżdżającego w dół. Poszedłby o zakład, że dzieci znajdowały się w środku.

Herb powoli pokonuje schody. Przystaje na każdym stopniu w celu złapania oddechu, a jednocześnie beszta się w myślach, że zdecydował się pić wodę z kranu po tym, jak podłączono stary zbiornik na szczycie wzgórza. Jakże oni wszyscy byli dumni ze swojej przemyślności! Udało im się własnoręcznie znaleźć rozwiązanie Suchych Kranów. Mieszkańcy wspólnoty pili więc tę swoją wodę. Herb też. I Daphne. Zaspokajali pragnienie wodą, która zalegała w ciemnym zbiorniku od nie wiadomo jak dawna.

Nie smakowała aż tak źle. Nie wypluwało się jej z obrzydzeniem. Miała trochę ziemisty posmak, ale to wszystko. Ciekawe, czy ktoś miał na tyle rozumu, żeby ją najpierw przegotować. Pewnie nie. Kiedy człowiek odkręca lśniący chromowany kran we własnej kuchni, ma fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Owszem, wiadomo, że kranówka nie smakuje nigdy tak dobrze jak filtrowana woda – przez ten cały fluor, chlor czy co tam innego dosypują – ale nikt nie spodziewa się, że od niej umrze. Skąd mogli wiedzieć?

Teraz cała okolica pogrążyła się w nietypowej ciszy. Herb dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że taki nadmierny spokój jest podstawowym

wskaźnikiem powagi sytuacji. Nikt nie wychodzi z domu, ponieważ, tak jak on i Daphne, wszyscy są zbyt chorzy i słabi.

Dociera do połowy schodów.

W jednej ręce ma butelkę ÁguaVivy, drugą trzyma się poręczy. Może wciąż ustać na nogach tylko dlatego, że pije ÁguaVivę w bardzo małych porcjach. Owszem, woda przelatuje przez niego, ale po drodze przez niespokojny układ pokarmowy jakaś jej część na pewno się wchłania. Dzięki temu względnie się trzymał przy Alyssie i Garretcie. Nie widzieli, jak wielkiego wysiłku wymagało od niego ustanie na nogach. Poza tym na ich widok dostał zastrzyk adrenaliny.

Teraz za to płaci, gdy dopadają go kolejne fale słabości.

Ostatni stopień. Łapie oddech, starając się nie zwracać uwagi na pulsowanie w stawach. Przychodzi mu do głowy, że może to być jego ostatnia wycieczka po schodach.

W najbliższym czasie. Tylko w najbliższym czasie.

Wchodzi do głównej sypialni. Smród stał się jeszcze bardziej dojmujący, mimo że dwukrotnie zmieniał już dziś pościel. Nie wie, czy wystarczy mu siły, żeby zrobić to ponownie, ale wie, że przynajmniej spróbuje.

Nie ogłasza swojego przybycia. Przestał mówić do Daphne poprzedniego dnia. Stało się to zbyt bolesne, odkąd przestała odpowiadać. Od tego czasu sprawuje opiekę w milczeniu. Podaje jej małe kawałeczki miękkiego pokarmu i ma nadzieję, że jej organizm zacznie go w końcu zatrzymywać. Skrapia jej usta ÁguaVivą – Daphne wtedy kaszle i się krztusi, a woda spływa prosto na białe prześcieradło.

Teraz Herb siada na skraju łóżka, dotyka jej bladej skóry, tak już teraz cienkiej, że widać znajdujące się pod spodem żyły. Oczy przypominają matowe kulki. Patrzą na niego nieobecny spojrzeniem, powieki nawet nie mrugają.

Nie słyszy oddechu, więc przykłada głowę do jej piersi i nasłuchuje bicia serca. Wciąż jest. Słabe. Umęczone. Ona również wspina się na Everest, mimo

że się nie porusza. Herb zastanawia się, co zrobi, kiedy przyłoży za jakiś czas głowę do jej piersi i nie usłyszy niczego.

Zaraz potem, gdy przygotowuje się do zmiany pościeli, dostrzega jakiś przedmiot na stoliku przy łóżku Daphne.

Pomarańczowa fiolka z lekarstwem. Czy ktoś ją tu zostawił? Kto mógł to zrobić?

Herb nigdy nie należał do osób, które wierzą w cuda. Żaden cud nie uratował jego farmy ani niczego innego, co stracił w życiu. Jednak na widok buteleczki z tabletkami – oraz etykietą z napisem „Keflex” – nie pozostaje mu nic innego, jak przewartościować całe swoje podejście do rzeczywistości.

26) Kelton

Obcy. Siedzę w samochodzie z obcymi ludźmi. Jacqui, tajemnicza i niepoczytalna. Henry nie jest tym, za kogo się podaje. Nawet nad Alyssą i Garrettem wisi znak zapytania. Mam poczucie, jakbym nikogo już nie znał. Ale największym obcym jestem ja sam. Jasne, wiem, jak się nazywam. Wiem, gdzie mieszkam – albo mieszkałem, bo trudno powiedzieć, czy kiedykolwiek tam wrócę. Zachowałem wszystkie dawne wspomnienia, ale te nowe – a właściwie JEDNO wspomnienie, które powraca nieustannie wraz z odgłosem wystrzału – sprawiły, że wszystko, co działo się wcześniej, straciło jakiegokolwiek znaczenie.

Dziś rano, kiedy tuż przed świtem przyszła pora na decyzję: walczyć czy uciekać, moje ciało w końcu wybrało walkę. Kiedy człowiek ucieka, daje się ponieść sile, ale kiedy walczy, ulega jeszcze potężniejszemu doznaniu. Gdyby Alyssa mnie nie znokautowała, dokonałbym sporego spustoszenia. Teraz przynajmniej mogę ufać, że mam w sobie funkcję walki. A skoro wiem już, co to jest i jakie to uczucie, być może zacznę kontrolować jego moc.

W rezultacie oddaję się bardziej gwałtownym, destrukcyjnym myślom. Na przykład kiedy ten żołnierz wycelował we mnie karabin, na chwilę ogarnęło mnie pragnienie, żeby rozbryzgał mój mózg aż do granicy sąsiedniego hrabstwa. Miałem nadzieję, że Henry staranuje ludzi w czasie naszej ucieczki samochodem. Chciałem, żeby wszystko eksplodowało i żeby wszyscy pozostali byli równie mocno poranieni odłamkami jak ja. Wiem, że nie powinienem tak myśleć, ale to się dzieje w moim wnętrzu samo, a ja nie zamierzam tego tłumić.

Wtedy jednak w mojej głowie rozlega się głos mamy. Mojej mamy, która równie dobrze może już nie żyć. Teraz jednak mówi: „Wszystko przemija. Nawet wielkie sprawy. A kiedy zostawisz je daleko za sobą, nie będą się wydawały takie wielkie”.

Słyszę też głos ojca. Surowszy, ale pobrzmiewający mądrością doświadczenia: „Wszystko jest lekcją życiową, Kelton. Czerp z tego naukę. Doskonal się. Wzmacniaj”.

Najlepszym sposobem uhonorowania ich będzie posłuchanie ich rad. Zawierzenie im. Ale to jest trudne, bardzo trudne.

– To jak się dostaniemy do tego całego schronu? – rozlega się głos Henry’ego. Uświadamiam sobie, że mam do wypełnienia misję. Przyjęcie na siebie uderzenia. Wykazanie się dostatecznie dużą siłą, żeby zablokować odłamki lecące w stronę pozostałych. Owszem, niby chciałbym też, żeby poczuli mój ból, ale muszę się wznieść ponad to. Jestem silniejszy od wystrzału ze strzelby. Mój brat zginął. Ja nie. A dziś zrobię to, co do mnie należy.

– Musimy znaleźć strumień Santiago – mówię. – To niedaleko stąd.

– Strumień? – pyta Jacqui, nagle zainteresowana rozmową na wzmiankę o wodzie.

– Zupełnie wyschnięty – informuję. – Poza tym przepływa przez tereny miejskie. Wyobraź sobie duże ilości betonu i graffiti.

– Mówiłeś przecież, że potrzebujesz mapy.

– Mapa by pomogła, ale wydaje mi się, że zapamiętałem wszystkie ciekły wodne. W naszym garażu wisi mapa z zaznaczonymi akweduktami i kanałami burzowymi.

Henry spogląda na mnie, jakbym spadł z księżycy.

– Jesteśmy prepersami – wyjaśniam.

– Jeżeli jeszcze nie zauważyłeś – dodaje Jacqui – Suche Krany są dla Keltona jak Boże Narodzenie.

Wkurza mnie ten komentarz, ponieważ może na początku tak rzeczywiście było, ale teraz sytuacja przerodziła się w koszmar. A ona to wie. Posyłam jej mordercze spojrzenie, od którego, gdyby istniała jakaś sprawiedliwość na świecie, eksplodowałaby jej głowa. Po raz pierwszy coś chyba do niej dociera, bo rzeczywiście się przymyka.

Im dalej jedziemy na północ, tym bardziej dla wszystkich staje się oczywiste to, co i tak już wiem: wojsko przejęło kontrolę i nie sposób przed nim uciec. Mijamy otwartą ciężarówkę wypełnioną żołnierzami. Na skrzyżowaniach stoją humvee. Przestrzeń powietrzną nad nami przecinają helikoptery. W pewnym momencie natykamy się na zakorkowany odcinek drogi. Przed nami kolejna blokada; żołnierze kierują ludzi w podobny podmiejski lej, który prowadzi bądź do jakiejś szkoły, bądź do „placówki rezerwowej”, do której woda dotrze na samym końcu. W południowej Kalifornii nie ma już żadnych dróg, po których moglibyśmy się swobodnie poruszać.

Zaniepokojona Alyssa odwraca się do Henry’ego:

– Nie możemy dać się ponownie złapać w coś takiego.

– Wydawało mi się, że za nawigację odpowiada twój nadworny katastrofista.

Nie wiem, czy się zirytować, czy poczuć zaszczycony, że Henry nie-Roycroft poświęca tyle energii na wymyślanie przezwisk dla mnie.

– Nie mówiłeś, że zapamiętałeś całą mapę – zwraca się do mnie Jacqui.

– Zapamiętałem mapę akweduktów, ale nie dróg. Poza tym teoretycznie miałaś być ode mnie mądrzejsza, zgadza się? Może w takim razie oświecisz nas, jak mamy się stąd wydostać.

– To nie moja okolica – wzrusza ramionami Jacqui. – Ale cieszy mnie, że ustaliliśmy wreszcie, które z nas jest mądrzejsze.

– Chcecie znaleźć akwedukty – przerywa nam Alyssa – czy zamierzacie sobie dogryzać tak długo, aż wsadzą nas do jakiegoś autobusu śmierci?

– Zaraz, zaraz – mówi Garrett. – Czy ten cały akwedukt nie wygląda jak taka betonowa dziura, w której dzieciaki jeżdżą na deskorolkach?

Wszyscy odwracamy głowy w jego stronę.

– Tak!

– W takim razie wiem, gdzie to jest! Skręć tutaj i zaraz w lewo przy brzydkiej krowie. Potem trzeba wypatrywać restauracji z sieci Jack in the Box. To będzie z tyłu, za parkingiem.

Jedziemy zgodnie z instrukcjami Garretta. Po chwili docieramy do skrzyżowania, gdzie na rogu znajduje się lodziarnia. Na dachu budynku zamontowano najżałośniejszą plastikową krowę, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Mam skręcić w lewo – pyta Henry – czy dalej jest jeszcze brzydsza krowa?

Skręca, nie czekając na odpowiedź Garretta. Kilkadziesiąt metrów dalej widzimy restaurację Jack in the Box.

Wjeżdżamy na pusty parking i dotaczamy się do ogrodzenia z tyłu. Betonowy akwedukt ciągnie się w obu kierunkach po horyzont. To niesamowite, że takie miejsca potrafią istnieć dosłownie pod naszym nosem, ale większość ludzi nie zwraca na nie w ogóle uwagi. Chyba że ktoś jest prepersem. Albo jeździ na deskorolce. Beton pokrywają cętki osadów z czasów dawnych wezbrań burzowych, ale strumień Santiago wysechł już kilka lat temu.

Zatrzymujemy się. Nie widzę nigdzie wejścia. Dostęp do kanału zagradza wysokie ogrodzenie z siatki, zwieńczone drutem kolczastym. Tata wiedziałaby, gdzie znajduje się wejście, ale nic nam to teraz nie da.

– Dawniej przeciskałem się przez tamtą dziurę – mówi Garrett.

– Samochód tamtędy nie przejedzie – zwraca uwagę Alyssa, choć wszyscy to doskonale wiedzą. Wystarczy rzut oka na ogrodzenie, a widzę, że nawet gdybym dysponował dużą ilością czasu, raczej nie znalazłbym odpowiednio dużego otworu. Wątpię też, że wujek Alyssy i Garretta trzyma na pace szczypce do cięcia drutu.

– Widziałem tam dzieciaki jeżdżące na rowerach... – mówi Garrett. – Jakoś muszą tam schodzić.

Przelatuje nad nami kolejny helikopter. Nieustający szum śmigieł wzbudza we mnie niepokój. Znalezienie odpowiednio dużego zjazdu mogłoby zająć nam wiele godzin.

– Będziemy musieli je staranować – mówi Jacqui, nawet nie kryjąc ekscytacji w głosie. Jak zwykle mam wątpliwości związane z jej intencjami, ale wygląda na to, że nic innego nam nie pozostaje.

Wszyscy zwracają wzrok na Henry'ego, który siedzi za kierownicą. On ogląda się na nas; widać, że ciąży mu ta presja.

– Nawet jeśli się uda, zbrocze jest dość strome.

Delikatnie powiedziane. Spoglądam w dół szczeliny i natychmiast czuję ten charakterystyczny ucisk w żołądku, jak kiedy człowiek dostaje cykora przed wskoczeniem do half-pipe'a. Z przykrością muszę powiedzieć, że doskonale znam to uczucie.

Akwedukt ma kształt odwróconego trapezu. Między pochyłymi ścianami znajduje się płaskie dno o szerokości dwudziestu metrów. Płaska część w środku zawsze kojarzy mi się ze sceną wyścigu z filmu *Grease*. Problem w tym, że John Travolta jest na pewno dużo lepszym kierowcą niż Henry. Bez dwóch zdań – jego auto na końcu leci nawet w powietrzu.

Henry wrzuca wsteczny i wycofuje auto niczym byk przed szarżą na matadora.

– Jesteście pewni, że Henry powinien to zrobić? – pyta Alyssa. – A jego ręka?

– Już jest okej – zapewnia Henry.

Co jest kłamstwem – z pewnością nadal go boli, choć raczej nie utrudnia to prowadzenia. Mimo to jestem równie niepewny jak Alyssa.

– Jacqui ma chyba większe doświadczenie jako kierowca – sugeruję.

– Nie, ja mam – przekonuje Henry.

– Ile ty w ogóle masz lat? Siedemnaście? – zauważa Jacqui. – Jakie niby doświadczenie możesz mieć?

– Prowadzę od trzynastego roku życia – mówi. – Nie pytajcie.

Więc nie pytamy. Ostatecznie udało mu się wymanewrować samochód spod szkoły. Zgadza się, przy okazji uszkodził kilka innych i zabił bezbronne drzewko. W normalnych okolicznościach nie można by tego uznać za popis umiejętności, ale to nie są normalne okoliczności.

Dokonuję obliczeń w głowie.

– Powinieneś uderzyć w siatkę z odpowiednio dużą prędkością, żeby ją rozerwać, ale nie na tyle szybko, żeby stracić kontrolę nad pojazdem i stoczyć się do kanału.

– Czyli jak szybko? – Odkasłuje, próbując ukryć lekkie drżenie głosu.

Rozważam wszystkie zmienne i przedstawiam wyliczenie ze znacznie większym przekonaniem, niż powinienem.

– Czterdzieści pięć kilometrów na godzinę. A ponieważ nie mamy zbyt wiele miejsca na rozpędzenie pojazdu, powinieneś ostro przyśpieszyć. Po dojechaniu na dół skreć w lewo.

Henry bierze głęboki wdech i opanowuje nerwy, na ile jest to możliwe.

– No dobra, wszyscy gotowi?

– TAK, ruszajmy wreszcie – woła z tylnego siedzenia Jacqui.

– Dobra. Dobra.

Zaraz potem ruszamy.

Henry naciska coraz mocniej pedał gazu. Słyszę szorujące po ziemi opony. Samochód skacze do przodu. Przyspieszenie wgniata moje ciało w fotel. Odległość do ogrodzenia szybko maleje, ale tuż przed uderzeniem Henry nagle wciska hamulec, rezygnując w ostatniej chwili z manewru – tak samo, jak ja rezygnuję w ostatniej chwili z zeskoku do half-pipe'a.

Ale jest za późno. Pędzimy zbyt szybko.

Wpadamy w siatkę, ale zamiast przez nią przelecieć, tylko ją wybrzuszamy... zaraz potem orientuję się, że siatka powoli wygina się do przodu. Słyszę pęknięcie metalowych uchwytów, którymi jest przymocowana do słupów. Ogrodzenie dźwięczy i chrzęści jak osobliwy instrument muzyczny, a przód samochodu wychyla się dalej, wysuwając nad przepaść niczym wagonik kolejki górskiej.

Ściana kanału jest znacznie bardziej stroma, niż się wcześniej wydawało. „Zaraz zginiemy”, myślę. Samochód wisi nad przepaścią, jak na hamaku – w końcu ogrodzenie zaczyna ustępować. Spadamy w dół. Żołądek podchodzi mi do gardła, jakbym miał zaraz zwymiotować.

Łądujemy na płaskim betonowym dnie, amortyzatory przejmują główną siłę uderzenia. Mimo to odrzuca nas wszystkich do tyłu, a cała zawartość samochodu podskakuje.

Henry skręca zgodnie z instrukcją kierownicę w lewo, autem zarzuca, ale zaraz potem udaje mu się odzyskać nad nim kontrolę. Wyrównuje tor jazdy i wciska gaz.

Pędzimy po betonowym dnie kanału.

Wyglądam przez okno. Suniemy przez akwedukt, jakbyśmy surfowali. Po gwałtownym zderzeniu z dnem jazda wydaje się niesamowicie gładka! Zaczynam się śmiać z niedowierzania, a Jacqui wykrzykuje coś z radości. Pozostali są równie uszczęśliwieni.

– To było odjazdowe! – woła Garrett i spogląda z podziwem na Henry'ego. Nie zmienia to jednak faktu, że wykonaliśmy niesłychanie

niebezpieczny manewr. Gdybyśmy dotarli do dna z większą prędkością albo pod większym kątem, samochód by przekoziółkował albo się w ogóle rozbił.

Henry się uśmiecha, zadowolony z siebie.

– Wiedziałem, że czterdzieści pięć kilometrów to ciut za szybko – mówi, jakby naciśnięcie na hamulce było przemyślaną decyzją, a nie aktem paniki. Ale ja w tej chwili przede wszystkim cieszę się, że żyję, więc Henry mógłby sobie przypisać zasługę za lądowanie na Księżycu, a ja miałbym to zupełnie gdzieś.

Wtedy jednak przychodzi mi do głowy, że...

– ÁguaViva!

Odwracam się i patrzę na pakę przez tylne okienko.

– Nadal tam jest – uspokaja wszystkich Jacqui.

– Niektóre butelki mogły się uszkodzić... – zauważa z fałszywym zatroskaniem Garrett. – Może powinniśmy na wszelki wypadek zajrzeć do kartonu, żeby sprawdzić...

Wiem dokładnie, o co mu chodzi. Chyba wszyscy wiemy. Henry ucina sprawę.

– Butelki ÁguaVivy są wykonane z trwałego polietylenu o małej gęstości, wolnego od BPA – informuje nas. – Zapewniam, że nic w tym kartonie nie przecieknie.

A choć na myśl, że miałbym przyznać Henry’emu rację w jakiegokolwiek sprawie, robi mi się niedobrze, mówię:

– Poza tym powinniśmy otworzyć karton tylko w ostateczności.

Lepiej nie igrać teraz z pokusą. W schronie będziemy mieli pod dostatkiem wody. Rezerwę powinniśmy zostawić na sytuacje awaryjne. Nadal jestem zresztą w szoku, że udało nam się odzyskać karton z ÁguaVivą. Kręcę głową i uśmiecham się do Jacqui.

– Zupełnie cię powaliło, żeby polecieć po tę wodę, wiesz?

Ona wyszczerza zęby. Wie, że był to z mojej strony komplement. Pewnie nie przywykła do słuchania takich rzeczy.

– Ciebie też – odpowiada. Postanawiam potraktować to również jako komplement.

Ciekawe, co by się stało, gdybyśmy zetknęli się z Jacqui w innych okolicznościach. Choć szczerze wątpię, że mogłoby nam się to przytrafić. Dziewczyna żyje w zupełnie innej rzeczywistości niż my wszyscy. Gdyby Suche Krany nigdy się nie wydarzyły, byłaby tylko nazwiskiem na tej karcie z wynikiem egzaminu SAT, którego nie udało mi się pobić.

Uświadomiwszy sobie, że moje myśli nie ograniczają się do dręczących lęków, oddycham wreszcie z ulgą. Widzę, że inni robią to samo.

Jacqui wychyla się do przodu i włącza radio. Same oficjalne komunikaty informujące ludzi, dokąd mają się udawać, dokąd mają się nie udawać i żeby zachować spokój. Skrojona pod wszystkich próba niesienia pomocy, która nikomu tak naprawdę nie pasuje.

– Wujek ma radio satelitarne – przypomina sobie Alyssa i przełącza na jedną z takich stacji. *Smooth Criminal* atakuje niespodziewanie bębenki w naszych uszach, a w tym miejscu i w tej chwili wydaje się najwspanialszą piosenką na świecie. Impulsywna jak zawsze Jacqui wyciąga rękę, otwiera szyberdach i wstaje. Wychyliwszy niebezpiecznie daleko cały tułów, rozkoszuje się kolejnym przyływem adrenaliny.

Po chwili Alyssa ciągnie ją za bluzkę i mówi: „Wystarczy”. Ledwie jednak Jacqui wsuwa się z powrotem do wnętrza, Alyssa z szerokim uśmiechem podskakuje i wystawia na zewnątrz głowę. Jacqui popycha ją, jakby była jej starszą siostrą. Garrett oczywiście domaga się kolejki dla siebie. Dzielimy się. Kto by pomyślał. Jeżeli jesteśmy pokreconą, dysfunkcyjną rodziną, to tę chwilę można pewnie uznać za nasz jedyny funkcjonalny moment.

Opuszczam okno i wystawiam przez nie rękę. Zamykam oczy i rozwieram palce; dłoń rozcina wiatr. Patrę przez okno i podziwiam

świat na zewnątrz. Przyćmione popołudniowe światło oblewa nas z góry, połyskuje na betonie wstęgami złota... Uświadamiam sobie, że pierwszy raz od dłuższego czasu możemy się poczuć względnie wolni. Zupełnie jakbyśmy nie uciekali z miejsca, które nazywaliśmy dawniej domem. Jakby na przedmieściach nie trwała apokalipsa. Nie potrafię zapomnieć wydarzeń poprzednich dwudziestu czterech godzin, ale tu, nad uciekającą spod kół betonową wstęgą, mogę choćby na krótką chwilę zostawić je za sobą. To pierwszy przebłysk myśli, że niezależnie od tego, co się wydarzyło albo co się jeszcze wydarzy, życie może mimo wszystko toczyć się dalej.

Na ziemię sprowadza nas z powrotem Henry.

– Zbliżamy się do rozwidlenia – woła, przekrzykując wiatr.

– Trzymaj się lewej strony – mówię.

Alyssa zauważa, że zmierzamy na południowy zachód, w stronę wybrzeża, a nie gór.

– Wszystko jest okej – uspokajam ją. – Poruszamy się dorzeczem. Musimy przemieszczać się tym dopływem, dopóki nie dotrzemy do głównego koryta.

Henry skręca w lewo na rozwidleniu.

– Tam wykonamy ostry skręt w prawo, a rzeka doprowadzi nas prosto w góry – wyjaśniam.

Dawniej przechwalałem się w kółko, że mam fotograficzną pamięć, ale teraz zostaje ona poddana prawdziwemu testowi. Kanał, którym się przemieszczamy, zamienia się w pewnej chwili w naturalne koryto, jakby to była prawdziwa rzeka. Chwilę potem znów jedziemy po betonie, wkraczając na bardziej uprzemysłowione tereny.

Kolejne rozwidlenie. Henry wykonuje ostry skręt w prawo, a kompas na desce rozdzielczej pokazuje, że zmierzamy na północ. Znaleźliśmy się w znacznie szerszym kanale: w rzece Santa Ana, choć zostało po niej tylko wspomnienie. Wszystkie ciekły w południowej Kalifornii

przypominają kończyny fantomowe. Może nam się wydawać, że nadal istnieją, ale są tylko iluzją odlaną z betonu.

Teraz potrafię dokładniej określić, gdzie się znajdujemy. Po drodze mijamy nawet charakterystyczne miejsca, które pomagają w nawigacji: Angel Stadium, Honda Center. Przychodzi mi do głowy, że jesteśmy całkiem blisko Disneylandu. Trudno sobie nawet wyobrazić, co tam się musi teraz dziać. W zeszłym roku w geście wsparcia dla lokalnej wspólnoty – i sprytnym zabiegu marketingowym – Disneyland zlikwidował sztuczne drogi wodne. Podróż statkiem przez dżunglę zamieniono w wirtualną przygodę. Przejazdki *Piraci z Karaibów* i *It's a Small World* wyposażono w pojazdy lewitujące na magnesach, a w osuszonej fosie wokół Wyspy Tomka Sawyera powstał Wielki Kanion. Każdego, kto łudzi się, że wystarczy przeskoczyć przez płot Disneylandu, żeby nażłopać się zanieczyszczonej ptasimi odchodami, zabarwionej na niebiesko wody, czeka poważne rozczarowanie.

Kiedy przemieszczamy się szerokim betonowym kanałem, ogarnia mnie poczucie, że świat uległ rozdarciu na dwie części, a my podróżujemy przez szczelinę między nimi. Otchłań pomiędzy tym, co było, a tym, co będzie. Nie należymy do żadnego z tych światów. A przynajmniej ja nie należę. Wszystko, co miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, znajduje się na zewnątrz, całkowicie poza moim zasięgiem. Myślę o bracie. Myślę o rodzicach. Ogarnia mnie otepienie, jak wtedy, kiedy po nieprzyjemnym oparzeniu zanika ból i człowiek traci czucie w uszkodzonym miejscu. Dzieje się tak dlatego, że zniszczone zostały zakończenia nerwów. Mimo to myślę, że najlepszym miejscem dla mnie jest teraz otchłań między poszarpanymi krawędziami życia, które znamy.

Z czasem ta otchłań przybiera najróżniejsze formy. W niektórych miejscach musimy zwolnić z powodu kamieni, gałęzi i innych przeszkód, które zostały tam naniesione przez nurt rzeki, kiedy jeszcze kanałem płynęła woda. Gdzie indziej poruszamy się w irytująco zółwym tempie

z powodu półtorametrowych wałów z kamieni, uformowanych w taki sposób, żeby kierować nurt wody w odpowiednią stronę. Można mieć poczucie, że labirynty te zbudowano celowo po to, żeby nas pokonać. Ale my nie damy się pokonać.

Po kolejnej godzinie docieramy pod zaporę.

– Czy to miejsce znajduje się na twojej zapamiętanej mapie? – pyta Jacqui.

Nie odpowiadam na pytanie, tylko mówię:

– Zapory zawsze są wyposażone z obu stron w drogi dojazdowe dla ciężkiego sprzętu.

Przejeżdżamy wzdłuż czoła zapory, po czym cofamy się jakieś sto metrów do miejsca, gdzie znajduje się droga dojazdowa. Zagradza ją brama, ale wygląda na mocno zardzewiałą.

Rozbijamy ją, najeżdżając na nią z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Prawdopodobnie nie musieliśmy jechać aż tak szybko, bo wrywamy bramę z zawiasów.

Jacqui wydaje okrzyk radości. Alyssa zaciska w napięciu zęby, Garrett się szeroko uśmiecha, a Henry całkowicie skupia się na prowadzeniu, zaciskając mocno ręce na kierownicy na godzinie drugiej i dziesiątej. Ja nadal czuję otępienie. W czasie roztrzaskiwania bramy moje tętno nie podskoczyło w zasadzie ani trochę.

Brama po drugiej stronie zapory jest otwarta, więc Henry nie musi wykazywać się ponownie jako kierowca w drodze na dół. Wyjeżdżamy na szerokie tereny zalewowe, co oznacza, że przekroczyliśmy granicę hrabstwa Orange i wjechaliśmy na teren hrabstwa Riverside.

Zaczynają mi ciążyć powieki. Płacę za niedobór snu – za wszystkie godziny, o które uszczupliłem nocny odpoczynek w czasie ostatnich czterech dni. Zaczynam analizować niedobór wody, który występuje teraz u nas wszystkich. Jeszcze wczoraj byliśmy nawodnieni, ale jednocześnie pocimy się obficie w upale. Ostatni raz piliśmy, kiedy wujek Alyssy dał

nam trochę wody dziś rano. Teraz jest późne popołudnie, prawie wieczór. Czterdziestostopniowy upał dwukrotnie, może nawet trzykrotnie przyspiesza tempo odwodnienia. Nie mogę się doczekać zachodu słońca. Mam nadzieję, że będziemy już wtedy w schronie.

Na terenach zalewowych unosi się zapach dymu. Słaby, ale uporczywy. Prawdopodobnie pochodzi z pożarów lasów, o których słyszeliśmy w wiadomościach. Zadymione powietrze osiada często w nieckach.

– Jesteśmy blisko? – pyta Henry. – Czy schron jest gdzieś w pobliżu?

– Został nam jeszcze spory kawał drogi – mówię. – Znajdujemy się na terenach zalewowych przy zaporze Prado. Dopływają tu trzy rzeki, a przynajmniej dopływały. Wjedź w tę po lewej stronie.

– Świetnie – mruczy Jacqui. – Sprawdźmy, co znajduje się za drzwiami numer trzy.

Samochód podskakuje na wyschniętym terenie, pokrytym szarłatami. W końcu dostrzegamy kolejny betonowy kanał, choć nie tak szeroki jak rzeka Santa Ana. W tym brzegi są całkowicie pionowe, a nie pochyłe. Na dnie zalega wszystko, czego można oczekiwać w takim miejscu: stare opony, zardzewiałe wózki sklepowe, połamane kanapy, które wyglądają, jakby spadły prosto z nieba. Kolejny tor przeszkód. Nie jest ich na tyle dużo, żeby nas zatrzymać, ale musimy zachowywać czujność, gdy podążamy krętą trasą między nimi.

– To przypomina te wszystkie syfy, które zbierają się pod poduszkami sofy – zauważa Jacqui – tyle że w kosmicznej skali.

Na ścianach tego kanału widnieje też więcej graffiti. Kolorowe napisy w rodzaju „Rong”, „OrGie” albo „Stoops” – wystylizowane tak, jakby były napisane w języku jakichś istot pozaziemskich – pogłębiają wrażenie, że znajdujemy się w całkowicie odmiennym świecie.

Mniej więcej po godzinie od wjechania do kanału natykamy się na ludzi, którzy rozbili obóz na brzegach akweduktu. Nie wygląda to zresztą na odosobniony przypadek. Widzimy dziesiątki namiotów z brezentu

i koców rozpiętych na kijach; wyglądają jak dzielnica biedoty. Przypominają mi się słowa Jacqui i uświadamiam sobie, że nie tylko rzeczy gubią się pod poduszkami naszego świata. Ludzie też.

Słońce wisi nisko na niebie, cienie się wydłużają, a kanał nabiera lekko upiornego wyglądu, którego nie miałby w pełnym słońcu. W miarę jak zbliżamy się do namiotów, staje się coraz bardziej jasne, że jest to stałe obozowisko bezdomnych. Zupełnie jakby ci ludzie nie czytali *Sztuki wojennej*, w której stwierdza się wyraźnie, że kto rozbija obóz w wąwozie, życzy sobie śmierci. Wzniesienia zapewniają lepszą widoczność, a zagłębienia terenu zwiększają ryzyko wpadnięcia w zasadzkę. Przychodzi mi jednak do głowy, że wpadnięcie w zasadzkę nie plasuje się zbyt wysoko na liście obaw bezdomnych.

Alyssa nie spuszcza wzroku z obozowiska.

– Nie zwalniam – mówi.

– Nie zamierzałem – odpowiada Henry.

Alyssa patrzy prosto przed siebie; ani przez chwilę nie spogląda w stronę tych ludzi. Wydaje się to do niej niepodobne, ale przypominam sobie, jak zgodziła się wczoraj ze stanowiskiem ojca – albo człowiek daje z siebie wszystko, albo nie daje niczego – i wtedy domyślam się, dlaczego tak się teraz zachowuje. Dla dziewczyny, której pierwszym odruchem jest uzdrawianie sytuacji, wybór „nierobienia niczego” musi być trudny. Bolesny. Ale po wszystkim, co się wydarzyło, Alyssa z pewnością zdaje sobie sprawę, że przetrwanie jej i Garretta wymaga tego rodzaju agresywnej twardości, na którą pozwala sobie zwykle tylko na boisku piłkarskim. Dziś nie może przykłękać przy zawodnikach, którzy padli na murawę.

Kiedy powoli przejeżdżamy przez obozowisko, niektóre z mieszkających tam zagubionych dusz wyłaniają się z namiotów i patrzą na nas. Nie zatrzymują nas, nie przeszkadzają nam, tylko patrzą. Myślę, że są po prostu czujni – sprawdzają, czy nie zamierzamy się zatrzymać

i wyrzucić im krzywdy. Patrę na ich zniszczone twarze, na obszarpane ubrania i zastanawiam się, jakie koleje losu przywiodły ich w to miejsce. Czy ktoś teraz o nich pamięta albo dobrze im życzy? W pewnej chwili dostrzegam w ich spojrzeniach, że to samo myślą o nas.

Mijamy obozowisko i Alyssa oddycha z ulgą.

– Jak daleko jeszcze? – pyta Henry jakieś czterdzieści pięć minut później.

Choć jeszcze nie nadszedł zmierzch, cały kanał leży już w cieniu. Mrużę oczy. W akweduktach nie ma żadnych oznakowań, zresztą mało co widzę w związku z zachodzącym słońcem.

– Jedź dalej – mówię. – W końcu dotrzemy do autostrady Foothill. Angeles National Forest zaczyna się tuż za nią.

Kompas pokazuje północny zachód i wszystko wydaje się w porządku, aż wjeżdżamy do tunelu, który początkowo wygląda na kolejny przejazd pod jakąś drogą. Problem w tym, że nie ma wylotu. Nagle ogarniają nas całkowite ciemności. Henry hamuje, zatrzymujemy się.

– Włącz światła! - mówi Alyssa.

– Nie mogę ich znaleźć!

Słyszę, jak Henry gorączkowo wypróbowuje pokrętła. W końcu znajduje włącznik. Przekreśla go i przez krótką chwilę spodziewam się zobaczyć za przednią szybą gapiącego się na nas tyranozaura. Nie mam pojęcia, dlaczego mój umysł przywołuje ten obraz, ale kiedy światła się zapalają, aż podskakuję w fotelu. Oczywiście niczego przed nami nie ma. Niczego poza przepustem. Widzimy tylko żebrowane ściany po bokach, łuszczące się od wyschniętego mchu, oraz dalszą część tunelu, rozświetloną reflektorami samochodu. Poprawka. Reflektorem. Działa tylko jeden. Świetnie. To nam z pewnością pomoże podczas jazdy w nocy.

– To jedna z atrakcji, które czekają nas po drodze – zwraca się do mnie Jacqui – czy się zgubiliśmy?

– Cicho, myślę.

Jak wspominałem, w schronie byłem tylko dwa razy, do tego dojeżdżaliśmy tam zawsze normalnymi drogami. Tata urządził nam kiedyś wirtualny przejazd obecną drogą w irytująco szczegółowej prezentacji w PowerPoincie. Myślę, że zapamiętałbym niekończący się ciemny tunel.

– Musieliśmy przeoczyć wyjazd – przyznaję ze wstydem. Co więcej, nie mam pojęcia, gdzie mógł się znajdować. Wiem tylko, że wybraliśmy prawidłową odnogę z terenu zalewowego, ale to było kilka godzin temu. Jeżeli minęliśmy ukryte rozwidlenie, mogło się ono znajdować w dowolnym miejscu po drodze.

Potem przychodzi mi do głowy, że ściany w głębszej części tunelu mogą być wilgotne. A jeśli dalej jest woda? To kieruje moje myśli na fakt, że najróżniejsze gatunki zwierząt prawdopodobnie zasiedliły to miejsce, niezależnie od poziomu skażenia wody. Do tunelu mogli też zawędrować w tym samym celu ludzie – wtedy uświadamiam sobie, że w moim mózgu doszło do zwarcia i wyprodukował niewłaściwy obraz. To nie dinozaurów powinniśmy się obawiać... ale ludzi.

– Zawróć – mówię do Henry'ego. – Wyprowadź nas stąd.

Problem w tym, że nie da się tu zawrócić. Henry włącza wsteczny bieg i wytaczamy się powoli z tunelu. Zmierzcha. Mało co widać, a kanał jest na tym odcinku nadal zbyt wąski, żebyśmy mogli zmienić kierunek jazdy. Nie pozostaje nam nic innego, jak cofać się drogą, którą przybyliśmy. Powoli. Ostrożnie, kierując się wyłącznie bladą czerwoną poświatą tylnych reflektorów. Mija pół godziny, a po rozwidleniu nadal ani śladu.

– Jesteś pewien, że nie powinniśmy jechać dalej prosto? – pyta Alyssa.
– Przez tunel?

– Tak – odpowiadam. – Nie. Nie wiem – przyznaję w końcu.

– Może wrócimy do obozowiska bezdomnych? – mówi Jacqui. Jej słowa ociekają sarkazmem. – Jestem pewna, że przyjmą nas z otwartymi rękami.

Cofamy się przez kilka kolejnych minut, aż w pewnym momencie Alyssa woła:

– Tam! Widzicie?

Rzeczywiście: odnoga kanału prowadząca w prawo, na północ. Wlot całkowicie zarósł chaszczami, a po lewej stronie znajduje się jaskrawe graffiti, które wcześniej odciągnęło naszą uwagę. Czuję ogromną ulgę. Nie mam pojęcia, co byśmy zrobili, gdyby nie udało nam się znaleźć tego miejsca.

Henry rusza do przodu i kieruje pojazd w odnogę, ale chwilę potem kanał ponownie się rozwidla. Ogarniają mnie wątpliwości, czy znajdujemy się w ogóle we właściwym akwedukcie. Jak to się mówi: z deszczu pod rynnę. Ponieważ jednak w niebiosach nie została już ani jedna kropla wody, zaczynam rozumieć, że Siły Wyższe po prostu znajdują inne sposoby, żeby nas wyrolować.

Wszystko dlatego, że właśnie w tym momencie zaczyna migać lampka sygnalizująca niski poziom paliwa.

No jasne. Przez całą drogę ani razu nie przyszło nam do głowy, żeby zatankować. Ja mogę ponosić winę za skierowanie nas na niewłaściwą drogę, ale za tę sytuację odpowiada Henry.

– Jak mogłeś nie sprawdzić poziomu paliwa? – mówię.

– Może nie zauważyłeś, ale byłem trochę zajęty.

– No, ale w czym problem? – odzywa się Jacqui. – Czy chwilę wcześniej nie mijaliśmy rampy prowadzącej do sieci dróg?

– Co by nam to miało dać? – mówi Alyssa. Stacje benzynowe nie działają, poza tym znów trafilibyśmy na blokady wojskowe.

– Słowa godne prawdziwego więźnia praworządności – stwierdza Jacqui.

Alyssa nie rozumie, o co chodzi, ale ja tak.

– Możemy spuścić paliwo z jakiegoś porzuconego samochodu.

Jacqui kiwa głową.

– Jestem pewna, że znajdziemy ich pod dostatkim na autostradzie, pod którą właśnie przejechalśmy.

27) Alyssa

Dynamika w naszej grupie zmieniła się całkowicie, odkąd w jej skład wchodzi Henry. Nie potrafię powiedzieć, czy zmieniła się na dobre czy na złe. Henry nie jest najlepszym kierowcą, ale jakoś sobie radzi i nie odrywa wzroku od drogi. Zdołał odzyskać kluczyki, co pozwoliło nam uciec z centrum ewakuacyjnego – wydaje się szczerze zainteresowany tym, żeby nam pomóc. Jednocześnie wykorzystywał swoich sąsiadów – w tym mojego wujka – i trochę udawał, że jest kimś innym. Nie potrafię zdecydować, co powinnam o nim myśleć, wkurza mnie też to, że jest całkiem niebrzydki, a to może zaburzać moją ocenę.

Musimy wycofać się trochę dalej, niżbyśmy chcieli, żeby znaleźć zjazd z drogi. Dobrze przynajmniej, że nie skończyło nam się paliwo. Z ledwością mieścimy się na wąskim betonowym podejździe. Kiedy wyglądam przez okno, nie widzę podłoża, jednocześnie urwisko po naszej prawej stronie robi się coraz wyższe. Jeżeli się ześlizgniemy, przeokołujemy kilka razy w drodze na dno kanału.

W końcu docieramy na poziom ulic. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. To irytujące, jak wiele miejscowości w południowej Kalifornii jest do siebie podobnych. Wiem, że znajdujemy się daleko od domu, ale okolica wydaje się znajoma. Zabudowania są starsze od naszych, dominują parterowe domy w stylu rancho, ale centrum handlowe na rogu wygląda dokładnie tak samo jak nasze. Powietrze jest gryzące, przesycone zapachem spalenizny. Trudno się nim oddycha. To dym z pożarów. Ta część Kalifornii nazywana jest Inland Empire i jest zawsze przykryta czapą ze smogu, ponieważ wszystkie paskudztwa, które wiatr spycha w tę stronę, zatrzymują się przed górami. Wydaje mi się, że grałam kiedyś

w tym mieście w turnieju piłki nożnej. A może było to sto kilometrów dalej w innej miejscowości, która wyglądała identycznie.

Kiedy zbliżamy się do wjazdu na autostradę, Jacqui proponuje, żebyśmy wjechali tyłem, dzięki czemu wlot do baku znajdzie się możliwie blisko drugiego samochodu. To zabawne: Kelton nieustannie chwali się wiedzą o naszym anarchicznym świecie, ale to raczej Jacqui już od dłuższego czasu w nim zamieszkuje.

Odwrócenie samochodu tyłem okazuje się niepotrzebne, ponieważ wjazd nie jest wcale zapchany porzuconymi samochodami. Jak się nad tym zastanowić, nie powinno to być w ogóle zaskakujące. Kto zdążył się zorientować, że autostrada jest całkowicie zakorkowana, prędzej czy później się cofnął. Tylko dla tych tkwiących głęboko w samochodowym zatorze jedynym rozwiązaniem było porzucenie auta. Dlatego autostrada jest w zasadzie pusta przez pierwsze pięćdziesiąt metrów od wjazdu – dopiero potem natykamy się na pierwsze porzucone samochody, a później na korek, z którego nie było już ucieczki.

Niektóre samochody są ustawione pod dziwnymi kątami albo w ogóle zwrócone w stronę przeciwną do kierunku jazdy. Widzimy wybite okna, otwarte drzwi, pusty fotelik samochodowy na dachu. W oddali dostrzegam żółty autobus szkolny. Scena nie przypomina tej z plaży, gdzie świadectwa paniki i przemocy opowiadały mrozącą krew w żyłach historii, jednak opłakany stan porzuconych samochodów budzi we mnie równie wielki niepokój. Ludzie odeszli stąd wyłącznie w ubraniach, które mieli na sobie, i z dziećmi, które nieśli na rękach. Akty wandalizmu musiały się wydarzyć później, co świadczy o tym, że w labiryncie samochodów nadal mogą grasować rabusie albo wodni zombie.

– Najpierw trzeba znaleźć jakiś wąż – mówi Jacqui, kiedy się zatrzymujemy. Rozchodzimy się w różne strony w poszukiwaniu węża ogrodowego albo czegoś podobnego. Szczęście nam nie sprzyja. W końcu, kierowana przecuciem, zaglądam na pakę samochodu wujka Basila.

Znajduję masę gratów, których wujek nie miał siły zabrać, kiedy dobił targu z Henrym, i po prostu zostawił je w samochodzie. Spomiędzy rzeczy, które przemieszały się w czasie naszej pełnej przygód podróży, wygrzebuje fajkę wodną. Mama zawsze kazała wujkowi trzymać ją w ogrodzie, ponieważ nie chciała mieć czegoś takiego w domu. Przypominam sobie, jak wspomniał kiedyś, że Daphne też nie znosi jej widoku. Została zatem na pace wraz z ponadmetrowym wężykiem, który mieliśmy od początku tuż pod nosem. Mam nadzieję, że okaże się wystarczająco długi.

Henry podjeżdża tyłem do jednego z samochodów stojących na skraju zatoru, ale dopiero kiedy wysiada i zabiera się za poszukiwanie wlotu do baku, orientujemy się, że nic z tego nie będzie. To tesla. Jacqui zauważyła to pierwsza. Klepie mnie po ramieniu i pokazuje logo samochodu, ale nie mówi Henry'emu, który nadal wypatruje miejsca, w które mógłby wetknąć wąż. Reszta też już się zorientowała, ale jesteśmy ciekawi, jak szybko Henry się połapie.

Uśmiecham się na myśl o ironii losu. Nie chodzi tylko o teslę, ale o Henry'ego. Świat ogarnia susza, mimo to znaleźliśmy go w jego małej oazie, nieświadomego wydarzeń rozgrywających się wszędzie dokoła. Bez wyraźnego powodu nie wyjawiał nam, jak się naprawdę nazywa. Niewątpliwie jest inteligentny, ale w najbardziej zaskakujących sytuacjach zachowuje się w sposób nierozsądny. Nie wydaje się całkowicie godny zaufania, ale kiedy patrzy mu się w oczy, człowiek ma ochotę mu uwierzyć. Zupełnie, jakby chciał cieszyć się zaufaniem – jakby sam fakt, że ktoś mu zaufa, sprawiał, że na to zasługuje. Chciałabym, żeby okazał się godny naszego zaufania. Czy to oznacza, że muszę zaufać mu pierwsza? Przyznaję, że niepewność z nim związana nieco mnie intryguje.

- Mógłby mi ktoś pomóc? – nie wytrzymuje w końcu Henry.
- Nie – odpowiada Jacqui. – Szukaj dalej.

Złośliwy uśmieszek na jej twarzy skłania go do ponownego przemyślenia zagadki i zerknięcia na logo samochodu.

– No tak – mówi. – Jak mogłem to przeoczyć?

Garrett wybucha śmiechem, sama zresztą wyszczerzam zęby.

– Cieszę się, że mogłem wam zapewnić chwile rozrywki – stwierdza wesoło Henry. – To jedna z rozlicznych usług, które oferuję.

Zauważam, że choć Henry zostawił kluczyki w stacyjce, a więc obdarzył nas zaufaniem, teraz znajdują się one w dłoni Keltona. Ten oddaje je z powrotem Henry'emu, żeby mógł podjechać do innego auta działającego na zwykłe paliwo, niemniej wysłał tym gestem milczący komunikat. Nie jestem pewna, czy dotyczy on braku zaufania ze strony Keltona, władzy, czy obu tych rzeczy.

Jedziemy przez zbieraninę samochodów, aż w końcu dostrzegamy zżerającego ogromne ilości paliwa minivana. Jacqui wysiada, żeby pomóc nam się odpowiednio ustawić. Kiedy tym razem Henry wyłącza silnik, sam próbuje zabrać kluczyki, ale Kelton wyskakuje z samochodu i uniemożliwia mu otworzenie drzwi na tyle szeroko, żeby dało się wysiąść.

– Kluczyki proszę – mówi.

Henry'emu udaje się wypchnąć na zewnątrz, ale Kelton zagradza mu drogę. Ogarnia mnie irytacja, że prowokuje konfrontację, mimo że przybyliśmy tu wyłącznie po paliwo.

– I co niby miałbym zrobić? – pyta Henry. – Odjechać w stronę gór? Skoro a) nie mamy paliwa; b) tylko ty wiesz, gdzie są te góry.

Ale Kelton nie zamierza negocjować. Henry zerka na mnie.

– W porządku – mówi i rzuca kluczyki mnie, zamiast oddać je Keltonowi.

Kelton aż się najeża na tak jawny afront. Spogląda na mnie takim wzrokiem, jakby oczekiwał, że oddam mu kluczyki, ale tego nie robię. A to dlatego, że teraz sam zachowuje się jak idiota. Wsuwam kluczyki do

kieszeni. Jeżeli Henry postrzega mnie jako najrozsądniejszą osobę w naszej grupie, to dobrze. Jeżeli mi ufa, może przez to jestem rzeczywiście godna zaufania.

Na szczęście drzwiczki zakrywające wlot do baku otwierają się ręcznie, nie trzeba tego robić ze środka minivana.

– Okej, co teraz? – pytam Jacqui.

– Nie wiem... – odpowiada i spogląda na Keltona. – Nasz MacGyver nie mógłby pomóc?

Ten wzrusza ramionami.

– To ty masz umysł przestępcy – mówi.

– Kto to jest MacGyver? – pyta Garrett.

Jacqui wzdycha.

– Gość z serialu z lat osiemdziesiątych, z długimi włosami z tyłu głowy, który potrafił skonstruować różne fajne urządzenia z byle czego.

Problem w tym, że żadne z nas nie ma długich włosów z tyłu głowy ani pojęcia, jak się do tego zabrać. Mamy tylko rurkę z fajki wodnej. Wyraźnie porwaliśmy się na coś, na czym żadne z nas się nie zna – nawet Jacqui. Mimo tylu lat spędzonych na ulicy najwyraźniej nigdy nie wyciągała paliwa z baku, a Kelton mimo całej wiedzy survivalowej akurat w tej sprawie nie ma nic użytecznego do powiedzenia.

– Wiem tylko – mówi – że wkłada się wąż do baku i zasysa.

Równie dobrze ślepy mógłby prowadzić kulawego.

Po czterech nieudanych próbach i ustach pełnych benzyny Jacqui ciska rurkę na ziemię, zrzekając się tytułu królowej złodziei. Ja odruchowo zadaję sobie w myślach pytanie, czy poczuła pragnienie przełknięcia benzyny, której nabrała do ust, co przypomina mi o tym, jak bardzo chce mi się pić. Odkładam jednak te myśli na później.

Tymczasem każdy ma jakąś teorię na temat tego, dlaczego syfon nie działa. Rzecz w tym, że nasza wiedza w tej kwestii ogranicza się do tego, co widzieliśmy na lekcji fizyki w szkole i w filmach. Wszyscy mówią jedno

przez drugie, a ja orientuję się, że nie słyszałam dotąd ani jednego słowa z ust Garretta. Więcej, nie widziałam go od czasu pierwszej próby wyciągnięcia benzyny z baku.

– Garrett? – wołam.

Cisza. Odpowiada tylko szum wiatru.

Zaglądam do auta wujka. Obchodzę auto wujka. Biegnę z powrotem do tesli. Nic.

– Garrett!

Kelton daje znak, żebym nie zachowywała się tak głośno. Wiem, o co mu chodzi – złknięty głos dziewczyny jest jak krwawiąca rana w morzu pełnym rekinów – ale nie mam czasu na szukanie lepszej metody postępowania. Muszę znaleźć brata.

Bez zastanowienia wbiegam w labirynt samochodów. Wykrzykuję imię Garretta – tyle że szeptem, co oczywiście nie ma żadnego sensu. W głowie kłębi mi się od myśli. Autostrady są pułapkami, co Kelton skutecznie wbił nam do głów. Nawet jeśli nie jestem sama, to jeśli ktoś porwał Garretta, jego dobro przeważa nad wszelkimi innymi względami. Nie mogę okazywać strachu.

W pewnej chwili dostrzegam przed sobą dym unoszący się w powietrze. Ogień. Coś pali się w dalszej części autostrady. Wiem, że wszędzie zdarzają się pożary lasów, ale na autostradzie? Przełazę, przepycham się, ześlizguję – potykam się i upadam, ale nie zwalniam ani na moment. Teraz widzę już lepiej, co się dzieje.

Ognisko w kubie na śmieci. Wokół niego stoi kilkanaście osób.

I mają Garretta.

Kiedy Garrett miał pięć lat, wysiadł z jeepa w czasie przejażdżki po „safari” w zoo. Gdyby nie moja interwencja, zostałyby kopnięty w głowę przez żyrafę. Kiedy miał sześć lat, o mało co nie poszedł do obcego domu z jakimiś ludźmi, ponieważ ich dzieci miały fajniejsze zabawki. Jako dziewięciolatek oddalił się od nas w Ikei, postanowiwszy zdrzemnąć się

w łóżku w kształcie samochodu wyścigowego i zostać stałym mieszkańcem sklepu. Musiałam go odszukać, zanim mama i tata odkryją, co się stało, i wezwą gwardię narodową. Garrett lubi znikać, co więcej, zawsze robi to w najgorszym momencie, a ja z jakiegoś powodu zawsze czuję się odpowiedzialna. Tym razem jestem raczej przestraszona niż wściekła, ponieważ na własne oczy widziałam potwory – a spodziewam się, że zanim to wszystko się skończy, zobaczę jeszcze groźniejsze.

Stoi pośród obcych ludzi, którzy mogą być równie wrogo nastawieni jak ci, którzy obrabowali dom Keltona. Przesuwam wzrokiem po twarzach, by odczytać ich zamiary. Ludzie w różnym wieku. Zaraz potem Garrett uśmiecha się na mój widok.

– To właśnie ona... to moja siostra.

Serce łomocze mi wciąż z niepewności. W głowie kręci się od wysiłku. Wszystko przez odwodnienie. Zbliżam się ostrożnie do grupy ludzi – naprzeciw wychodzi mi kobieta. Siwe, opadające kaskadami włosy, delikatna cera. Jej oczy lśnią, ale tylko za sprawą odbijających się w nich płomieni.

– Witaj – mówi.

– Garrett, chodźmy – nakazuję bratu.

– Wszystko jest w porządku – zapewnia Garrett i podchodzi bliżej. – Poszedłem poszukać jakiegoś wiadra, no wiesz, żeby było do czego spuścić benzynę, ale się zgubiłem. Oni mnie znaleźli.

Odrobinę się uspokajam.

– Ty musisz być Alyssa – odzywa się przyjaznym głosem starsza kobieta.

– A ty? – pytam, nadal lekko zaniepokojona.

Dziewczynka niosąca zwinięte pasy materiału zatrzymuje się i mówi:

– Nazywamy ją Wodnym Aniołem.

Starsza kobieta uśmiecha się uprzejmie:

– Och, dajże spokój. Mam na imię Charity. Mocno na wyrost, ale co zrobić.

Trochę bardziej uspokojona przyglądam jej się dokładnie. Jest w wieku mojej babci, może koło siedemdziesiątki, choć wyczuwam w niej pewną młodość. Emanuje z jej sylwetki oraz z przenikliwego, żywego spojrzenia.

Jacqui, Kelton i Henry dobiegają na miejsce, ale zatrzymują się w pewnej odległości, niepewni, co się dzieje.

– Można powiedzieć, że tu mieszkamy – wyjaśnia Charity, zwracając się do nas wszystkich. – Przynajmniej przez jakiś czas.

Rozglądam się dokładnie i zauważam inne ogniska, rozmieszczone w wolnych przestrzeniach między samochodami. Nie przypominają niczym obozowiska bezdomnych, na które natknęliśmy się wcześniej. Tu ludzie wydają się pochodzić z różnych środowisk. Najwyraźniej uznali, że łatwiej przetrwać kryzys tutaj niż gdziekolwiek indziej.

Kelton kręci głową.

– Ale jesteście tu przecież całkowicie odsłonięci. Czy to nie jest niebezpieczne?

– Bywa – zgadza się Charity – ale znaleźliśmy sposób na to, żeby wszyscy byli bezpieczni i mieli co pić.

Wszyscy unosimy głowy na dźwięk ostatniego słowa.

Jacqui robi krok do przodu.

– Macie wodę?

– Woda jest wszędzie – odpowiada Charity z delikatnym uśmiechem. – Trzeba tylko wiedzieć, gdzie jej szukać. – Przesuwa wzrokiem po naszych ubraniach i prawdopodobnie orientuje się, jak bardzo jesteśmy wykończeni, emocjonalnie i fizycznie. – Może z nami zostanieie? – pyta. Widzi nasze wahanie i dodaje: – Waszemu bratu się tu chyba podoba.

– Miejsce wygląda w porządku – mówi Garrett. – W miarę bezpiecznie.

Mimo że „w miarę bezpiecznie” to chyba najlepsza opcja, na którą możemy teraz liczyć, Kelton pozostaje sceptyczny.

– Musimy dojechać w pewne miejsce – mówi.

– W takim razie przynajmniej przenocujcie. Robi się późno. Wyruszylibyście rano.

Kobieta odwraca się i odchodzi w stronę ogniska. Zostawia nas samych, żebyśmy mogli się naradzić.

Dyskusję otwiera Henry.

– Byłbym za tym, żebyśmy zostali. Wypoczęli. Napili się.

– Mamy w samochodzie cały karton ÁguaVivy – zauważam i uświadamiam sobie jednocześnie, że zostawiliśmy ją na pace pikapa, którego nikt w tej chwili nie pilnuje. – Moglibyśmy zamknąć wodę w aucie, przyjąć zaproszenie, a może nawet poprosić, żeby pomogli nam spuścić benzynę z tamtego samochodu. Potem byśmy odjechali.

– Tylko dokąd? – mówi Henry. – Z powrotem do tych paskudnych akweduktów, w których za chwilę znów się zgubimy?

– Teraz już wiemy, którądy jechać – protestuje Kelton. – Poza tym jesteśmy blisko.

Szałę w dyskusji przeważa Jacqui.

– Łatwiej będzie jechać akweduktami w dzień, co nie? Przyjmijmy zaproszenie Wodnej Anielicy i spędźmy tu noc. Nie musimy przecież przystępować do ich kultu.

Wszyscy przyznają, że będzie to najlepsze rozwiązanie. Nawet Kelton, który z założenia nie ufa nikomu ani niczemu.

Zostawiam ich, żeby porozmawiać z Charity, która gotuje wodę w garnku. Na pewno po to, żeby ją oczyścić.

– Dobrze, zostaniemy na noc – mówię. – Czy ktoś z was mógłby nam pomóc spuścić benzynę z baku?

– Oczywiście – odpowiada Charity, mrugając okiem. – Myślisz, że jak rozpaliliśmy ogniska?

– I może moglibyśmy napić się trochę wody, kiedy już ostygnie – mówi Jacqui, stając obok mnie.

Charity nie odpowiada, tylko podchodzi do nas i uważnie przygląda się twarzy Jacqui. Następnie bierze jej dłoń i ściska skórę kciukiem i palcem wskazującym.

– Ała! Co to, do diabła, miało znaczyć?

– Przykro mi, ale nie dostaniesz teraz wody – stwierdza Charity. – Twoja skóra nadal jest elastyczna, co oznacza, że nie jesteś w krytycznym stopniu odwodniona.

– Ona ma rację – mówi Kelton.

Jacqui posyła mu groźne spojrzenie i syczy: – Zdrajca.

Charity zerka na Garretta, który nadal woli siedzieć z jakimś dzieciakiem, którego przed chwilą poznał, niż z nami.

– Wiem, jak nieprzyjemne jest uczucie spragnienia, ale nie mogę wam z czystym sumieniem dać wody, ponieważ inni potrzebują jej bardziej. Możemy was za to nakarmić.

Jedzenie! Zapomniałam o jedzeniu. Na samą myśl zaczyna mnie skręcać w żołądku. Jestem głodna – choć jednocześnie trudno mi będzie cokolwiek przełknąć, ponieważ moje usta są wyschnięte i podrażnione. Nawet łyk wody kłuży mnie w gardło jak igły. Do tego dochodzi narastające ciśnienie w głowie. Jeżeli nie zasługuję teraz na wodę, wolę sobie nawet nie wyobrażać, jak musi się czuć człowiek w gorszym stanie.

– Pomożemy wam z samochodem, damy wam miejsce do spania i coś do jedzenia – mówi Wodny Anioł. – To powinno wam w tej chwili wystarczyć.

Odwraca się w stronę kilku mężczyzn o surowym wyglądzie, którzy grają w karty przy ognisku.

– Max? Potrafiłbyś im pomóc? Potrzebują benzyny.

– Jasne – odpowiada jeden z mężczyzn i wstaje. To prawdziwy olbrzym, ubrany w skórzany strój. Wygląda jak szef gangu

motocyklowego. W pierwszej chwili ogarnia mnie lęk, ale szybko się przekonuję, że nie należy nikogo oceniać po wyglądzie, ponieważ obecnie tylko jeden czynnik wpływa na zachowanie ludzi. W innych okolicznościach pewnie nie zaufałabym temu gościowi. Teraz mu ufam, bo wiem, że nie jest wodnym zombie. Jeszcze się w niego nie przemienił.

Nagle ogarniają mnie wyrzuty sumienia, że wątpiłam w zamiary tych ludzi.

– W zamian mam prośbę o pomoc z waszej strony – odzywa się Charity. – Wybieramy się niedługo na poszukiwanie zapasów. Kiedy Max będzie zajmował się waszym autem, kilkoro z was mogłoby się do nas przyłączyć.

– Ja pójdę – mówi Henry, robiąc krok do przodu.

– Ja też – dodaje szybko Garrett, idąc w jego ślady.

W pierwszej chwili chcę się zgłosić, żeby mieć oko na Garretta. Dopilnować, żeby się ponownie nie oddalił albo żeby coś mu się nie stało. Szybko się powstrzymuję. W ostatnim czasie Garrett nie narobił nam żadnych kłopotów. Może powinnam zapewnić mu trochę więcej swobody. Obdarzyć odrobinę większym zaufaniem. A jeśli sam chce się przyczynić do wspólnego dobra, to może nie powinnam odbierać mu takiej możliwości? Dlatego tłumię siostrzane obawy, proszę Garretta, żeby słuchał Charity, i dołączam do Jacqui, Keltona i wesołego motocyklowego olbrzyma, którzy wyruszają, żeby zatankować nasze auto.

Idziemy za Maxem do małej, białej furgonetki jakiejś firmy ogrodniczej, z której wyciąga czerwony plastikowy kanister na paliwo i wąż ogrodowy – dokładnie taki, jakiego wcześniej bez powodzenia szukaliśmy.

– Bardzo trudno jest przetoczyć benzynę bezpośrednio z jednego baku do drugiego. Dlatego potrzebujemy kanistra, żeby koniec węża na zewnątrz mógł być niżej. No wiecie, żeby zadziałała grawitacja.

– Grawitacja... – mruczy Kelton wyraźnie zirytowany, że sam tego nie wymyślił. Garrett wpadł na to instynktownie, ponieważ poszedł szukać

wiadra. Każdy z nas miał dziś okazję poczuć się jak idiota.

Wracamy zakosami do samochodu. Moje ciało zrobiło się ociężałe, przez co każdy kolejny krok wymaga większego wysiłku niż poprzedni. Chyba naprawdę widać, że jesteśmy wyczerpani, ponieważ Max sięga do kieszeni i wyciąga małe ciastko w plastikowym opakowaniu.

– Proszę. To MoonPie. Obecnie stanowi nasze podstawowe pożywienie.

– Dzięki – mówi Jacqui, rozdziera opakowanie i odgryza kawałek czekoladowej pianki. Żuje go przez chwilę, orientuje się, że ciastko jest dla wszystkich, niechętnie przełamuje resztę na pół i oddaje mi i Keltonowi.

– *Bon appétit*. Dwa dni temu znaleźliśmy całą ciężarówkę tych ciastek – mówi Max, po czym dodaje: – Pamiętam, jak kilka lat temu słyszałem o statku wycieczkowym, który gdzieś utknął. Zrzucali im z powietrza mielonkę w puszkach i tosty ze słodkim nadzieniem. Nie wiem jak wy, ale ja zdecydowanie wolę te ciastka.

– Jak długo już tu jesteście? – pytam. – Dwa dni?

– Trzy – odpowiada. – Do autostrady doszedłem dwa dni po rozpoczęciu Suchych Kranów. Miałem trochę trudniej niż większość ludzi, bo od lekarstw na nadciśnienie pocę się jak świnia. Szybko się odwodniłem, a nigdzie nie udało mi się znaleźć ani kropli wody. Zaszedłem na tę autostradę z myślą, że albo znajdę w końcu wodę, albo padnę. I padłem. Ale znalazł mnie Wodny Anioł. Charity dała mi wodę, a kiedy odzyskałem siły, przydzieliła mi różne zadania. Nie minęło wiele czasu, a zebrała się nas z dziesiątka. Zaczęliśmy wspólnie działać i troszczyć się o siebie.

– To trochę jak w komunie – zauważa Kelton.

– No tak, pewnie w coś takiego się przekształciliśmy. Każdy dysponuje jakimiś umiejętnościami. Okazuje się, że jestem dość przydatny – stwierdza z dumą.

– Ratujesz nam życie – mówię.

– Dziękuję, ale tym zajmuje się u nas lekarz – chichocze. – Inni zbierają zapasy. Wczoraj znaleźli na przykład ciężarówkę pełną prześcieradeł i poduszek.

Na sam dźwięk tych słów budzi się we mnie tęsknota za wygodnym łóżkiem.

– Kilka osób przez całą dobę stoi na straży – ciągnie Max. – To właśnie oni znaleźli twojego brata.

Docieramy do samochodu. Karton z ÁguaVivą na szczęście nadal leży na pace. Max kuca przy pobliskim hyundaiu i zaczyna spuszczać z niego benzynę, a kiedy ja zabawiam go rozmową, Kelton i Jacqui przenoszą wodę na tylne siedzenie. Ponieważ ÁguaViva nie należy do mnie, tłumię wyrzuty sumienia wynikające z ukrycia jej przed Wodnym Aniołem. Jest mi naprawdę głupio, ale jakoś to przeżyję. Kiedy indziej będę się zastanawiać, jak to o mnie świadczy.

Jacqui i Kelton pewnie najchętniej rozerwaliby karton – a przynajmniej mnie to chodzi po głowie – ale, jak powiedziała Charity, jesteśmy spragnieni, lecz jeszcze nie zdesperowani. Poza tym Kelton wbił nam do głowy, że zapasy na czarną godzinę powinno się przeznaczać na czarną godzinę. Nie opuszcza mnie jednak poczucie, że chwila desperacji zbliża się wielkimi krokami.

28) Henry

Wielokrotnie miałem okazję przekonać się, że starsi ludzie są albo niepoczytalni, albo roztropni. Wynik tego skomplikowanego równania zależy od ich życiowych doświadczeń, zaawansowania wieku, starych dobrych genów oraz poziomu ich ogólnego wkurzenia na świat. Wodny Anioł należy do kategorii roztropnych – to kobieta nad wiek mądra, co jest niemałym osiągnięciem, zważywszy na to, jaka jest stara. Odkryła genialnie prosty sposób pozyskiwania wody – źródło znajdowało się pod

nosem nas wszystkich, ale jest tak nieoczywiste, że większość ludzi mogłaby umrzeć z pragnienia kilka centymetrów od niego, i nawet o nim nie pomyśleć.

Płyn do spryskiwaczy.

Oczywiście nie prawdziwy płyn do spryskiwaczy, ale pojemniki, które znajdują się we wszystkich samochodach. Ludzie najczęściej trzymają w nich to niebieskie, bez wątpienia trujące paskudztwo, ale od czasu do czasu ktoś z lenistwa uzupełnia pojemnik zwykłą wodą. Kto by pomyślał, że podkategoria leniwych obywateli okaże się kiedyś dla nas zbawieniem? Wodny Anioł nie chce się z nami podzielić swoją wodą, ale sama wiedza nam wystarczy. Na zasadzie: wędka lepsza od ryby. W naszym samochodzie nie ma oczywiście ani wody, ani płynu do spryskiwaczy. Odkryłem to wcześniej, kiedy próbowałem wyczyścić szybę z owadów.

Zostajemy rozesłani w dwuosobowych zespołach, żeby przeszukać auta stojące w północnej części autostrady, w odległości niecałej połowy kilometra. Te bliższe zostały już przejrane. Towarzyszy nam dwóch dwudziestoparoletnich pękatych bliźniaków jednojajowych. Tweedle-głupi i Tweedle-głupszy. Do tego zrządzająca matka i jej milczące dziecko oraz para staruszków, którzy są małżeństwem od tak dawna, że każde z nich przekształciło się w bezpłciową wersję swojego partnera. Każdy zespół dostaje plecak, latarkę, wieszak i łom. Wiele samochodów jest zamkniętych, co oznacza, że nie będzie się dało zwolnić od środka zamknięcia maski. Wieszaków używamy do otwierania zamków, a jeśli to nie przynosi skutku, rozbijamy okna łomami.

– Nie niszczymy własności, która miałaby teraz dla kogokolwiek znaczenie – tłumaczy Charity, zanim wyruszamy. – Kiedy to wszystko się skończy, samochody prawdopodobnie i tak zostaną zepchnięte z autostrady przez buldożery.

Mimo że mamy wypatrywać rzeczy, które będą przydatne dla całej wspólnoty, mnie interesują również innego rodzaju przedmioty.

Zważcie, że kiedy ludzie uciekali w popłochu z autostrad, wydarzyło się coś niezwykle interesującego. Doszło do przewartościowania na ogromną skalę. Trochę jak w czasie krachu na giełdzie. Okoliczności zewnętrzne w połączeniu z psychologią tłumu doprowadziły do wytworzenia się sprzężenia zwrotnego dodatniego, które, o ironio, przyniosło tym ludziom ujemne skutki. Jedynym celem stało się przetrwanie, co oznaczało, że szybko rozstawali się z przedmiotami o dużej wartości, które się do tego bezpośrednio nie przyczyniały. Zegarki, biżuteria, pieniądze – nie uwierzylibyście, co można znaleźć w uchwytych na napoje i schowkach na rękawiczki. Tych rzeczy nie zostawiano celowo, a zwyczajnie o nich zapomniano, ponieważ przestawały być niezbędnie potrzebne. Jasne, w większości samochodów natykałem się na samo badziewie, ale udało mi się wypatrzyć kilka skarbów, które w przeciwnym razie zupełnie by się zmarnowały.

– Patrz, co znalazłem – mówi Garrett, zaglądając przez tylną szybę hatchbacka. Pokazuje mi torbę pieluch leżącą na tylnym siedzeniu. – Pamiętam, że przy ognisku siedziała kobieta z dzieckiem.

– Dobrze kombinujesz – mówię, ponieważ wartość przybiera najróżniejszą postać. – Ona to na pewno doceni – dodaję i przychodzi mi do głowy, że my wszyscy również.

Drzwi są oczywiście zamknięte, a wielokrotne próby otworzenia ich za pomocą wieszaka przynoszą mniejszy skutek niż w poprzednich sytuacjach.

– Chyba będziemy musieli po prostu rozbić okno – stwierdzam.

Na te słowa Garrett mimowolnie szelmowsko się uśmiecha. Ten uśmiech wiele mi mówi. Oznacza, że chłopak ma ochotę coś rozwalić, ale nigdy mu na to nie pozwalano. Pragnie swobody, tyle że nigdy nie

spuszczono go ze smyczy. Znam to uczucie i przychodzi mi do głowy, że jednym prostym gestem mogę zaoszczędzić mu wielu lat terapii.

Podaję mu łom.

– Ty to zrób – mówię.

Spogląda na mnie wystraszony.

– Jesteś pewien?

Wzruszam ramionami.

– Charity powiedziała, że mamy tego użyć, jeśli nie uda się inaczej dostać do środka, prawda? No śmiało, spróbuj.

Garrett unosi łom, znów się mimowolnie uśmiecha i wykonuje zamach w stronę okna. Szyba pęka przy pierwszym uderzeniu – nie towarzyszy temu huk, ale trzask przypominający raczej pęknięcie żarówki, a po nim rozlega się bębnienie o asfalt szklanych kostek. Jestem zaskoczony siłą, jaką Garrett włożył w uderzenie. Spodziewałem się, że pierwszy zamach wykona z nieśmiałością.

– Dobra robota! – chwale go. – Spróbuj inną.

Bez wahania odwraca się do stojącego za nami samochodu i uderza w najbliższe okno. Szyba roztrzaskuje się w drobny mak.

– Moja kolej – mówię. Zauważam mercedesa z ozdobą na masce. Wygląda dokładnie tak, jak auto buca, który pozwał nas za zbudowanie muru oporowego wchodzącego raptem pięć centymetrów na jego posiadłość. Zamachuję się na ozdobę. Spodziewam się, że wyleci w powietrze niczym piłeczka do golfa, ale ona odchyła się, po czym od razu powraca do pierwotnej pozycji. Psiakrew! Zapomniałem, że ozdoby w mercedesach są tak skonstruowane, żeby nie odłamywały się w myjniach samochodowych. Wykonuję kolejny zamach, ale z takim samym rezultatem. Garrett zaczyna się śmiać.

– Zrobiła cię w balona! – mówi.

– Tak? Co powiesz na to? – mówię i rozwalam boczne lusterko.

Niespodziewanie na horyzoncie pojawia się jeden z grubasków. W pośpiechu człapie w naszą stronę.

– Hej! – woła. – Mieliście szukać wody!

– Nie mogliśmy dostać się do środka – wyjaśniam. – Musiałem rozbić okno.

On zerka na wiszące boczne lustro.

– To nie jest okno.

– Wygląda na to, że spudłowałem.

Garrett chichocze, a grubasek spogląda na mnie groźnie.

– Róbcie to, co macie robić! – napomina, po czym toczy się z powrotem w stronę brata, który od pięciu minut próbuje się ostrożnie dostać do jakiegoś buicka.

Odwracam się do Garretta i widzę, że uśmiecha się do mnie w sposób, w który nie uśmiecha się do siostry. Najwyraźniej nie miał nigdy starszego brata, a teraz obsadza mnie w tej wyjątkowej roli.

Opieram się o samochód i rzucam od niechcienia:

– Twoja siostra na pewno by mnie zabiła, gdyby zobaczyła, co robimy.

– Wielkie rzeczy – mówi i wyciąga rękę po łom, ale ja, jako zastępczy starszy brat, odsuwam go. Daję znak, że zabawa się skończyła. Przynajmniej na razie.

– Zabawne, że traktuje cię jak dzieciaka – mówię – mimo że to ty masz najwięcej dobrych pomysłów.

Spogląda na mnie lekko zdumiony.

– Naprawdę tak uważasz?

– No pewnie! Gdyby nie ty, nie znaleźlibyśmy akweduktu. Poza tym chyba dzięki tobie zetknęliśmy się z tymi miłymi ludźmi. Dzięki tobie spędzimy noc w bezpiecznym miejscu.

– No, może to i prawda.

– Każdy z nas ma jakiś talent. Twoim jest umiejętność dostrzegania rzeczy, których inni nie widzą.

Tak rzeczywiście jest i widzę, że zrobiłem mu przyjemność, bo zauważyłem – tak jak on – to, czego nie widzą inni. Ta krótka wymiana zdań zbliża nas do siebie. I służy określonemu celowi...

– Powiedz mi zatem – ciągnę – co jeszcze takiego zauważyłeś, co umknęło uwadze innych?

Zastanawia się przez chwilę, po czym odpowiada:

– Nie wydaje mi się, żeby Jacqui była taka okropna, jak sądzi Alyssa.

– Naprawdę? Dlaczego tak uważasz?

– Hmm, ona przypomina dziewczyny z drużyny piłkarskiej mojej siostry. Alyssa zawsze wygaduje na te, które uważa za zagrożenie. Dałbym głowę, że mogłyby z Jacqui zostać przyjaciółkami, gdyby nie były tak zafiksowane na tym, żeby się nawzajem nienawidzić.

Trafne spostrzeżenie. Do tego użyteczne. Jeżeli tylko uda mi się podtrzymać ich wzajemną niechęć, nie zwrócą się przeciwko mnie. A przynajmniej Alyssa się nie zwróci. Po tym, jak niemal zostawiłem Jacqui w centrum ewakuacyjnym, raczej nie uda mi się jej sobie zjednać. Ale może nie będzie to potrzebne.

– A Kelton? – pytam.

Garrett wybucha śmiechem.

– Jemu wystarcza, że siedzi w jednym samochodzie z moją siostrą. Kelton jest od zawsze na maksa zabujany w Alyssie!

Udaję zaskoczenie.

– Żartujesz!

– Nie, mówię serio. Kiedy chodzili do podstawówki, wrzucał celowo piłki do naszego ogrodu, a kiedy byli w ósmej klasie, przyłapałem go, jak podglądał ją przez kamerę swojego drona. Zapłacił mi dziesięć dolców, żebym się nie wygadał!

Może akurat nie taką informację próbowałem złowić, ale kiedy człowiek wyciągnie z wody but, nigdy nie wie, jaki skarb może się kryć w środku.

– Jak ją podglądał? – pytam.

Garrett siada na wielkiej pace pieluch i opowiada mi ciekawą historyjkę.

Wracamy do obozu mniej więcej godzinę później. Nie znaleźliśmy z Garrettem żadnych pojemników z wodą, pozostali mieli więcej szczęścia. Nie przychodzimy jednak z pustymi rękami – przynosimy inne wartościowe zdobycze: środki przeciwbólowe, w pełni naładowany głośnik Bluetooth, lornetkę i oczywiście pieluchy.

Charity podchodzi kolejno do wszystkich i sprawdza, kto najbardziej potrzebuje wody. Nasza paczka zostaje zaprowadzona do pięciu samochodów stojących tuż obok strzeżonego terenu. Tyłne siedzenia wyłożono prześcieradłami. Na każdej poduszce leży MoonPie. Obsługa jak w hotelu.

– Patrz, Garrett – mówi Alyssa. – Nie marzyło cię się zawsze łóżko w samochodzie?

Garrett nie wygląda na rozbawionego.

Jacqui wpatruje się w swojego batonika. Ma smak bananowy.

– Da się w ogóle strawić coś takiego bez wody? – mówi skwaszona. – Poza tym skąd mam wiedzieć, że nie umrę we śnie z pragnienia?

– Nie umrzesz – odpowiada Kelton. – Musiałabyś być w znacznie gorszym stanie. Najpierw czułabyś się coraz bardziej zmęczona, a tuż przed samym końcem nadszedłby nagły przypływ energii. To taki ostatni zryw organizmu. Dopiero potem byłoby po wszystkim.

– Wzięłabyś sobie na wstrzymanie, Kelton – mówi Jacqui, która nie ma ochoty rozmyślać o takich sprawach. – No naprawdę.

Wszyscy szykujemy się do nocy, ale jesteśmy zbyt wykończeni, żeby zasnąć, zresztą w takim upale sen i tak nie chce przyjść. Wydaje się, że w porównaniu z dniem temperatura spadła tylko o kilka stopni. Zdejmuję zdobyczną kurtkę i kładę ją na kolanach. Szkoda, że producent nie wpadł na pomysł, żeby użyć oddychającego materiału.

Zbieramy się na niewielkiej przestrzeni między samochodami, żeby się wyciszyć po dniu pełnym przygód. Ogień w kubłach dogasł, a księżyc oblewa wszystko niebieską poświatą.

– Zupełnie tego nie kapuję – odzywa się Jacqui. – Jak to możliwe, że ci ludzie nie rozszarpali się nawzajem na strzępy, jak w tych wszystkich miejscach, w których dotąd byliśmy?

– Stworzyli sobie system – mówi Alyssa. – Nie każdy to potrafi.

Czuję się w obowiązku ich oświecić.

– Komunizm sprawdza się tylko w teorii, ponieważ jest sprzeczny z naturą ludzką. To miejsce długo nie przetrwa.

– Nie musi – zauważa Alyssa. – Wystarczy, że będzie istniało do zakończenia kryzysu.

– Oni zwrócą się przeciwko sobie – mówi Jacqui. – Wszyscy prędzej czy później tak robią.

Alyssa posyła jej gniewne spojrzenie.

– Może wszyscy tacy jak ty.

– Naprawdę? Może mi jeszcze powiesz, że twoi sąsiedzi byli inni? Wydawali się porządnymi, przykładnymi obywatelami, dopóki nie zaczęli pożerać swoich dzieci.

Zerkam na Garretta, który odpowiada na moje spojrzenie i znacząco kręci głową. Jacqui i Alyssa zawsze muszą być przeciwnego zdania.

– Ludzie są do bani – wtrąca swoje trzy grosze Kelton. – Zawsze tacy byli i zawsze będą.

– Ja tak nie uważam – mówi Alyssa. – Nawet jeśli są gotowi na wszystko, żeby przetrwać, stają się inni, kiedy nie muszą się tym przejmować.

– Może czasami. A czasami nie – obstaje przy swoim Kelton. – Niektórzy zawsze są tacy i tylko udają cywilizowanych.

Przy tych słowach spogląda wprost na mnie. Nie jestem pewien, czy robi to celowo, ale tak czy inaczej poważnie mnie tym wkurza.

Jacqui w rozbawieniu uderza kolanem o kolano.

– Och, wygląda na to, że zgotowaliśmy sobie powtórkę sporu między Hobbesem i Rousseau.

Zaskakuje mnie, że Jacqui mówi coś takiego – zwłaszcza że nie do końca wiem, kim są Hobbes i Rousseau. Ale nie wiedzieć czegoś a przyznać się, że się czegoś nie wie, to nie to samo.

– Rzeczywiście, można tak na to spojrzeć – mówię – ale moim zdaniem obie się mylicie. Ludzie są rzeczownikami, a działania są czasownikami. Nie da się ich porównać.

– Tak jest, proszę państwa, znaleźliśmy naszego Machiavellego! – ogłasza Jacqui, jakby była prowadzącym teleturniej. Zaraz potem, równie niespodziewanie, jak wypaliła z tymi filozofami, wyciąga, Bóg wie skąd, pistolet. Pistolet. Najprawdziwszy. Cholera. Pistolet.

Wszyscy o mało co nie wyskakujemy ze skóry, ale ja chyba bardziej niż inni. Czy ona go miała cały czas przy sobie? Natychmiast przypomina mi się co najmniej dziesięć sytuacji, w których mogła mnie dziś zastrzelić – na przykład, kiedy wymierzyłem do niej z broni na kulki. Nie był to najlepszy z moich pomysłów.

– Schowaj, do cholery, mój pistolet! – mówi Kelton, co wzbogaca ten wybuchowy koktajl o kolejny smaczek. Czy on naprawdę powiedział, że pistolet jest jego?

Jacqui zupełnie go ignoruje, tylko wpatruje się z zachwytem w broń, wyraźnie nakręcona. Ożywiona.

– Wyjaśnij mi zatem, Henry, czy jeśli wpakuję ci kulkę w środek głowy i obryzgam twoim mózgiem Keltona i jego MoonPie, to będzie rzeczownik czy czasownik?

– Jacqui, schowaj go, zanim ktokolwiek zobaczy! – warczy Alyssa.

Ale Jacqui jeszcze bardziej się ożywia. Nie zamierza pozwolić, żeby ktokolwiek ją kontrolował. Wreszcie rozumiem, dlaczego Alyssa uważa ją za zagrożenie. Bo Jacqui rzeczywiście nim jest.

– No dalej, Henry – szydzi Jacqui. – Myślałam, że jesteś kapitanem szkolnej drużyny dyskusyjnej. A przynajmniej, że go udajesz. – Wymierza we mnie pistolet. – Przekonaj mnie, że nie jestem moimi działaniami. Że jeśli zrobię coś złego, to wcale nie oznacza, że jestem zła.

Mówię szybko, udając, że od przejścia w niebyt nie dzieli mnie pociągnięcie za cyngiel. Nie wiem, czy pistolet jest odbezpieczony. Do diabła, nie wiem już nawet, czy gdziekolwiek mogę się czuć bezpiecznie.

– Nie można by powiedzieć, że jesteś dobra albo zła, że słuszność stoi albo nie stoi po twojej stronie, ponieważ pojęcia są płynne i subiektywne, a taka ocena zależałaby od tego, czy zabicie mnie byłoby uzasadnione czy nie. Ale nie jest. Z całą pewnością nie jest!

Jacqui siedzi nieruchomo. Wszyscy pozostali również zamarli. Nikt nie chce się wtrącać, żeby przypadkowo nie spowodować jej do wystrzelenia z pistoletu. W końcu Jacqui cofa rękę i chowa broń z taką miną, jakby nagle straciła zainteresowanie.

– Nudziarz z ciebie – stwierdza. Bierze kolejny gryz ciastka i mówi z pełnymi ustami: – Zresztą straszne z was strachajła... W komorze nie było pocisku. Chociaż kto wie...

Sprawa jest jasna: spośród naszej piątki dwie osoby są bez wątplenia psychopatami. Będę musiał pozbyć się Keltona i Jacqui, jeśli chcę zająć należną mi pozycję lidera i ochronić Alyssę oraz jej brata.

29) Alyssa

Leżę na prowizorycznym łóżku z szeroko otwartymi oczami. A przynajmniej wydaje mi się, że są otwarte. Nie mam siły, żeby spać ani żeby nie spać. Przewracam się z boku na bok; na zmianę przysypiam i się wybudzam, pogrążona w delirium lęków, które prześladują mnie po obu stronach jawy. Myśli o Jacqui. Pistolectic. Rodzicach. Wymieszane z koszmarami na temat rabusiów wpadających na autostradę tak samo,

jak wpadli do domu Keltona – rabusiów pod wodzą Hali z drużyny piłkarskiej i jej matki, która ma teraz pięć metrów wysokości i kradnie wszystkim wodę. Potem z nieba zaczyna lać się krew. Pojawia się Kingston, który całą ją wychłęptuje. Deszcz przeradza się w odgłos pukania... Błyskawicznie otwieram oczy. To Henry. Stoi przy moim samochodzie i stuka w opuszczoną do połowy szybę. Nadal jest ciemno. Nie mam pojęcia, czy dopiero minęła północ, czy już zbliża się świt.

– Mówiłaś przez sen – wyjaśnia. – Słyszałem cię z mojego samochodu.

– Och. Przepraszam. – Prawdę mówiąc, cieszę się, że mnie obudził. Mimo całego zmęczenia. Wolę porozmawiać z nim, niż zmagać się z halucynacjami, więc otwieram drzwi, wysiadam i się przeciągam.

– Zauważyłaś, że pada śnieg?

– Co?

Rzeczywiście, wokół nas opadają powoli płatki śniegu. Ale przecież jest koło trzydziestu stopni. Świat wyraźnie stanął na głowie.

– Nie łap ich językiem – przestrzega Henry. – Wątpię, żeby były smaczne.

Chwytam jeden na dłoń i rozcieram go między palcami. To popiół.

– Pożary się nasiliły – mówi. – Płoną już lasy. Dość daleko na wschód od nas, ale wiatr Santa Ana przynosi popiół aż tutaj.

Rozglądam się i widzę, że na samochodach zaczyna się zbierać pokaźna warstwa szarego pyłu.

Opieramy się o bok mojego cadillaca i patrzymy na sypiący „śnieg”.

– Ale cisza – mówię. – Można prawie zapomnieć o tym, co dzieje się wokół nas.

– Wokół nas są tylko ludzie – zauważa Henry.

– Ludzie potrafią być potworami. Nie ma znaczenia, czy za sprawą swoich działań czy tego, jacy naprawdę są. Skutek jest taki sam.

Henry wzrusza ramionami, jakby go to nie obchodziło. Ciekawe, czy rzeczywiście podchodzi do tej sprawy z taką nonszalancją, czy też tylko

przy mnie ją udaje.

– Czasami trzeba być potworem, żeby przetrwać – mówi.

Kręcę głową, po czym krzywię się z bólu, który wzbiera z kolejnymi ruchami.

– Nigdy nie zamieniłabym się w takiego potwora – mówię. – Niezależnie od okoliczności.

On nie odnosi się do tego stwierdzenia, tylko łapie na dłoń „płatek śniegu” i przygląda mu się z uwagą przez dłuższą chwilę.

– Chciałbym cię przeprosić – odzywa się w końcu – że nie powiedziałem prawdy o tym, że nie nazywam się tak, jak wynika z napisu na mojej kurtce, ale tyle się wtedy działo, że nie wydawał się to odpowiedni moment.

Czym byłyby prawdziwe przeprosiny bez nieodłącznego „ale”? No, ale przynajmniej się stara. Postanawiam odpuścić temat. Wiem, że nie powinnam mu ufać, ale postanawiam, że to zrobię.

– Rozumiem. Obyczaj wymiany uprzejmości zniknął razem z wodą – mówię. – Nikt nie zachowuje się tak jak dawniej.

Uśmiecha się.

– Jesteś bardzo wyrozumiała.

Jego uśmiech wydaje się szczery. Odwracam wzrok. Ciekawe, czy w szarości księżycowej poświaty widać rumieńce.

– Bez przesady – odpowiadam. – Po prostu nie lubię chować urazy.

Co nie jest do końca prawdą. Chowam wiele uraz, ale teraz byłaby to strata cennej energii.

– Moim zdaniem jesteś wyrozumiała – upiera się. – Pozwoliłaś mi zabrać się z wami, mimo że i tak odzyskałaś samochód wujka. Wygląda też na to, że jesteś coraz bardziej gotowa, żeby wybaczyć Jacqui... no, to, jaka jest. Wybaczyłaś nawet Keltonowi tę całą historię z dronem.

Ostatnia część przykuwa moją uwagę.

– Co?

– No wiesz. Jak podglądał cię przez okno za pomocą drona.

Tyle że ja wcale nie wiem. Nie mam pojęcia, o czym mówi. Robi mi się niedobrze.

– Kto ci o tym powiedział?

– Garrett wspomniał o tym mimochodem. Ale, proszę, nie miej mu tego za złe. Mówię o tym tylko dlatego, żeby lepiej uzasadnić tezę o twojej wyrozumiałości. – Wyszczерza zęby. – Udawałem przecież kapitana szkolnej drużyny dyskusyjnej.

Tyle że ja w tej chwili nie mam ochoty na żadną wyrozumiałość. Czuję się głupio. Ogarnia mnie wstyd. Naruszono moją prywatność. Moja twarz musiała mocniej się czerwienić, ponieważ Henry mówi:

– Zaraz... to nie wiedziałaś?

Dlaczego to ja mam się czuć zawstydzona? To Kelton jest zbokiem! Bez zastanowienia zostawiam Henry'ego pod moim samochodem i pędzę do Keltona leżącego w jego głupim hatchbacku. Łomoczę w drzwi, a potem kopię je tak długo, aż pojawia się ta jego idiotyczna ruda łepetyna. Otwiera drzwi.

– Co? O co chodzi? Co się dzieje?

– Dobrze się bawiłeś, Kelton? – warczę. – Dobrze? Fajną miałeś zabawę? Lepszą niż się spodziewałeś?

Zdaję sobie sprawę, że w obecnej sytuacji nie jest to najważniejsza sprawa, ale taka się wydaje. Wydaje się megaważna.

– Co? O czym ty mówisz? – wyjąkuje, gramoląc się z samochodu.

– Czy podglądałeś mnie za pomocą drona? Odpowiadaj!

Waha się. To mi wystarczy za odpowiedź. Popycham go na auto.

– Ty! Wredny! Śmierdzący! Zboczeńcu!

– Alysso, to było w ósmej klasie!

– Bycie patentowanym DUPKIEM się NIE przedawnia!

– Zrobiłem to tylko raz!

– Nie ma znaczenia, ile razy to zrobiłeś! Wystarczył jeden raz!

– Alysso...

– Nie waż się nawet wymawiać mojego imienia – krzyczę do niego. – Nie waż się o nim nawet myśleć! Nigdy!

Oddalam się szybko, ponieważ wiem, że jeśli zostanę tam choćby chwilę dłużej, będę nadal krzyczeć i obudzę połowę ludzi, którzy przybiegną zobaczyć, co się dzieje, a ja nie mam ochoty jeszcze bardziej upubliczniać tej sprawy. W mojej głowie ścierają się sprzeczne myśli. Chętnie odłożyłabym sprawę na później i zajęła się nią po zakończeniu kryzysu. Jego brat nie żyje. Przed nami kolejne śmiertelnie niebezpieczne wyzwania. Ale jednocześnie nie zamierzam pozwolić, żeby ktokolwiek mnie uciszał albo ignorował. To powinna być normalna reakcja: nie wolno pomijać milczeniem takich niedopuszczalnych czynów tylko dlatego, że mamy poważniejsze sprawy na głowie. Niezależnie od okoliczności mam pełne prawo odczuwać to, co odczuwam!

Wracam do samochodu. Chce mi się pić, jestem wściekła i dochodzę do wniosku, że chyba jednak wolałabym się zmagać z koszmarami sennymi niż z tym wszystkim.

Henry pojawia się w oknie.

– Alysso, przepraszam. Nie chciałem cię rozzłościć...

– Ale ci się udało! – warczę. Od razu robi mi się głupio, że tak go potraktowałam. Mówię więc nieco łagodniejszym tonem: – Wiem, że nie powinno się winić posłańca, ale trudno tego nie robić.

– Rozumiem. – Kładzie dłoń na klamce. – Mogę wsiąść?

Przez chwilę nawet zastanawiam się, czy nie odpowiedzieć „tak”, ale w tej chwili wolałabym, żeby żaden przedstawiciel ludzkości nie zbliżał się do mnie na odległość kija.

– Do zobaczenia rano – mówię.

– Jasne. Śpij dobrze.

Oboje wiemy, że nie ma na to żadnych szans.

Część czwarta. Schron

Alyssa się do mnie nie odzywa, Garrett unika mojego spojrzenia, a Jacqui chyba uważa całą sytuację za zabawną.

Henry w milczeniu siedzi za kierownicą, wyraźnie z siebie zadowolony.

Garrett wygadał się Henry'emu, a ten natychmiast uczynił ze zdobytej wiedzy oręż przeciwko mnie. Oddaję się rozmyślaniom nad wszystkimi bolesnymi chwytami, które zastosuję przeciwko temu bubkowi, kiedy dotrzemy do schronu. Mógłbym zwichnąć mu drugie ramię, złamać rękę, wybić kopniakiem rzepkę w kolanie. Dobrze wiem, jak należy wykonać każdy z tych ataków, i w zasadzie jestem pewien, że potrafiłbym go przeprowadzić w praktyce. Niech tylko da mi powód. Obnażenie prawdziwej natury tego młokosa przed Alyssą w zupełności by wystarczyło, ale w tym wypadku płacę za własne przewinienia. Mimo najszerszych chęci nie mogę wykonać żadnego ruchu przeciwko Henry'emu, dopóki nie okaże się on, zgodnie z moimi podejrzeniami, jednoznacznym i bezpośrednim zagrożeniem. Nie zamierzam jednak działać pod wpływem emocji. Zwłaszcza że Alyssa ufa mu teraz znacznie bardziej niż mnie.

Minęła godzina od opuszczenia małej autostradowej komuny Charity. O świcie wysprzątailiśmy zajmowane przez nas samochody. Poskładaliśmy i zwróciliśmy pościel. Składanie prześcieradła sprawiło mi prawdziwą przyjemność. Czułem, że robię coś przyzwoitego. Zabawne, że dawniej był to najmniej lubiany z moich obowiązków. Pożegnaliśmy się z ludźmi, z którymi zaprzyjaźniliśmy się w czasie krótkiego pobytu w obozie, na przykład z Maxem, pomocnym motocyklistą. Wodny Anioł dał nam na pożegnanie trochę piankowych ciastek, a potem uścisnął każde z nas.

Z jakiegoś dziwnego, dziecinnego powodu nie chciałem, żeby Charity wypuściła mnie z ramion.

Wiem, że Alyssa nie chciała stamtąd wyjeżdżać. Byłem zaskoczony, że nie zdecydowała się zostać, choćby po to, żeby mieć mnie z głowy. Mogła przecież liczyć, że dostanie tam wodę. Przynajmniej, kiedy się mocno odwodni. Może nie potrafiła pogodzić się z tym, że dotrę do schronu i napiję się wcześniej niż ona. A może nie chciała rozstawać się z Henrym. Dlaczego miałbym poprzestawać na złamaniu mu kończyny? Mógłbym wbić nasadę dłoni w jego nos, wpychając mu kość nosową do mózgu.

Musieliśmy przenieść karton z ÁguaVivą na pakę, żeby wszyscy zmieścili się w kabinie, co było o tyle trudne, że nie chcieliśmy wzbudzać podejrzeń. Odbyliśmy krótką dyskusję, czy nie należałoby wyjąć dwóch butelek i wypić ich od razu – na tym etapie nawet ja byłbym za – ale nie dało się otworzyć kartonu bez ujawniania Charity i jej wesołej kompanii, że mamy wodę.

– Dobrze wiecie, co się stanie, jeśli się o tym dowiedzą – powiedziała Jacqui. – Charity oświadczy, że woda jest własnością wspólnoty, i rozdzieli ją między swoich sługusów, a my pożegnamy się z naszą rezerwą.

Spodziewałem się, że Alyssa zacznie się w tej sprawie sprzeczać, jako że ona jedyna z nas ma w sobie tyle altruizmu, żeby dopuszczać takie rozwiązanie. Ale nawet ona milczy. Może gniew na mnie kieruje teraz do całego świata.

Ustalamy, że przystaniemy po drodze i otworzymy karton, ale na razie jedziemy, bo Henry zwyczajnie nie zgadza się na postój.

– Prawie dojechaliśmy na miejsce. Po co teraz stawać? Wytrzymamy wszyscy jeszcze godzinę, prawda?

– Jasne, możemy poczekać – mówi Garrett, który przez naszą nieuwagę niespodziewanie zamienił się w przydupasa Henry'ego.

A ponieważ nikt nie chce wykazać się mniejszą samokontrolą od dziesięciolatka, wszyscy się zgadzamy.

– Ale jeśli to potrwa dłużej niż godzinę, będę cię kopać w głowę tak długo, aż zatrzymasz samochód i pozwolisz nam się napić – oświadcza Jacqui. Sam najchętniej zacząłbym go kopać w głowę od razu, ale zatrzymuję tę kontrowersyjną myśl dla siebie.

Wyglądam przez okno. Wszędzie zalega mgła, gęsta i żrąca. Całą południową Kalifornię spowił dym z pożarów. Dzień wstaje zaognionym szkarłatem, a słońce – które weszło na tyle wysoko, że wychyla się zza gór – jest rdzawoczerwone i przypomina raczej krwawy księżyc.

Dziś rano nie słuchamy muzyki. Przełączyliśmy się z radia satelitarnego na zwyczajne. Większość stacji zamilkła albo nadaje komunikat alarmowy. W rezultacie wszędzie leci to samo. Większość informacji już znamy. Centra ewakuacyjne są zapełnione – ludzie trafiają bezpośrednio do placówek rezerwowych i tak dalej.

Mimo to słuchamy dalej, ponieważ muszę dowiedzieć się więcej na temat pożarów lasów. Trzy wybuchły daleko na wschód od nas – jeden z nich całkowicie blokuje drogę do jeziora Big Bear. Dwa szaleją w Castaic, ponad osiemdziesiąt kilometrów na zachód od nas. W każdej chwili mogą odciąć dojazd do jeziora o tej samej nazwie milionom mieszkańców Los Angeles.

W jednej z relacji mowa o pomocy, która ma dziś dotrzeć na plażę, ale nie sposób powiedzieć, jak skuteczna okaże się kolejna próba. Wyobrażam sobie drugą wojnę światową i siły aliantów lądujące na plażach Normandii – tyle że z wodą, a nie z bronią. Przygotowanie takiej operacji zajęłoby wiele miesięcy. Cokolwiek zostało zaplanowane na dziś, z pewnością nie zaspokoi potrzeb.

– Jeżeli na plaży ma się pojawić woda, to może powinniśmy pojechać w tamtą stronę? – mówi Henry. Nie ma pojęcia, przez co wcześniej przeszliśmy.

– Po prostu jedź – mówi Alyssa. Ona z kolei nie ma ochoty na wyjaśnienia.

Dnem akweduktu przemieszczamy się tylko przez pół godziny, potem z niego wyjeżdżamy i podążamy drogą biegnącą wzdłuż podnóża gór, na szczęście przez tereny na tyle odludne, że nie musimy się obawiać blokad. W końcu natykamy się na tablicę z napisem: WJEŹDŹACIE DO ANGELES NATIONAL FOREST. Pod spodem umieszczono czerwony napis: RYZYKO POŻARU: WYSOKIE. To ci dopiero nowina.

Wygląda na to, że wcześniej jednak znajdowała się tu blokada – pozostały po niej pomarańczowe słupki i plastikowe bariery – ale teraz stoją na poboczu, a w okolicy nikogo nie ma. Najwyraźniej żołnierze byli potrzebni gdzie indziej. Jedziemy dalej, droga robi się kręta.

– To już niedaleko – informuję wszystkich. – Jakieś piętnaście kilometrów dalej powinniśmy wypatrywać po lewej stronie drogi gruntowej. Jedź powoli, łatwo ją przegapić.

– Boli mnie głowa – obwieszcza Garrett. Zupełnie jakby dotyczyło to tylko jego.

– To od dymu – wyjaśnia mu Alyssa, choć to pewnie raczej odwodnienie. – Jestem pewna, że w schronie są środki przeciwbólowe.

– Są – informuję ją, ale ona nie reaguje na moje słowa w najmniejszy sposób. Obrzydza ją sam fakt, że jedzie ze mną samochodem. Pewnie czułbym to samo. Oczywiście gdyby było na odwrót – gdyby to ona zaglądała za pomocą drona przez okno mojego pokoju – byłbym zachwycony. No, chyba że roześmiałyby się na mój widok. Ale nie, jednak czułbym się równie paskudnie. Powinienem pewnie pozwolić jej sprać mnie na kwaśne jabłko, żebyśmy mieli tę sprawę z głowy. Ale w naszej sytuacji pranie kogokolwiek na kwaśne jabłko nie jest priorytetem. Robi mi się głupio na myśl, że się tym przejmuję. Moje upokorzenie nijak ma się do sytuacji, z którą przyszło nam się zmierzyć. A jednak w mojej przygłupiastej głowie pojawiają się takie myśli. Kretyn.

– Czy to jest droga, której szukamy? – pyta Jacqui jakieś piętnaście minut później.

– Tak – odpowiadam, choć, prawdę mówiąc, nie jestem całkowicie pewien. Ale to się szybko wyjaśni. – Skręcaj.

Henry zjeżdża z asfaltowej drogi na wąską drogę gruntową. Samochód z ledwością mieści się między drzewami, a droga jest wyboista. Zawieszenie niweluje najgorsze wstrząsy, ale i tak chwilę potem mam dość. Mózg obija mi się o ściany czaszki. Garrett jęczy i prosi Henry'ego, żeby nie jechał za szybko, choć przecież i tak się wlecemy.

– Czego szukamy? – pyta Henry.

– Przejedziemy przez grzbiet i zjedziemy w dolinę – tłumaczę. – Po jakimś czasie natkniemy się na wyschnięte, skaliste koryto. Skręć tam w prawo i jedź korytem przez jakieś trzy kilometry.

– I wtedy go zobaczymy?

– Nie – odpowiadam. – Na tym polega idea schronu.

Dziesięć minut później dojeżdżamy do koryta, a ja skrycie oddycham z ulgą, ponieważ oznacza to, że wybraliśmy jednak dobrą drogę. Henry skręca w prawo i jedziemy dalej po kamieniach. Próbujemy omijać większe głazy i rowy. W końcu dostrzegamy wywrócony pniak z czerwoną wstążką między martwymi, sękatymi korzeniami. Wstążka nie zaczepiła się tam przypadkiem, tylko została przywiązana. Zostawiliśmy ją jako oznaczenie.

– Zatrzymaj się – nakazuję Henry'emu. – Jesteśmy na miejscu.

Wysiadamy z samochodu, a ja wyprowadzam wszystkich po zboczu koryta do lasu. Sto metrów dalej się zatrzymuję.

– To tu – obwieszczam.

– Niby co? – pyta Jacqui. – Nie widzę niczego poza masą drzew.

– Schron jest pod ziemią? – pyta Garrett.

– Nie.

Nie wyjaśniam nic więcej, tylko czekam, ciekawy, kto pierwszy go zauważy.

Alyssa odzywa się pierwsza. Obstawiałem, że tak będzie. Wydaje zduszony okrzyk i wyciąga rękę.

– Tam! – mówi. – Jest pokryty lustrami!

Rusza biegiem do przodu, a my podążamy za nią. Im bliżej się znajdujemy, tym iluzja staje się słabsza, choć tylko dlatego, że szkło się zabrudziło.

Nasz schron ma postać małej piramidy, której pokryte lustrami ściany odbijają wyższe partie drzew, a nie ludzi, którzy mogliby się zbliżyć. Jest to niezwykle profesjonalny kamuflaż.

– Nagle zaczynam darzyć uwielbieniem twoją mocno powaloną rodzinę – stwierdza Jacqui.

Podobnie jak w domu, także i tu znajduje się ukryty klucz. Spoczywa w dziurze po sęku, niemniej znalezienie odpowiedniego drzewa zajmuje mi kilka minut, a przez kolejne dwie grzebię w dziurze. Wypędzam stamtąd pająka i kilka innych nieprzyjemnych stworzeń, które się tam zadomowiły. W końcu wyciągam klucz.

Zmierzam triumfalnym krokiem w stronę drzwi, również pokrytych lustrem i wsadzam klucz do zamka.

– Witajcie w Zamku McCrackenów! – obwieszczam.

31) Jacqui

Ile żywotów zaliczyłam od czasu zamieszek na plaży? Jestem przyzwyczajona, że moje życie zmienia się w mgnieniu oka, ale od rozpoczęcia Suchych Kranów każda chwila jest zagrożeniem. Moje obecne wcielenie nie przypomina żadnego z wcześniejszych, a pustka, która mnie nieustannie prześladowuje, zamieniła się w ruchomy cel. Straciłam zupełnie wyczucie kierunku.

Ale teraz przestaje mnie to obchodzić. Marzę o jednym – o tym, żeby się porządnie napić. Woda nie musi być nawet zimna. Wystarczy, żeby była płynna.

Nasza przypadkowa zbieranina dzieciaków ocalałych z katastrofy stoi przed schronem rodziny Keltona, który celebruje moment otwierania drzwi.

– Witajcie w Zamku McCrackenów!

– Wpuść nas wreszcie do środka – mówi Garrett.

Kelton w końcu przekręca klucz i otwiera drzwi na oścież.

Ładny mi Zamek McCrackenów! Schron chyba poszedł się gdzieś schronić. We wnętrzu panuje chaos. Na podłodze leżą puszki, wszędzie walają się ubrania. Tu i ówdzie widać puste pudełka po płatkach śniadaniowych. Schron jest niewielki, ale wydaje się jeszcze mniejszy z powodu bałaganu. Wygląda to tak, jakby niedźwiedź wślizgnął się do środka przez dziurkę od klucza.

– Coś jest nie tak... – mówi Kelton. – Nie zostawiliśmy schronu w takim stanie...

– Kiedy ostatni raz tu byliście? – pyta Henry, przyglądając się łyżce z resztkami masła orzechowego.

– Z rok temu? – mówi Kelton takim tonem, jakby zadawał pytanie, a nie udzielał odpowiedzi.

Wygląda na to, że jako jedyna mam odwagę powiedzieć na głos to, co wydaje się oczywiste.

– Ktoś się włamał.

Kelton kręci głową.

– Nie ma żadnych śladów. Zamek był nienaruszony, wewnątrz nie zostało splądrowane.

– Wygląda na splądrowane – zauważa Garrett.

– Tak – przytakuje Kelton – ale nie w taki sposób, jakby to zrobił włamywacz.

Otwiera drzwi do sypialni. Dwa łóżka. Jedno zasłane, drugie rozgrzebane. Na podłodze komiksy.

Kelton wygląda, jakby miał wyskoczyć ze skóry.

– Nie! – woła. – Nie, nie, nie, nie, nie!

Zawraca, przepycha się między nami i wpada do kuchni. Gorączkowo otwiera szafki. Są niemal puste.

– Nie, nie, nie, nie, NIEEEE!

Pada na kolana, podnosi klapę w podłodze i wskakuje do otworu. Przyglądamy się w milczeniu jego panice. Nie chcemy pogłębiać jej swoją. Kelton miota się pod ziemią. Słyszę zgrzyty butelek – kilka z nich Kelton wyrzuca na górę. Zaglądam przez otwór i widzę mnóstwo plastikowych butli. Puste. Wszystkie puste.

– Jeżeli nie doszło do włamania, to co tu się stało? – pytam.

– Mój brat się stał! – mówi Kelton z takim cierpieniem w oczach, że odwracam wzrok. – To tutaj Brady ostatnio mieszkał! Wiedzieliśmy, że stracił pracę i wypiął się na współlokatorów. Sądzieliśmy, że zamieszkał u dziewczyny. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że mógł przyjechać tutaj. No, ale wiedział, że są tu jedzenie i woda. Było tego tyle, żeby przeżyć co najmniej kilka miesięcy...

Uświadamiam sobie, że najważniejszym słowem jest tu „było”. „Było” wyznacza różnicę między ocaleniem a śmiercią.

32) Alyssa

„To nie koniec świata”, przekonuję się w myślach. „To tylko drobna przeszkoda”. Jakże się teraz cieszę, że Henry tak się upierał, żeby nie otwierać kartonu z ÁguaVivą. Mimo wszystkich sił zaangażowanych w pomoc dla południowej Kalifornii minie sporo czasu, zanim dostawy wody zaspokoją zapotrzebowanie. ÁguaViva pozwoli nam przetrwać ten czas. Niektórzy ludzie – tak naprawdę wielu ludzi – nie wytrzymają tak

długo, ale my nie będziemy jednymi z nich. Dzięki Henry'emu. Tak bardzo chciał zostać bohaterem. Teraz nim jest.

Kelton nerwowo przetrząsa podziemny schowek, wyciąga wszystkie butle, wypatrując w nich choćby kropli wody. Wszystkie jednak są otwarte, więc jakiegokolwiek resztki wyparowały dawno temu.

– Nie mogę uwierzyć, że Brady tak postąpił – lamentuje. – Jak mógł? Wie, że nie powinien.

– Wiedział, że nie powinien – poprawia go Jacqui, a ja uderzam ją na tyle mocno, że zarabiam ostrzegawcze spojrzenie, na które odpowiadam równie srogim. Czy zapomniała już, w jak koszmarnych okolicznościach zginął Brady? A może jest tak bezduszna, że nic jej to nie obchodzi?

Jacqui zagląda do spiżarni i zaczyna wyciągać styropianowe kubki z zupkami błyskawicznymi.

– Przynajmniej nie zabraknie nam ramenu o smaku kurczaka – mówi. – Wystarczy tylko zalać wrzątkiem...

Kelton wydaje z siebie jęk.

Odwracam się do Henry'ego, który przez cały czas zachowuje nietypowe milczenie. Posyła mi zboląły uśmiech, a ja próbuję odwzajemnić się takim, który nie wyglądałby zbyt sztucznie.

– Alkaliczna woda mineralna o smaku jagód goji wydaje się nagle naprawdę miłą perspektywą – mówię.

– Prawda? – odpowiada, tłumiąc uśmiech.

– Kelton, daj sobie spokój – mówi Jacqui. – Schron nie wypalił. Wracamy do auta.

Kelton się waha. Przegląda jeszcze raz pojemniki po wodzie, jakby spodziewał się, że odkryje w nich coś poza powietrzem. W końcu daje za wygraną. Wyłazi ze schowka i rozkopuje z frustracją butle. Wydają przygnębiający dźwięk, jak przytłumione dzwony kościelne. Kiedy wychodzimy, nie zamyka nawet za sobą drzwi. Po co miałby to robić?

Wracamy do samochodu, który czeka na nas przy przewróconym pniaku. Jacqui wskakuje na pakę i rozpycha znajdujące się tam rzeczy, żeby odsłonić karton. Podnosi go i stawia przed nami. Narożniki są lekko nadgniecione, ale poza tym wydaje się nienaruszony. Jacqui próbuje rozciąć taśmę paznokciami, ale ta jest za gruba, poza tym karton został nią owinięty wielokrotnie.

– Czy ktoś ma scyzoryk? – Jacqui odwraca się do Keltona. – Może ty, mały survivalowcu?

– W schronie mamy wiele noży – mówi Kelton, ale żadne z nas, a zwłaszcza Jacqui, nie ma ochoty czekać tak długo.

– Przyniosę jakiś – zgłasza się na ochotnika Henry, ale zostaje przegłosowany.

– Daj sobie spokój – mówi Jacqui i wyciąga w jego stronę rękę. – Poproszę kluczyki.

Henry cofa się, jakby zobaczył w jej pustej ręce broń, ale Jacqui uporczywie porusza palcami. Chyba wiem, dlaczego Henry nie chce jej oddać kluczyków. Kiedy trafią w jej rękę, już nigdy ich nie odzyska. W końcu jednak daje za wygraną. Ciekawi mnie, dlaczego sam nie zabrał się do otwierania kartonu – w końcu to jego woda. Ta myśl wylatuje mi jednak z głowy, zanim zdążę się nad nią poważniej zastanowić.

– No dalej! – mówi Garrett. – Pośpiesz się!

Jacqui stęka z frustracji.

– Co za idiota owinął karton tyle razy?

W końcu udaje jej się wyciąć w taśmie odpowiednio duży otwór. Wsuwa w niego dłoń i rozrywa górną klapę kartonu. Spogląda do środka i zamiera. Zamiast sięgnąć i wyciągnąć butelki z wodą, wpatruje się w zawartość pudła.

– To chyba jakieś żarty! – mówi. – Niemożliwe!

– Co? – pytam. – Co się stało?

Zamiast odpowiedzieć, przewraca karton, z którego wysypują się setki lśniących broszurek.

„Água Viva! Elegancki sposób na nawodnienie!”

Zdjęcia ze szczupłymi, szczęśliwymi ludźmi w czasie joggingu. Lśniące górskie źródło, na którego widok moją duszę ogarnia pragnienie, żeby znaleźć się na tym zdjęciu.

Na widok ulotek przechodzi mnie dreszcz. Dokładniej mówiąc, zderzam się z koszmarną rzeczywistością, a jednocześnie wiem, że nie do końca pojmuję jeszcze jej wszystkie konsekwencje. Wkrótce to do mnie dotrze. Myślę o pustych butlach w schronie. Potem przed oczami stają mi ludzie stłoczeni za ogrodzeniem na szkolnym boisku, tak spragnieni wody, że w mgnieniu oka sprzedaliby za nią własną duszę. Przypominam sobie pośpiech w centrum ewakuacyjnym po tym, jak Henry oddał karton za kluczyki do samochodu. Chciał stamtąd odjechać możliwie najszybciej. Zanim żołnierz otworzy karton. Dociera do mnie, że to nie jest tragiczna pomyłka. Henry wiedział. Wiedział od początku. Nie dziwi mnie zatem zupełnie, kiedy Garrett mówi:

– Henry zniknął!

33) Henry

Człowiek powinien mieć w każdej sytuacji przygotowane wyjście awaryjne. Miałem tego świadomość od zawsze – co więcej, stosowałem tę zasadę w praktyce – ale w tym konkretnym przypadku rozwój wydarzeń zaskoczył mnie w stopniu godnym pożalowania. Nie przeszło mi przez myśl, że schron okaże się niewypałem, bo choć nie znoszę psychorudzielca, wierzyłem, że uchroni nas przed najgorszym. Teraz mam za swoje.

W idealnym świecie nie zaistniałby powód, żeby otwierać karton. Stałby się on czymś w rodzaju słynnego kota Schrödingera. Dopóki

pozostawał zamknięty, w środku rzeczywiście mogła się znajdować woda – przynajmniej z perspektywy pozostałych. A kto powiedział, że ich rzeczywistość jest mniej realna od mojej?

Po otwarciu kartonu straciło to jakiegokolwiek znaczenie. Gdybym wykazał się przytomnością umysłu, wymknąłbym się i pobiegł do auta w chwili, gdy okazało się, że w schronie nie ma wody. Powinienem był porzucić wszelką nadzieję na tytuł wybawcy tej feralnej paczki, pogodzić się ze stratami i wycofać. Ale się zawahałem. I za to zawahanie słono zapłaciłem.

Teraz jestem skazany na tułaczkę po lesie – bez samochodu, dręczony koszmarnym pragnieniem. Pamiętam drogę, którą przyjechaliśmy. Wiem, jak daleko znajduje się cywilizacja, jeżeli można w ogóle jeszcze o czymś takim mówić. Mam prosty plan. Wrócę do Charity i jej komuny na autostradzie. Stanę się niezastąpionym członkiem wspólnoty i otrzymam w zamian tyle wody, żeby przeżyć. Czeka mnie długa, trudna wędrówka, a choć zaczynam powątpiewać, czy dotrę do celu, muszę przynajmniej spróbować. Wszystko zależy od naszej tolerancji ryzyka, a w tym niepewnym świecie nie pozostaje mi nic innego, jak je podjąć.

Zanim udaje mi się dotrzeć z powrotem do drogi, zostaję nagle powalony na ziemię. W pierwszym odruchu sądzę, że zaatakował mnie niedźwiedź, ale zaraz potem uświadamiam sobie, że jest to coś znacznie gorszego.

34) Kelton

Ludzie salwujący się ucieczką nie postępują zwykle w najmądrzejszy sposób. Przykład: Henry nie-Roycroft. Od samochodu oddalał się po linii prostej, zbiegając w dół wyschniętego koryta. Ale żeby powrócić na drogę, którą przyjechaliśmy, po dotarciu na grzbiet niewielkiego wzniesienia musiał skrócić w prawo, dlatego – jak podczas polowania na

małe czworonożne zwierzę – dokonałem triangulacji trasy jego ucieczki i pobiegłem przeciwprostokątną.

Obtarłem sobie mocno palce przy powalaniu go na ziemię, ale to dobra odmiana bólu. Pomaga mi skupić gniew na odpowiednim obiekcie.

Dociskam go do ziemi kolanem wbitym w wyrostek mieczykowaty, przez co trudno jest mu oddychać, a jeszcze trudniej się poruszyć. Szybko zaciskam kciuk i palec wskazujący wokół tchawicy. Widziałem ten chwyt na filmikach instruktażowych, więc znam go od strony teoretycznej, muszę jednak przyznać, że w praktyce wygląda to inaczej, niż się spodziewałem. Tchawica nie jest nieruchoma, ale wymyka się na boki. Dopiero po dłuższej chwili udaje mi się ją uchwycić. Wiem, że tak się stało, ponieważ przestaje słyszeć jego oddech. Wypchnąłem mu powietrze z płuc przez uciśnięcie klatki piersiowej kolanem – teraz wystarczy dziesięć sekund, żeby stracił przytomność. Dwadzieścia sekund, żeby doszło do uszkodzenia mózgu. Trzydzieści, żeby go zabić. Tryb walki włączył się we mnie na całego. Wzmocniony wściekłością i spragnieniem sprawia, że nie potrafię określić, który z tych scenariuszy chciałbym zrealizować.

– Kelton, wystarczy!

Głos Alyssy przywraca mi zdolność myślenia. Wypuszczam z uścisku gardło Henry’ego, wdzięczny, że zjawiała się i podjęła za mnie właściwą decyzję. Wiem, że sam mógłbym nie zdołać tego zrobić. Henry wciąga gwałtownie powietrze do płuc, krztusi się i dyszy. Widać, że stracił wszelką ochotę na walkę czy nawet ucieczkę. Leży na ziemi niczym szmaciana lalka, zupełnie jak wtedy, kiedy zwichnąłem mu ramię.

– Przywołaj do porządku swojego cholernego pitbulla – wyrzuca z siebie zachrypłym głosem.

– Już dobrze, Kelton – mówi Alyssa. – On się nigdzie nie wybiera.

Puszczam go. Nie dlatego, że chcę, ale dlatego, że rozkazy, które wydaje mi Alyssa, są pierwszymi słowami, które skierowała do mnie

w ciągu całego dzisiejszego dnia.

Dołączają do nas Garrett i Jacqui. Wygląda na to, że nie ja jeden żywię mordercze zamiary, ponieważ Jacqui wyciąga pistolet i przystawia go do czoła Henry'ego.

– Rozwiązałabym masę problemów, gdybym pociągnęła teraz za spust – warczy.

– Przestań! – rozkazuje jej Alyssa. – Tak nie rozwiążesz żadnego z naszych problemów!

– Może i nie, ale sprawi mi to wielką przyjemność.

– Odłóż broń! – woła Alyssa, ale Jacqui nie zamierza słuchać niczyich rozkazów, zwłaszcza Alyssy.

Wtedy Henry zaczyna błagać o życie.

– Proszę... – skomle. – Tak mi przykro. Żałuję wszystkiego, co...

– Jeżeli czegoś żałujesz, to wyłącznie tego, że dałeś się złapać – przerywa mu Jacqui. Pewnie ma rację.

Garrett, który odczuł zdradę Henry'ego mocniej niż ktokolwiek z nas, woła:

– Zrób to! Zrób to, Jacqui!

Alyssa aż zatacza się z przerażenia:

– Garrett!

– Zrób to! Zasłużył sobie! Okłamał nas! Oszukał nas! Udawał naszego przyjaciela!

Jeśli dobrze pamiętam, Garrett chciał też, żebym zastrzelił jasnowłosego wodnego zombie na plaży.

Wokół krocza Henry'ego wykwita mokra plama. Posikał się. Plama nie jest zbyt duża – w jego organizmie nie zostało zbyt wiele wody. Nie czuję współczucia. Może poczułbym, gdyby Jacqui rzeczywiście go zastrzeliła. Teraz niekoniecznie.

Jacqui spogląda na Garretta, niemal tak samo jak Alyssa zaskoczona wykrzyczanymi przez niego słowami. Wyjmuje magazynek z pistoletu

i wystrzeliwuje w powietrze pocisk, który znajdował się już w komorze. Huk wystrzału odbija się echem między pobliskimi górami.

– Upadłaś na głowę? – woła Alyssa.

– Gdybym nie wystrzeliła go w powietrze, tkwiłby teraz w jego czaszce – mówi Jacqui.

– Raczej w ziemi za czaszką – zauważam, biorąc pod uwagę tak bliską odległość.

Jacqui oddala się z wściekłością, a Alyssa piorunuje Garretta wzrokiem.

– Idź za nią. Przypilnuj, żeby nie zrobiła czegoś głupiego.

– Niby jak miałbym ją powstrzymać?

Alyssa świdruje go wzrokiem, a ja wiem, co myśli. „Garrett, czy coś w tobie pękło? Czy cała ta sytuacja złamała cię bardziej niż kogokolwiek z nas? Czy gdyby pistolet znajdował się w twojej ręce, Henry by teraz nie żył?”

– Po prostu za nią idź – mówi w końcu.

Zostajemy we troje: ja, Alyssa i Henry. On odzyskał siły na tyle, że mógłby znów rzucić się do ucieczki, ale tego nie robi, ponieważ wie, że powalę go ponownie na ziemię, a śmiertelnie się mnie boi. Zabawne, że nigdy wcześniej nikt nie uważał mnie za poważne zagrożenie. Nikt nie nazwał mnie pitbullem. Dzieciaki pokroju Henry’ego zwykle mnie ignorowały, ewentualnie budziłem ich rozbawienie. Teraz jednak jestem Keltonem Groźnym. Jeżeli przeżyję, mam gotowy napis na koszulkę.

– Chcę tylko wiedzieć dlaczego – mówi Alyssa.

Henry nie potrafi jej nawet spojrzeć w oczy. Nie zasługuje, żeby móc na nią podnieść spojrzenie.

– Gdybym nie miał nic do zaoferowania, zostawilibyście mnie w Dove Canyon, gdzie umarłbym jak wszyscy inni!

– Dlatego skłamałeś?

– Nigdy nie powiedziałem, że karton zawiera wodę. To wy założyliście, że tak jest.

Alyssa ma taką minę, jakby chciała go kopnąć. Ta mina to dla mnie najśrodsza zemsta. Niemal równie piękna jak przyglądanie się rzeczywistemu skopaniu przez nią Henry'ego. Ale ponieważ Alyssa się nie rusza, postanawiam sam się nad nim trochę poznać.

– Gdybyśmy zmienili zdanie, w schronie jest łopata – mówię. – Ziemia na tym grzbiecie jest dostatecznie miękka, żeby dało się tu wykopać grób...

– Wynagrodzę wam to! – błaga znów Henry. – Wszystkim. Obiecuję.

– Zamknij się, Henry – ucisza go Alyssa. – W przeciwnym razie daję ci słowo, że sama pójdę po tę łopatę.

35) Alyssa

Henry mógł nas wszystkich zabić.

Wolę nawet o tym nie myśleć. Chcę się skupić na rozwiązaniu, a nie na problemie. Ale ta myśl uporczywie powraca, niwecząc wszelkie postanowienia. Myślę o wszystkich rzeczach, które moglibyśmy zrobić inaczej, gdybyśmy wiedzieli, że w kartonie nie ma wody – nawet o tym, że moglibyśmy zostawić Henry'ego w jego eleganckim, klimatyzowanym domu. Ale kogo próbuję oszukać? Gdybym wiedziała, że nie zostało mu ani trochę wody, a chciałby się z nami zabrać, namawiałabym innych, żebyśmy się zgodzili.

Tyle że gdybyśmy wiedzieli, że w kartonie nie ma wody, być może opracowalibyśmy jakiś plan awaryjny. Teraz zostaliśmy z niczym. Nie zostało nam nic poza rozpaczą i nawracającą uporczywie myślą: „Henry mógł nas wszystkich zabić”.

Zabieramy go z powrotem do schronu, ponieważ gdybyśmy go teraz wypuścili, pewnie nie wyszedłby z lasu żywy – a ja nie chcę go mieć na sumieniu. Jacqui chce mu związać ręce, żeby nie mógł nic zrobić – i żeby nie zapomniał, że jest w areszcie domowym. Nie oponuję. Może tak

właśnie powinno się postąpić. Zaufałam Henry'emu i co nam z tego przyszło? Nawet Kelton zgadza się, że lepiej mieć go na oku, niż puścić wolno i zastanawiać się, co knuje. W tej chwili najlepszą polityką będzie daleko posunięta ostrożność.

W schronie zaczynamy się zastanawiać nad następnym ruchem. Garrett jest przybity; siedzi zrezygnowany w kącie.

– Oszczędzam siły – mówi. – Chyba właśnie to powinniśmy robić, prawda? Oszczędzać siły.

– Wystarczy nam paliwa, żeby wrócić na autostradę – zwracam się do wszystkich. – Znajdziemy Charity i powiemy jej, co się wydarzyło. Ona nam pomoże.

– Jeżeli jej obóz nie został zrabowany – zauważa Jacqui. Ona to umie pocieszyć.

– Mam lepszy pomysł – mówi Kelton. Przeszukuje kilka szuflad, w końcu wyciąga z jednej mapę. Rozkłada ją na stole w kuchni.

– Jesteśmy tu – wskazuje. – A Charity tutaj, jakieś czterdzieści pięć kilometrów stąd. Spójrzcie jednak tutaj. – Kładzie palec na położonym na zachód od nas jeziorze w kształcie litery Y. – Zbiornik San Gabriel.

Jacqui prycha.

– Nie słyszałeś? Wszystkie zbiorniki wyschły. Kto mądry kieruje się starą papierową mapą?

– Zgadza się – mówi Kelton. – Zbiorniki Cogswell i Morris wyschły, ale zalew za tamą San Gabriel zachowano na potrzeby samolotów walczących z pożarami. Jestem tego pewien.

– Jak możesz być czegokolwiek pewien? – prycha Jacqui.

– Ponieważ właśnie dlatego ojciec wybrał to miejsce na schron. Jezioro będzie miało znacznie niższy poziom niż normalnie, ale bez wątplenia jest tam jeszcze woda.

Z mapy wynika, że zbiornik znajduje się tylko piętnaście kilometrów na zachód od nas, czyli znacznie bliżej niż obóz Charity.

– Przez jakiś czas musielibyśmy jechać przez dziki teren. W tym miejscu przekroczylibyśmy grzbiet – Kelton przesuwając palec po mapie – a tu wjechalibyśmy na East Fork Road. Ta droga doprowadzi nas do jeziora.

– Wygląda na to, że mamy plan – odzywa się Henry ze swojego miejsca w kącie pokoju. Jacqui wymierza mu kopniaka: nie na tyle mocnego, żeby zrobić mu krzywdę, ale na tyle bolesnego, żeby Henry nie miał wątpliwości, że nie interesuje nas jego wkład do dyskusji.

– Czy wszyscy są za? – pyta Kelton.

Odpowiedź brzmi: „Nie”, ale nikt nie chce tego powiedzieć na głos. Jeżeli jednak chcemy przeżyć, to najlepsza szansa, jaka nam pozostała.

W schronie znajduje się kilka plecaków i worków ściąganych na sznurek. Rozdaje je pozostałym.

– Rozejrzyjmy się i zabierzmy rzeczy, które mogą nam się przydać. Tylko nie przeciążajmy się za bardzo.

Już mam podać worek Henry’emu, ale on tylko unosi skrępowane dłonie i wzrusza ramionami. Jeżeli ma uczestniczyć w pakowaniu, muszę go rozwiązać. W związku z tym nie daję mu torby.

Jacqui robi coś, czego nigdy bym się po niej nie spodziewała: oddaje Keltonowi jego pistolet.

– Masz – mówi. – Nie chcę go więcej nosić przy sobie. Zrobiła mi się od niego wysypka. – Zerka na Henry’ego. – Poza tym nie ufam sobie, biorąc pod uwagę nasze obecne towarzystwo.

Kelton bierze pistolet, zaskoczony gestem Jacqui.

– Czyli już mi ufasz?

– Zdecydowanie nie – odpowiada ona. – Ale jeśli ty zrobisz coś głupiego, to będzie twój problem, a nie mój.

Jacqui sama jest pistoletem, który może w każdej chwili wypalić, a ponieważ zdołała to dostrzec, należy ją uznać za nieco bardziej poczytalną, niż sądziłam. Może nawet godną zaufania.

Otwieram spiżarnię, żeby sprawdzić, czy znajdę coś poza suchymi zupkami błyskawicznymi. Nie widzę niczego, ale zawsze jest nadzieja, że znajdziemy coś na podłodze.

– Myślę, że powinniśmy zjeść cokolwiek, co jest jadalne – mówię. – Potrzebujemy energii. – Podnoszę łyżkę z wyschniętym masłem orzechowym i podaję ją Garrettowi. On spogląda na mnie z nieskrywanym obrzydzeniem. – Myślisz, że żebracy wybrzydzą?

– Najwyraźniej nie spotkałaś nigdy kloszardów z Laguna Beach – mówi Jacqui. – Tak się składa, że znam kilku. – Zaczyna naśladować ich głosy: – „Hej, panienko, ta kanapka jest nadgryziona!”. „Przepraszam, ale czy to jest pieczywo bezglutenowe?”. „Jeden marny dolar? Może mógłbyś mi podesłać więcej przez paypala?”

Zaczynam chichotać, a chwilę później wszyscy się śmiejemy. Najwyraźniej nawet w tak ponurej sytuacji, kiedy śmierć zagląda nam w oczy, potrafimy się śmiać. Co chyba oznacza, że jeszcze się nie poddaliśmy.

36) Kelton

Nie ma żadnego powodu, żebym zabierał komiksy. Zajmą miejsce, a ja z całą pewnością nigdy ich nie przeczytam. Ale leżą na podłodze w drugiej sypialni. Miała być przeznaczona dla mnie i Brady’ego, gdyby naszej rodzinie rzeczywiście kiedykolwiek zdarzyło się skorzystać ze schronu. Kiedy schylam się, żeby je podnieść, wyczuwam kwaśny zapach papieru. W schronie nie ma klimatyzacji – jest tylko wiatrak zasilany miniaturowym ogniwem słonecznym, do którego podłączone jest też oświetlenie. Przy włączonym wiatraku zapas energii wyczerpuje się pewnie w połowie nocy.

Pachnie tu tak samo jak w pokoju Brady’ego w naszym domu – lekko kwaśna woń, przez którą mama regularnie wstawiała tam odświeżacz

powietrza.

Zdecydowałem. Zabieram komiksy ze sobą. Nie potrzebuję ich, ale mam to gdzieś. Zabieram je i już.

W pewnej chwili podnoszę wzrok i widzę Alysę, która stoi w drzwiach. Nie wiem, od jak dawna mnie obserwuje.

Podnoszę z podłogi komiksy i kładę je na łóżku. Nie chcę, żeby zobaczyła, że je pakuję. To sprawa między mną a Bradym.

– Mój brat był naprawdę porąbany – mówię. – Wykorzystał wszystkie zapasy ze schronu, nie odpowiadał na telefony i wiadomości, a potem pojawił się w domu tylko po to, żeby zginąć. Czy kogoś takiego nie należy nazwać porąbanym?

– Przykro mi, Kelton.

Z moich ust zaczynają wypływać słowa, których nie planowałem wypowiedzieć na głos. Nie potrafię się powstrzymać.

– Straciłem brata. Mogłem stracić rodziców. Nie wiem nawet, co się stanie, jeśli przeżyję to wszystko. Co niby miałbym ze sobą zrobić, jeżeli moi rodzice też zginęli? Trafię do Boise do cholерnej ciotki Eunice i jej kotów? W czym miałyby to być lepsze od śmierci z pragnienia?

– Zajmowanie się jutrem musimy w tej chwili odłożyć na później – mówi Alyssa i dodaje: – Tym, co było wczoraj, też.

Wiem dokładnie, co ma na myśli. Zmuszam się, żeby nie odwracać wzroku, mimo że pod jej spojrzeniem czuję się idiotycznie obnażony – chodzi mi tu o takie prawdziwe obnażenie. Brak ubrania byłby niczym w porównaniu z nagością, której teraz doświadczam.

– Przepraszanie za coś, co zrobiłem w ósmej klasie, wydaje się głupie... bo samo przepraszam nie wystarczy. Przeprosiny wydają mi się niemal niestosowne.

– Masz rację, to nie wystarczy – mówi Alyssa. – Za takie rzeczy ludzie idą do więzienia.

– To prawda. Tyle że ja jestem niepełnoletni – zwracam uwagę. – Wysłaliby mnie do poprawczaka i na terapię. Ale rozumiem, co masz na myśli.

Spoglądam na komiks, który trzymam w ręku; nieświadomie zwinąłem go w rulon. Kładę go płasko i próbuję rozprostować.

– Nie mogę nawet powiedzieć: „Wtedy to się wydawało dobrym pomysłem”, ponieważ nawet wtedy zdawałem sobie sprawę, że to jest naprawdę kiepski pomysł.

– I mimo wszystko to zrobiłeś.

– A ty nigdy nie zrobiłaś czegoś bardzo głupiego, mimo że zdawałaś sobie sprawę z tego, co robisz?

Alyssa najeża się na te słowa. Może dlatego, że nigdy w życiu nie zrobiła niczego naprawdę głupiego albo nierozsądnego. Uświadamiam sobie, że nie zapytała mnie, dlaczego to zrobiłem. Pewnie i tak wie. Prawda jest taka, że samotność, hormony i rodzice trzymający dziecko pod kloszem to mieszanka wybuchowa. Świat oglądany spod klosza dzieli tylko mały krok od świata oglądanego przez kamerkę drona.

– To była najobrzydliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Poczułem do siebie takie obrzydzenie, że nigdy więcej nie zamierzałem tego powtórzyć.

Mam nadzieję, że mi wierzy, bo mówię prawdę.

Alyssa zadaje mi następnie pytanie, którego zupełnie się nie spodziewałem.

– No i co zobaczyłeś?

– He? – bąkam, nie dlatego, że nie usłyszałem, ale ponieważ nie jestem gotów, żeby poruszyć ten temat.

– Popatrzyłeś i zobaczyłeś. Chcę wiedzieć, co mi wykradłeś tamtego wieczoru?

Zastanawiam się, jakiej odpowiedzi oczekuje. Zastanawiam się, jaką odpowiedź chciałaby usłyszeć. Ale to bez znaczenia, ponieważ mówię po

prostu prawdę:

– W tamtym tygodniu w szkole zorganizowano konkurs na najlepszą parodię zespołu muzycznego. Pamiętasz?

Wzdycha.

– Wolałabym o tym zapomnieć.

– Razem z koleżankami ćwiczyłyście układ – udawałyście, że wykonujecie jakąś idiotyczną piosenkę. Chyba miałaś kłopot z opanowaniem układu, ponieważ tamtego wieczoru włączyłaś piosenkę i ćwiczyłaś przed lustrem.

– Naprawdę? – mówi beznamiętnym tonem. – Na coś takiego zmarnowałaś swojego drona?

– Trzymałaś szczotkę Kingstona jako mikrofon, ale wplątana w nią psia sierść łaskotała cię w twarz i wybijała z rytmu. Pamiętam, że pomyślałem: „No i proszę, ona stoi przed lustrem i patrzy na swoje odbicie, gdy robi coś tak idiotycznego i głupiego, ale wcale nie czuje się głupio. A ja? Nie potrafię nawet spojrzeć w lustro, żeby nie poczuć się jak idiota”.

– Tu się akurat mylisz, Kelton – mówi Alyssa. – Czułam się jak idiotka. Ale mimo wszystko to robiłam.

Prosi, żebym wstał, więc tak robię. Stoję przed nią i nie wiem do końca, o co chodzi... aż nagle Alyssa bierze zamach i uderza mnie w twarz.

Nie jest to zwykły policzek. Zamachnęła się jak profesjonalny baseballista, a potem nie zatrzymała ręki, tylko pozwoliła jej zakreślić pełny łuk. Od siły uderzenia moja głowa niemal obraca się wokół własnej osi. Jestem całkowicie ogłupiały. Nie potrafię wydusić z siebie ani słowa, wiem też, że na moim lewym policzku przez długi czas będzie widoczny czerwony, opuchnięty odcisk dłoni.

W końcu w jakimś odległym zakamarku mojego pogruchotanego mózgu formują się pierwsze słowa:

– Pewnie sobie na to zasłużyłem.

– Zgadza się.

– Jesteśmy kwita?

– Nie, nie jesteśmy.

Wzdycham.

– Tak myślałem.

– Częścią kary będzie to, że nigdy nie będziemy kwita.

Rozumiem. Kiedy człowiek zrobi coś niewybaczalnego, najgorsze jest to, że nie może tego nigdy cofnąć. To coś jak stłuczenie szkła. Nie da się go odłuc. Można tylko pozamiatać odłamki i mieć nadzieję, że nie nadeptnie się na te, które się przeoczyło.

Zaraz potem Alyssa nachyla się i delikatnie całuje mnie w piekący policzek, jak matka całująca dziecko, które zrobiło sobie kuku. Odchodzi bez słowa wyjaśnienia, a ja uświadamiam sobie, że choćbym przeżył sto tysięcy żywotów po kres wszechświata, nigdy nie zrozumie dziewczyn. Trudno, jakoś to przeżyję.

Część piąta. Chrzest ogniowy

37) Jacqui

Moje usta są wyschnięte i smakują tak, jakbym wcześniej żuła podeszwy starych adidasów. Jakbym ssała błoto. Wilgotne, lśniące błocko. To doprawdy kusząca wizja. Mniejsza o zmrożoną puszkę coli, po której spływają kropelki skroplonej wilgoci – w tej chwili absolutnie zadowolilibym się błotem. Zabawne, jak potrzeby naszego ciała potrafią zmieniać parametry tego, co uważamy za dopuszczalne.

Siadam ponownie za kierownicą. Czy to się Alyssie podoba czy nie, tylko ja mogę teraz prowadzić, bo Henry za cholere nie siądzie więcej za kółkiem. Kelton i Alyssa nie zrobili prawka, więc wyboru nie ma. Albo ja prowadzę, albo ruszamy na piechotę.

– Ojciec uważał, że powinienem zasłużyć na przywilej prowadzenia samochodu – mówi Kelton, kiedy wsiadamy do auta – ale chyba obawiał się dać mi zbyt wiele swobody.

Z kolei Alyssa nie umie prowadzić raczej z własnego wyboru.

– Odłożyłam robienie prawa jazdy z powodu treningów piłkarskich, wielu zadań domowych i tego, że rodziców nie było stać, żeby mi teraz kupić samochód. Nie było więc sensu zaczynać kursu.

– Jak na ludzi zainteresowanych przetrwaniem – mówię do ich obojga – dokonaliście dość beznadziejnych wyborów życiowych.

– Och, a twoje były lepsze? – odcina się Alyssa.

– Zamknijcie się! – woła Garrett. – Wszyscy się zamknijcie!

Tak też robimy. Poza tym warczenie na siebie w niczym nam nie pomoże. Mamy zresztą coraz bardziej zachrypnięte głosy. Przepychanie powietrza przez struny głosowe sprawia coraz większy ból. Wiem, że nie tylko mnie.

– Mam nadzieję, że kiedy to wszystko się skończy – mówi Henry, gdy zapalam silnik – będziemy potrafili zapomnieć o urazach.

– Kiedy to wszystko się skończy – odpowiadam mu – z największą przyjemnością nie zobaczę już nigdy więcej żadnego z was. A zwłaszcza ciebie.

Wrzucam bieg i włączam bezużyteczną klimatyzację. Nie potrafię dokładnie określić, która jest godzina, ale w porównaniu z porankiem zrobiło się znacznie cieplej. Która może być? Dziesiąta? Jedenasta? Kelton zwraca mi uwagę, że niedziałająca klimatyzacja zwiększa zużycie paliwa, na co ja mu wyjaśniam, gdzie sobie może wsadzić takie przydatne rady. Benzyna przestała być problemem – mamy jej pod dostatkiem, żeby dotrzeć tam, dokąd zmierzamy. Teraz stajemy przed dylematem, którą jechać. Z mapy wynika, że droga, którą jechaliśmy wcześniej przez las, oddala się od naszego celu, więc na East Fork Road można się dostać tylko na dwa sposoby: możemy cofnąć się trzydzieści pięć kilometrów albo przedrzeć się przez las. Zdaniem Keltona w drugim przypadku mamy do pokonania tylko sześć i pół kilometra.

Jedna z map, które Kelton zabrał ze schronu, pokazuje wysokość nad poziomem morza i stromiznę terenu, więc potrafimy wyznaczyć trasę, która nie skończy się spadnięciem w przepaść. Niestety, mapa nie pokazuje drzew i głazów. Musimy kluczyć między nimi niczym marsjański łązik, poruszający się powoli po nieprzewidywalnym terenie.

– Nie mam już nawet pojęcia, czy jedziemy w dobrą stronę – stwierdzam i dopiero po fakcie orientuję się, że wypowiedziałam te słowa na głos.

– Jedziemy dobrze – potwierdza Kelton, choć sam nie sprawia wrażenia przekonanego.

Kiedy znajdujemy się w połowie kolejnego zbocza, przelatuje nad nami jaskrawożółty samolot. W pierwszym odruchu chcę wyskoczyć z auta

i machać rękami niczym obłąkany rozbitek na bezludnej wyspie, ale zanim zdążę ulec temu impulsowi, samolot znika.

– To był samolot strażacki – wykrzykuje podnieconym głosem Kelton. – Widzicie, a nie mówiłem? Leci w to samo miejsce, w które my się udajemy. A to oznacza, że jedziemy w dobrą stronę!

To pierwsza optymistyczna wiadomość, którą słyszę od dłuższego czasu.

Przemierzamy zygzakiem kolejne wzniesienia i zbocza. Odczuwam boleśnie każdy wykrot. Nie w głowie, ale w kościach. W moim organizmie musi występować niedobór tego czegoś, co nawilża stawy, ponieważ każdemu ruchowi towarzyszy ból. Gorączka zniknęła, więc wiem, że to nie ona ponosi winę za moje samopoczucie. To pragnienie. Nie może być inaczej.

– Uważaj! – ryczy Alyssa.

Wduszam hamulec i skręcam w lewo, żeby uniknąć zderzenia z drzewem, które samobójczo wskoczyło pod koła. Tak, wiem, musiało sterceć przede mną od początku, ale nie widzę dobrze tego, co znajduje się wokół. Nie chodzi o to, że obraz stał się rozmyty; po prostu mózg przestał sobie radzić z przetwarzaniem wszystkich informacji. Do tej pory jechałam powoli, ale będę musiała zwolnić jeszcze bardziej. Powrót do Charity wydaje się nagle całkiem niezłym pomysłem. Ale teraz jest na to już za późno. W tym tempie możemy nie dojechać do drogi przed zmierzchem, a na samą myśl o tym ogarnia mnie koszmarne przygnębienie. Muszę się z niego na siłę otrząsnąć. Jak las śmie stawiać takie wyzwania? Myślę o tych jego częściach, które płoną, a choć nie jestem z natury podpalaczką, jakoś mu nie współczuję. W tej chwili drzewa i przyroda zamieniły się we wrogów.

Nadgarstki bolą mnie od plastiku, który wrzyna się w skórę. Czego oni się obawiają, że musieli mi aż skępować ręce? Że kogoś uduszę? Hm, kto wie. Teraz mógłbym to zrobić.

Siedzę przyciśnięty do drzwi po prawej stronie. Mógłbym spróbować ukradkiem unieść klamkę, otworzyć je i wyskoczyć, ale co bym na tym zyskał? Nie, mój los jest związany z pozostałymi pasażerami. Oczywiście do czasu. Należy zachować przytomność umysłu, ponieważ okazje zdarzają się na każdym kroku. Nawet kiedy człowiek znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, zawsze może liczyć na uśmiech losu. Muszę być gotowy, żeby z niego skorzystać.

39) Kelton

Ból w skroniach, przyspieszone tętno, wyczerpanie, piekące oczy, zawroty głowy. Znam objawy skrajnego odwodnienia. Zostało nam jeszcze sześć, może siedem godzin. Później zapadniemy w śpiączkę. A następnie poumieramy. I tyle. Ile wody będzie potrzebne, żeby nas uratować? Może naparstek, mniej niż szklanka. Nie pozwoliłoby nam się to nawodnić, ale przynajmniej uchroniłoby przed śmiercią. Zyskalibyśmy na czasie. Wątpię jednak, żeby między nami a miejscem, do którego się udajemy, znajdowała się w sumie choćby szklanka wody. Musimy tam dojechać. I tyle.

W chwili obecnej nasze życie zależy od moich umiejętności nawigacyjnych i umiejętności prowadzenia samochodu przez Jacqui. A jeśli się mylę i zbiornik San Gabriel jest równie wyschnięty jak pozostałe? Położymy się na wyschniętym, spękany błocie i damy za wygraną?

Myślę o wszystkich odznakach i pucharach za zajęcie drugiego i trzeciego miejsca, które mam w pokoju. Zdobytych w najróżniejszych zawodach: od robotyki przez strzelectwo do boksu szachowego. Ojciec

mówił, że mogę kilka wyeksponować, ale nie chciał, żeby wszystkie stały na widoku. Uważał, że galeria nagród za niezajęcie pierwszego miejsca stanie się „ołtarzykiem przeciętności”, a zatem czymś niegodnym mnie. Mama jednak zaprotestowała i w ten sposób ściana przeobraziła się w kapliczkę. W lepsze dni patrzyłem na nią i widziałem swoje osiągnięcia. W te gorsze boleśniej mi przypominała, że zawsze czegoś mi brakowało. Wygląda na to, że rodzice mieli rację.

Wiem jednak, że jeśli chodzi o przetrwanie, nikt nie dostaje nagród za drugie lub trzecie miejsce. Albo dostaje się złoty medal, albo idzie się do piachu. A pozostali nie zdają sobie chyba sprawy, jak niewiele zostało nam do mety.

40) Garrett

Mamo, tato, gdzie jesteście? Czy chce wam się pić tak bardzo jak nam? Ja chyba umrę, ale jeżeli wy już nie żyjecie, to nie boję się aż tak. Oczywiście, boję się, ale mniej, jeśli czekacie już na mnie po drugiej stronie. I jeżeli jest tam woda.

A może pragnienie towarzyszy wam również tam? Co, jeśli ta głupia tęsknota za czymś zimnym i mokrym nie opuszcza człowieka nawet po śmierci? Wypiłbym teraz chyba całą rzekę. Wypiłbym Niagarę.

Mam otwarte oczy, ale bolą, kiedy je zamykam, i bolą, kiedy ponownie je otwieram. Kąciki, z których dawniej wypływały łzy, teraz pieką tak, jakby ktoś wbił w nie igły. Dlatego tylko mrużę oczy, staram się nie otwierać ich za szeroko. Patrzę na przednią szybę i przez chwilę wydaje mi się, że jest to ekran telewizora. Że wszystko to jest czymś zmyślnym życiem, a ja zasnąłem przed telewizorem z otwartymi oczami. To przyjemne uczucie. Pozwalam mu zatem trwać chwilę dłużej, aż zaczyna się wydawać trochę bardziej prawdziwe, a ja czuję się nieco lepiej.

Słyszę głosy ludzi, ale chyba nikt tak naprawdę nie mówi. Po tym poznaję, że zacząłem śnić – mimo że przecież nie śpię. Nie wiem, co to oznacza, ale kto wie, może tak właśnie czuje się człowiek, kiedy zamienia się w wodnego zombie.

41) Alyssa

Tylko o tym nie myśl. Zmusz się, żeby o tym nie myśleć. Słyszałam gdzieś, że ludzki umysł potrafi świadomie myśleć jednocześnie najwyżej o trzech rzeczach. Jeśli zapełnię go czym innym, zapomnę, jak bardzo chce mi się pić.

Myśl o zbiorniku retencyjnym. Nie, to będzie ci tylko przypominało o wodzie, której nie masz. Myśl o szkole i ostatnim zadaniu domowym, którego nie zrobiłaś. I o biologii. Mitozie. Mejozie. Syntezie białek. Wszystkie te procesy wymagają wody. To nie pomaga.

Temat pierwszy: piłka nożna. Biegnę na bramkę. Podaję i odbieram. Zdarza się cud i Hali kopie piłkę do mnie, a nie zagarnia ją dla siebie. Dobrze. Dobrze.

Temat drugi: geografia. Wyliczam stany. Państwa. Tata dał mi kolorowankę z mapami, kiedy dowiedział się, że niedorzeczny system oświatowy w Kalifornii zrezygnował z nauczania geografii. Kolorowanka? Serio? A jednak okazała się cudowna. Wydawało mi się, że odciąga mnie od robienia ważniejszych rzeczy, tymczasem uczyłam się geografii świata. Francja jest zielona, wygląda jak facet z kozią bródką i nosem skierowanym w górę. Egipt jest żółtym trapezem z jednym kątem prostym, przypomina fragment podstawy piramidy. Grenlandia jest niebieska – tak z przekory. A więc piłka nożna i geografia. Dobrze.

Temat trzeci. Jaki jest temat trzeci? Hiszpański. *Si, Español. Pedro tiene la bolsa de Maria. ¿Donde está el baño? ¡Quiero agua! ¡Por favor, agua agua agua!* To się nie sprawdza.

Odwracam głowę i widzę, że Henry mi się przygląda. Ciekawe, co myśli. W sumie mnie to nie obchodzi. Piłka nożna. Geografia. Hiszpański. Poza tym nic mnie nie interesuje.

– Nie jestem aż tak okropnym człowiekiem, za jakiego mnie uważasz – mówi. – Gdybyś poznała mnie w prawdziwym świecie, jestem pewien, że byś mnie polubiła.

– Tyle że nigdy byśmy się nie spotkali, więc jakie to ma znaczenie? – zauważam. – Ty mieszkasz w rezydencji na ogrodzonym osiedlu i chodzisz do drogiej prywatnej szkoły. Jakie są szanse, żebyśmy się ze sobą zetknęli?

– To nie jest rezydencja, tylko zwykły dom. A moglibyśmy się zetknąć, gdybyś przyjechała w odwiedziny do wujka. – Spogląda przed siebie, jakby wyobrażał sobie taką alternatywną rzeczywistość. – Zaprosiłbym cię wtedy do eleganckiej restauracji, byłbym uroczy i taktowny, słuchałbym uważnie wszystkiego, co miałabyś do powiedzenia. A kiedy bym nie słuchał, upajałbym cię błyskotliwym humorem.

– Upajałbym... – powtarza tęsknie Garrett, a ja wiem, że myśli o czymś płynnym.

– Polubiłabyś mnie – powtarza Henry.

– Ale ja cię lubiłam – przypominam mu.

Henry wzdycha.

– Czas przeszedł. Może zdołam go jakoś zmienić na terazniejszy.

Nie odpowiadam. W tej chwili nie mam ochoty na nawiązywanie kontaktów. Jedyne kontakty, jakie mnie interesuje, to kontakty moich ust z czymś płynnym. Mogłabym znacznie mocniej zakochać się w szklance wody niż w istocie ludzkiej.

Jacqui niespodziewanie zatrzymuje samochód.

– Dojechaliśmy? – pyta słabym głosem Garrett. – Błagam, powiedzcie, że dojechaliśmy.

– Cisza! – mówi Jacqui. – Słyszeliście?

Opuszcza do końca uchyloną szybę. Woń dymu jest silniejsza niż wcześniej. Przychodzi mi do głowy, że wiatr mógł zmienić kierunek, ale teraz, przy otwartym oknie, słyszymy to samo, co Jacqui przed chwilą. Muzyka. Ktoś puszcza muzykę!

42) Kelton

To może być zrządzenie losu, ale jakiś głos w mojej głowie – najprawdopodobniej paranoiczny głos ojca – ostrzega mnie, żebym miał się na baczności. Rzeczy, które wydają się zbyt piękne, żeby mogły być prawdziwe, okazują się bez wyjątku zbyt piękne, żeby mogły być prawdziwe.

– Powinniśmy to sprawdzić – mówi Alyssa.

– Ja pójdę – zgłaszam się, zanim ktokolwiek zdąży to zrobić.

– Widzę, że harcerzykiem jest się do końca – stwierdza szyderczo Jacqui, a choć spodziewam się, że sprzeciwi się mojemu pomysłowi, zaraz dodaje: – W porządku. My zostaniemy tutaj i będziemy rozkoszować się nieistniejącą klimatyzacją.

Jeżeli pozwala mi przejąć kontrolę nad sytuacją, musi być niesamowicie odwodniona. Tyle że moja propozycja nie miała nic wspólnego z byciem harcerzem. Nad ciekawością przeważa ostrożność, a tej ostatniej mam teraz więcej niż ktokolwiek inny. Paranoiczne myśli każą mi pohamować nadzieję, a takie podejście może nas uratować.

Wejście na szczyt grzbietu jest torturą, mimo że zbocze nie jest wcale strome i znajduje się zaledwie kilkadziesiąt metrów przed nami. Nogi mam słabe, kręci mi się w głowie, ale potrafię sobie z tym poradzić. Przynajmniej na razie. Po dojściu na szczyt chowam się za drzewem i ostrożnie zza niego wyglądam. Muzyka robi się głośniejsza, rozpoznaję melodię. *Kashmir* Led Zeppelin. Między drzewami rozbrzmiewają

znajomy, nieustający rytm i egzotyczny, a jednocześnie złowieszczy riff. Głos Roberta Planta wznosi się nad nimi niczym religijna pieśń.

Poniżej widzę mały kamper. Stary model. Zardzewiały. Musi tu stać od dawna. To schron – rozpoznaję to natychmiast. Nie tak wyrafinowany jak nasz, ale mimo wszystko schron. Przed kamperem na rozkładanych krzesłach siedzi dwóch mężczyzn. Mają broń – taką naprawdę niebezpieczną – co mnie zupełnie nie zaskakuje. Pieką króliki na ognisku. Cóż za idiotyzm rozpalać ognisko, kiedy wszystko jest tak wyschnięte – ale wyczuwam, że ci ludzie nie myślą o konsekwencjach.

Jeden z nich unosi do ust butelkę z wodą.

Pragnienie wzbiera we mnie niczym impuls elektryczny. Tylko z największym trudem udaje mi się je opanować. Najchętniej rzuciłbym się w dół zbocza i wyrwałbym mężczyźnie butelkę, choć zdaję sobie doskonale sprawę, że on by mnie wcześniej zastrzelił. O dziwo, mojemu zombie-mózgowi nie wydaje się to aż tak istotne jak dorwanie butelki z wodą. Muszę wykrzesać z siebie ostatnie pokłady samokontroli, żeby okiełznać biologiczny imperatyw.

„Coś tu nie pasuje”, odzywa się głos w mojej głowie. Rozglądam się za jakimś elementem niepasującym do tej sceny, żeby potwierdzić swoje podejrzenia. Jest – na ziemi leży torebka, a obok wysypana zawartość. Nie widzę nigdzie właścicielki. Włosy jeżą mi się na głowie. To nie tylko schron, ale również kryjówka. Musimy trzymać się od niej z daleka. W przeszłości brałem udział w wielu spotkaniach prepersów. Ci ludzie dzielą się w praktyce na dwie kategorie. Do pierwszej należą tacy jak ja i moja rodzina. Uzbrajamy się i robimy zapasy, ale wyłącznie po to, żeby obronić się przed chaosem. Druga kategoria to ci, którzy lubią wywoływać chaos. Oni wyczekują momentu, kiedy wszystko się rozsypie. Tęsknią za panującym wtedy bezprawiem. Karmią się nim. Nie ma dla nich nic bardziej ekscytującego niż chwila, gdy świat zamienia się w ich własną grę wideo.

Właśnie tacy ludzie puszcza­ją w lesie muzykę na tyle gło­śno, że­by była słyszalna z odległo­ści wielu kilometrów, i sprawdzają, kogo do nich przyciągnie. Są wilkami czekającymi, aż ofiary od­po­wiedzą na ich zew. Ale podobnie jak w przypadku otwartego ognia, nie pomyśleli o konsekwencjach. Jeżeli zamiast ofiary pojawi się inny drapieżnik, może ich zlikwidować dwoma celnymi strzałami.

Rozlega się trzask gałązki. Odwracam się szybko i widzę zbliżającą się Alysę.

– Oni mają wodę! – szepcze. Widziała to samo co ja.

– Ciiii! – mówię, ponieważ piosenka właśnie dobiega końca. Milczymy i wstrzymujemy oddech do czasu rozpoczęcia kolejnej. Nie usłyszeli nas. Mój Boże, mam nadzieję, że nas nie usłyszeli. Kiedy w lesie wreszcie zaczyna rozbrzmiewać kolejny utwór Zeppelinów, odciągam Alysę kawałek dalej.

– Nie chcemy tej wody – mówię.

– Ale...

Nie mam czasu jej tego teraz wyjaśniać. Chwytam ją za ramiona i spoglądam w jej przekrwione oczy.

– Musisz mi zaufać – mówię.

I Alyssa mnie słucha. Niechętnie, ale mnie słucha. Wracamy do samochodu.

Jacqui zostawiła silnik na jałowym biegu, żeby nawiew dalej działał, mimo że dmucha tylko ciepłym powietrzem.

– Musimy się stąd wynosić – mówię do niej, kiedy wsiadamy do samochodu. – Nie dodawaj za mocno gazu, tylko odjedź, najciszej jak się da.

– Dlaczego?

– Później ci wyjaśnię – mówię – ale teraz musimy NATYCHMIAST stąd odjechać.

Przez chwilę odnoszę wrażenie, że Jacqui ustąpi i uzna moją ocenę sytuacji, ale Alyssa postanawia wyjaśnić, co się dzieje. To nie jest dobry moment na coś takiego. Powinniśmy działać szybko i bezgłośnie.

– Po drugiej stronie siedzi dwóch gości. Kelton uważa, że mogą być niebezpieczni.

– A mają wodę? – pyta Jacqui.

Alyssa nie odpowiada od razu, więc wszyscy poznają odpowiedź. Jacqui otwiera drzwi i wysiada z samochodu. O ile ja potrafię powstrzymać budzącego się we mnie zombie, ona działa już wyłącznie impulsywnie. Widzę, że przemiana już się u niej rozpoczęła. Zagradzam jej drogę, zanim zdąży popełnić błąd, przez który prawdopodobnie straciłaby życie.

– Znajdujemy się pewnie godzinę drogi od zbiornika – przypominam jej. – Tam będziemy mieli tyle wody, ile dusza zapragnie.

– Wygląda mi na to, że ci goście są wróblami w garści – mówi Jacqui. – Zmusimy ich, żeby się podzielili.

– Nie rozumiesz? – syczę. – Oni nie należą do kategorii ludzi, którzy lubią się dzielić, poza tym mają znacznie potężniejszą broń od mojego rugera!

Do rozmowy włącza się nagle nowy głos. Taki, który dotąd głównie milczał.

– Alyssa... nie czuję się za dobrze.

Garrett stoi przy samochodzie. Przez chwilę kołysze się, jakby znajdował się na pokładzie statku w czasie sztormu. Zaraz potem jego oczy wywracają się w górę, uginają się pod nim kolana i pada na ziemię.

Alyssa podbiega do niego. Pomagam jej go podnieść i włożyć z powrotem do samochodu. Henry odsuwa się, żebyśmy mogli położyć Garretta na tylnym siedzeniu.

– Chyba nic mu nie jest – mówię Alyssie, która myśli teraz tylko o bracie. – Prawdopodobnie ma mocno obniżone ciśnienie i po prostu

wstał za szybko. Wróci do siebie, jeśli chwilę poleży.

Mam nadzieję, że tak właśnie jest.

Wtedy orientuję się, że coś się zmieniło. Dopiero po chwili dociera do mnie co. Silnik samochodu przestał pracować. Więcej – zniknęły kluczyki. Oraz Henry.

43) Henry

Teraz już nie ma odwrotu. Nie mogę sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Nadarzyła się okazja, a ja z niej skorzystałem. I tyle. Pozostaje mi tylko działać konsekwentnie. Teoria gier mówi, że sukces sprzyja stanowczym. Podjęcie działania, jakiegokolwiek, jest zawsze lepsze od bierności. Dlatego kiedy inni spierali się i zajmowali Garrettem, ja zrobiłem to, co musiałem. Wiem, że Alyssa nigdy mi tego nie wybaczy, ale przeszkadza mi to mniej, niż się spodziewałem.

Podążam w stronę muzyki, wspinam się na grzbiet wzniesienia i widzę obozowisko oraz znajdujących się w nim dwóch mężczyzn. Rzucam się w ich stronę. Wywracam się, szoruję dłońmi po ziemi. Oni wstają i patrzą na mnie, rozbawieni widokiem człowieka staczającego się ze wzniesienia.

– Wygląda na to, że mamy gościa na obiedzie – mówi jeden z nich, ale mnie nie interesuje ich obiad. Oni doskonale o tym wiedzą, ponieważ nie odrywam wzroku od butelki z wodą, którą jeden z nich trzyma w wielkiej, owłosionej łapie.

Aby przetrwać w takiej sytuacji, należy się stosować do reguł sprzecznych z normalnymi konwenansami. Z podobną sytuacją mamy do czynienia, kiedy w samolocie zwolnione zostają maski z tlenem i w kabinie nastaje chaos – zawsze słyszy się, że należy najpierw założyć maskę sobie, a dopiero potem pomagać innym. Ale co, jeśli została tylko jedna maska, a nam udało się ją założyć? No cóż, współczujemy innym,

ale cokolwiek się dzieje, nie oddajemy jej, tylko oddychamy. Oddychamy głęboko.

– Co możemy dla ciebie zrobić? – pyta ten trzymający wodę.

– Dziś... – zaczynam, ale jestem zbyt zdyszany, żeby dokończyć, więc zaczynam od początku: – Dziś jest wasz szczęśliwy dzień.

Wstaję, usztywniam uginające się pode mną nogi i rozpoczynam negocjacje.

44) Alyssa

Zostaję z Garrettem; nie zamierzam zostawić go ani na chwilę. Kelton biegnie za Henrym, a Jacqui podejmuje rozpaczliwe próby odpalenia silnika za pomocą kabelków – ale bez skutku.

– Stare samochody są proste – mówi. – W nowszych, cholera, montują immobilizer. Chyba nie uda mi się tego obejść.

Wiem, że to straszna myśl, ale w tej chwili żałuję, że Jacqui nie zastrzeliła Henry'ego, kiedy miała okazję. Po co on zabrał kluczyki? Co planuje?

Zaraz potem z lasu przed nami wyłania się dwóch mężczyzn, których widziałam wcześniej koło zardzewiałego kampera. Teraz już wiem, dokąd poszedł Henry... I co dokładnie myślał, kiedy się tam udawał.

– Hej tam! – mówi wyższy mężczyzna. – Problem z samochodem?

Mimo przyjaznego powitania nie wyczuwam w nich żadnej przyjazności. Z bliska mężczyźni wyglądają groźnie. Zresztą chcą tak wyglądać. Są umięśnieni. Mają może koło trzydziestki, ale ogorzałe twarze utrudniają określenie ich wieku. Niższy ma ręce całe pokryte tatuażami. I to nie artystycznymi, ale takimi paskudnymi. Nagryzmołone słowa i symbole, wszystkie w tym samym niebieskawym odcieniu czerni. Wyższy ma ogoloną głowę i bliznę biegnącą ukośnie przez część czaszki. Mówi się, że nie wolno sądzić innych po pozorach, ale jeśli chodzi o tych

dwóch, nie mam żadnych wątpliwości. Niektórym ludziom brakuje wyobraźni; wpisują się dokładnie w stereotyp i mu się podporządkowują. Ci mężczyźni wiodą życie wypełnione przemocą i nie przeszkadza im, że inni o tym wiedzą.

– Łatwo się zgubić na bezdrożach – zauważa ten z ogoloną głową. – Tak było? Zgubiliście się?

Rozglądam się szybko na boki. Kelton nie wrócił z pogoni za Henrym. Zostaliśmy tylko ja, Jacqui i Garrett, który nadal leży nieprzytomny na tylnym fotelu.

– Nie chcemy sprawiać kłopotów... – mówię, choć kątem oka widzę, że Jacqui szykuje się do ewentualnej rozróby.

– To dobrze, to dobrze – stwierdza ten wytatuowany. – My też nie chcemy żadnych kłopotów. Muszę jednak poprosić was o odstąpienie od naszej własności.

– Słucham? – mówi Jacqui.

Ten wytatuowany unosi kluczyki do samochodu mojego wujka.

– Właśnie go kupiliśmy – wyjaśnia. – Wasz przyjaciel sprzedał nam go za porządną porcję wody.

Łysy wybucha śmiechem na widok naszych min.

– Tak, wylaliśmy mu ją na dłonie, a on wszystko pięknie wysiorbał. Trochę zlało się mu na buta, więc go zdjął i wyssał do suchej gumy. Kto by pomyślał, co? Potem zwiął w dół zbocza w jednym bucie. Śmieszny chłopak.

Myślę, jakie to niesprawiedliwe, że z całej naszej piątki tylko Henry miał okazję się napić. Pewnie dzięki temu wydostanie się żywy z lasu.

– Proszę ponownie – mówi wytatuowany. – Odstąpcie od naszej własności.

Co powiedziawszy, wyciąga poważnie wyglądający pistolet.

„Nie zamierza go użyć”, myślę. „Chce nas tylko postraszyć”. Podobnie jak wygląd obu mężczyzn, broń służy onieśmieleniu innych. Ale ja nie

zamierzam temu ulec.

– Zmierzamy do zbiornika San Gabriel – mówię, nie odsuwając się od drzwi. – Pozwólcie nam tam dojechać, a samochód będzie wasz.

Wytatuowany kręci głową.

– Już dobiliśmy targu. Nie ma o czym gadać.

– Zaczekaj – odzywa się łusy. – Po co się śpieszyć?

Omiata mnie spojrzeniem od stóp do głów, jakbym była nagrodą, którą wygrał na licytacji.

Właśnie wtedy Jacqui wkracza do akcji. Rzuca się na wytatuowanego gościa i próbuje chwycić jego pistolet. On okazuje się szybszy. Wykonuje chwyt podobny do tego, jaki Kelton zastosował na Henrym, tyle że jest silniejszy, zwinniejszy. Walka to jego druga natura. Jacqui nie ma najmniejszych szans. Gość wykorzystuje jej rozpęd, obraca ją dokoła, jakby tańczył swinga, po czym powala ją na ziemię i wykręca jej rękę. Jacqui ląduje na kolanach, krzywiąc się z bólu.

– Nie podskakuj – mówi mężczyzna, ale nie puszcza jej, przez co Jacqui pozostaje unieruchomiona.

W czasie całego zajścia łusy ani na chwilę nie odrywa ode mnie wzroku. Zbliża się.

– Głupio, że chłopak cię sprzedał, żeby uratować siebie.

– On nie jest moim chłopakiem – zaprzeczam odruchowo, ale zaraz zaczynam żałować, że nie milczałam.

Ponieważ łusy mówi: „Tym lepiej” i jeszcze bardziej się zbliża.

Próbuję kopnąć go w krocze, ale on rzuca się na mnie i przygniata swoim ciałem do samochodu, przez co nie mogę wykonać zamachu nogą.

– Moglibyśmy się podzielić z wami wodą, gdybyście zachowywały się w nieco bardziej cywilizowany sposób...

Ponieważ czuję napór jego ciała, wiem, że „cywilizowany” znaczy dla niego co innego niż dla mnie. Czuję jego oddech. Papierosy i chipsy. Wątpię, żebym jeszcze kiedykolwiek miała ochotę na chipsy. Próbuję się

wyrwać, ale jestem za słaba z odwodnienia. Nigdy nie czułam się tak bezradna, a to okropne, paskudne uczucie. Uświadamiam sobie, że ten mężczyzna może teraz ze mną zrobić wszystko, co tylko zechce, a ja nie będę w stanie mu w tym przeszkodzić.

– Nie zaprzataj sobie tym tej swojej ładniutkiej główki – mówi cicho. – Wrócimy do naszego obozu i wszystko będzie dobrze.

Niespodziewanie z samochodu wyskakuje Garrett i chwyta mężczyznę.

– Nie zbliżaj się do mojej siostry!

Wbija zęby w przytrzymującą mnie rękę. Eksplozja energii musiała wyposażyć go w nadludzką siłę, ponieważ na rękę pozostaje krwawa, otwarta rana, jak po ataku rekina.

Łysy wrzeszczy z bólu i odpycha Garretta na ziemię. Próbuje wykorzystać okazję, żeby się wyswobodzić, ale mężczyzna dociska mnie do samochodu z taką siłą, że nadal nie mogę się poruszyć.

– Smarkata gnido, co zrobiłeś!

Wytatuowany spogląda na krew ściekającą z ramienia kumpla, odwraca się i wymierza pistolet w Garretta.

– Nie! – krzyczę...

I świat kończy się z wystrzałem.

45) Jacqui

Widzę, co się dzieje. Widzę wszystko i nie jestem w stanie temu zapobiec. Nie mogę nawet wstać, ponieważ ten cholerny wytatuowany gnój wykręca mi rękę mocniej, ilekroć próbuję się poruszyć. Mogę tylko bluzgać w niego groźbami, co takiego mu zrobię, jak się wyswobodzę.

Widzę, jak drugi zbliża się do Alyssy. Widzę, jak ona próbuje go powstrzymać. Nie słyszę tego, co do niej szepcze, ale z pewnością nie jest to nic miłego. Potem Garrett podnosi się na tylnym siedzeniu, odzyskawszy w końcu przytomność, całkowicie nieświadomy tego, co się

dzieje wokół. Widzi siostrę dociskaną do auta przez łysego i rzuca się w wir sytuacji, która zaraz potem robi się jeszcze gorsza.

Łysy wrzeszczy z bólu od potężnego ugryzienia, a wytatuowana menda wymierza odruchowo pistolet w Garretta, jakby chciała zastrzelić szczura, który zapuścił się na teren obozowiska. Mimo bólu przekręcam ciało i krzyczę, ponieważ jeśli uda mi się nim zachwiać, strzał będzie niecelny.

Strzał pada, pod gościem uginają się kolana i leci na ziemię. Twarz ma pokrytą krwią – na twarzy Garretta też jest krew, ale Garrett wciąż żyje. Wtedy dociera do mnie, że krew, którą ociekają usta Garretta, trafiła tam, kiedy ugryzł łysego. Za to krew na twarzy gnoja pochodzi od niego samego. Leży na ziemi z dziurą po kuli na czole tuż nad lewym okiem. Jego ciałem wstrząsa seria drgawek, które po chwili ustają.

Kelton stoi dziesięć metrów od nas z wyciągniętą ręką. Trzyma w niej pistolet.

Drugi mężczyzna zamiera zszokowany.

– Jezu Chry...

Nie kończy jednak imienia swojego pana i zbawcy, ponieważ Kelton przesuwając rękę i strzela po raz drugi. Pocisk trafia gościa tuż pod nosem, wylatuje z drugiej strony czaszki i ochlapuje krwią twarz Alyssy. Już wcześniej krzyczała, więc teraz po prostu nie przestaje. Podejrzewam, że nie ma pojęcia, co się wydarzyło. Oczami wyobraźni widzi pewnie martwego brata na ziemi, ponieważ taki rozwój wypadków jeszcze moment temu wydawał się zupełnie oczywisty, a ta wizja utrzymuje się w jej umyśle, mimo że rzeczywistość skreśliła już w inną stronę. Jeżeli przeżyje całą tę historię, przez resztę życia będzie pewnie miała koszmary przedstawiające tę niezrealizowaną wersję wydarzeń.

Łysy osuwa się na ziemię. Wstaję, a Alyssa w końcu znajduje drogę z powrotem do realnego świata. Przesłupuje nad martwym gościem i kuca przy Garrecie.

Ten kiwa głową. Ona obejmuje go tak, jak siostry nigdy nie obejmują braci – poza sytuacjami, kiedy ci o mały włos nie zostali postrzeleni w głowę.

Podchodzę do Keltona, który nadal trzyma pistolet i patrzy na obu mężczyzn, jakby mogli wciąż żyć, na przykład dlatego, że trzymali swoje mózgi w dupach. W końcu opuszcza broń. Spodziewam się, że zacznie się trząść albo w jakiś inny sposób się rozklei, ale nic takiego się nie dzieje. W żadnym razie. Wkurza mnie, że to on musiał nas uratować, ale równie dobrze to ja mogłabym znaleźć się na jego miejscu. A choć wolałabym się do tego nie przyznawać, Kelton – który odbył prawdziwe przeszkolenie z bronią – prawdopodobnie strzela znacznie celniej niż ja.

Bierze głęboki wdech, potem kolejny.

– Zabierz kluczyki i ich broń – stwierdza ze spokojem. – Potem pójdziemy do ich obozu po wodę.

– Dobrze kombinujesz – mówię. Niesamowite, jak chłopak się zmienił od czasu, kiedy poznałam go na plaży. Nie jestem pewna, którego Keltona nie lubię mniej – głupkowatego frajera, który nie potrafił nacisnąć na spust, czy gościa, który z zimną krwią zabił dwóch mężczyzn i nawet się przy tym nie spocił.

W sumie wszyscy przestaliśmy się pocić. Nie musimy też nieustannie domyślać się, co zrobią inni. W końcu zapanowała między nami jednomyślność, dzięki której każdy robi to, co do niego należy.

Okazuje się, że tylko wytatuowany mężczyzna miał przy sobie broń. Kelton bierze do ręki jego pistolet i go ogląda.

– Desert eagle z hamulcem wylotowym – stwierdza. – Znacznie lepszy od mojego.

Zabiera go i podaje mi swój pistolet. Ja go już nie chcę.

– Ja go wezmę – mówi Alyssa. Nadal ma twarz ochlapaną krwią. Postanawiam o tym nie wspominać.

– Jesteś pewna? – pyta Kelton.

Ona kiwa głową.

– Nie zamierzam nigdy więcej znaleźć się w podobnej sytuacji.

– Co z Henrym? – pytam.

Kelton spogląda na swój nowy, wielki, lśniący pistolet i wzrusza ramionami.

– Zachowam dla niego jedną kulę – mówi.

A ja za żadne skarby świata nie potrafię powiedzieć, czy mówi serio.

46) Alyssa

Jeżeli będę teraz za dużo myśleć, zwariuję. Przede mną leżą zwłoki dwóch mężczyzn. Nie mogę o tym myśleć. Mój brat o mało co nie został zastrzelony. Nie mogę o tym myśleć. Ciała moich rodziców mogą się unosić w Oceanie Spokojnym. Nie mogę o tym myśleć.

Jedno, o czym mogę myśleć, to woda, a wiem, że znajdę ją tuż za grzbietem, przy starym zardzewiałym kamperze.

– Alyso... – mówi Garrett i powtarza to samo, co powiedział poprzednio tuż przed utratą przytomności: – Nie czuję się najlepiej.

– Zaraz przyniesiemy wodę – uspokajam go. – Wszystko będzie dobrze.

– Ale... ja nie mogę wstać. Nie mogę się ruszać.

Jego głos jest słabszy niż wcześniej, a ja przypominam sobie to, co Kelton mówił poprzedniego dnia wieczorem. Tuż przed śmiercią organizm zbiera się do ostatniej walki. Doznaje przyływu energii – podejmuje ostatnią próbę ocalenia życia.

Uświadamiam sobie, że taki przyływ energii wystąpił przed chwilą u Garretta. To oznacza, że za kilka minut zamknie oczy na zawsze.

– Musimy się pośpieszyć! – mówię do pozostałych, zapominając o martwych mężczyznach. Biorę Garretta na rękę i choć z ledwością sama utrzymuję się na nogach, dźwigam też jego, kiedy wszyscy ruszamy w stronę obozowiska.

Wyglądało to inaczej, niż się spodziewałem. Myślałem, że poczuję uwznioślenie. Jakbym wyszarpnął dziurę w tkance wszechświata. Ale tak się nie stało.

Pyk! Pyk!

I tyle. Dwóch mężczyzn nie żyje, a my ocaleliśmy. Nie przepełniała mnie złość, jak wtedy w domu, kiedy niemal wypaliłem ze strzelby do sąsiadów. Nie byłem przerażony, jak wtedy na plaży, kiedy chłopak zombie próbował wyssać wilgoć z ust Alyssy. *Pyk! Pyk!* I po wszystkim. Sprawa zamknięta.

Jak wspomniałem, ci dwaj goście czerpali przyjemność z chaosu i żyli według reguł obowiązujących w grach wideo. A co się robi po zabiciu kogoś w grze komputerowej? Po prostu zabiera się jego broń. Dokładnie coś takiego zrobiłem. Czy właśnie dlatego niczego nie czuję? Ponieważ ja też funkcjonuję zgodnie z regułami obowiązującymi w grach wideo?

Docieramy do szczytu wzgórza i spoglądamy w dół na obozowisko. Ogień, niepilnowany, wymknął się spod kontroli. Płonie trawa. Płoną oba krzesła.

Ogień dotarł do stojącej obok nich chłodziarki.

Lizana płomieniami wydziela zjełczały, chemiczny smród. Wieko jest otwarte, a ja widzę wodę tryskającą z pękających butelek.

– Och, nie! – Alyssa kładzie Garretta na ziemi. – Nie ruszaj się! Zaraz wracam!

Alyssa, Jacqui i ja pędzimy w dół, żeby wydobyć wodę z chłodziarki, ale ogień jest zbyt gorący.

– Cholera jasna! – woła Jacqui. Próbuje sięgnąć przez płomienie, ale cofa z krzykiem rękę. Poparzyła się. Mimo to wyciąga rękę ponownie. Drugie podejście musi być niesamowicie bolesne, ponieważ cofa się, wyjąc z bólu.

– Nie! – krzyczy. – To nie fair! To nie fair!

– Znajdźmy coś, czym moglibyśmy wyciągnąć chłodziarkę z ognia! – mówię.

Ale Alyssa patrzy w stronę kampera.

– Może to nie jest cały zapas wody, który mają – mówi. – Sprawdź w środku.

Obiega rozprzestrzeniające się płomienie, żeby dostać się do wejścia. Wiatr wieje właśnie w tamtym kierunku. Jeszcze chwila, a również kamper zajmie się ogniem.

– Dobrze, ale pośpiesz się – wołam za nią. Sam rozglądam się za odpowiednio dużą gałęzią, którą dałoby się wyciągnąć z ognia płonąca chłodziarkę.

48) Alyssa

Otwieram drzwi do kampera. W środku nie pachnie najładniej. Zupełnie mnie to nie zaskakuje. Wnętrze nie odbiega wyglądem od schronu Keltona. Pojemniki z jedzeniem i brudne ubrania. I coś, czego się zupełnie nie spodziewałam.

– To ty, Benji?

Idę za głosem do sypialni. W środku widzę kobietę. Starą. Chorą. Podomka w kwiaty. Mechate różowe kapcie. Obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem i naciąga na siebie kołdrę.

– Coś ty za jedna? Gdzie jest Benji? Gdzie jest Kyle?

– Oni... przysłali mnie – mówię. – Przysłali mnie po wodę.

Robi się jeszcze bardziej podejrzliwa.

– Mają przecież całą wodę w chłodziarce! Coś ty za jedna? – pyta ponownie.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Nie dowierzam, że nie ma w nim wody. Ona odgaduje moje zamiary i teraz już wie, że jej podejrzenia były

słuszne. Wygląda na wystraszoną.

– Oni cię wcale nie przysłali! Wynoś się stąd! Nie masz prawa tu być! Wynoś się natychmiast!

Wiem, że nie ma broni, ponieważ już by po nią sięgnęła. Ja jestem uzbrojona, ale nie zamierzam grozić staruszce pistoletem. To nie w moim stylu.

Przesuwam spojrzeniem po każdym centymetrze pomieszczenia i widzę rzeczy, których nie chcę widzieć. Na stoliku koło łóżka stoi miniaturowa wersja wystawki, która musi się znajdować w jej domu – gdziekolwiek się on znajduje. Fotografie. Dwóch chłopców w różnym wieku. Jedno ze zdjęć przykuwa moją uwagę. Na wyblakłej fotografii stoją w kapeluszach z Myszka Miki i robią miny do zdjęcia. Wtedy do mnie dociera. To Benji i Kyle. Byli braćmi. Nie chcę tego wiedzieć. Nie chcę wiedzieć, że zakładali kiedyś kapelusze z Myszka Miki. Nie chcę wiedzieć, że ktoś trzyma ich zdjęcia na stoliku nocnym. Jeden z tych chłopców chciał zastrzelić Garretta. Drugi zamierzał mnie zgwałcić. Tak przecież było, prawda? Prawda?

– To dym? – pyta staruszka. – Co się tam dzieje?

– Nie może pani tu zostać – mówię. – Musi pani pójść z nami.

Ledwie wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, że jeśli tak się stanie, kobieta zobaczy zwłoki swoich synów leżące przy samochodzie.

– Nigdzie się nie wybieram! – woła, nie rozumiejąc powagi sytuacji. – Czy ja wyglądam na kogoś, kto ma ochotę na wycieczkę? – Zaciska usta i kręci głową. – Lepiej wynoś się stąd, zanim wrócą. Niczego bardziej nie znoszą niż włamywaczy.

Wtedy go zauważam! Plastikowy kubek na parapecie, tuż poza zasięgiem ręki kobiety. Ona widzi, że go dostrzegłam. Mierzy mnie wzrokiem, na chwilę zamiera, tak jak i ja... po czym rzuca się w stronę kubka.

Robię to samo, ale chwyta go pierwsza i przyciąga do piersi. Ja zaciskam na nim dłoń.

– Jest mój! – woła. – To moja woda, nie twoja!

Woda chlupocze w kubku, kiedy próbuję go jej wyrwać. Wychlapuje się przez krawędź. Nie mogę go jej wyrwać, ponieważ wszystko się wtedy wyleje.

– Benji! Kyle! Ratunku!

Chwytam ją za rękę, żeby zapobiec wychlapaniu się wody. Ona próbuje mnie odepchnąć drugą ręką, zaraz potem zbliża kubek do ust. Wiem, że to cała woda, jaką ma. Cała woda, jaka została. Jeżeli ją jej odbiorę, kobieta umrze. Jeżeli jej nie odbiorę, mój brat umrze.

Robię więc coś straszliwego.

Uderzam ją w twarz. Uderzam ją mocno. Ona traci na chwilę koncentrację, dzięki czemu udaje mi się wyrwać jej z ręki kubek. Woda znów się wychlapuje. Niewiele zostało – może dwie łyżki. Nie wystarczy, żeby ugasić pragnienie, ale może ocali życie mojemu bratu.

Odsuwam się od kobiety.

– Ogień podszedł już niemal pod drzwi – mówię. – Musi pani stąd wyjść.

Ale co jej to da? Znajdzie się sama w dziczy. Jeżeli nie pochłonie jej pożar lasu, umrze z pragnienia. Mimo to odwracam się do niej tyłem i wychodzę. Dokonałam wyboru. Jeżeli ona musi umrzeć, żeby mój brat mógł przeżyć, to zabiorę jej wodę i zostawię ją na pewną śmierć. Henry miał rację. Czasami tylko potwory mogą przetrwać. I teraz ja stałam się potworem.

49) Jacqui

Moje ręce! Moje ręce! Czy ja zwariowałam? Moje ręce! Mimo to jestem gotowa włożyć je z powrotem w płomień, żeby wydostać chłodziarkę

spoczywającą w samym środku piekła. Na palcach i dłoniach wykwitają już pęcherze, a ból przeradza się w pulsowanie.

Kelton przynosi jakąś gałąź i dźga nią w chłodziarkę. Zahacza czubek o krawędź. Moje ręce! Moje ręce! Ciągnie, a chłodziarka przesuwa się o kilka centymetrów. Ciągnie ponownie. Przesuwa się kolejny centymetr. Szarpie mocniej – pęka nadtopiona ścianka, a woda wylewa się w ogień.

– Nie!

Woda paruje, a kiedy para się rozwiewa, widzę, że zawartość kilku butelek pozostałych na dnie rozdartej chłodziarki wycieka bezsensownie na ziemię. Bezużytecznie. Nie gasi płomieni, ponieważ te natychmiast z powrotem buchają, a pozostałe ściany chłodziarki również się rozpadają. Zniknęła. Cała woda zniknęła. Podnoszę wzrok i widzę, jak daleko rozprzestrzenił się ogień. Podsyca go wiatr. Kolejny pożar, jakby mało było tych, które trawią lasy w otaczających nas górach.

Alyssa wypada z kampera i przeskakuje nad płomieniami, które go otaczają. Trzyma coś w rękach. Co to jest? Czyżby kubek? Zachowuje się, jakby to było coś cennego. Bo tak jest.

Mogłabym jej to odebrać. Mogłabym ją dogonić i odebrać jej wodę. I ją wypić. Ugasić pragnienie, które pali mocniej niż ręce.

Ale tego nie zrobię.

Ponieważ wiem, że ta woda nie jest przeznaczona dla niej.

Nie odbiorę jej tej wody, ponieważ przez cały dzień wszyscy wokół rezygnowali ze swojego człowieczeństwa, a ja uświadamiam sobie właśnie teraz, że w końcu udało mi się odnaleźć moje.

50) Alyssa

Garrett spoczywa dokładnie tam, gdzie go zostawiłam – na grzbiecie nad płonąącym obozowiskiem, oparty o drzewo. Głowa przechylona na bok.

Oczy na wpół zamknięte. Może już nie żyć. Nie widzę, żeby oddychał. Może już nie żyć!

– Garrett! Garrett, wróciłam.

Klękam obok niego. Przykładam mu kubek do ust. Wlewam w nie odrobinę wody. Co, jeśli jej nie przełknie? Co, jeśli nie zdoła jej przełknąć? Ponieważ już umarł?

Woda wycieka z kącika ust. Nie zdążyłam na czas! Trzeba było wyciągnąć pistolet i zastrzelić tę kobietę w chwili, gdy dostrzegłam wodę. To właśnie należało zrobić! Zaoszczędziłabym dziesięć sekund. Dziesięć sekund, które uratowałyby brata. Przełykaj, Garrett! Przełykaj, do cholery!

Zanosi się kaszlem. Kaszle! Jego powieki rozwierają się odrobinę bardziej.

– Garrett, to jest woda! – mówię. – Przełknij!

– Próbuję – charczy. – Jest trudno.

Zamyka oczy. Zmusza się do przełknięcia. Wlewam mu trochę więcej do ust. Przełyka ponownie. Wlewam resztę. Za trzecim razem idzie mu już łatwiej. Sam nie wygląda lepiej. Nie wydaje się wzmocniony. Ale ja wiem, że woda znalazła się w jego organizmie. Woda wchłania się szybciej niż cokolwiek innego. W ciągu kilku minut zniknie z żołądka – szybciej nawet niż postępujące odwodnienie. Jego ciało wchłonie ją jak gąbka.

– To wszystko, co masz? – pyta, a ja wybucham śmiechem.

– Będzie więcej – zapewniam go.

Dopiero teraz spoglądam w stronę obozowiska. Jacqui i Kelton wspinają się za mną. Ogień rozprzestrzenia się w zatrważającym tempie.

– Czy ta stara kobieta wydostała się z kampera? – pytam ich. Dopiero teraz jestem zdolna pomyśleć o kimkolwiek innym poza bratem.

Kelton spogląda na Jacqui, potem przenosi wzrok na mnie.

– W kamperze była jakaś stara kobieta?

Spoglądam ponownie na obozowisko. Kamper i krzaki wokoło stoją w płomieniach. Drzwi są nadal otwarte, tak jak je zostawiłam. Nie słyszę krzyków. Co jednak mogłabym poradzić, gdybym je usłyszała? Drogę odciął ogień.

– Musimy się stąd zabierać – mówi Kelton.

Schylam się, podnoszę Garretta i ruszam w stronę samochodu, próbując zapomnieć o tym miejscu. Nie będzie to łatwe.

51) Kelton

Jacqui nie może prowadzić. Jej dłonie spuchły tak bardzo, że przypominają balony. Próbuje chwycić kierownicę, ale wyje z bólu. Pozostajemy Alyssa i ja, a z naszej dwójki jestem mniejszym złem. W odróżnieniu ode mnie ona nie zrobiła jeszcze prawa jazdy. Ojciec twierdził, że muszę zasłużyć na przywilej jeżdżenia samochodem, mimo to zabierał mnie na puste parkingi. Według niego skasowałem tam dwadzieścia hipotetycznych pojazdów. Całe szczęście teraz muszę się przejmować tylko drzewami.

Wrzucam bieg. Alyssa siedzi obok mnie – będzie obsługiwała drążek napędu na cztery koła, podczas gdy ja skupię się w całości na kierowaniu.

Autem szarpie, silnik wyje. Ocieramy się o drzewa. Odbijamy się od kamieni. Jacqui przeklina za każdym razem, kiedy odruchowo używa rąk, żeby się przytrzymać. Zerkam na Garretta we wstecznym lusterku. Nie wygląda tak koszmarnie jak wcześniej. Wygląda po prostu źle. Jak my wszyscy.

Ogarnia mnie zmęczenie. Płuca palą od dymu, którego nawdychałem się w obozie. Tlenek węgla. Podobnie jak tlen wiąże się z czerwonymi krwinkami, ale w odróżnieniu od tlenu ich potem nie zwalnia. W rezultacie stają się bezużyteczne. Właśnie dlatego ludzie umierają od zacinania. Brakuje im czerwonych krwinek, żeby dostarczać tlen do

mózgu. Jestem wciąż przytomny, więc wiem, że nie nawdychałem się aż tyle tlenu węgla, żeby umrzeć. Problem w tym, że umrzeć mogę teraz z najróżniejszych powodów. Na przykład w wyniku pomyłki przy kierowaniu pojazdem.

Tak trudno jest mieć otwarte oczy. Ale nie mogę ich zamknąć.

Wjeżdżamy na kolejny grzbiet i staczamy się w dół, ale zbocze jest tu bardziej strome od poprzednich. Powinienem był spojrzeć na mapę! Powinienem był o tym pomyśleć.

– Kelton, uważaj! – mówi Alyssa.

Wciskam hamulec, ale i tak zaczynamy się ześlizgiwać. Zbocze jest naprawdę strome. Może mieć ze trzydzieści stopni. Koła z ledwością łapią przyczepność. Hamowanie nie przynosi rezultatu. Na pewno nie uda nam się zwolnić. Muszę w jakiś sposób uniknąć zderzenia z drzewami i głazami.

– Kelton! – woła Jacqui. – Tracisz panowanie nad autem!

Jakbym nie wiedział. Skrećam kierownicę w prawo. Szorujemy bokiem o drzewo. Ostry skręt w lewo. Odbijamy się od głazu tak wielkiego, że słyszę zgrzyt od strony podwozia. Tymczasem zbocze opada jeszcze szybciej. Nic już nie wskóram. Grawitacja przejęła kontrolę nad samochodem. Chwytam kierownicę i zaciskam na niej mocno ręce.

Głośny huk. Rozbłysk bieli.

Ból w brzuchu i klatce piersiowej, jakby ktoś mnie tam kopnął.

Rozpaczliwie wciągam powietrze do płuc. Może tlenek węgla jednak mnie w końcu dopadł.

Nie, po prostu mnie przytknęło. Wybuchły poduszki powietrzne. Samochód stoi.

– Wszyscy okej? – pyta Alyssa.

– Nie – odpowiada Jacqui, co w jej języku znaczy „tak”. Garrett wydaje z siebie jęk i stwierdza, że jestem beznadziejnym kierowcą.

Otwieram kopniakiem drzwi i natychmiast wyczuwam zapach benzyny.

– Ostrożnie – zwracam się do pozostałych. – Chyba przebiliśmy bak.

Znajdujemy się na drodze. Wąskiej, słabo utrzymanej, ale prawdziwej drodze!

– To musi być East Fork Road!

Choć tyle dobrego. Obchodzę samochód, ale ledwo trzymam się na nogach. Powłóczę nimi, wszystko mnie boli. Mam poczucie, jakby głowa miała mi się rozłupać na pół niczym jajko. Ależ bym się chciał położyć. Tylko na chwilę. Nie robię tego, ponieważ dobrze znam to uczucie. I wiem, co ono oznacza.

Samochód jest skasowany. Wygląda, jakby uczestniczył w *demolition derby*. Jedno koło jest kompletnie sflaczałe, drugie sterczy w bok.

– Zbiornik znajduje się jakieś półtora kilometra w tamtą stronę – mówię, wskazując na zachód. – Resztę drogi musimy przejść.

– Myślę, że damy radę – stwierdza Garrett, który jako jedyny z nas pił wodę w ciągu ostatnich dwóch dni. Alyssa i Jacqui spoglądają na mnie w taki sposób, jakbym ogłosił wyrok śmierci.

Jacqui kręci głową.

– Kelton, nie wiem, czy starczy mi sił na półtora kilometra marszu.

– Nawet się nad tym nie zastanawiaj – mówi Alyssa. – Będziemy szli i tyle. Nawet kiedy będzie nam się wydawało, że nie damy już rady, będziemy szli dalej.

Przestajemy zatem rozmawiać i zaczynamy iść. Na zachód. Po chwili orientuję się, że prowadzę.

To mój nagły zastrzyk energii.

52) Alyssa

Idziemy. Idziemy. Jedna noga. Druga noga. Potem znów pierwsza.

Nie jestem żywa. Nie jestem martwa. Jestem czymś pośrednim. Szur. Szur. Krok. Za. Krokiem. Jaka długość ma półtora kilometra? Ile trzeba przejść kroków? Nieważne. Nie liczę. Większość wyższych funkcji mojego mózgu wysiadła. Myślę wyłącznie o wodzie, do której zmierzamy. Pozwala mi to przesuwać stopy do przodu. Krok. Za. Krokiem. Szur. Szur.

U innych wygląda to tak samo. Kelton idzie metr przed nami, ale nie porusza nogami w normalny sposób. Powłóczy nimi, jak my wszyscy. Przez chwilę wydawało się, że dostał wiatr w żagle, ale teraz zwalnia.

Myślę, że zamieniliśmy się w wodnych zombie.

Dym wypływa pomiędzy drzew i tworzy przed nami mgiełkę. Zaczynam kaszleć.

– Jak daleko jeszcze? – pytam. Z ledwością wypowiadam słowa. Nie brzmi to jak mój głos.

Nikt nie odpowiada. Podejrzewam, że zostało nam niecałe pół kilometra...

...tymczasem dym gęstnieje. Niecałą minutę później dostrzegam przed nami płomienie.

Ognisko przy jakimś obozie czy kolejny pożar? To chyba bez znaczenia, ale – o dziwo – zadaję sobie to pytanie. Zupełnie jakby płomienie były podsycane przez rozgniewane duchy Kyle'a i Benjiego oraz ich niepełnosprawnej matki.

Ogień zdążył już przeskoczyć na drugą stronę drogi. Wąska jezdnia przypomina teraz czarny jezior wielkiego ognistego potwora, który lada chwila nas połknie. „Co jest gorsze”, zastanawiam się, „śmierć od ognia czy śmierć z pragnienia? Jak można wybrać mniejsze zło, skoro oba są zbyt straszliwe, żeby dało się je ogarnąć umysłem?”

– Nie przejdziemy – mówi Kelton. – Skręcimy na północ, z powrotem do lasu na prawo od nas.

– Oddalimy się wtedy od wody – protestuje Jacqui.

– I od ognia – odpowiada Kelton. – Obejdziemy go i dotrzemy do zbiornika od północy.

Ale obchodzenie pożaru oznacza, że nadłożymy kilometr.

– Jesteśmy już prawie na miejscu! – mówi Jacqui. – Widzę przecież wodę!

To chyba halucynacja, ponieważ kiedy spoglądam w pożogę przed nami, widzę tylko dym i płomienie.

– Moim zdaniem przejdziemy – upiera się Jacqui.

– Nie uda nam się – mówię do niej. Wiem, że nie to chciała usłyszeć, ale samą siłą woli nie pokonamy ognia. Płomieni nie da się zastraszyć.

Za naszymi plecami rozlega się eksplozja. Chmura czarnego dymu wznosi się prosto w niebo.

– Samochód... – mówi Kelton. Kiedy go zostawialiśmy, z baku wylewała się benzyna. Jeżeli ogień dopełził do samochodu, oznacza to, że jesteśmy odcięci. Nie pozostaje nam nic innego, jak wspiąć się na zbocze po prawej stronie. Na północ, wokół płomieni.

– Woda czeka tuż przed nami – przekonuje Jacqui. – Wiem, że tam jest. Widziałam ją. – Spogląda w płomienie przeskakujące z drzewa na drzewo. – Nie prześcigniemy ich. Jeżeli chcemy dojść do wody, musimy iść naprzód. – Spogląda na swoje opuchnięte, czerwone dłonie. – Poza tym, co komu szkodzi odrobina ognia.

Nasze spojrzenia spotykają się na chwilę... a ja rozumiem, że zamierza podjąć próbę. Albo dotrze do wody, albo strawią ją płomienie. Tak czy inaczej nigdy więcej się nie zobaczymy. Chcę coś powiedzieć, ale nie wiem co. „Powodzenia” brzmiałoby w tych okolicznościach banalnie i bezsensownie. Ona chyba myśli to samo, bo tylko kiwa głową – jakby potwierdzała wszystkie niewypowiedziane słowa – odwraca się i rusza dalej drogą, powłócząc nogami. Po przejściu kilku kroków zaczyna je unosić. Zaraz potem puszcza się biegiem. Ona naprawdę biegnie! Ostatnie, co widzimy, to jej plecy, kiedy znika w dymie.

- Alyso, chodźmy – mówi Garrett.
- Powinniśmy byli ją zatrzymać...
- Nie zdołalibyśmy – mówi Kelton. Wiem, że ma rację. Wszystkim nam zostały już tylko same złe wybory. Jacqui dokonała złego wyboru. Teraz pora na nas. Spoglądam na północ. Zbocze jest strome. Nie mam siły, żeby się na nie wspiąć... ale to zrobię. Jakoś tego dokonam.

53) Jacqui

Płomienie drażnią mnie w policzki. Mają moc osmalania, rozniecania, rozpalania, ale powstrzymują się od tego. Na razie tylko drażnią. Łaskoczą. Igrają ze mną.

Zmienia się nachylenie terenu. Droga zmierza w dół, a ja nie przestaję przebierać nogami, ponieważ wiem, że woda znajduje się tuż przede mną. Pozostali nie potrafili jej dostrzec; gapili się na ogień, a nie przez ogień. Oślepił ich. Teraz to ja napiję się pierwsza. Będą mieli szczęście, jeśli nie wyżłopię całego zbiornika do czasu, kiedy do niego dotrą. Jeżeli do niego dotrą. Może się okazać, że tylko mnie się to uda, ponieważ tylko ja byłam gotowa rzucić wyzwanie ogniewi.

Nie oglądam się za siebie: są tam tylko martwy las i dym. Wokół czuję pulsujący skwar. A może to tylko moje bijące serce, które jest jak nieprzerwanie łomoczące żywe palenisko. Nienasycony bóg ognia.

Potykam się na gałęzi i zaliczam paskudny upadek. Gałąź się pali. Spadła z drzewa, które zajęło się ogniem. Płoną wszystkie korony drzew wokół mnie, a przez dym po obu stronach widzę pędzące ściany płomieni, ogarniające korę kolejnych pni. Tu niżej powietrze jest chłodniejsze, ale tylko odrobinę. Dym pali mnie w płuca. Podnoszę się i ruszam dalej, ale staram się biec przygięta do ziemi, żeby oddychać czystszy powietrzem.

Pulsowanie obejmuje teraz całe moje ciało. Skwar przestał ze mną igrać, a choć płomienie nadal znajdują się w pewnej odległości, nie ma to

znaczenia. Mogę się ugotować równie szybko, jakbym płonęła. Przyspieszam więc, żeby pokonać ból.

Wiatr smaga mnie ze wszystkich stron, iskry wirują wokół mnie. Nagle go słyszę:

...Jacqui... Jacqui...

Moje imię szepczą zarówno podmuch, który czuję na plecach, jak i paląca bryza na policzkach. Ten sam wiatr, który czułam przez całe życie – Zew Pustki – tyle że teraz wzbiera nie tylko przede mną, ale wszędzie wokół mnie, z pełną samozadowolenia wszechmocą.

Po raz pierwszy budzi we mnie prawdziwe przerażenie.

Przez całe życie pozwalałam, żeby mnie drażnił i kusił. Nie ulegnę mu teraz. Po raz pierwszy przeciwstawię mu się wszystkimi siłami, które mi pozostały!

Płomienie pełzną po jezdni i zagradzają mi całkowicie drogę. Wszystko wokół płonie – ale tuż za kurtyną płomieni dostrzegam coś połyskującego – migoczącego – w ogniu pożogi.

Zbiornik!

Zbawienie za kurtyną piekła.

Coś takiego nazywane jest czyścćcem. Mogę pogodzić się z czyścćcem, jeżeli za nim leży niebo.

...Jacqui...

Ból staje się niewyobrażalny, ale nadal biegnę. Nie mogę mieć otwartych oczu, więc zaciskam je mocno, a wtedy spoglądam prosto w Pustkę. Pędzę przez biały płomień absolutnej ciemności, przez spoiwo łączące życie i śmierć. Pustka zaczyna pochłaniać moje ciało, a ja wiem doskonale, co mnie czeka. Ona pragnie mojej duszy.

Ale nie oddam jej bez walki.

Nie zwalniam. Nie godzę się z bólem. Przedzieram się przez płonąca pustkę w stronę niebiańskich wód.

Ogień ściga nas w górę zbocza. Ilekroć się odwracam, widzę, że nie udało nam się od niego oddalić. Ale też się do nas nie przybliżyła. Podąża w tym samym tempie, co oznacza, że nie możemy zwolnić ani na moment, ponieważ wtedy nas doścignie.

Zrywa się wiatr, choć nie zza naszych pleców. Czujemy go na twarzach, kiedy spływa w dół zbocza.

„Ogień przyciąga powietrze”, myślę. „Zasysa je, karmi się nim”.

Przed oczami natychmiast pojawia mi się wizja plaży. Fale tworzą prąd powrotny przyboju, wyciągają wodę od brzegu. Pochwycił nas prąd powrotny, tymczasem od tyłu pędzi w naszą stronę wielka fala. Wizja jest tak silna, a mój umysł tak osłabiony, że pozostawia w głowie mętlik. Wystrzały skwierczącej żywicy i gardłowy oddech płomieni splatają się w niski pomruk, który brzmi równie złowieszczo jak sztorm. Przez chwilę wydaje mi się, że znajduję się na wybrzeżu i uciekam przed pochłaniającym wszystko wokół tsunami. Dopiero kiedy zauważam brata wspinającego się dwa kroki przede mną, przypominam sobie, co robimy i gdzie jesteśmy. Szkoda, że nie uciekamy przed wodą. Choćby morską. Gdybyśmy znajdowali się teraz na plaży, piłabym ją, dopóki by mnie nie zabiła. Jak wszystkich innych wodnych zombie.

Kiedy zaczynaliśmy się wspinać, szliśmy koło siebie, ale Garrett, który jako ostatni z nas miał okazję napić się wody, teraz wysunął się kilka metrów do przodu. Kelton został trochę z tyłu.

– Kiedy będziemy... kiedy będziemy na... na szczycie – rzezi między ciężkimi oddechami i kaszlnięciami – skrećimy... skrećimy w lewo... prosto do... do... – Nie może znaleźć odpowiedniego słowa. – Do...

– Zbiornika – kończę za niego.

– No, dalej! – woła Garrett. Wysforował się jeszcze mocniej do przodu i jest poirytowany, że nie nadążamy. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Ale szczyt wzgórza wydaje mi się odległy o wiele kilometrów. Odwracam się i widzę, że Kelton został jeszcze bardziej z tyłu. Opiera się o pniak, próbuje złapać oddech. Iskry z pożaru zasypują go niczym konfetti.

– Kelton!

– Tylko... tylko...

Wracam po niego, zmniejszam o połowę odległość dzielącą mnie od ognia.

– Tylko... jedną... chwilę.

Mam poczucie, że od skwaru zaraz zapali się na mnie ubranie. Wydaje się, że w każdej chwili może zapłonąć moja wyschnięta skóra.

– Mały odpoczynek... – mówi Kelton. – Tylko... tylko...

– Nie! – krzyczę. Na sam dźwięk słowa „odpoczynek” uginają się przede mną kolana. Brzmi to tak niesamowicie kusząco. Ryk fal. Odpoczynek. Stopy zanurzone w chłodnej wodzie. – Nie!

Chwytam Keltona i właściwie przeciągam go przez pniak.

– Muszę... muszę... – mamrocze.

– Musisz IŚĆ! – Pomagam mu wstać i nabrać rozpędu. Nie doszedł tak daleko i nie przeżył tego wszystkiego, co przydarzyło się jego rodzinie, żeby załamać się na samym końcu i umrzeć.

Postawienie Keltona w centrum uwagi pomaga mi jakoś zwalczyć to samo pragnienie położenia się na ziemi.

Brniemy w górę zbocza, a ja uświadamiam sobie, że to jest mój zastrzyk energii. Ostatni, po którym nie zdołam z siebie więcej niczego wykrzesać. Mam nadzieję, że Kelton doceni, że zużyłam go na niego.

Nie widzę nigdzie Garretta. Jest daleko przed nami, ale słyszę, jak mnie woła, i skupiam się na tym dźwięku... aż nogi Keltona po raz kolejny nie wytrzymują. Ale teraz nie opiera się o nic, żeby złapać oddech. Leży plackiem na ziemi. Nie potrafi się nawet podnieść.

– B... bezpieczny pokój – bełkocze. – Idź do... bezpiecznego pokoju.

Bredzi, a ja nie mogę mu pomóc. Jego mózg zaczął się wyłączać z braku wody. Przychodzi mi do głowy tylko jedno rozwiązanie. Tylko to jedno może skłonić go do podniesienia się z ziemi.

– Nie pozwolę ci tu zostać! – wrzeszczę do niego. – A to oznacza, że jeśli nie ruszysz dupy w górę, ja też umrę. Tego właśnie chcesz? Chcesz, żebym umarła przez CIEBIE?

Kaprawe oczy zwracają się w moją stronę. Tuż obok ląduje iskra i podpala wyschniętą trawę. Kelton podnosi się na kolana. Zaczyna pełznąć do przodu. Udało się! Zaszczepiłam w nim myśl o mnie i w ten sposób wykrzesalam z niego resztki energii na podobnej zasadzie, na jakiej wcześniej ja sama skupiałam się na nim. To chyba musi być istota człowieczeństwa: nawet jeśli tracimy siłę, żeby ratować samych siebie, potrafimy ją w sobie znaleźć, jeśli trzeba ratować innych.

W końcu... w końcu docieramy na szczyt wzgórza. Trudno mi uwierzyć, że wciąż żyję. Nie czuję się żywa. Wydaje mi się, że umarłam sto metrów niżej, w czasie wspinaczki, a mój duch uwiązł między światami i ma nawiedzać to miejsce, by doświadczać przez całą wieczność wspinaczki, pragnienia i płomieni.

Garrett stoi na płaskim gładzie, nadal zdyszany, i patrzy na zachód. Dołączam do niego. Widać stąd zbiornik! Znajduje się chyba niecałe pół kilometra pod nami! Kelton miał rację! Miał rację!

...Ale podstępny, nieukojonny ogień podkradł się i tu. Odgradza nas od zbiornika. Jak to możliwe, żeby woda znajdowała się tak blisko, a mimo to była zupełnie nieosiągalna?

– Na północ! – mówię. – Obejdziemy go!

Słowa z ledwością wydobywają się z moich ust. Język wydaje się płatem wyschniętej skóry, a struny głosowe kruszejącym papierem. Wciąż mamy szansę pójść na północ i ominąć ogień. W porównaniu ze wspinaczką droga w dół powinna być łatwiejsza, prawda? Nadal mamy szansę obejść ogień i dotrzeć do zbiornika.

Wtedy jednak spoglądam na Keltona. Leży na brzuchu na ziemi.

– Nie!

Podchodzę do niego. Przewracam go na plecy. W ryku zbliżających się płomieni nie słyszę jego oddechu. Otwieram mu na siłę oczy, jakbym mogła w ten sposób sprawić, że mnie zobaczy.

– Kelton! Obudź się!

Po chwili zaczyna rzezić, ale nie są to słowa, tylko pomruki, delikatne mlaśnięcia i syki. Jego oczy uciekają w tył głowy, a ja rozumiem, że zostało mu kilka chwil życia. Wiem, że nie zdołam pomóc. Wiem też, że nie zdołalibyśmy go nieść.

– Alyssa...?

Odwracam się w stronę Garretta, który przeszedł na drugą stronę wzgórza. Na północ. Kierunek, w którym musimy się udać, jeśli chcemy przeżyć. Dołączam do niego i widzę to co on. Wtedy wszystko staje się równie jasne jak woda, do której już nigdy nie dotrzemy.

Druga strona wzgórza nie opada w dół łagodnym zboczem.

To urwisko.

Przepaść – co najmniej dziesięciometrowa. Jeżeli chcielibyśmy zejść w dół, musielibyśmy się cofnąć tą samą drogą, którą przyszliśmy. A to oznacza, że znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia.

Garrett spogląda na mnie z taką rozpaczą, że niemal mnie ona obezwładnia. Widzę, że zaczyna się chwiać i drzeć. Opadają mu ramiona. Szokujące odkrycie odarło go z resztek energii. Szybko chwytam go i odciągam od krawędzi, żeby za nią nie wypadł. Przytrzymuję go mocno.

– Wszystko będzie dobrze – mówię.

– Nie będzie – odpowiada słabym głosem. – Wiesz, że nie będzie.

Wiem. Ale nie przyznam się do tego. Nie przed nim. Prowadzę go z powrotem do płaskiego głazu, który przypomina teraz ołtarz. Miejsce, w którym złożono w ofierze nadzieję. Garrett odwraca się ode mnie, przyciąga kolana do piersi i zwija się w kulkę. Spogląda w stronę

zbiornika i wody, do której prawie udało nam się dotrzeć. Taki właśnie obraz chce mieć teraz przed oczami. Nie wspomnienie swojego życia, nie wspomnienie naszej rodziny. Tylko wodę.

Odgłos podpełzającego do nas ognia staje się ogłuszający. Niebo nad nami ciemnieje od dymu, jakby przedwcześnie zapadała noc.

Nagle dociera do mnie, co powinnam zrobić.

Słyszałam kiedyś, że nie ma gorszego rodzaju śmierci niż w ogniu. Nie zamierzam w ten sposób skończyć, jeżeli nie muszę. Nie pozwolę, żeby mój brat spłonął żywcem.

Wyciągam pistolet, który uwierał mnie w bok, odkąd dał mi go Kelton. Chciałam zostawić go w samochodzie. Niemal wyrzuciłam go, kiedy ruszaliśmy pod górę, ponieważ był zbyt niewygodny. Coś jednak mnie przed tym powstrzymało. Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona, a jednocześnie tak szczęśliwa, że trzymam nabity pistolet. Chowam go za siebie, żeby nie zobaczył go Garrett, kiedy pozwala mi się objąć. Nachyla się ku mnie. Łka, ale z jego oczu nie płyną łzy.

– Chcę do domu – mówi. – Chcę, żeby był zeszły tydzień.

– Ja też.

Czy to wszystko zaczęło się zaledwie tydzień temu?

Gdzieś poniżej płonące drzewo wali się i wywołuje eksplozję iskier, które unoszą się w niebo nad naszymi głowami. Zarodniki roznoszące ogień. Przystawiam pistolet do głowy Garretta, ale nie dotykam jej lufą, ponieważ nie chcę, żeby wiedział.

– Kocham cię, Garrett – mówię, a on mówi mi to samo. Bracia i siostry nigdy nie mówią sobie takich rzeczy, dopóki nie znajdą się w sytuacji, kiedy nic innego nie można powiedzieć. Kładę palec na spuście, czując ciężar broni. Ale wtedy nadchodzi zawahanie... które trwa... aż Garrett odzywa się najcichszym z możliwych szeptów:

– Zrób to, Alysso.

Nie patrzy na mnie. Nie chce widzieć pistoletu ani mnie. Przyciskam lufę w miejscu między uchem a okiem, gdzie ma krótkie, miękkie włosy.

– Zrób to. Proszę...

Będę silna, jeśli nie dla siebie, to dla Garretta. Wybawię go od płomieni. Potem wybawię Keltona. A na końcu siebie.

Migawka: Bombardier 415 straży pożarnej Los Angeles

Samolot gaśniczy sunie kilka metrów nad powierzchnią jeziora. Niczym pelikan zniża delikatnie lot i rozcina grzbiety małych fal. W końcu zanurza dziób i zagarnia trzy i pół tysiąca litrów – wszystko w zaledwie kilka sekund. Przez ostatnie dwa dni pilot i jego ptaszysko powtarzali ten manewr nieskończenie wiele razy. Mężczyzna otrzymał bezpośredni rozkaz, że ma nabierać wodę w zbiorniku San Gabriel i zrzucić ją na pożary szalejące między tym zbiornikiem a jeziorem Arrowhead, leżącym trzydzieści kilometrów na wschód. Płomienie blokujące dostęp do jeziora Big Bear pochłonęły już życie wielu ludzi. Pilot nie może nic na to poradzić, ale ma przynajmniej wpływ na rozprzestrzenianie się pożaru zagrażającego drodze prowadzącej do Arrowhead.

Zadziiera dziób ptaszyska w górę i razem wzbijają się w niebo. Patrzy na pożar trawiący tereny wokół zbiornika, zaskoczony, że ogień dotarł tak daleko. Czasami, kiedy pożar lasu wymyka się spod kontroli, strażacy dokonują kontrolowanego wypalenia jakiegoś odcinka, by stworzyć barierę dla głównego pożaru. To chyba nie jest ten przypadek, stwierdza, gdy podlatuje bliżej. To prawdziwy pożar. Tyle że on przyleciał tu tylko po wodę. Do tego miejsca oddelegują inną drużynę. Chwilowo jest to obszar o niższym priorytecie. Wodę ma zrzucić znacznie dalej na wschód.

Gaszenie pożarów przypomina w ostatnich dniach niekończące się zmagania z chwastami. Wyrывa je w jednym miejscu, tymczasem one odrastają w innym. A przynajmniej tak to sobie próbuje wyobrazić – ułatwia mu to pracę.

Ilekcio lecic po wodę do zbiornika, musi minąć potwornie zatłoczone centrum ewakuacyjne. Kiedy widzi bezradnych ludzi stłoczonych za ogrodzeniami, zawsze zastanawia się, czy nie rzucić po prostu na nich całego ładunku. Ale to byłoby nieefektywne wykorzystanie zasobów. Jeśli zgasi pożary, uratuje więcej osób. Dlatego też przelatuje nad centrum ewakuacyjnym na nieco większej wysokości. Takiej, z której ludzie wyglądają jak mrówki. Próbuje w ten sposób stłumić w sobie empatię – robi wszystko, żeby wyrzuty sumienia nie wypaliły go doszczętnie od wewnątrz.

Teraz jednak, gdy oddala się od zbiornika, zauważa coś dziwnego. Wygląda, jakby ktoś biegł przez ogień.

Samolot zakończył właśnie ostre wznoszenie z niecki zalewu. Może to tylko wyobraźnia płata mu figle albo zakręciło mu się w głowie od gwałtownej zmiany wysokości. Żeby się upewnić, skręca w lewo i zawraca, żeby przyjrzeć się dokładniej.

Rzeczywiście – ktoś pędzi przez płomienie.

Dziewczyna.

Co ona tu robi? Co ją opętało, żeby ryzykować starcie z płonącym lasem?

Wzrok pilota przesuwają się na szczyt urwiska, gdzie dostrzega innych. Znaleźli się w pułapce między krawędzią urwiska a ogniem posuwającym się w ich stronę.

Rozważa swoje możliwości. Sięga do najgłębszych pokładów swojego sumienia. To nie jest strefa zrzutu. Otrzymał wyraźne rozkazy. Mimo że zaczął się już wznosić, zdaje sobie sprawę, że nie może odlecieć. Podleciał już zbyt blisko, żeby móc wyzbyć się swojego człowieczeństwa.

55) Alyssa

Trzymam palec na spuście, kiedy z ogłuszającego wycia płomieni wzbiera krzyk. Nie, to nie krzyk. To coś innego.

Znam ten dźwięk.

Przeradza się w przeraźliwy mechaniczny warkot, który zmienia wysokość w chwili, gdy nad naszymi głowami przelatuje cień.

Buchające wszędzie wokół płomienie zostają w jednej chwili stłamszone przez coś zimnego i wilgotnego.

Spada na nas wielki potop, który trwa tylko kilka sekund, ale to wystarcza, żeby przemoczyć nas do suchej nitki, nasączyć ziemię i zranić ogień.

Ciskam pistolet na ziemię. W jednej chwili zamienił się w mojego wroga. Oblizuję sobie dłonie. Oblizuję ręce. Chwytam włosy, zagarniam je przed twarz i wysysam.

Woda! Smakuje popiołem, ale mam to gdzieś. Przełykam ją. Gardło wrzeszczy z bólu, mimo to przełykam.

Garrett na kolanach liże głaz, wyłapując spływające po nim strużki. Na płaskiej powierzchni głazu dostrzegam zagłębienia. Pozostały w nich jeziorka wody.

Wpycham twarz w jedną z tych płytkich niecek z taką siłą, że niemal łamię sobie nos. Wysysam wodę. Zaraz potem uświadamiam sobie, że o czymś zapomniałam. O kimś. Odrywam twarz od skały i patrzę na Keltona. Nie poruszył się. Jego adidasowy nadal dymią – płomienie podeszły tak blisko niego – ale teraz ogień cofnął się na jakieś cztery metry. Zewsząd bucha biała para i miesza się z czarnym dymem. Ogień liże swoje rany.

Wsadzam dłonie w zagłębienie w skale, próbuję wybrać wodę, ale na niewiele się to zdaje: kałuża nie jest wystarczająco głęboka. Mimo wszystko próbuję zanieść tę odrobinę do Keltona, ale woda przecieka między palcami i znika, zanim udaje mi się do niego dojść. Ta metoda się nie sprawdzi. Muszę znaleźć inną.

Kiedy pojawia się odpowiedź, niemal wybucham śmiechem na myśl o jej prostocie – choć przecież jeszcze tydzień temu nie dopuszczałabym w ogóle takiej możliwości. Zwyczajnie nie starczyłoby mi wyobraźni.

Biegnę z powrotem do głazu, wsadzam twarz w najgłębszą kałużę i nabieram całe usta wody. Choć moje ciało chce, żebym ją przełknęła, nie robię tego. Zatrzymuję wodę w ustach i biegnę do Keltona.

Padam na kolana i nachylam się nad nim. Rozwieram szeroko jego usta i przyciskam do nich swoje. Potem wtłaczam wodę do jego ust, jakbym go reanimowała. Odsuwam się, zamykam mu szczękę i czekam.

Nic.

Dalej nic.

Nagle – charkot i kasznięcie! Woda wytryskuje niczym fontanna, ale ja dociskam jego usta dłonią i nie pozwalam im się otworzyć. Niech się krztusi! Niech się dusi! Byle przełknął!

Zaczyna się więc. Krztusi się wodą, wypycha ją z płuc, ale ponieważ nie ma ona którejś uciec, zbiera się ponownie w gardle. Widzę, jak jego jabłko Adama przesuwają się w górę i opada w dół. Przełknął.

Biegnę z powrotem do głazu, nabieram resztę pozostałej tam wody i pędzę do Keltona. Ma teraz uchylone oczy – wraca mu świadomość. Ponownie przyciskam swoje usta do jego ust i wlewam do nich wodę. Tym razem unosi rękę i delikatnie chwyta mnie za ramię. Czuję, że świadomie wysysa ze mnie wodę – pozwalam mu na to. Kiedy ponownie przełyka, odsuwam się, żeby złapać oddech.

Spogląda na mnie, nadal półprzytomny. Sytuacja aż się prosi o jakiś złośliwy komentarz, ale żadne z nas nie ma ochoty na nic takiego.

– Deszcz? – pyta.

– Samolot – wyjaśniam.

– Hm... Jeszcze lepiej. – Przewraca się na bok i zanosi kaszlem.

W porządku. Niech teraz kaszle. Ile dusza zapagnie!

Spoglądam na ogień, który nadal trawi las, choć w tej chwili jest przytłumiony. Garrett leży na plecach, rozciągnięty na głazie, i patrzy w zamglone błękitne niebo. Moglibyśmy umrzeć szczęśliwi, bo w końcu udało nam się ugasić pragnienie. Ale może jeszcze dziś nie umrzemy.

Kelton siada. Ssie swój rękaw, wyciąga z niego tyle wody, ile się da. Idę w jego ślady. Patrzą, jak samolot wraca nad jezioro, zgarnia wodę z powierzchni i napełnia zbiornik przed drugim przelotem.

Część szósta. Nowa normalność

Migawka: Disneyland, 8.57 rano, sobota, 25 czerwca

Z Main Street sptukano popiół po pożarach, z Nawiedzonego Domu usunięto włóczęgów, zmyto zielone fallusy nasprayowane na muralu z ukochaną postacią z kreskówek.

Od oficjalnego zakończenia Suchych Kranów minęły niemal dwa tygodnie, ale przygotowanie wszystkiego do otwarcia zajęło aż tyle czasu – nie tylko zresztą tutaj, a w całej południowej Kalifornii. Park Magic Kingdom to jedno z miejsc, które najlepiej sobie radzą z powrotem do dawnego funkcjonowania.

Ponieważ wielu „członków obsady” nie wróciło do pracy, zatrudnia się nowych – w tym osiemnastoletniego biletera przy głównej bramie. Matka zmusiła go do znalezienia pracy na czas wakacji. Niedawna katastrofa kosztowała rodzinę majątek w związku z pieniędzmi, jakie musiała wyłożyć *aconto* ubezpieczenia, które zostanie wypłacone z tytułu poniesionych szkód. Wszyscy więc muszą pomagać.

– Będziesz się dobrze bawił – przekonywała matka.

Ale to nieprawda. Na razie praca przypomina sytuację, w której dziecko dowiadyuje się, że Wróżka Zębuszka nie istnieje, a Święty Mikołaj pali papierosy na parkingu pod galerią handlową. Może dlatego, że park wygląda dość postapokaliptycznie. Nie ma postaci w kostiumach, nie ma elektrycznej parady ani zespołu jazzowego na New Orleans Square. Nie ma też odwiedzających. Był to najdłuższy przestój w działalności parku od początku jego funkcjonowania. Zbyt wiele rzeczy trzeba było naprawić, zbyt wiele budynków odbudować. Zresztą nie tylko tu – wszędzie. Park został zrabowany, ale nie aż tak, jak można by się spodziewać. Ludzi nie interesowały kostiumy ani urządzenia. Szukali tylko jednego. Budki z jedzeniem zostały rozszarpane na strzępy. Jedyne miejsce, w którym w parku była woda – fontanna

w Tomorrowland – stało się mekką dla zagubionych dusz, które wypity chlorowaną wodę do ostatniej kropli. Spece od marketingu w siedzibie korporacji planują przemianować ją na Fontannę Życia.

Rozpowszechniana jest informacja, że na terenie parku nikt nie umarł. To dość niezwykłe. Nie istnieje pewnie w pobliżu żaden inny obszar tej wielkości, który mógłby się poszczycić tym samym.

Wielu ludzi na terenie południowej Kalifornii obwołano bohaterami. Na przykład dyrektora elektrowni, który stłumił rozruchy w Huntington Beach, czy tajemniczego samarytanina z Tustin, który uratował masę ludzi w domu spokojnej starości, po czym zniknął. Bileter chciałby powiedzieć o sobie, że był bohaterem, ale udało mu się dokonać niewiele ponad to, że przeżył. Choć i to było trudne.

8:58.

Stoi na swoim miejscu przy kotowrotkach i odlicza minuty do powtórnego otwarcia Disneylandu, które ma chyba oficjalnie potwierdzić powrót normalności. Po drugiej stronie Szmaragdowej Bramy kolejki ciągną się po horyzont. Bileter zaczyna rozumieć, dlaczego ludzie przybyli w to miejsce. Dlaczego musieli tu przyjechać.

Ponad dwieście tysięcy ludzi straciło życie podczas przerwy w człowieczeństwie. To największa liczba ofiar jakiegokolwiek niewojennego zdarzenia w historii Stanów Zjednoczonych. Ale nawet ona wydaje się zadziwiająco niska. To, że ofiar nie było więcej, zakrawa na cud – a przynajmniej tak ludzie to sobie tłumaczą. Szczęście w nieszczęściu. Z jakiego innego powodu tyle osób poczułoby potrzebę przybycia do miejsca, w którym magia wciąż istnieje? W którym nadzieja jest wieczna? W którym marzenia nigdy nie gasną?

Zegar wybija dziewiątą.

Dokładnie w tym momencie muzyka cichnie – oczekujący wydają okrzyk zachwyty – a zaraz potem lśniąca Szmaragdowa Brama otwiera się, by powitać ludzkość z powrotem w Najszczęśliwszym Miejscu na Ziemi.

Namydlona gąbka, mokra myjka, suchy ręcznik, powtórzyc.

Walenie do drzwi łazienki.

– Alyssa, kończ już! – mówi Garrett. – Chce mi się kupe!

Namydlona gąbka, mokra myjka, suchy ręcznik, powtórzyc.

– Idź do łazienki na dole!

– Nie mogę! Tata tam siedzi!

Gąbka, myjka, ręcznik. Każda ręka i noga z osobna. W końcu się domyję. Trzeba tylko trochę wysiłku.

Garrett ponownie wali w drzwi.

– Co ty tam tak długo robisz?

– Biorę prysznic.

– Nie słyszę wody.

– Musisz być głuchy.

Wcale nie jest głuchy. Woda nie leci z kranu, choć gąbka do namydlenia, myjka do wycierania i ręcznik do osuszania istnieją naprawdę. Stoję pod prysznicem i sięgam do umywalki, która jest napełniona do połowy ciepłą wodą. W czasach, kiedy ludzie nie mieli w domach bieżącej wody, używali do tego celu miski. Odkąd mamy nowy bojler, nie musimy już gotować wody. A odkąd woda w naszej okolicy włączana jest na dwa dni w tygodniu, możemy się kąpać. Mimo to jakoś nie potrafię się przemóc. Nie potrafię zmusić się do spryskiwania ciała wodą, która spływałaby natychmiast do kanału. Może kiedyś. Ale nie dziś. Dziś używam gąbki, myjki i ręcznika. I to mi wystarcza. W zupełności. Jestem usatysfakcjonowana.

– Niedługo wyjeżdżamy – wołam do Garretta. – Jesteś gotowy?

– Jestem gotowy, żeby skorzystać z łazienki.

Kryzys oficjalnie zakończył się dwa tygodnie temu – dzień po tym, jak Kelton, Garrett i ja zostaliśmy przetransportowani drogą powietrzną do

położonej nad jeziorem miejscowości Lake Arrowhead, która zamieniła się w wielkie centrum ewakuacyjne. Oczywiście tylko dla ludzi, którym udało się tam dotrzeć, a to wcale nie było proste. Trafiliśmy pod opiekę lekarzy z powodu zatrucia dymem. Płuca bolały mnie przez tydzień. Teraz jest lepiej.

Osuszam włosy, wkładam szlafrok i wpuszczam do łazienki Garretta, który zabiera się do załatwiania swoich spraw, zanim jeszcze zamknę za sobą drzwi. Typowe. A jednak nic nie wydaje się teraz typowe. Powstała „nowa normalność”, ponieważ nasze dni są wypełnione dziwacznymi bańkami nierealności.

Na przykład kiedy musieliśmy pojechać z powrotem do Costco. Półki były znów pełne towarów, jakby nic się nie wydarzyło, a przed wejściem stała tablica z idiotycznym napisem: „TAK, MAMY WODĘ!”.

Ale choć sklep wyglądał tak samo, ludzie byli inni. Stwierdzam, że odkąd wróciło dawne życie, ludzie dzielą się na cztery kategorie. Każdego można łatwo przyporządkować do którejś z nich – zwłaszcza między regałami w Costco.

Po pierwsze, mamy nieświadomych, którzy zachowują się tak, jakby Suche Krany były snem, rozplywającym się po przebudzeniu. Może udało im się stąd wydostać, zanim sytuacja zrobiła się naprawdę trudna, a może po prostu wyparli wszystko ze świadomości. Trudno znaleźć z nimi wspólny język. Mam poczucie, jakbym rozmawiała z kosmitami udającymi ludzi.

Do drugiej kategorii należą takie osoby jak my, które przetrwały katastrofę i do teraz zmagają się ze skutkami stresu pourazowego. Stoją długo przed półkami i zachwycają się różnorodnością produktów oraz logistyką potrzebną do sprowadzenia ich w to miejsce. Nie uważają takiego stanu za oczywisty i pilnie strzegą swoich wózków, jakby od tego zależało ich życie.

Trzecia kategoria to ludzie spełnieni – ci, którzy odnaleźli w sobie coś, czego wcześniej nie byli świadomi. Nieoszlifowani bohaterowie. Teraz zagadują nieznanomych, szukają okazji, żeby komuś pomóc. Odkryli, że mogą się do czegoś przydać, i nie chcą z tego rezygnować tylko dlatego, że kryzys minął. Podziwiam ich. Dzięki Suchym Kranom zyskali nowe powołanie.

I wreszcie mamy cienie. One poruszają się między regałami w milczeniu, unikają kontaktu wzrokowego i na każdym kroku obawiają się, że ktoś je rozpozna i oskarży o jakiś nieopisany koszmarny czyn, który popełniły, żeby przetrwać. To ci, którzy boją się spojrzeć w oczy innym, ponieważ wstydzą się spojrzeć w lustro.

Tak samo jest w szkole. Lekcje wznowiono dwa dni temu. Mimo że normalnie trwałyby już wakacje, trzeba skończyć rok szkolny. Nazwano to „zdrowym zamknięciem”. Wiadomo, apokalipsa wodnych zombie skończy się naprawdę dopiero wtedy, kiedy dzieci wrócą do szkoły.

Troje nauczycieli zmarło – dwoje uwielbianych, trzeci niekoniecznie, ale wszyscy i tak za nim płakali. Straciliśmy trzydziścioro ośmioro uczniów – w tym gwiazdę futbolu i szkolną prymuskę. Ale puste krzesła pozostały nie tylko po nich. Dziesiątki osób zwyczajnie nie wróciły do szkoły i może już nigdy nie wrócą. Na przykład moja przyjaciółka Sofia. Trudno powiedzieć, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę.

Tu też można spotkać cienie. Dzieciaki, które zamieniły się w zjawy. Na przykład Hali Hartling, która kopła mocno piłkę, afiszowała się ze wszystkim i zawsze plasowała się na szczycie piramidy społecznej. Teraz przemyka w milczeniu przez korytarze. Podejrzewam, że straci też zupełnie pazur na boisku piłkarskim. Sama pewnie mogłabym się zamienić w cień, ponieważ zrobiłam wiele rzeczy, z których nie jestem dumna, ale postanowiłam się ich nie wstydzić. Nawet jeśli wyszłam z tego poraniona, noszę blizny wojenne i zamierzam nosić je z dumą.

Koniec końców, nasz nowy świat nie jest w żaden sposób „normalny” i wątpię, żeby życie wróciło kiedykolwiek do dawnej postaci. Czy zdołamy zapomnieć o przeszłości? Czy ludzie-zjawy mogą liczyć na odkupienie? Czy spełnieni bohaterowie przekształcą się z powrotem w swoje dawne, mniej altruistyczne wersje? Czy kiedykolwiek przestaną mieć koszmary senne związane z rodzicami?

Byłoby łatwiej, gdyby prawda nie była niemal równie koszmarna jak nocne lęki.

Mama została ogłuszona w czasie zamieszek na plaży. Upadła nieprzytomna na rozgrzany piasek. Tłum nie kontrolował tego, co robi. Została stratowana, złamano jej trzy żebra. Miała przekłute lewe płuco, doznała wstrząśnienia mózgu trzeciego stopnia. Na szczęście w pobliżu wciąż znajdowali się ratownicy z karetki, którzy odwieźli ją do szpitala – w przeciwnym razie by zmarła.

Tata został aresztowany, ponieważ walczył, żeby dostać się do mamy, co zostało uznane za przejaw agresji wobec innych osób z tłumu.

Jak się później okazało, oboje nie mogli trafić lepiej. Szpital był placówką najwyższego znaczenia, więc tam wysłano pierwsze dostawy, a areszt jako placówka rządowa przez cały czas miał dostęp do bieżącej wody. Zabawne, że więzienie okazało się jednym z najbezpieczniejszych miejsc. Cała sytuacja nie była jednak łatwa dla taty – nie wiedział, co się stało z nami i z mamą, nie wspominając o wszystkich szaleństwach, które działy się wokół niego. Nie chce o tym opowiadać. Rozumiem go.

Oboje wrócili do domu przed nami i przeszli przez swoje piekło, gdy czekali na wieści w naszej sprawie. W końcu udało nam się z nimi skontaktować i odebrali nas w miejscu, do którego autobusy z Arrowhead przywiozły wszystkich uchodźców.

Tamte chwile nieustannie stają mi przed oczami, choć to wspomnienie ma charakter bardziej emocjonalny niż wizualny. To odczucie wspomnienia. Może dlatego, że oczy miałam zalane łzami, więc mało co

widziałam. Poczułam dom w zapachu bluzki mamy, kiedy płakałam na jej ramieniu. W poczuciu bezpieczeństwa, które ogarnęło mnie, kiedy tata głaskał mnie uspokajająco po plecach, zupełnie tak, jak kiedy byłam mała. W pierzynie pocieszenia, którą opatuliły mnie głosy mamy i taty; głosy, których – jak się obawiałam – mogłam już nigdy nie usłyszeć. Staliśmy tak na parkingu – nie pamiętam nawet, gdzie to dokładnie było – wtuleni w siebie, aż niemal wszyscy zdążyli się rozjechać. Nawet się nie wstydziłam. Mogłabym tam stać i się do nich przytulać do końca świata.

Wujek Basil też do nas wrócił. Cały i zdrowy, dokładnie tak, jak wmawialiśmy sobie z Garrettem. Chcemy częściej nazywać go wujkiem Herbem, choć domyślam się, co może o tym sądzić.

– Nazywajcie mnie wujkiem Mędrce – powiedział – ponieważ czuję się znacznie mądrzejszy niż wcześniej.

Daphne niestety nie przeżyła. Wujek nadal się rozkleja, kiedy o tym opowiada. Myślę, że naprawdę się kochali. Tymczasem on, który tak długo rozczulał się nad sobą z powodu utraty farmy na północy, przestał to robić. Znalazł nowe powołanie i sprzedaje, kto by pomyślał, ÁguaVivę. Nagrał dla nich nawet reklamę: „ÁguaViva ocaliła mi życie”. Jak widać, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Schodzę do salonu, żeby obejrzeć z mamą wiadomości. Transmisja z konferencji prasowej. Wydaje się, że co pięć minut puszczają jakąś kolejną konferencję prasową.

– Gubernator Arizony właśnie ustąpił ze stanowiska – informuje mnie mama. Należało się tego spodziewać. Każdego, kto przyczynił się do odcięcia rzeki Kolorado od Kalifornii, czeka postępowanie karne. Urzędnicy słyszą najróżniejsze zarzuty: od zaniedbania do współudziału w popełnieniu morderstwa.

– No i znaleźli wreszcie tego samarytanina, który uratował tych wszystkich ludzi w domu spokojnej starości – dodaje mama.

– Było wielu samarytan – zauważam. Myślę o Wodnym Aniele, o pilocie, który zrzucił wodę na szalejący wokół nas pożar, o rabinie i księdzu, którzy przeprowadzili razem wielotysięczną pielgrzymkę do ziemi obiecanej nad jeziorem Big Bear tuż przed tym, jak ogień zamknął drogę i odciął przejście następnym.

– Na pewno, ale ich nigdy za wielu – mówi mama.

Zerkam w jej stronę i widzę, że zdjęła z czoła bandaż. Siedem szwów. Nie wyglądają tak źle, jak się spodziewałam.

Słyszę płynącą wodę, więc zaglądam do kuchni, skąd dobiega dźwięk. Garrett zszedł na dół i właśnie napełnia miskę Kingstona. Robi to teraz codziennie – nie tak jak dawniej, kiedy Kingston naprawdę tu był. Garrett wystawia codziennie rano przed dom miskę i jedzenie. W niektóre dni wypuszcza się sam na rowerze na okoliczne wzgórza w poszukiwaniu naszego psa.

„Na pewno wróci – przekonuje. – Kiedy uzna, że jest bezpiecznie, wróci do nas”.

Chciałabym w to wierzyć. Chciałabym wierzyć, że może ktoś go znalazł i dał mu nowy dom. Tata zaproponował, żebyśmy przygarnęli innego psa. „Ze schroniska – powiedział. – Może takiego, który potrzebuje nowej rodziny, bo jego właściciel zginął w czasie Suchych Kranów”.

Ale Garrett nie chce o tym słyszeć. Zupełnie jakby przygarnięcie innego psa oznaczało ostateczne pogodzenie się z tym, że Kingston przepadł na dobre.

Po napełnieniu miski Garrett zakręca kran. Zaraz jednak odkręca go ponownie i wpatruje się w jego wylot, w wodę wypływającą ze zlewozmywaka. Znów ją zakręca. I odkręca. Zakręca, odkręca i tak raz za razem. Powinnam się na niego zezłościć, że marnuje wodę, bo przecież nadal obowiązują nas te same obostrzenia co wcześniej. Nie wolno podlewać trawników. Nie wolno lekkomyślnie marnotrawić wody. Ale nie złość się na Garretta, ponieważ wiem, że nie marnuje wody celowo

i bezmyślnie. Po prostu jest zahipnotyzowany tym widokiem. Nie samą wodą, ale możliwością puszczenia jej na życzenie i zakręcenia za ledwie drobnym ruchem nadgarstka.

Zauważa, że mu się przyglądam, i odwraca wzrok. Trochę się rumieni, przyłapany na spełnianiu własnej, sekretnej zachcianki.

– Gotowy do wyjścia? – pytam.

– Myślałem o tym – mówi – i postanowiłem, że nie idę.

– Jesteś pewien? Możesz później żałować.

– Może będę żałował – przyznaje – ale jestem pewien.

Wychodzi z kuchni, żeby o tym więcej nie rozmawiać. Nie zamierzam na niego naciskać. Nie musi iść, jeśli nie chce. W takim razie zostajemy tylko ja i Kelton.

Kilka minut później pojawia się Kelton. Wpada bez zapowiedzi do środka, co w ostatnim czasie zdarza się dość regularnie. Zdarza się w ogóle, że śpi u nas na sofie. Ma swoje powody, które rozumiem. Jego ciągła obecność mi nie przeszkadza.

– Włącz telewizor – woła od progu.

– Już oglądamy – mówię.

– Musisz to zobaczyć! – Kelton skacze pilotem po kanałach, aż ląduje na innej stacji informacyjnej... A na ekranie pojawia się twarz, której nie spodziewałam się nigdy więcej zobaczyć.

Patrzymy ni mniej, ni więcej, tylko na Henry'ego nie-Roycrofta, który udziela wywiadu jakiemuś dziennikarzowi. Ogromna głowa Henry'ego na moim telewizorze. Zawsze uważałam określenie „opad szczeny” za metaforyczne, ale tym razem moja szczena naprawdę opada.

– O, widzisz, o tym właśnie mówiłam – mówi mama. – To ten samarytanin.

U dołu ekranu widniej podpis: „Henry Groyne”.

– Groyne? On się nazywa Groyne?

Henry przemawia z dumą:

– Każdy postąpiłby tak samo na moim miejscu.

– Nie każdy wbiegłby do płonącego budynku jedynie z ręcznikiem owiniętym wokół głowy, żeby uratować ludzi – zauważa dziennikarz.

– Ale to było w Tustin! – krzyczę w stronę telewizora. – Przecież on był zupełnie gdzie indziej!

– Ciii – mówi mama. – Chcę go posłuchać.

Na ekranie Henry wzrusza ramionami, zupełnie jakby nie przypisał sobie właśnie zasługi za coś, czego z całą pewnością nie zrobił.

– Dlaczego tak długo zwlekałeś, żeby się ujawnić?

– Nie chodzi o mnie, ale o ludzi, których uratowałem.

– To jakieś żarty! – krzyczę.

– To jeszcze nic – mówi Kelton, który musiał już obejrzeć ten wywiad w jakiejś innej stacji.

Transmisja przenosi się do studia, a prowadząca uśmiecha się do kamery i mówi: „Henry jest ósmoklasistą w Access Alternative Middle School, co dowodzi, że nigdy nie jest za wcześnie, żeby zostać bohaterem”.

– Co? Że niby CO? On chodzi do ósmej klasy?

– Rzeczywiście wygląda na starszego – zauważa wesoło mama, nieświadoma, o czym mówimy.

Nie istnieją słowa, które pozwoliłyby opisać, jak bardzo odebrało mi mowę.

– Mówił, że prowadzi od trzynastego roku życia...

– No... – mówi Kelton – czyli od jakichś trzech miesięcy.

Mama spogląda na nas zdumiona, jakbyśmy właśnie przylecieli z Marsa.

– O czym wy mówicie?

Ponieważ żadne z nas nie ma najmniejszej ochoty wyjaśnić tej pokręconej historii, znajdujemy jakąś wymówkę i wybiegamy na zewnątrz.

Gderamy i biadolimy, aby przefiltrować nasze doświadczenia z Henrym przez nowe informacje, ale szybko dochodzimy do wniosku, że nie warto. Ostatecznie bardziej nas to bawi, niż złości, więc postanawiamy nie zaprzętać sobie tym więcej głowy.

Kelton niedługo się wyprowadza, choć jeszcze nie do końca wiadomo dokąd. Na trawniku przed jego domem stoi wielka tablica z napisem: NA SPRZEDAŻ – na trawniku, który wreszcie widać, odkąd w czasie mało sąsiedzkiego najazdu sąsiadów staranowano bramę.

– Jak wygląda sytuacja? – pytam. Wiem, że odpowiedź będzie skomplikowana.

– Dobrze – mówi Kelton. – Oddycham. To jedno. I z tego się cieszę.

Zapada między nami milczenie, ale teraz coś ono znaczy. Co – tego nie jestem pewna.

Rodzice Keltona się rozwodzą. On twierdzi, że to było nieuchronne, i wygląda, jakby mu niemal użyło. Mama zdążyła się już wyprowadzić do mieszkania oddalonego o kilka kilometrów.

– Chcę, żebym z nią zamieszkał – mówi Kelton.

– A ty też tego chcesz?

– Hm, w przeciwnym razie pojechałbym z tatą do jego siostry w Idaho.

– Tej z kotami?

– No.

Spogląda w stronę swojego domu. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak musi mu się tam teraz mieszkać. Jak może przygotowywać jedzenie w kuchni, skoro wie, co się tam zdarzyło? Jak może siedzieć przy tym stole? Trudno się dziwić, że sprzedają dom, choć nie wiem, czy im się uda. Wszędzie stoi teraz mnóstwo tabliczek z napisem „NA SPRZEDAŻ”.

– Tata pozbył się całej broni palnej – opowiada Kelton. – Nie sprzedał jej, wszystko sam zniszczył. Każdą sztukę. Myślę, że to był element jego żałoby po Bradym. Wątpię, żeby przez resztę życia wziął kiedykolwiek do ręki pistolet.

Myślę o własnej przygodzie z bronią palną. Po tym, jak zaatakowali nas ci dwaj mężczyźni w lesie, wzięłam pistolet Keltona i naprawdę byłam gotowa go użyć. Niemal go użyłam, żeby odebrać nam życie. Nie mam nawet pojęcia, co się z nim później stało. Mam nadzieję, że on również uległ zniszczeniu.

– Tak czy inaczej, zostanę z tatą, dopóki nie wyjedzie do Idaho – mówi Kelton. – Chyba bardziej mnie w tej chwili potrzebuje niż mama. Może nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale mama jest silną kobietą.

Kiwam głową.

– Domyślam się.

Siadamy na trawniku i patrzymy na Kiblerów, którzy „doglądają” dzieci bawiących się akurat na ulicy w „okalecz rodzeństwo” albo jakąś inną podobną grę. Kelton i ja odjeżdżamy za dwadzieścia minut, kiedy wróci tata i nas stąd zabierze, ale jak go znam, spóźni się z powodu nawału pracy. Przed Suchymi Kranami jego firma cienko przędła, ale teraz branża ubezpieczeniowa przeżywa rozkwit. Nagle wszyscy ubezpieczają się na wypadek katastrof naturalnych. Kto by pomyślał.

„Nie wzbogacamy się na nieszczęściu innych – przypomina nieustannie sobie i nam tata. – Chronimy ludzi przed przyszłymi nieszczęściami”.

Kiedy tak czekamy na trawniku, który nadal jest brązowawy (nigdy nie pomalujemy go na zielono), Kelton odwraca się do mnie i zadaje pytanie:

– To w sumie kim my jesteśmy?

Wzruszam ramionami.

– Ocalałymi.

– Nie o to mi chodziło. Kim jesteśmy dla siebie.

– Ach, to.

Mogłoby się wydawać, że powinna to być niezręczna rozmowa, ale wcale taka nie jest, co uświadamia mi natychmiast, kim dla siebie jesteśmy.

– Jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi, którzy znają się od jakichś stu lat – mówię po namyśle. – Tyle że dziewięćdziesiąt pięć z nich wydarzyło się w ciągu jednego tygodnia.

Kelton się uśmiecha.

– Podoba mi się to.

Zaraz potem uśmiech zanika na jego twarzy. Wpatruje się przed siebie, ale jakby przestał widzieć dzieci Kiblerów. Jakby przestał widzieć wszystko, co znajduje się wokół nas. Jego oczy robią się wilgotne.

– Alyssa, ja zabiłem ludzi...

Czekałam, kiedy poruszy ten temat. Czekałam na to od dwóch tygodni. Cieszę się, że wreszcie to zrobił, ponieważ mogę powiedzieć mu to, co chciałam powiedzieć od samego początku:

– Zrobiłeś to, co musiałeś, i tyle. Wszyscy robiliśmy rzeczy, które musieliśmy robić. Nie ma co do tego wracać. Poza tym ten las spłonął, Kelton. Nie zostało nic, nikt nie będzie wiedział, co się tam zdarzyło.

– Ale ja wiem...

– Ja też... i wiesz co? Wybaczam ci. – Potem dodaje: – Bardziej wybaczam ci to niż tę historię z dronem.

Uśmiech wraca na jego twarz.

– Masz kompletnie poprzestawiane priorytety, panno Morrow – mówi Kelton.

Nachyliam się i trącam go w ramię. On odpowiada tym samym. Przygląda mi się przez chwilę, jakby się zadumał. Jakby rozważał coś w myślach.

– Za trzy lata – odzywa się w końcu – kiedy zerwiesz ze swoim pierwszym chłopakiem na studiach, zadzwonisz do mnie, a ja przez całą noc będę o tym z tobą gadał.

– Kto wie – mówię. – Za siedem lat, kiedy splajtuje twój pierwszy komputerowy start-up, wyjdziemy razem na miasto. Uda mi się ciebie

trochę rozbawić, nie pozwolę, żebyś za bardzo się upił, i przekonam cię, żebyś zabrał się do pracy nad drugim start-upem.

– Kto wie – kiwa głową. – Z kolei za dwanaście lat zadzwonisz do mnie i zaproponujesz, żebym został ojcem chrzestnym twojego pierwszego dziecka.

– Kto wie – przyznaję. – Za dwadzieścia lat pojedziemy razem na wakacje i nasi małżonkowie, czy z kim tam będziemy, zrobią się zazdrośni, że spędzamy ze sobą tyle czasu na rozmowach, więc uciekną razem.

– Kto wie – potwierdza. – Za trzydzieści lat, kiedy będziesz się ubiegała o reelekcję, a ja będę posiadaczem fortuny, zabiorę cię na tańce i potem napiszą o tym wszystkie tabloidy. Oczywiście będą wtedy miały postać holograficzną.

Wybucham śmiechem.

– Jakżeby inaczej.

Uśmiecha się do mnie.

– I może wtedy będziemy mogli ponownie porozmawiać o tym, kim dla siebie jesteśmy?

Wyciągam rękę.

– Jesteśmy umówieni.

Zamiast uścisnąć mi rękę, bierze ją i całuje, jak ktoś, kto naprawdę jest czarujący. A ja myślę sobie: kto wie, może kiedyś rzeczywiście zamieni się w czarusia.

– Rany – mówi – w końcu udało mi się umówić na randkę z Alyssą Morrow. Teraz mogę umrzeć szczęśliwy.

Oboje wybuchamy śmiechem i to się wydaje normalne. Prawdziwe. Robi mi się nawet trochę smutno, że mielibyśmy zatańczyć dopiero za trzydzieści lat.

Tata, o dziwo, podjeżdża pod dom punktualnie.

– Gotowi do drogi? – pyta.

– Jak nigdy – odpowiadam.

Kiedy wczoraj wróciłam ze szkoły, mama spojrzała na mnie podejrzliwie. Ostatnio często jej się to zdarza, choć tym razem miała wyraźny powód.

– Odebrałam przedziwny telefon – powiedziała. – Na oddziale leczenia poparzeń w szpitalu w Foothill leży jakaś dziewczyna... I co dziwne... Podała twoje nazwisko jako osoby, z którą należy się kontaktować w wyjątkowych sytuacjach. Myślę, że pomylili Alysę Morrow.

Tak się składa, że wiem, że w Kalifornii mieszka pięć Alyss Morrow. Wiem też z całą pewnością, że znaleźli tę właściwą. I w najmniejszym stopniu mnie nie zaskakuje, że Jacqui dała popalić ogniowi.

Kelton otwiera przede mną drzwi samochodu, ale potyka się jednocześnie o krawężnik. Coś cudownego. To doprawdy idealne połączenie. Wsiadamy i już po chwili ruszamy naszą znajomą nieznaną ulicą. Zmierzamy w stronę świata, w którym nowy porządek dopiero zapuszcza korzenie w ruinach dawnego.

Czy to nie Jacqui mówiła, że ludzkie ciało składa się w sześćdziesięciu procentach z wody? Teraz wiem, co tworzy pozostałe czterdzieści. Reszta składa się z pyłu, z popiołu, ze smutku i z żalu... Ale obok nich – wbrew nim – łączy nas wszystkich... nadzieja. I radość. Oraz źródółko tryskające tym wszystkim, co wciąż może się wydarzyć.

¹ FEMA (Federal Emergency Management Agency) – Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego.